Loretta Chase

Król łotrów

Cykl „Rozpustnicy”

Loretta Chase

Król łotrów

przełożyła Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Lord of Scoundrels*

Zdjęcie na okładce: Captblack76 © 123RF.com

Copyright © 1994 by Loretta Chekani
All rights reserved
Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo BIS, 2019

ISBN 978-83-7551-634-0

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22-877-27-05, 22-877-40-33

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Spis treści

Dedykacja
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20

Przypisy

Dziękuję:

Salowi Raciti za wybór włoskich zwrotów;

Carol Proko Easton za pożyczenie wspaniałych książek o rosyjskich ikonach;

Cynthii Drelinger za komputerowe opracowanie moich ołówkowych hieroglifów;

oraz mojemu mężowi Walterowi i naszemu przyjacielowi Owenowi Halpernowi za niezapomnianą podróż po pięknych terenach zachodniej Anglii.

Prolog

Wiosną 1792 roku Dominick Edward Guy de Ath Ballister, trzeci markiz Dain, hrabia Blackmoor, wicehrabia Launcells, baron Ballister i Launcells, stracił żonę i czworo dzieci na skutek tyfusu.

Choć ożenił się na rozkaz ojca, lord Dain rozwinął w sobie niejaki szacunek dla małżonki, która sumiennie urodziła mu trzech udanych chłopców i jedną ładną dziewczynkę. Kochał ich na tyle, na ile był do tego zdolny. Czyli, jak na przeciętne standardy, niezbyt mocno. Z drugiej strony, kochanie w ogóle kogokolwiek nie leżało w naturze lorda Daina. Posiadaną namiastkę serca oddał swoim ziemiom, w szczególności Athcourt, rodowej posiadłości w Devon. Jego majątek był jego kochanką.

Kochanką jednakowoż kosztowną, podczas gdy lord Dain do krezusów nie należał. Dlatego też, w zaawansowanym wieku lat czterdziestu dwóch, poczuł się w obowiązku ożenić ponownie, przy czym, by zaspokoić żądania kochanki, ożenić z górami pieniędzy.

Pod koniec 1793 roku poznał, podjął zaloty i poślubił Lucię Usignuolo, siedemnastoletnią córkę zamożnego florenckiego szlachcica.

Wytworne towarzystwo osłupiało. Linia rodu Ballisterów sięgała epoki Sasów. Siedem wieków wcześniej jeden z nich pojął za żonę normańską damę i w nagrodę otrzymał od Wilhelma I baronostwo. Od tamtej pory żaden Ballister nie poślubił cudzoziemki. Towarzystwo wysnuło konkluzję, że smutek zaćmił umysł markiza Daina.

Niewiele miesięcy później jego lordowska mość sam już ponuro podejrzewał, że doznał zaćmienia. Brał za żonę, jak sądził, przepiękną kruczowłosą dziewczynę, która spoglądała nań z uwielbieniem, uśmiechała się i zgadzała z każdym jego słowem. Tymczasem odkrył, że ożenił się z drzemiącym wulkanem. Na akcie małżeństwa jeszcze dobrze nie wysechł atrament, kiedy wulkan wybuchł.

Była zepsuta, dumna, żarliwa i porywcza. Nierozważnie ekstrawagancka, mówiła za dużo i za głośno i kpiła z jego poleceń. Co najgorsze, jej pozbawione zahamowań poczynania w łożu bulwersowały go i przerażały.

Jedynie strach, że linia rodu Ballisterów w przeciwnym razie wygaśnie, wymuszał na markizie powroty do rzeczonego łoża. Zaciskał zęby i wypełniał swój obowiązek. Kiedy wreszcie znalazła się przy nadziei, porzucił te ćwiczenia i żarliwie modlił się o syna, by nie oddawać się im więcej.

W maju 1795 roku Opatrzność odpowiedziała na jego modlitwy.

Gdy wszakże lord Dain po raz pierwszy ujrzał niemowlę, nabrał podejrzeń, że odpowiedział na nie szatan.

Jego dziedzic okazał się pomarszczonym oliwkowym stworem o wielkich czarnych oczach, nieproporcjonalnych kończynach i rażąco przerośniętym nosie. Do tego wył nieustannie.

Gdyby lord Dain mógł wyprzeć się tego czegoś, zrobiłby to. Nie mógł jednak, ponieważ na lewym pośladku stworzenia widniało takie samo maleńkie brązowe znamię w kształcie kuszy, jakie zdobiło rzeczoną część jego własnej anatomii. Pokolenia Ballisterów nosiły to znamię.

Niezdolny zaprzeczyć, że szkaradzieństwo jest jego, markiz uznał, iż stanowi ono nieuniknioną konsekwencję lubieżnych i nienaturalnych aktów małżeńskich. W bardziej mrocznych chwilach wierzył, że jego młoda żona jest służebnicą szatana, a chłopiec to diabelski pomiot. Lord Dain nigdy więcej nie nawiedził łoża swej małżonki.

* * *

Chłopca ochrzczono Sebastian Leslie Guy de Ath Ballister i, zgodnie ze zwyczajem, przyjął drugi najwyższy tytuł swego ojca – hrabia Blackmoor[1]. Tytuł nader trafny, szeptali za plecami markiza żartownisie, ponieważ dziecko odziedziczyło oliwkową karnację, oczy barwy obsydianu i kruczoczarne włosy po rodzinie matki. Chłopcu przypadł również w pełni w udziale nos Usignuolów, dostojna florencka trąba, którą jego niezliczeni przodkowie ze strony matki zadzierali w kontaktach z gorszymi od siebie. Przeciętny dorosły mężczyzna z rodu Usignuolów prezentował się z tym nosem wcale nieźle, gdyż przeważnie cechowała go monumentalna postura. W twarzy drobniutkiego, nieproporcjonalnie zbudowanego chłopczyka nos wyrastał na ohydne monstrum.

Niestety, chłopiec odziedziczył także nieznośną wrażliwość Usignuolów. Co za tym idzie, w wieku siedmiu lat żałośnie zdawał sobie już sprawę, że

coś jest z nim nie w porządku.

Matka kupiła mu sporo książek z ładnymi ilustracjami. Żadna z osób na tych ilustracjach nie wyglądała ani trochę tak jak on – z wyjątkiem garbatego chochlika o haczykowatym nosie, który przycupnął na ramieniu Małego Tommy’ego, żeby fortelami nakłaniać go do niecnych postępków.

Chociaż nigdy nie zauważył na swoim ramieniu chochlika ani nie słyszał podszeptów, Sebastian wiedział, że musi być niegodziwy, ponieważ stale go łajano lub bito. Wolał bicie przez guwernera. Kiedy łajał go ojciec, Sebastian czuł zarazem gorąco i lepkie zimno, a potem odnosił wrażenie, że ma w brzuchu pełno ptaków, przy czym wszystkie trzepocą skrzydłami, chcąc się wydostać, no i wtedy drżały mu nogi. Nie ważył się jednak płakać, gdyż nie był już bobasem, a poza tym płacz tylko bardziej gniewał ojca. Na twarzy papy pojawiała się wówczas mina gorsza nawet niż karcące słowa.

W książkach z obrazkami rodzice uśmiechali się do dzieci, tulili je i całowali. Mama czasami tak robiła, kiedy była w radosnym nastroju, natomiast papa nigdy. Ojciec nigdy z nim nie rozmawiał, nigdy się z nim nie bawił. Nigdy nie nosił Sebastiana na barana ani nie posadził go na koniu przed sobą. Sebastian jeździł na własnym kucu, a uczył go Phelps, jeden ze stajennych.

Chłopiec wiedział, że nie może zapytać matki, co jest z nim nie tak i jak to naprawić. Nauczył się już wtedy nie mówić wiele na jakikolwiek temat – poza tym, że ją kocha i że jest najśliczniejszą mamą na świecie – ponieważ niemal wszystko inne ją denerwowało.

Pewnego razu, kiedy wybierała się do Dartmouth, zapytała, co chciałby, żeby mu przywiozła. Poprosił o braciszka, z którym mógłby się bawić. Rozpłakała się, a następnie zezłościła i krzyczała brzydkie słowa po włosku. Chociaż Sebastian nie znał znaczenia ich wszystkich, wiedział, że są paskudne, ponieważ ilekroć usłyszał je papa, beształ ją.

A wtedy się kłócili. I to było gorsze nawet niż płacz matki czy najbardziej gniewna mina ojca.

Sebastian nie chciał powodować potwornych kłótni. A już zwłaszcza nie chciał prowokować mamy do mówienia paskudnych słów, ponieważ Bóg mógłby się zezłościć, a wówczas umarłaby i poszła do piekła. I już nikt by go nie przytulał ani nie całował, nigdy.

Tak zatem Sebastian nie miał kogo zapytać, co jest z nim nie tak i co powinien zrobić, z wyjątkiem Ojca Niebieskiego. Ale On nigdy nie odpowiadał.

Później, pewnego dnia, gdy Sebastian liczył osiem lat, jego matka wyszła z pokojówką i nie wróciła.

Ojciec wyjechał wcześniej do Londynu, a służba powiedziała Sebastianowi, że jego matka postanowiła również się tam udać.

Tyle że ojciec wkrótce wrócił, a mamy z nim nie było.

Sebastiana wezwano do mrocznego gabinetu. Papa, z bardzo posępną miną, siedział za olbrzymim biurkiem, z otwartą Biblią przed sobą. Kazał Sebastianowi usiąść. Dygocąc, chłopiec wykonał polecenie. Jedynie tyle był w stanie zrobić. Nie mógł mówić. Skrzydła trzepotały w jego brzuchu tak mocno, że wszystkie siły koncentrował na tym, żeby nie zwymiotować.

– Przestaniesz nękać służbę w związku z twoją matką – oznajmił mu ojciec. – Nigdy więcej nie będziesz o niej mówił. Twoja matka jest złym, bezbożnym stworzeniem. Imię jej Izebel, a „psy będą żarły Izebel pod murem Jizreel[2]".

Ktoś bardzo głośno krzyczał w głowie Sebastiana. Tak głośno, że chłopiec ledwie słyszał ojca. Ojciec wszakże zdawał się nieświadom tego krzyku. Spojrzenie wbijał w Biblię.

– „Bo miód wycieka z warg obcej, podniebienie jej gładkie jak olej" – przeczytał – „lecz w końcu będzie gorzka niby piołun i ostra jak miecz obosieczny. Jej nogi zstępują ku śmierci, do Szeolu zmierzają jej kroki.[3]" – Podniósł wzrok. – Wyrzekam się jej, a moje serce raduje się, że to zepsucie uciekło z domu moich ojców. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

Wstał i pociągnął za sznur dzwonka, na co przyszedł lokaj i wyprowadził Sebastiana. Nadal jednak, nawet kiedy drzwi gabinetu się zamknęły, nawet kiedy podążali schodami w dół, krzyk w głowie Sebastiana nie ustawał. Chłopiec próbował zatykać sobie uszy, ale krzyk trwał, aż wreszcie chłopcu pozostało tylko otworzyć usta i wypuścić go w długim, potwornym wyciu.

Kiedy lokaj próbował go uciszyć, Sebastian kopał i gryzł, aż wyrwał się mężczyźnie. Wtedy z jego ust wylały się wszystkie te paskudne słowa. Nie potrafił przestać. W jego wnętrzu tkwił potwór, a on nie umiał go powstrzymać. Potwór porwał ze stołu wazon i cisnął nim w lustro. Złapał gipsowy posąg i rozbił o podłogę. Pobiegł przez wielką salę, wrzeszcząc i niszcząc wszystko, czego zdołał dosięgnąć.

* * *

Wyżsi rangą służący zbiegli się, zwabieni hałasem, wzbraniali się jednak przed dotknięciem dziecka, każdy bez wyjątku przekonany, że opętały je demony. Stali, zmartwiali z przerażenia, przyglądając się, jak dziedzic lorda Daina obraca w perzynę Wielką Salę. Z góry nie dobiegło ani jedno słowo nagany, najmniejszy choćby dźwięk. Drzwi gabinetu jego lordowskiej mości pozostały zamknięte – jakby markiz chronił się przed szalejącym na dole diabłem.

Wreszcie z kuchni przyczłapała potężna kucharka, poderwała wyjącego chłopca z podłogi i nie bacząc na to, że kopie ją i okłada pięściami, przytuliła.

– No już, już, dziecko – mruczała.

Nie obawiając się ani demonów, ani lorda Daina, zabrała Sebastiana do kuchni, po czym, wygoniwszy pomocników, usadowiła się z nim w fotelu przy ogniu i kołysała go, aż nie miał sił dłużej płakać.

Podobnie jak reszta domowników, kucharka wiedziała, że lady Dain uciekła z synem zamożnego kupca morskiego. Nie udała się do Londynu, lecz do Dartmouth, gdzie weszła na pokład jednego ze statków swego kochanka i wyruszyła z nim do Indii Zachodnich.

Histeryczne zawodzenia chłopca na temat psów żrących jego matkę wzbudziły w kucharce wielką chęć potraktowania pana domu tasakiem. Młody hrabia Blackmoor był najbrzydszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek oglądano w całym hrabstwie Devon – a przypuszczalnie także w Kornwalii i Dorset. Do tego humorzastym, porywczym i ogólnie odpychającym. Z drugiej strony, był zaledwie dzieckiem, które jej zdaniem zasługiwało na coś lepszego niż to, co otrzymało od losu.

Wyjaśniła Sebastianowi, że jego mama i papa się nie dogadywali i mama poczuła się tak bardzo nieszczęśliwa, że uciekła. Niestety, w przypadku dorosłej damy ucieczka to błąd gorszy nawet niż w przypadku małego chłopca, wytłumaczyła kucharka. Błąd tak ogromny, że nie da się go już nigdy naprawić, a lady Dain nie może tutaj wrócić.

– Czy idzie do piekła? – zapytał chłopiec. – Papa p-powiedział… – Głos mu się łamał.

– Bóg jej wybaczy – oświadczyła mocnym głosem kucharka. – Jeżeli jest sprawiedliwy i litościwy, wybaczy jej.

Następnie zabrała chłopca na górę, przepędziła jego surową nianię i położyła malca do łóżka.

Po jej wyjściu Sebastian usiadł i ze stolika nocnego wziął niewielki obrazek Błogosławionej Dziewicy i Dzieciątka Jezus, podarowany mu niegdyś przez matkę. Tuląc go do piersi, modlił się.

Nauczono go wszystkich stosownych modlitw wiary jego ojca, tego wieczoru wypowiadał jednak tę, którą słyszał z ust matki, trzymającej w dłoni długi sznur koralików. Słyszał ją tak wiele razy, że znał na pamięć, mimo że nie przyswoił jeszcze łaciny na tyle, by rozumieć wszystkie słowa.

– *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus* – zaczął.

Nie wiedział, że jego ojciec stoi pod drzwiami i słucha.

Nie wiedział, że dla lorda Daina ta papistyczna modlitwa okazała się kroplą, która przepełniła czarę.

Dwa tygodnie później Sebastiana zapakowano do powozu i wywieziono do Eton.

Po krótkiej rozmowie z dyrektorem szkoły porzucono go w olbrzymim dormitorium, zdanego na łaskę i niełaskę kolegów.

Lord Wardell, najstarszy i największy w pobliżu, wpatrywał się w Sebastiana przez bardzo długą chwilę, po czym wybuchnął śmiechem. Pozostali natychmiast się doń przyłączyli. Sebastian stał zmrożony, słuchając, jak mu się zdało, wycia tysiąca hien.

– Nie dziw, że jego mama uciekła – oznajmił towarzystwu Wardell, gdy odzyskał oddech. – Krzyczała, kiedy się urodziłeś, Black-a-moor[4]? – zapytał Sebastiana.

– Blackmoor – poprawił Sebastian, zaciskając pięści.

– Jest tak, jak ja mówię, że jest, robaku – poinformował go Wardell. – A ja mówię, że twoja mama nawiała, bo nie zniosłaby twojego widoku ani minuty dłużej. Ponieważ wyglądasz dokładnie jak obrzydliwa mała szczypawica. – Splótłszy ręce za plecami, wolno okrążał oszołomionego Sebastiana. – Co ty na to, Black-a-moor?

Sebastian spojrzał na twarze szczerzące się nań z góry w zjadliwych uśmiechach. Phelps, ów stajenny, powiedział mu, że w szkole znajdzie przyjaciół. Sebastian, który nie miał dotąd nikogo, z kim mógłby się bawić, kurczowo trzymał się tej nadziei przez całą długą, samotną podróż.

W tej chwili nie widział przyjaciół, a jedynie szydercze twarze – w dodatku wszystkie wysoko ponad nim. Każdy bez wyjątku chłopiec w tym przepastnym dormitorium był od niego starszy i większy.

– Zadałem ci pytanie, szczypawico – powiedział Wardell. – Kiedy lepsi od ciebie zadają ci pytanie, lepiej na nie odpowiadaj.

Sebastian spojrzał twardo w niebieskie oczy dręczyciela.

– *Stronzo*[5] – odparł.

Wardell pacnął go w głowę.

– Żadnego włoskiego jazgotania, Black-a-moor.

– *Stronzo* – powtórzył zuchwale Sebastian. – Śmierdząca kupa gówna.

Wardell uniósł jasne brwi i potoczył wzrokiem po zgromadzonych wokół kompanach.

– Słyszeliście? Nie dość, że paskudny jak Belzebub, to jeszcze ma niewyparzoną gębę. Co zrobimy, chłopcy?

– Porzucajmy nim – zaproponował jeden.

– Podtopmy go – zasugerował inny.

– W wychodku – uzupełnił kolejny. – Szuka gówna, no nie?

Tę propozycję powitano entuzjastycznym wyciem.

I rzucili się na niego.

* * *

Wiodąc Sebastiana ku zagładzie, kilkakrotnie dawali mu szansę, żeby się pokajał. Wystarczyłoby, żeby polizał buty Wardella i błagał o wybaczenie, a zostałby oszczędzony.

Sebastianem owładnął jednak znajomy potwór, tak że odpowiadał buntowniczo, seriami wszystkich plugawych angielskich i włoskich słów, jakie kiedykolwiek usłyszał.

Buntowniczość niewiele mu pomogła. Pomogły mu pewne prawa fizyki. Choć mały, był dziwacznie zbudowany. Na przykład jego kościste ramiona okazały się za szerokie, żeby zmieścić się w otworze wychodka. Wardell mógł zatem wepchnąć w otwór jedynie głowę Sebastiana i trzymać go tak, dopóki chłopiec nie zwymiotował.

Incydent, ku irytacji Wardella i jego kompanów, nie wpoił szczypawicy szacunku. A choć później większą część wolnego czasu poświęcali edukowaniu Sebastiana, on ani myślał się nauczyć. Wykpiwali jego wygląd

i mieszaną krew, układali sprośne piosenki o jego matce. Wywieszali go z okien za nogi, podrzucali na kocach, wkładali mu do łóżka martwe gryzonie. W chwilach prywatności – choć w Eton o prywatność było niezwykle trudno – płakał z niedoli, wściekłości i samotności. Publicznie przeklinał i walczył, mimo że zawsze przegrywał.

I tak, gdy nieustannie znęcano się nad nim poza salą lekcyjną i regularnie wymierzano cięgi w sali, wystarczył mniej niż rok w Eton, żeby wytłuc z Sebastiana wszelkie skłonności do uczuć, łagodności i zaufania. Metody Eton wydobywały z niektórych chłopców to, co najlepsze. W nim obudziły najgorsze.

Kiedy Sebastian miał dziesięć lat, dyrektor wziął go na stronę i poinformował, że jego matka umarła w Indiach Zachodnich na febrę. Sebastian wysłuchał wieści w kamiennym milczeniu, a następnie wyszedł z budynku i wszczął bójkę z Wardellem.

Wardell był od niego dwa lata starszy, dwa razy większy i cięższy, a do tego szybki. Tym razem jednak potwór w Sebastianie okazał się zimną, gorzką furią i chłopiec walczył chłodno, bez słowa i zawzięcie, aż powalił dręczyciela i rozkrwawił mu nos.

Potem, sam zmaltretowany i krwawiący, Sebastian omiótł szyderczym wzrokiem zebranych w kółku gapiów.

– Ktoś jeszcze? – zapytał, choć ledwie wystarczyło mu tchu na te słowa.

Nie rozległ się żaden dźwięk. Kiedy odwrócił się, żeby odejść, rozstąpili się przed nim.

Gdy Sebastian znajdował się w połowie drogi przez dziedziniec, dziwną ciszę przerwał głos Wardella.

– Dobra robota, Blackmoor! – zawołał chłopak.

Sebastian przystanął i się rozejrzał.

– Idź do diabła! – odkrzyknął.

Wtedy czapka Wardella wzleciała w powietrze, przy akompaniamencie wiwatu. W następnej chwili w górze znalazły się dziesiątki czapek i wszyscy wiwatowali.

– Głupie gnojki – wymamrotał do siebie Sebastian.

Zdjął z głowy wyimaginowany kapelusz – jego czapka została nieodwołalnie zadeptana – i wykonał groteskowy, zamaszysty ukłon.

Moment później otoczyli go roześmiani chłopcy, a w następnej chwili posadzono go na ramionach Wardella, im więcej zaś im wszystkim ubliżał,

tym bardziej się to tym idiotom podobało.

Wkrótce stał się najlepszym druhem Wardella. A wtedy, oczywiście, nie było już dla niego nadziei.

Spośród wszystkich diabłów wcielonych, które w tamtym czasie, zbierając cięgi i znosząc prześladowania, wkraczały w Eton w dorosłość, krąg Wardella był najgorszy. Obok typowych psikusów i nękania nieszczęsnych miejscowych, ci chłopcy oddawali się hazardowi, palili i upijali się do nieprzytomności, nim jeszcze weszli w okres pokwitania. Łajdaczyć zaczęli się zaraz potem.

Sebastiana wprowadzono w erotyczne sekrety w trzynaste urodziny. Wardell i Mallory – chłopak, który swego czasu doradził podtapianie w wychodku – zaprawili go ginem, zawiązali mu oczy, przez godzinę ciągali tam i sam, aż wreszcie zawlekli po schodach do cuchnącego stęchlizną pomieszczenia. Rozebrali go do naga, zdjęli przepaskę z oczu i wyszli, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Na wyposażenie pomieszczenia składały się: jedna kopcąca lampa olejna, jeden brudny siennik i jedna pulchna dziewczyna ze złotymi kędziorkami, rumianymi policzkami, wielkimi niebieskimi oczami i nosem jak guziczek. Gapiła się na Sebastiana, jakby był martwym szczurem.

Nie musiał zgadywać dlaczego. Mimo że od ostatnich urodzin wystrzelił w górę dobre pięć centymetrów, nadal wyglądał jak chochlik.

– Nie zrobię tego – oznajmiła. Z uporem zacisnęła usta. – Nawet za sto funtów.

Sebastian odkrył, że jednak pozostały mu jakieś uczucia. W przeciwnym razie nie udałoby jej się ich zranić. Piekło go w gardle i chciało mu się płakać, i nienawidził jej za to, że wywołała w nim takie reakcje. Pospolita, głupia mała locha; gdyby była chłopakiem, stłukłby ją na miazgę.

Do tej pory nauczył się jednak odruchowo skrywać uczucia.

– Wielka szkoda – rzekł zimno. – Dziś są moje urodziny i byłem w tak dobrym humorze, że zamierzałem zapłacić ci dziesięć szylingów.

Sebastian wiedział, że Wardell nigdy nie zapłacił dziwce więcej niż sześć pensów.

Popatrzyła na Sebastiana chmurnie, a potem jej wzrok powędrował w dół i spoczął na jego męskim narzędziu. I tam pozostał. Tyle wystarczyło, by pobudzić rzeczone narzędzie. Zaczęło szybko nabrzmiewać.

Jej nadąsana warga zadrżała.

– Jak mówiłem, humor mi dziś dopisuje – odezwał się znowu, zanim miała szansę go wyśmiać. – Dorzucę jeszcze sześć. Nie więcej. Jeśli oferta ci nie odpowiada, pójdę z nią gdzie indziej.

– Chyba bym mogła zamknąć oczy – stwierdziła.

Posłał jej kpiący uśmiech.

– Otwarte czy zamknięte, dla mnie bez różnicy… ale oczekuję usługi wartej tych pieniędzy.

I rzeczywiście ją otrzymał, przy czym nie zamknęła oczu, ale dała taki pokaz entuzjazmu, jakiego tylko mógłby sobie życzyć mężczyzna.

Kryła się w tym pewna życiowa lekcja, skonstatował później Sebastian, przyswajając ją równie szybko jak wszystkie inne.

Od tamtej pory postanowił zaczerpnąć motto od Horacego: „Zarabiaj pieniądze, uczciwie, jeśli możesz, jeśli nie, wszelkimi sposobami”.

* * *

Odkąd Sebastian rozpoczął naukę w Eton, jedyną korespondencją, jaką otrzymywał z domu, były jednozdaniowe liściki dołączane do jego kwartalnej renty. Pisał je sekretarz ojca.

Kiedy jego czas w Eton dobiegał końca, Sebastian otrzymał długi na dwa akapity list, gdzie w zarysie przedstawiano ustalenia związane z jego studiami na Cambridge.

Wiedział, że Cambridge to doskonały uniwersytet, przez wielu uważany za bardziej postępowy niż mnisi Oksford.

Wiedział także, że bynajmniej nie z tego powodu ojciec go wybrał. Ballisterowie uczęszczali do Eton i na Oksford, praktycznie odkąd utworzono te instytucje. Posłanie syna gdzie indziej stanowiło dla lorda Daina najbliższy możliwy odpowiednik wydziedziczenia go. Obwieszczało światu, że Sebastian jest paskudną plamą na honorze rodu.

Co z całą pewnością odpowiadało prawdzie.

Nie tylko zachowywał się jak potwór – aczkolwiek nigdy na tyle źle w obecności autorytetów, by go wydalono – ale stał się nim także pod względem fizycznym: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemny, brutalnie twardy.

Znaczną część kariery w Eton poświęcił wysiłkom, by zapisać się w pamięci otoczenia jako potwór właśnie. Odczuwał dumę z faktu, że

przyzwoici ludzie nazywają go Zakałą Rodu Ballisterów.

Aż do tej pory lord Dain nijak nie sygnalizował, że zauważa albo dba o to, co robi jego syn.

Ten lapidarny list zaświadczał o czym innym. Jego lordowska mość zamierzał ukarać i upokorzyć syna, zsyłając go na uniwersytet, na którym nie postała nigdy noga żadnego Ballistera.

Kara nadeszła zbyt późno. Sebastian opanował tymczasem kilka skutecznych sposobów reakcji na próby sterowania nim, karania go czy zawstydzania. Odkrył, że pieniądze, w większości przypadków, odnoszą skutek znacznie lepszy niż siła fizyczna.

Zaczerpnąwszy motto od Horacego, nauczył się nie tylko podwajać, ale zwielokrotniać swoją rentę w grach losowych i zakładach. Połowę wygranych przepuszczał na kobiety, rozmaite inne złe nawyki i prywatne lekcje włoskiego – te ostatnie, żeby absolutnie nikt nie podejrzewał, iż matka stanowi choćby w niewielkim stopniu jego czuły punkt.

Za drugą połowę planował nabyć konia wyścigowego.

Odpisał ojcu z zaleceniem, by rodzic za przeznaczone na ten cel środki posłał na Cambridge jakiegoś ubogiego chłopca, ponieważ hrabia Blackmoor podejmie studia na Oksfordzie i sam je sobie opłaci.

Następnie postawił zaoszczędzone na konia pieniądze na walkę zapaśniczą.

Wygrana – oraz drobny nacisk ze strony stryja Wardella – zapewniły Sebastianowi miejsce na Oksfordzie.

* * *

Kolejną wiadomość z domu Sebastian otrzymał w wieku dwudziestu czterech lat. W jednym akapicie donoszono mu o śmierci ojca.

Wraz z tytułem nowy markiz Dain odziedziczył sporo ziemi, kilka imponujących domów – w tym Athcourt, wspaniałe rodowe gmaszysko na obrzeżach wrzosowisk Dartmoor – oraz wszystkie towarzyszące im obciążenia hipoteczne i długi.

Jego ojciec pozostawił sprawy w zatrważającym stanie, a Sebastian nie miał najmniejszych wątpliwości dlaczego. Nie mogąc kontrolować syna, drogi zmarły postanowił go zrujnować.

Jeśli wszakże świętoszkowaty stary drań uśmiechał się w życiu pozagrobowym, wypatrując chwili, gdy czwartego markiza Daina przewiozą do najbliższego domu dla dłużników, skazany był na bardzo długie oczekiwanie.

Sebastian odkrył tymczasem świat interesów i śmiało poświęcił się opanowaniu jego tajników do perfekcji. Każdego pensa ze swego obecnego zadowalającego dochodu zarobił lub wygrał sam. Po drodze więcej niż jedno przedsięwzięcie na skraju bankructwa przekształcił w zyskowną inwestycję. Uporanie się z bałaganem ojca stanowiło dziecinną igraszkę.

Sprzedał wszystko, co nie było objęte majoratem, uregulował długi, zreorganizował zacofany system finansowy, zwolnił sekretarza, zarządcę oraz rodzinnego prawnika, zastępując ich egzemplarzami wyposażonymi w mózgi, którym oznajmił, czego się od nich oczekuje. Następnie po raz ostatni wybrał się na przejażdżkę po niewidzianych od dzieciństwa wrzosowiskach, po czym wyjechał do Paryża.

Rozdział 1

Paryż, marzec

– Nie, to się nie dzieje – szepnął w oszołomieniu sir Bertram Trent.

Jego okrągłe niebieskie oczy zogromniały z przerażenia, kiedy dociskał czoło do okna wychodzącego na rue de Provence.

– Sądzę, że się dzieje, proszę pana – odparł jego lokaj, Withers.

Sir Bertram przeciągnął dłonią po potarganych brązowych lokach. Była druga po południu, on zaś dopiero co zmienił szlafrok na zwykłe ubranie.

– Genevieve – powiedział głucho. – O Boże, to rzeczywiście ona.

– To bez wątpienia pańska babka, lady Pembury, a towarzyszy jej pańska siostra, panna Jessica. – Withers stłumił uśmiech. Tłumił w tej chwili bardzo wiele. Na przykład szalone pragnienie, by tańczyć po pokoju, wykrzykując „Alleluja!”.

Byli ocaleni. Skoro zjawiła się panna Jessica, sprawy zostaną prędko uporządkowane. Ogromnie ryzykował, pisząc do niej, ale należało tak postąpić, dla dobra rodziny.

Sir Bertram wpadł w złe towarzystwo. Najgorsze towarzystwo w całym chrześcijańskim świecie, zdaniem Withersa: banda utracjuszowskich degeneratów pod wodzą tego potwora, czwartego markiza Daina.

Ale panna Jessica wkrótce położy temu kres, uspokajał sam siebie podstarzały lokaj, zwinnie wiążąc halsztuk swemu panu.

Dwudziestosiedmioletnia siostra sir Bertrama odziedziczyła urzekającą urodę swej owdowiałej babki: jedwabiste włosy barwy nieomal ciemnego granatu, srebrnoszare migdałowe oczy, alabastrowa cera i pełna wdzięku figura – wszystkie te cechy w przypadku lady Pembury oparły się spustoszeniom dokonywanym przez czas.

Co w praktycznej ocenie Withersa ważniejsze, panna Jessica odziedziczyła umysł, fizyczną sprawność i odwagę po swoim zmarłym

ojcu. Świetnie jeździła konno, fechtowała i strzelała. W rzeczy samej, jeśli chodziło o pistolety, nie miała sobie równych w całej rodzinie, a to o czymś świadczyło. W trakcie dwóch krótkich małżeństw jej babka urodziła czterech synów pierwszemu mężowi, sir Edmundowi Trentowi, oraz dwóch drugiemu, wicehrabiemu Pembury, a później tak jej córki, jak i synowie powołali na świat obfitość mężczyzn. Mimo to żaden z tych szlachetnych mężów nie strzelał lepiej od panny Jessiki. Z dwudziestu kroków odstrzeliwała korek butelki z winem – co Withers widział na własne oczy.

Nie miałby nic przeciw, gdyby odstrzeliła korek lordowi Dainowi. Ten potężny brutal był hańbą dla swego kraju, próżniaczym zbereźnikiem z sumieniem nie większym niż u żuka gnojarza. Zwabił sir Bertrama – który, co godne pożałowania, nie zaliczał się do najbystrzejszych spośród dżentelmenów – do swego niemoralnego kręgu i pchnął w dół równi pochyłej, prosto ku ruinie. Kilka kolejnych miesięcy w towarzystwie lorda Daina, a sir Bertram zostanie bankrutem – jeśli niekończące się orgie wpierw go nie zabiją. Ale nie będzie kilku kolejnych miesięcy, skonkludował radośnie Withers, ponaglając niechętnego pana ku drzwiom. Panna Jessica wszystko naprawi. Zawsze naprawiała.

* * *

Bertiemu udało się odegrać zaskoczone uszczęśliwienie na widok siostry i babki. Jednakże kiedy tylko ta druga oddaliła się do swojej sypialni, żeby odpocząć po podróży, porwał Jessicę do pomieszczenia, które wyglądało na salon wąskiego – i stanowczo zbyt drogiego, jak skonstatowała z irytacją – mieszkania.

– Niech to diabli, Jess, o co chodzi? – zapytał ostro.

Jessica podniosła stertę sportowych gazet z wyścielanego fotela przy kominku, rzuciła je na palenisko i z westchnieniem usiadła na miękkich poduszkach.

Podróż powozem z Calais była długa, pełna kurzu i wyboista. Jessica nie wątpiła, że za sprawą odrażającego stanu francuskich dróg ma posiniaczoną tylną część ciała.

Z wielką chęcią posiniaczyłaby teraz tylną część ciała swego brata. Niestety, choć dwa lata młodszy, był od niej o głowę wyższy i znacznie

cięższy. Dni, kiedy dało się przywołać go do rozsądku solidną rózgą, dawno minęły.

– To prezent urodzinowy – wyjaśniła.

Niezdrowo blada twarz jej brata rozpromieniła się na moment w znajomym, przyjaźnie głupawym uśmiechu.

– Rany, Jess, strasznie słodko z twojej strony… – Potem uśmiech przygasł, a brwi się ściągnęły. – Ale urodziny mam dopiero w lipcu. Nie zamierzacie chyba zostać aż do…

– Chodziło mi o urodziny Genevieve.

Wśród kilku ekscentryczności lady Pembury znalazło się naleganie, by dzieci i wnuki zwracały się do niej i mówiły o niej po imieniu.

– Jestem kobietą – zwykła klarować tym, którzy protestowali, że taka terminologia oznacza brak szacunku. – Mam imię. Mama, babka… – W tym miejscu nieznacznie wzruszała ramionami. – Takie anonimowe.

Na twarzy Bertiego pojawiła się czujność.

– Kiedy wypadają?

– Ma urodziny, o czym powinieneś pamiętać, pojutrze. – Jessica zdjęła szare buty z koźlęcej skórki, przyciągnęła ku sobie podnóżek i wsparła na nim stopy. – Chciałam, żeby trochę się zabawiła. Nie zaglądała do Paryża od wieków, a w domu sprawy nie układają się zbyt przyjemnie. Część ciotek przebąkuje, żeby zamknąć ją w przytułku dla obłąkanych. Co nieszczególnie mnie dziwi. Nigdy jej nie rozumiały. Wiedziałeś, że tylko w zeszłym miesiącu otrzymała trzy propozycje małżeństwa? Wydaje mi się, że Numer Trzy okazał się kroplą, która przelała czarę goryczy. Lord Fangiers ma trzydzieści cztery lata. Rodzina twierdzi, że to żenujące.

– No, nieszczególnie dystyngowane, w jej wieku.

– Jeszcze nie umarła, Bertie. Nie widzę powodu, żeby miała się zachowywać, jakby leżała już w grobie. Jeśli zapragnie poślubić pomocnika z pubu, jej sprawa. – Jessica zmierzyła brata badawczym spojrzeniem. – Oczywiście, nowy mąż przejąłby kontrolę nad jej pieniędzmi. Śmiem twierdzić, że właśnie ten szczegół wszystkich martwi.

Bertie się zarumienił.

– Nie musisz tak na mnie patrzeć.

– Doprawdy? Wyglądasz mi na dosyć zmartwionego. Może chodziło ci po głowie, że Genevieve wydobędzie cię z kłopotów.

Szarpnął halsztuk.

– Nie mam kłopotów.

– Och, wobec tego liczysz na mnie. Według twojego przedstawiciela w interesach po spłaceniu twoich aktualnych długów na resztę roku pozostanie mi dokładnie czterdzieści siedem funtów, sześć szylingów i trzy pensy. Co oznacza, że muszę albo znów zamieszkać z ciotkami i stryjami, albo pracować. Przez dziesięć lat funkcjonowałam jako nieopłacana niania ich bachorów. Nie zamierzam spędzić w ten sposób ponownie ani dziesięciu sekund. Czyli zostaje praca.

Wytrzeszczył oczy.

– Praca? Mówisz o zarabianiu pensji?

Przytaknęła.

– Nie widzę innego sensownego rozwiązania.

– Czyś ty oszalała, Jess? Jesteś dziewczyną. Wyjdziesz za mąż. Za typa z nabitą kiesą. Jak zrobiła to Genevieve. Dwa razy. No wiesz, masz jej urodę. Gdybyś nie była taka piekielnie wybredna…

– Ale jestem – weszła mu w słowo. – Na szczęście mogę sobie na to pozwolić.

Ona i Bertie zostali osieroceni w bardzo młodym wieku i byli odtąd zdani na łaskę ciotek, stryjów i kuzynów, którzy sami z trudem utrzymywali swoją pokaźną progeniturę. Rodzinie powodziłoby się wcale nieźle, gdyby nie była tak potwornie liczna. Ale Genevieve pochodziła z płodnego rodu, zwłaszcza jeśli chodzi o powoływanie na świat płci męskiej, a jej potomstwo odziedziczyło ten talent.

Był to jeden z powodów, dla których Jessica otrzymywała tyle ofert małżeństwa – przeciętnie sześć rocznie – nawet teraz, kiedy powinna znaleźć się już poza obszarem zainteresowań i przywdziać czepek starej panny. Ale niech ją szlag, jeśli wyjdzie za mąż, żeby służyć za klacz rozpłodową jakiemuś bogatemu, utytułowanemu durniowi – albo jeśli kiedykolwiek zacznie paradować w niegustownych czepkach, skoro już o tym mowa.

Miała talent do wygrzebywania na aukcjach i w sklepach z używanymi rzeczami skarbów, które sprzedawała następnie z pokaźnym zyskiem. Choć nie zarabiała fortuny, przez pięć ostatnich lat mogła sama kupować sobie modne ubrania i dodatki, zamiast donaszać rzeczy po krewnych. Stanowiło to skromną formę niezależności. Pragnęła jej więcej. W trakcie ostatniego roku planowała, jak osiągnąć ten cel.

Wreszcie zaoszczędziła dostatecznie dużo, żeby wynająć i wstępnie zatowarować własny sklep. Będzie elegancki i bardzo ekskluzywny, nastawiony na elitarną klientelę. W trakcie wielu godzin spędzonych na wydarzeniach towarzyskich wyrobiła sobie świetne zrozumienie próżniaczych bogaczy – nie tylko tego, co lubili, ale także najskuteczniejszych metod, jak ich sobą zainteresować.

Planowała zacząć ich wabić, kiedy wydobędzie brata z bałaganu, w jaki się wpakował. Następnie dopilnuje, żeby błędy Bertiego nigdy więcej nie zakłóciły jej uporządkowanego życia. Był nieodpowiedzialnym, niegodnym zaufania, trzpiotowatym matołem. Wzdrygała się na samo wyobrażenie, jak będzie wyglądać jej przyszłość, jeśli pozostanie od niego pod jakimkolwiek względem zależna.

– Doskonale wiesz, że nie muszę wychodzić za mąż dla pieniędzy – oznajmiła mu teraz. – Wszystko, czego mi trzeba, to otworzyć sklep. Wybrałam miejsce i zaoszczędziłam dosyć, żeby…

– Ten poroniony pomysł sklepu z mydłem i powidłem?! – wykrzyknął.

– Nie z mydłem i powidłem – odparła spokojnie. – Jak tłumaczyłam ci co najmniej dziesięć razy…

– Nie pozwolę ci zostać sklepikarką. – Bertie się wyprostował. – Moja siostra nie będzie parać się handlem.

– Z chęcią zobaczę, jak mnie powstrzymujesz.

Przywołał na twarz groźny wyraz.

Oparła się wygodnie i w zamyśleniu zmierzyła go wzrokiem.

– Rety, Bertie, kiedy tak mrużysz oczy, wyglądasz zupełnie jak wieprz. W rzeczy samej, zadziwiająco upodobniłeś się do wieprza, odkąd widziałam cię po raz ostatni. Przybrałeś z piętnaście kilo. Może nawet dwadzieścia. – Opuściła wzrok. – I najwyraźniej wszystko poszło w brzuch. Zrobiłeś się podobny do króla.

– Tego wieloryba?! – zapiał. – Nieprawda. Cofnij to, Jess.

– Albo co? Usiądziesz na mnie? – Roześmiała się.

Oddalił się sztywnym krokiem i z impetem opadł na sofę.

– Na twoim miejscu – poradziła – mniej martwiłabym się tym, co mówi i robi moja siostra, a bardziej własną przyszłością. Potrafię o siebie zadbać, Bertie. Ty natomiast… No, chyba sam powinieneś pomyśleć o małżeństwie z osóbką z nabitą kiesą.

– Małżeństwo jest dla tchórzy, głupców i kobiet.

Uśmiechnęła się.

– Brzmi jak obwieszczenie pijanego osła wygłoszone do tłumu innych pijanych osłów w ramach typowego męskiego dowcipkowania na temat cudzołóstwa i procesów wydalniczych, na moment przed tym, jak jego autor wylądował w misie z ponczem. – Nie czekała, aż Bertie dogrzebie się w swym umyśle do definicji trudnych słów. – Wiem, co mężczyźni uznają za szalenie zabawne – ciągnęła. – Mieszkałam z tobą i wychowywałam dziesięciu kuzynów. Pijani czy trzeźwi, uwielbiają żarty na temat tego, co robią… albo chcą zrobić… z kobietami, i nieskończenie fascynuje ich puszczanie wiatrów, wydalanie płynów i…

– Kobiety nie mają poczucia humoru – oznajmił Bertie. – Nie potrzebują go. Najwyższy stworzył je jako wieczny żart z mężczyzn. Z czego można logicznie wysnuć wniosek, że Najwyższy jest kobietą.

Wypowiedział te słowa wolno i starannie, jakby włożył wcześniej sporo trudu w wyuczenie się ich na pamięć.

– Skądże się wzięły te filozoficzne głębie, Bertie?

– Proszę?

– Kto ci to powiedział?

– Nie pijany osioł, panno Szydercza i Sarkastyczna – odparł z wyższością. – Może i nie mam najtęższej głowy na świecie, ale osła rozpoznam, i Dain nim nie jest.

– Rzeczywiście nie. Brzmi jak bystry jegomość. Co jeszcze ma do powiedzenia, kochany?

Nastąpiła długa chwila ciszy, kiedy Bertie usiłował zdecydować, czy jej pytanie było, czy też nie było sarkastyczne. Jak zwykle, doszedł do błędnych wniosków.

– No, jest bystry, Jess. Powinienem był wiedzieć, że się zorientujesz. Te rzeczy, które mówi… no, mózg stale mu pracuje, w zawrotnym tempie. Nie mam pojęcia, czym go napędza. No bo nie je dużo ryb, czyli to nie to.

– Domyślam się, że napędza go ginem co dzień od nowa – mruknęła Jessica.

– Proszę?

– Powiedziałam, że ma mózg jak maszyna parowa.

– Na pewno – zgodził się Bertie. – I to nie tylko do gadania. Ma też głowę do pieniędzy. Gra na giełdzie jak na skrzypcach, mówią ludzie. Tyle

że muzyka, którą wydobywa Dain, to „brzęk, brzęk, brzęk” suwerenów. Dużo brzęków, Jess.

Nie wątpiła w to. Jeśli wierzyć pogłoskom, markiz Dain należał do najbogatszych ludzi w Anglii. Stać go było na brawurowe ekstrawagancje. A biedny Bertie, który nie mógł pozwolić sobie na ekstrawagancje choćby najskromniejszego rodzaju, uparł się naśladować swego idola.

Ponieważ z pewnością w grę wchodziło bałwochwalcze uwielbienie, tak jak twierdził Withers w swym ledwie zrozumiałym liście. Fakt, że Bertie wysilił swoje ograniczone talenty do tego stopnia, by wykuć na pamięć słowa Daina, stanowił niepodważalny dowód, że Withers nie przesadził.

Lord Dain awansował na pana wszechświata Bertiego… i wiódł go prosto w piekielne otchłanie.

* * *

Lord Dain nie podniósł wzroku, gdy zadźwięczał sklepowy dzwonek. Nie interesowało go, kim jest nowy klient, a Champtoisa, dostawcy antyków i artystycznych kuriozów, nijak nie mogło to obchodzić, skoro najważniejszy klient w Paryżu wszedł już do jego sklepu. Jako ów najważniejszy klient, Dain oczekiwał wyłącznej uwagi właściciela i otrzymywał ją. Champtois nie tylko nie spojrzał w stronę drzwi, ale w żaden sposób nie okazał, że widzi, słyszy lub myśli cokolwiek, co nie wiązałoby się z markizem Dainem.

Niestety, obojętność nie równa się głuchocie. Dźwięk dzwonka jeszcze nie przebrzmiał, kiedy Dain usłyszał znajomy męski głos, mamroczący z angielskim akcentem, oraz nieznajomy głos kobiecy, mruczący odpowiedź. Nie rozróżniał słów. Choć raz Bertie Trent zdołał mówić ciszej, a nie jak zwykle, gdy jego głos niósł się przez całe boisko do futbolu.

Nadal jednak był to Bertie Trent, największy bałwan na półkuli północnej, co znaczyło, że lord Dain musi przełożyć swoją transakcję na później. Ani myślał prowadzić targów z Trentem u boku, kiedy ten każdym słowem, gestem, a nawet wyglądem przyczyniał się wyłącznie do podbicia ceny, zarazem z entuzjazmem trwając w złudzeniu, że przebiegle pomaga ją zbić.

– Niech mnie – rozległ się głos rodem z boiska do rugby. – Czy to nie… No, na Jowisza, a jakże.

Łup. Łup. Łup. Zbliżające się ciężkie kroki.

Lord Dain stłumił westchnienie, odwrócił się i wbił twarde spojrzenie w natręta.

Trent zatrzymał się w miejscu.

– To znaczy nie chcę przeszkadzać, no jasne, zwłaszcza kiedy chłop targuje się z Champtoisem – powiedział, gwałtownym ruchem głowy wskazując właściciela. – Jak właśnie mówiłem Jess, trzeba mieć się na baczności i uważać, żeby nie zaproponować więcej niż połowę tego, co się chce zapłacić. No i jeszcze trzeba nadążać, ile to będzie „połowa", a ile „dwukrotność", kiedy wszystko podają w tych przeklętych frankach i sou, i tych innych, jak im tam, nonsensownych monetach, i mnożyć, i znowu dzielić, żeby podliczyć to jak należy w funtach, szylingach i pensach… przy czym nie pojmuję, czemu od razu nie zrobią tego po ludzku, chyba że chodzi im o zirytowanie człowieka.

– Zdaje się, że sugerowałem ci już, Trent, że doświadczałbyś mniej irytacji, gdybyś nie zakłócał równowagi swojej delikatnej psychiki, próbując liczyć – stwierdził Dain.

Usłyszał wywołany ruchem szelest i jakiś stłumiony dźwięk gdzieś na lewo przed nim. Jego spojrzenie powędrowało w tamtym kierunku. Kobieta, której ciche odpowiedzi wcześniej słyszał, pochylała się nad gablotką z biżuterią. Sklep był fatalnie oświetlony – celowo, aby utrudnić klientom należyte oszacowanie wartości tego, na co patrzyli. Dain mógł z całą pewnością stwierdzić jedynie tyle, że kobieta nosi niebieskie okrycie wierzchnie i jeden z tych do absurdu udekorowanych bonetów, aktualnie w modzie.

– Szczególnie zalecam – ciągnął, patrząc na kobietę – żebyś oparł się pokusie liczenia, jeśli rozważasz zakup prezentu dla swojej *chère amie*. Kobiety poruszają się w wyższej sferze matematyki niż mężczyźni, zwłaszcza gdy chodzi o podarki.

– To, Bertie, stanowi konsekwencję faktu, że kobiecy umysł osiągnął bardziej zaawansowany stopień rozwoju – odezwała się nieznajoma, nie podnosząc wzroku. – Kobieta pojmuje, że wybór prezentu wymaga zbilansowania dogłębnie skomplikowanego równania moralnego, psychologicznego, estetycznego i sentymentalnego. Nie zalecałabym, żeby przeciętny mężczyzna próbował angażować się w delikatny proces bilansowania tego równania, zwłaszcza metodą prymitywnych obliczeń.

Przez jedną niepokojącą chwilę lord Dain odnosił wrażenie, że właśnie wepchnięto mu głowę do wychodka. Serce zaczęło mu walić, na ciele pojawiła się lepka gęsia skórka, bardzo podobnie jak tamtego pamiętnego dnia w Eton dwadzieścia pięć lat temu.

Powiedział sobie, że nie posłużyło mu śniadanie. Najprawdopodobniej masło było zjełczałe.

Absolutnie wykluczone, żeby zdenerwowała go ta wzgardliwa kobieca riposta. Niemożliwe, by wprawiło go w zakłopotanie odkrycie, że ta kobieta o ciętym języku nie jest, jak założył, ladacznicą, do której Bertie przylgnął minionej nocy.

Akcent obwieszczał, że chodzi o damę. Co gorsza – jeśli w ogóle istnieje gorszy okaz rodzaju ludzkiego – wszystko wskazywało na to, że była erudytką. Lord Dain jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która by choć słyszała o równaniu, a cóż dopiero miała świadomość, że się je bilansuje.

Bertie zbliżył się i swym boiskowym poufałym szeptem zapytał:

– Masz pojęcie, co powiedziała, Dain?

– Tak.

– Czyli co?

– Mężczyźni to bezduszni ignoranci.

– Jesteś pewien?

– Owszem.

Bertie westchnął i odwrócił się do kobiety, która nadal wydawała się zafascynowana zawartością gablotki.

– Obiecałaś nie obrażać moich przyjaciół, Jess.

– Nie mam pojęcia, jak mogłabym ich obrazić, skoro żadnego nie poznałam.

Coś wyraźnie ją absorbowało. Obsypany kokardami i kwiatami bonet przechylał się to w tę, to w tamtą stronę, kiedy oglądała przedmiot swego zainteresowania pod różnymi kątami.

– No, a chcesz jednego poznać? – zapytał niecierpliwie Trent. – Czy zamierzasz sterczeć tam cały dzień, gapiąc się na odpadki?

Wyprostowała się, ale nie odwróciła.

Bertie odchrząknął.

– Jessico – rzekł z determinacją – to Dain. Dain… Niech cię licho, Jess, możesz na minutę oderwać wzrok od tych śmieci?

Odwróciła się.

– Dain, moja siostra.

Podniosła wzrok.

Szybka, zjadliwa fala gorąca omiotła lorda Daina od czubka głowy do palców u stóp w wypolerowanych szampanem butach. W ślad za gorącem natychmiast pojawił się zimny pot.

– Milordzie – powiedziała ze zdawkowym skinieniem.

– Panno Trent – odparł. A potem za nic w świecie nie potrafił dobyć z siebie kolejnej sylaby.

Pod monstrualnie wielkim bonetem krył się idealny owal porcelanowo białej, doskonałej twarzy. Gęste, smoliście czarne rzęsy okalały srebrnoszare oczy, lekko skośne, co harmonizowało ze skosem jej wysokich kości policzkowych. Nos miała prosty i delikatnie smukły, usta miękkie i różowe, minimalnie zbyt pełne.

Nie była klasyczną angielską doskonałością, niemniej kwalifikowała się na jakiegoś rodzaju doskonałość, a lord Dain, nie będąc ani ślepcem, ani ignorantem, zasadniczo z miejsca rozpoznawał obiekt najwyższej jakości.

Gdyby była wyrobem z sewrskiej porcelany, obrazem olejnym lub gobelinem, natychmiast by ją kupił, nie spierając się o cenę.

Przez jedną szaloną chwilę, podczas gdy wyobrażał sobie, jak omywa ją językiem od alabastrowego czoła po końce filigranowych palców u stóp, zastanawiał się, jaka jest jej cena.

Ale kątem oka pochwycił swoje odbicie w szkle.

Chropawa, surowa twarz, oblicze samego Belzebuba. W przypadku Daina książkę dało się trafnie ocenić po okładce, ponieważ wewnątrz również był mroczny i surowy. Miał duszę wrzosowisk Dartmoor, gdzie hulał wściekły wiatr, deszcz smagał ponure, szare skały, a ładne zielone skrawki ziemi okazywały się grzęzawiskami zdolnymi wessać wołu.

Każdy półgłówek widział tablice obwieszczające: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją…”[6] albo, bardziej *à propos*, „Niebezpieczeństwo, ruchome piaski”.

Co równie istotne, stworzenie stojące przed nim było damą, i Dain nie potrzebował ostrzegawczych tablic, by trzymać się od niej z dala. W jego słowniku damy figurowały pod hasłami „zaraza”, „pomór” i „klęska głodu”.

Kiedy wrócił mu rozsądek, Dain skonstatował, że najwidoczniej wpatrywał się w nią zimno przez dość długą chwilę, ponieważ Bertie –

wyraźnie znudzony – odwrócił się, żeby obejrzeć komplet drewnianych żołnierzyków.

Dain prędko zebrał myśli.

– Czy nie była to pani kolej, żeby się odezwać, panno Trent? – zapytał kpiąco. – Nie zamierzała pani wygłosić komentarza na temat pogody? Zdaje się, że uważa się to za stosowny… bezpieczny, innymi słowy… sposób rozpoczęcia rozmowy.

– Pańskie oczy – powiedziała, patrząc nań z doskonałym spokojem – są nader czarne. Rozum podpowiada mi, że muszą być zaledwie barwy bardzo ciemnego brązu. Mimo to złudzenie jest… przytłaczające.

Poczuł nagłe ukłucie w okolicach przepony lub brzucha, nie potrafił ocenić.

Jego zewnętrzne opanowanie ani trochę się nie zachwiało. Dostał pod tym względem twardą szkołę.

– Rozmowa w zadziwiającym tempie dotarła do tematów osobistych – skomentował, cedząc słowa. – Fascynują panią moje oczy.

– Nic na to nie poradzę. Są nadzwyczajne. Tak czarne. Ale nie chcę, żeby przeze mnie poczuł się pan niezręcznie.

Z bardzo nikłym uśmiechem odwróciła się znów do gablotki.

Dain nie wiedział, co konkretnie jest z nią nie tak, ale coś było bez wątpienia. Był lordem Belzebubem, nieprawdaż? Powinna zemdleć lub w najlepszym wypadku wzdrygnąć się z przerażenia i odrazy. Tymczasem patrzyła nań z wielkim tupetem, a przez chwilę wydawało się wręcz, że to stworzenie z nim flirtuje.

Postanowił wyjść. Równie dobrze mógł zmierzyć się z tą osobliwością na ulicy. Zdążał już do drzwi, kiedy Bertie odwrócił się i pospieszył za nim.

– Łatwo się wymknąłeś – szepnął na tyle głośno, że usłyszano go w Notre Dame. – Byłem pewien, że na ciebie napadnie… bo napada, jeśli tak sobie umyśli, i nie obchodzi jej na kogo. Nie żebyś sobie z nią nie poradził, ale potrafi przyprawić chłopa o ból głowy, więc jeśli planowałeś pójść się napić…

– Champtois dopiero co nabył automat, który cię zaintryguje – poinformował go Dain. – Poprosisz, żeby go dla ciebie nakręcił i pokazał, jak działa?

Prostoduszna twarz Bertiego rozjaśniła się w zachwycie.

– Jeden z tych, jak im tam? Naprawdę? Co takiego robi?

– Może pójdziesz zobaczyć? – zasugerował Dain.

Bertie potruchtał do właściciela sklepu i natychmiast zaczął paplać z akcentem, który każdy prawomyślny paryżanin uznałby za podstawę do popełnienia mordu.

Pozbywszy się Bertiego, który ewidentnie planował mu towarzyszyć, lord Dain musiał jedynie zrobić kilka kolejnych kroków, żeby znaleźć się za drzwiami. Ale jego spojrzenie zboczyło ku pannie Trent, na powrót urzeczonej widokiem jakiegoś przedmiotu w gablocie z biżuterią, i zżerany ciekawością, zawahał się.

Rozdział 2

Poprzez warkot i trzaski automatu Jessica usłyszała wahanie markiza równie wyraźnie jak dźwięk trąbki dającej sygnał do bitwy. Potem ruszył. Śmiałe, aroganckie kroki. Podjął decyzję i nadciągał z ciężką artylerią.

Bo też Dain był ciężką artylerią, pomyślała. Żadne słowa Bertiego czy kogokolwiek innego nie zdołałyby jej na to przygotować. Czarne jak węgiel włosy i śmiałe, czarne oczy, potężny, godny zwycięskiego Cezara nos oraz posępna zmysłowość ust – sama ta twarz uprawniała go do wywodzenia swego rodowodu bezpośrednio od Lucyfera, jak utrzymywał Withers.

Co do ciała…

Bertie powiedział jej, że Dain to wyjątkowo postawny mężczyzna. Na poły oczekiwała zwalistego goryla. Nie przygotowała się na ogiera: wielkiego, o wspaniałych proporcjach – i potężnie umięśnionego, jeśli przyjąć za wskazówkę to, co uwypuklały obcisłe spodnie. Nie powinna była tam patrzeć, nawet jeśli tylko zerknęła, ale postura taka jak jego domagała się uwagi i przyciągała ją… w każdym szczególe. Po tym niegodnym damy momencie Jessica musiała wykrzesać z siebie całą upartą siłę woli, żeby utrzymać spojrzenie na jego twarzy. Nawet wówczas wyczyn udał jej się wyłącznie dlatego, że bała się, iż w przeciwnym razie straci resztki rozsądku i zrobi coś potwornie szokującego.

– Doskonale, panno Trent – dobiegł głęboki głos gdzieś z wyżyn ponad jej prawym ramieniem. – Wzbudziła pani moją ciekawość. Cóż, u diaska, tak tam panią oczarowało?

Jakkolwiek głowę miał wysoko ponad nią, reszta jego mocnego ciała znalazła się niestosownie blisko. Jessica wyczuwała woń cygara, które niedawno palił. Oraz subtelnej – i skandalicznie drogiej – męskiej wody kolońskiej. Jej ciało znów zaczęło niespiesznie wrzeć, czego doświadczyła ledwie parę chwil wcześniej i po czym jeszcze nie do końca się otrząsnęła.

Będzie musiała odbyć długą rozmowę z Genevieve. Te doznania żadną miarą nie mogły być tym, co Jessica podejrzewała.

– Zegarek – odparła z zimną krwią. – Ten z obrazkiem kobiety w różowej sukni.

Nachylił się, żeby zajrzeć do gabloty.

– Stoi pod drzewem? To ten?

Położył na gablocie lewą dłoń w kosztownej rękawiczce, a jej zaschło w ustach. Była to wielka, silna dłoń. Jessicę fascynowała świadomość, że tą jedną ręką podniósłby ją z podłogi.

– Tak – odparła, opierając się pragnieniu, by oblizać spierzchnięte wargi.

– Na pewno zechce pani obejrzeć go z bliska – stwierdził.

Sięgnął w górę, zdjął klucz z wbitego w krokiew gwoździa, przeszedł na tył gabloty, otworzył ją i wyjął zegarek.

Wykluczone, by Champtois przeoczył to zuchwalstwo. Nie wyrwała mu się nawet sylaba. Jessica się obejrzała. Właściciel sklepu wydawał się głęboko zatopiony w rozmowie z Bertiem. „Wydawał się” było tu kluczowym określeniem. To, co zwykle rozumie się pod pojęciem rozmowy, w przypadku Bertiego ledwie mieściło się w granicach prawdopodobieństwa. Głęboko absorbująca rozmowa – w dodatku po francusku – absolutnie nie wchodziła w rachubę.

– Może lepiej zademonstruję, jak ten drobiazg działa – rzekł Dain, przyciągając z powrotem jej uwagę.

W jego niskim głosie Jessica rozpoznała owe zbyt niewinne tony, nieodmiennie poprzedzające typowo męski, idiotyczny żart. Mogłaby wyjaśnić, że nie urodziła się wczoraj i doskonale wie, jak działa ten czasomierz. Ale błysk w jego ciemnych oczach powiedział jej, że markiz wyśmienicie się bawi, a nie chciała psuć mu uciechy. Jeszcze nie.

– Jak miło z pana strony – mruknęła.

– Kiedy obróci pani to pokrętło – wyjaśnił, demonstrując – jak pani widzi, jej spódnice rozdzielają się i tam, między jej nogami, widzimy… – Udał, że przygląda się uważniej. – Wielkie nieba, toż to szokujące. Tam chyba klęczy jakiś jegomość. – Podsunął jej zegarek niemalże pod nos.

– Nie jestem krótkowidzem, milordzie – powiedziała, biorąc od niego zegarek. – Ma pan całkowitą rację. Rzeczywiście to jakiś jegomość… jej kochanek, ponieważ najwyraźniej świadczy jej miłosne usługi.

Otworzyła torebkę, wyjęła małą lupę i poddała zegarek skrupulatnym oględzinom, przez cały czas świadoma, że sama jest poddawana podobnej lustracji.

– Na peruce dżentelmena wytarła się odrobina emalii, a po lewej stronie spódnicy damy widnieje maleńkie zadrapanie – stwierdziła. – Poza tym oceniłabym, że zegarek jest w doskonałym stanie, biorąc pod uwagę jego wiek, choć mocno wątpię, czy precyzyjnie wskazuje czas. Ostatecznie, to nie Breguet. – Odłożyła lupę i popatrzyła w jego oczy o ciężkich powiekach. – Ile pańskim zdaniem Champtois sobie za niego zażyczy?

– Chce go pani kupić, panno Trent? Mocno wątpię, czy rodzina pochwali pani zakup. Czy może pod moją nieobecność angielskie wyobrażenia o przyzwoitości przeszły rewolucję?

– Och, nie jest dla mnie. Podaruję go mojej babce.

Musiała oddać markizowi szacunek. Nie drgnęła mu nawet powieka.

– Ach, no tak – stwierdził. – To co innego.

– Na urodziny – wyjaśniła Jessica. – A teraz, jeśli mi pan wybaczy, powinnam odciągnąć Bertiego od negocjacji. Z tonu jego głosu wnoszę, że próbuje liczyć, to zaś, jak pan wnikliwie zauważył, mu nie służy.

* * *

Przyglądając się, jak leniwie sunie przez sklep, Dain pomyślał, że uniósłby ją jedną ręką. Głową ledwie sięgała mu do mostka i nawet z tym przeładowanym bonetem nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilo.

Przywykł do tego, że góruje nad kobietami – nad większością osób – i nauczył się czuć komfortowo w swym ponadwymiarowym ciele. Dzięki sportom – zwłaszcza boksowi i fechtunkowi – opanował sztukę lekkiego stąpania.

Przy niej poczuł się jak gigantyczny patałach. Gigantyczny, brzydki, głupi patałach. Od początku doskonale wiedziała, co to za przeklęty zegarek. Pytanie brzmiało, z jakim to przeklętym okazem kobiety Dain miał do czynienia w jej osobie? Dziewczyna patrzyła prosto w jego łajdacką twarz i ani nie mrugnęła. Stanął o wiele za blisko niej, ale się nie odsunęła.

Następnie wyjęła lupę, kto by pomyślał, i oszacowała sprośny czasomierz z takim spokojem, jakby chodziło o rzadkie wydanie *Księgi męczenników* Foxe’a.

Żałował teraz, że nie słuchał uważniej, ilekroć Trent wspominał o siostrze. Problem polegał na tym, że gdyby człowiek słuchał uważnie

jakichkolwiek wypowiedzi Bertiego Trenta, w nieunikniony sposób doprowadziłoby go to do obłędu.

Lord Dain ledwie zakończył tę myśl, kiedy Bertie wykrzyknął:

– Nie! Absolutnie nie! Tylko ją zachęcasz, Jess. Nie zgadzam się! Nie sprzeda jej pan tego, Champtois.

– Owszem, sprzeda pan, Champtois – powiedziała panna Trent bardzo zadowalającą francuszczyzną. – Proszę nie zważać na mojego małego braciszka. Nie ma nade mną żadnej władzy.

Uczynnie przetłumaczyła te słowa bratu, którego twarz przybrała odcień żywej czerwieni.

– Nie jestem mały! Jestem głową tej przeklętej rodziny. I…

– Idź pobawić się doboszem, Bertie – poradziła. – Albo, jeszcze lepiej, zabierz swojego czarującego przyjaciela na drinka.

– Jess. – W tonie Bertiego pojawiło się błaganie. – Wiesz, że pokaże go ludziom i… i mnie upokorzy.

– Rety, ależ od wyjazdu z Anglii zrobił się z ciebie skromniś.

Istniało ryzyko, że oczy Bertiego wystrzelą z orbit.

– Że co?

– Skromniś, kochany. Skromniś i świętoszek. Istny metodysta.

Bertie wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków, po czym odwrócił się do Daina, który zarzucił tymczasem wszelkie myśli o wyjściu. Oparty o gablotę z biżuterią z ponurą fascynacją obserwował siostrę Bertiego Trenta.

– Słyszałeś to, Dain? – zapytał gwałtownie Bertie. – Słyszałeś, co powiedziała ta nieznośna dziewczyna?

– Jakżebym mógł nie usłyszeć – odparł Dain. – Cały czas słuchałem z wielką uwagą.

– Ja! – Bertie dźgnął go kciukiem w pierś. – Skromniś.

– Rzeczywiście, dogłębnie szokujące. Będę zmuszony zakończyć naszą znajomość. Nie mogę pozwolić sobie na to, by cnotliwi towarzysze sprowadzali mnie na złą drogę.

– Ale, Dain, ja…

– Twój przyjaciel ma rację, kochany – powiedziała panna Trent. – Jeśli wieści o tym się rozejdą, nie będzie mógł ryzykować, że ktoś go z tobą zobaczy. Jego reputacja legnie w gruzach.

– Ach, zatem moja reputacja jest pani znana, panno Trent? – zainteresował się Dain.

– O tak. Jest pan najbardziej niecnym mężczyzną, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. I zjada pan dzieci na śniadanie, o czym nianie mówią niegrzecznym podopiecznym.

– Pani jednak nie wydaje się ani trochę zaniepokojona.

– Pora śniadania już minęła, ja zaś dawno nie jestem dzieckiem. Aczkolwiek rozumiem, biorąc pod uwagę, z jakich wyżyn spogląda pan na świat, że mógł mnie pan za takie wziąć.

Lord Dain zmierzył ją wzrokiem od głowy do stóp.

– Nie, nie wydaje mi się, by groziło mi popełnienie akurat tego błędu.

– No pewno, że nie, szczególnie że słuchałeś, jak ruga i obraża chłopa – wtrącił Bertie.

– Z drugiej strony, panno Trent – ciągnął Dain, jakby Bertie nie istniał, bo też we właściwie urządzonym świecie ktoś taki nigdy by się nie urodził – jeśli będzie pani niegrzeczna, może mnie kusić…

– *Qu'est-ce que c'est*[7], Champtois? – zapytała panna Trent.

Przeszła wzdłuż lady do tacy z towarami, które Dain przeglądał, kiedy tych dwoje weszło do sklepu.

– *Rien, rien.* – Champtois osłonił tacę dłonią. Zerknął nerwowo na Daina. – *Pas interessante*[8].

Spojrzała w tym samym kierunku.

– Pańskie zakupy, milordzie?

– Skądże – odparł Dain. – Zaintrygowała mnie, na moment, srebrna podstawka na kałamarz i pióra, która, jak sama się pani przekona, jest tam przypuszczalnie jedynym przedmiotem wartym drugiego spojrzenia.

Jednakże to nie podstawkę podniosła i poddała oględzinom przez lupę, lecz niewielki, pokryty warstwą kurzu obrazek w grubej, zapleśniałej ramie.

– Portret kobiety, jak się zdaje – oceniła.

Dain oderwał się od gabloty z biżuterią i dołączył do niej przy ladzie.

– A, tak, Champtois utrzymywał, że to mężczyzna. Ubrudzi pani sobie rękawiczki, panno Trent.

Bertie także się zbliżył, nadąsany.

– Cuchnie jak nie wiem co. – Wykrzywił się.

– Ponieważ gnije – wyjaśnił Dain.

– To dlatego, że jest dosyć stary – stwierdziła panna Trent.

– Raczej przeleżał dekadę w rynsztoku – skorygował Dain.

– Kobieta ma interesujący wyraz twarzy – zwróciła się panna Trent do Champtoisa po francusku. – Nie umiem ocenić, czy jest smutna, czy szczęśliwa. Ile pan za niego chce?

– *Quarante sous*.

Odłożyła obrazek.

– *Trente-et-cinq*[9] – powiedział Champtois.

Roześmiała się.

Champtois poinformował ją, że sam zapłacił za obrazek trzydzieści sou. Nie może bardziej opuścić ceny.

Popatrzyła nań współczująco.

Oczy napełniły mu się łzami.

– *Trente, mademoiselle*[10].

Wobec tego, powiedziała, weźmie tylko zegarek.

Ostatecznie zapłaciła dziesięć sou za brudny, cuchnący przedmiot, a Dain pomyślał, że gdyby jeszcze trochę pociągnęła negocjacje, skończyłoby się tym, że Champtois zapłaciłby jej, żeby go wzięła.

Dain nigdy jeszcze nie widział wyrachowanego Champtoisa w stanie takiej udręki, przy czym nie rozumiał, z czego to wynika. Z pewnością kiedy panna Jessica Trent wreszcie opuściła sklep – zabierając brata ze sobą, dzięki niech będą niebiosom – jedyną udręką, jakiej doświadczał lord Dain, był ból głowy, który przypisał okoliczności, że spędził blisko godzinę, na trzeźwo, w towarzystwie Bertiego Trenta.

* * *

Później tego wieczoru, w prywatnej salce swego ulubionego przybytku niegodziwości, funkcjonującego pod niewinną nazwą Vingt-Huit – numer dwadzieścia osiem, lord Dain raczył kompanów opisem owej, jak to określał, farsy.

– Dziesięć sou? – zapytał ze śmiechem Roland Vawtry. – Siostra Trenta nakłoniła Champtoisa, żeby spuścił z czterdziestu do dziesięciu? Rany, że też mnie tam nie było.

– No, to teraz już jasne, co zaszło, zgadza się? – odezwał się Malcolm Goodridge. – Urodziła się jako pierwsza. Zgarnęła całą inteligencję, a dla Trenta nie został ani okruszek.

– Zgarnęła też całą urodę? – zainteresował się Francis Beaumont, dolewając Dainowi wina do kieliszka.

– Nie są ani trochę podobni, jeśli chodzi o koloryt, rysy czy budowę ciała. – Dain pociągnął łyk wina.

– To wszystko? – drążył Beaumont. – Zamierzasz pozostawić nas w niepewności? Jak ona wygląda?

Dain wzruszył ramionami.

– Brunetka, szare oczy. Jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu, między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt kilo.

– Oszacowałeś ją, co? – zapytał Goodridge, szczerząc zęby w uśmiechu. – Twoim zdaniem te czterdzieści pięć do pięćdziesięciu kilo dobrze się rozkłada?

– Skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? Skąd ktokolwiek miałby to wiedzieć, przy wszystkich tych gorsetach i krynolinach, i w co tam jeszcze wpychają się albo przypinają sobie kobiety? Same sztuczki i kłamstwa, dopóki nie są nagie. – Uśmiechnął się. – Wtedy rodzaj kłamstw się zmienia.

– Kobiety nie kłamią, milordzie – dobiegł od drzwi głos z lekkim akcentem. – Tak się jedynie wydaje, ponieważ funkcjonują w innej rzeczywistości. – Hrabia d’Esmond wszedł do pokoju, delikatnie zamyknąwszy za sobą drzwi.

Dain, choć powitał d’Esmonda jedynie niedbałym skinieniem, bardzo się ucieszył na jego widok. Beaumont w szczwany sposób wydobywał od ludzi dokładnie te rzeczy, które najmniej chcieli ujawniać. Dain wprawdzie bez trudu odpierał jego sztuczki, nie znosił jednak koncentracji niezbędnej do zmylenia parszywego kundla.

W obecności d’Esmonda Beaumont nie będzie zdolny zająć się kimkolwiek innym. Hrabia niekiedy dekoncentrował nawet Daina, aczkolwiek nie z tych samych powodów. D’Esmond był tak piękny, jak tylko może być mężczyzna, nie zaczynając przypominać kobiety. Smukły, niebieskooki blondyn o twarzy anioła.

Gdy Beaumont przedstawiał ich sobie przed tygodniem, zasugerował prześmiewczo, żeby poprosili jego żonę, artystkę, o namalowanie ich razem.

– Mogłaby zatytułować obraz *Niebo i Piekło* – powiedział.

Beaumont rozpaczliwie pragnął d’Esmonda. D’Esmond pragnął żony Beaumonta. A żona Beaumonta nie pragnęła nikogo.

Sytuacja ta bawiła Daina nieprzytomnie.

– Zjawiasz się w samą porę, d’Esmond – skomentował Goodridge. – Dain miał dziś przygodę. Do Paryża przybyła właśnie pewna młoda dama… i akurat na Daina od razu wpadła. A on z nią rozmawiał.

Powszechnie wiadome było, że Dain wzbrania się przed utrzymywaniem jakichkolwiek kontaktów z przyzwoitymi kobietami.

– Siostra Bertiego Trenta – wyjaśnił Beaumont.

Obok niego znajdował się wolny fotel, przy czym wszyscy wiedzieli, dla kogo jest przeznaczony. D’Esmond przeszedł jednak bliżej Daina i oparł się o tył jego fotela. Żeby dręczyć Beaumonta, oczywiście. D’Esmond tylko wyglądał jak anioł.

– A, tak – rzekł. – Zupełnie niepodobna do niego. Ewidentnie wdała się w Genevieve.

– Mogłem się domyślić – stwierdził Beaumont, ponownie napełniając sobie kieliszek. – Już ją poznałeś? I co, ty także przypadłeś jej do gustu?

– Dopiero co natknąłem się na Trenta i jego krewniaczki u Tortoniego – wyjaśnił d’Esmond. – W restauracji panowało nie lada poruszenie. Genevieve… to znaczy lady Pembury… nie pokazywała się w Paryżu od czasu pokoju w Amiens. Wyraźnie o niej nie zapomniano, pomimo upływu dwudziestu pięciu lat.

– Na Jowisza, tak! – wykrzyknął Goodridge, waląc dłonią w stół. – W tym rzecz, ma się rozumieć. Zadziwiające zachowanie Daina wprawiło mnie w takie osłupienie, że nie dodałem dwóch do dwóch. Genevieve. No tak, to wszystko tłumaczy.

– Tłumaczy co? – zapytał Vawtry.

Goodridge napotkał wzrok Daina. Na jego twarzy odmalował się niepokój.

– No, oczywiste, że byłeś troszkę… ciekaw – powiedział. – Genevieve odstaje od przeciętnej, a jeśli panna Trent reprezentuje ten sam rodzaj… anomalii, no, wówczas przypomina te drobiazgi, które kupujesz od Champtoisa. No i tam właśnie była, w jego sklepie. Jak to pudełko na lekarstwa w kształcie konia trojańskiego, które zakupiłeś w zeszłym miesiącu.

– Rzadki okaz, chcesz powiedzieć – podsumował Dain. – A także, bez wątpienia, horrendalnie kosztowny. Doskonała analogia, Goodridge. – Uniósł kieliszek. – Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Mimo wszystko – rzekł Beaumont, przenosząc wzrok z Goodridge’a na Daina – trudno mi uwierzyć, że w paryskiej restauracji zapanowało poruszenie z powodu dwóch nietypowych kobiet.

– Kiedy poznasz Genevieve, zrozumiesz – zapewnił d’Esmond. – Ona nie jest po prostu pięknością. To prawdziwa *femme fatale*. Mężczyźni tak je oblegli, że ledwie mogły spożyć posiłek. Naszego przyjaciela Trenta bardzo to rozdrażniło. Na szczęście dla niego, mademoiselle Trent doskonale powściąga swe uroki. W przeciwnym razie, jak sądzę, doszłoby do rozlewu krwi. Dwie takie kobiety… – Ze smutkiem pokręcił głową. – To za dużo dla Francuzów.

– Pańscy rodacy mają dziwne wyobrażenia na temat uroku – skonstatował Dain, napełniając i podając hrabiemu kieliszek. – Ja zauważyłem jedynie zarozumiałą, przeintelektualizowaną starą pannę o ciętym języku.

– Lubię bystre kobiety – stwierdził d’Esmond. – Są takie stymulujące. *Mais chacun a son gout*[11]. Cieszy mnie wiadomość, że panu ona całkowicie nie odpowiada, milordzie. Konkurencja już jest zbyt wielka.

Beaumont się roześmiał.

– Dain nie konkuruje. On prowadzi wymianę. I to wyłącznie z jednym typem, jak wszyscy wiemy.

– Płacę dziwce kilka monet – rzekł Dain. – Ona daje mi dokładnie to, czego wymagam. A kiedy jest po wszystkim, jest po wszystkim. Skoro światu nie grozi nagły brak dziwek, dlaczegóż miałbym zadawać sobie nadmierny, jak wiemy, trud dla kobiet innego rodzaju?

– Pozostaje jeszcze miłość – zauważył d’Esmond.

Słuchacze ryknęli śmiechem.

Kiedy hałas przycichł, Dain skomentował:

– Chyba mamy do czynienia z przepaścią językową, panowie. Czy nie o miłości mówiłem?

– Myślałem, że mówi pan o nierządzie – odparł D’Esmond.

– W słowniku Daina to jedno i to samo – poinformował go Beaumont. Wstał. – Chyba przespaceruję się na dół wrzucić kilka franków do tej studni bez dna zwanej *Rouge et Noir*[12]. Ktoś chętny?

Vawtry i Goodridge podążyli za nim do drzwi.

– D’Esmondzie? – zapytał Beaumont.

– Może – odparł hrabia. – Zdecyduję później, kiedy dokończę wino.

Zajął zwolnione przez Vawtry’ego miejsce obok Daina.

– Nie moja sprawa, hrabio, ale mnie to ciekawi – odezwał się Dain, kiedy pozostali znaleźli się poza zasięgiem słuchu. – Dlaczego po prostu nie powie mu pan, że uderza pod niewłaściwy adres?

D’Esmond się uśmiechnął.

– Gwarantuję panu, że nie uczyniłoby to różnicy. Ma ze mną, jak sądzę, ten sam problem, co ze swoją żoną.

Beaumont spółkował praktycznie ze wszystkim, na czym zdołał położyć łapy. Jego zniesmaczona żona postanowiła, lata temu, że ma trzymać te łapy z dala od niej. Mimo to nie stała mu się obojętna. Beaumont był wściekle zaborczy, a zainteresowanie d’Esmonda jego żoną doprowadzało go do obłędu z zazdrości. Dain uważał, że to żałosne. I niedorzeczne.

– Może kiedyś w końcu zrozumiem, dlaczego traci pan na nią czas – stwierdził. – Wie pan, za kilka franków dostałby pan coś bardzo podobnego do Leili Beaumont. Przy czym jesteśmy akurat w miejscu najbardziej odpowiednim, żeby znaleźć to, co się lubi, nieprawdaż?

D’Esmond dopił wino.

– Sądzę, być może, że więcej tu nie zawitam. To miejsce… wzbudza we mnie złe przeczucia. – Wstał. – Dziś wieczorem wolę chyba zajrzeć na Boulevard des Italiens.

Zaprosił Daina, by do niego dołączył, markiz jednak odmówił. Dochodziła za kwadrans pierwsza, a o pierwszej miał na górze umówione spotkanie z blond amazonką imieniem Chloe.

Może to „złe przeczucia” d’Esmonda postawiły instynkty Daina w stan gotowości, a może wypił mniej wina niż zazwyczaj. Jakikolwiek był powód, markiz starannie zlustrował otoczenie, kiedy Chloe powitała go w przybranym w szkarłat pokoju.

Szykował się właśnie, by zdjąć surdut, kiedy spostrzegł wizjer. Znajdował się pośrodku ściany, na lewo od łóżka, nieco poniżej linii jego wzroku.

Dain ujął Chloe za rękę i poprowadził na miejsce bezpośrednio przed wizjerem. Polecił jej się rozebrać, powoli.

Następnie podążył, bardzo szybko, na korytarz, gdzie szarpnięciem otworzył drzwi na pozór kryjące bieliźniarkę, a później kopnął kolejne, które tam znalazł. Pomieszczenie za nimi, choć kompletnie ciemne, było także bardzo małe, toteż nie musiał sięgać daleko, kiedy usłyszał, że

podglądacz się porusza – najwyraźniej rzucając się w kierunku innych drzwi. Ale nie dość szybko.

Dain szarpnął go z powrotem, odwrócił gwałtownie i, chwyciwszy za węzeł halsztuka, pchnął mocno na ścianę.

– Nie muszę cię widzieć – oznajmił niebezpiecznie niskim głosem. – Poznaję cię po zapachu, Beaumont.

Z niewielkiej odległości nie było trudno rozpoznać Beaumonta. Jego ubrania i oddech przeważnie cuchnęły alkoholem i zleżałym opium.

– Myślę o tym, żeby zająć się sztuką – ciągnął Dain, kiedy Beaumont walczył o oddech. – Zatytułowałbym moje pierwsze dzieło *Portret martwego mężczyzny*.

Beaumont wydał zdławiony dźwięk.

Dain minimalnie poluzował uchwyt.

– Jakieś uwagi, wieprzu?

– Nie możesz… zabić… z zimną krwią – wysapał Beaumont. – Gilotyna.

– Racja. Nie chcę przecież stracić głowy z powodu takiego ścierwa, zgadza się?

Puściwszy halsztuk, Dain trzasnął Beaumonta prawą pięścią w twarz, a potem lewą w brzuch. Beaumont zwalił się na podłogę.

– Nie drażnij mnie więcej – ostrzegł Dain. I wyszedł.

* * *

W tym samym czasie Jessica siedziała na łóżku babki. Dopiero teraz miały szansę odbyć dłuższą rozmowę, bez histeryzującego i dąsającego się Bertiego w pobliżu. Wyszedł jakąś godzinę temu do takiej czy innej spelunki, a wtedy Jessica zaordynowała, by podano im jego najlepszy koniak. Teraz skończyła właśnie opowiadać Genevieve o swoim spotkaniu z Dainem.

– Zwierzęcy pociąg, oczywiście – zawyrokowała Genevieve.

Przy tych słowach maleńka, rozpaczliwa nadzieja Jessiki – że jej wewnętrzne sensacje stanowiły efekt gorączki spowodowanej wyziewami z otwartego ścieku przed sklepem Champtoisa – zginęła szybką, brutalną śmiercią.

– Do licha! – Jessica spojrzała w migotliwe szare oczy babki. – To nie tylko żenujące, ale też niedogodne. Pożądam Daina. Akurat teraz. Akurat

jego.

– Niezbyt dogodne, zgadzam się. Ale to interesujące wyzwanie, nie sądzisz?

– Wyzwanie to wyrwać Bertiego spod wpływów Daina i jego kręgu prostackich degeneratów – oznajmiła surowo Jessica.

– O wiele bardziej by ci się opłaciło wyrwać Daina dla siebie – zauważyła babka. – Zamożny, doskonały rodowód, młody, silny i zdrowy, a do tego wzbudza w tobie potężny pociąg.

– Żaden z niego materiał na męża.

– Opisałam właśnie doskonały materiał na męża – sprzeciwiła się babka.

– Nie chcę męża.

– Jessico, żadna kobieta nie chce, jeśli tylko potrafi spojrzeć na mężczyzn obiektywnie. A ty zawsze zachowywałaś wspaniały obiektywizm. Ale nie żyjemy w Utopii. Jeśli otworzysz sklep, bez wątpienia zarobisz pieniądze. Zarazem rodzina odwróci się od ciebie, spadniesz bardzo nisko w towarzyskich rankingach, a szlachetnie urodzeni będą spoglądać na ciebie z litością… nawet jeśli doprowadzą się do bankructwa, byle kupić twoje towary. I każdy bufon w Londynie będzie ci składał nieprzyzwoite propozycje. Tak, świadczy o odwadze, kiedy ktoś podejmuje takie wysiłki, będąc w rozpaczliwej sytuacji. Ale ciebie to nie dotyczy, moja droga. W razie potrzeby mogę cię dostatecznie dobrze wesprzeć.

– Rozmawiałyśmy już o tym niejeden raz – zaoponowała Jessica. – Nie jesteś krezuską, a obie mamy kosztowne gusta. Nie wspominając o tym, że tylko dodatkowo napsujesz krwi w rodzinie… podczas gdy ja wyjdę na ogromną hipokrytkę, po tym jak przez lata upierałam się, że nikomu z nas nie jesteś dłużna ani pensa i nie ponosisz za nas odpowiedzialności.

– Jesteś bardzo dumna i odważna, co szanuję i podziwiam, moja droga. – Babka pochyliła się, żeby poklepać Jessicę po kolanie. – I ty jedna mnie rozumiesz. Zawsze byłyśmy bardziej jak siostry lub przyjaciółki niż babka i wnuczka, nieprawdaż? Toteż jako twoja siostra i przyjaciółka mówię ci, że Dain to wspaniały łup. Radzę ci, przygotuj haczyki i przynętę, a kiedy ją połknie, ostrożnie nawijaj linkę.

Jessica pociągnęła długi łyk koniaku.

– To nie pstrąg, Genevieve. To wielki, głodny rekin.

– Wobec tego użyj harpuna.

Jessica pokręciła głową.

Genevieve oparła się o poduszki i westchnęła.

– Ach, cóż, nie będę ci się naprzykrzać. Wielce to niepociągające. Pozostanie mi nadzieja, że jego reakcja na ciebie nijak nie przypominała twojej na niego. Ten mężczyzna dostaje to, czego chce, Jessico, i na twoim miejscu za nic nie życzyłabym sobie, żeby to on nawijał linkę.

Jessica stłumiła dreszcz.

– To mi nie grozi. On omija damy szerokim łukiem. Według Bertiego, Dain zapatruje się na przyzwoite kobiety jak na zabójczy gatunek grzybów. Rozmawiał ze mną wyłącznie dlatego, że chciał się zabawić, próbując mnie zaszokować.

Genevieve zachichotała.

– Mówisz o zegarku. Cudowna urodzinowa niespodzianka. Jeszcze cudowniejszy był wyraz twarzy Bertiego, kiedy otworzyłam pudełko. Nigdy dotąd nie widziałam u niego akurat takiego odcienia szkarłatu.

– Przypuszczalnie dlatego, że postanowiłaś otworzyć prezent w restauracji. Na oczach hrabiego d’Esmonda.

I to było w tym wszystkim najbardziej irytujące, pomyślała Jessica. Dlaczego, u licha, nie mogła pożądać d’Esmonda? On także był zamożny. I oszałamiająco przystojny. I cywilizowany.

– D’Esmond jest *tres amusant*[13] – oceniła Genevieve. – Szkoda, że już zajęty. W tych jego pięknych oczach pojawił się wielce interesujący wyraz, kiedy mówił o pani Beaumont.

Genevieve wspomniała d’Esmondowi o obrazku za dziesięć sou i przeświadczeniu Jessiki, że ów drobiazg jest czymś więcej, aniżeli się wydaje. D’Esmond podsunął, żeby poprosiła panią Beaumont o nazwiska ekspertów, którzy by go oczyścili i wycenili. Zaproponował, że przedstawi jej Jessicę. Umówili się na kolejne popołudnie, kiedy pani Beaumont będzie pomagać przy imprezie charytatywnej na rzecz wdowy po jej niegdysiejszym nauczycielu sztuki.

– No cóż, przekonamy się, czy jutro w jej oczach pojawi się cokolwiek interesującego… a raczej dzisiaj – stwierdziła Jessica. Dopiła koniak i ześlizgnęła się z łóżka. – Jakżebym chciała już tam być. Wzdragam się na myśl o pójściu spać. Mam paskudne przeczucie, że przyśni mi się rekin.

Rozdział 3

Jessice zrobiłoby się lżej na duszy, gdyby wiedziała, że sprowadziła koszmary na lorda Daina.

To znaczy jego sny zaczęły się nieźle, od dogłębnie sprośnych, zmysłowych czynności. Jako że często śnił o kobietach, których na jawie nie tknąłby nawet kijem, markiza nie zaniepokoiło, że śni mu się irytująca siostra Bertiego Trenta. Przeciwnie, ogromną przyjemność sprawiło mu pokazanie zarozumiałej erudytce, gdzie jej miejsce – na plecach, na kolanach i w pozycjach, co do których powątpiewał, czy są anatomicznie możliwe.

Problem polegał na tym, że ilekroć już, już miał zalać jej dziewicze łono gorącym nasieniem pełnym ukrytych małych Ballisterów, wydarzało się coś upiornego. W swoim śnie się budził. Niekiedy okazywało się, że tonie w grzęzawisku. Czasami był przykuty łańcuchami w cuchnącej, ciemnej celi, a w ciało wgryzały mu się jakieś niewidoczne stworzenia. Albo leżał na stole w kostnicy, poddawany autopsji.

Jako człowiek o sporej inteligencji bez trudu zrozumiał symbolikę. Wszystko, co przydarzało mu się w sennych koszmarach, w sensie metaforycznym precyzyjnie odzwierciedlało to, co spotyka mężczyznę, kiedy wpadnie w szpony kobiety. Nie pojmował natomiast, dlaczego jego umysł musiał robić we śnie taki makabryczny ambaras z powodu czegoś, o czym Dain przecież wiedział.

Od lat śnił o kobietach, z którymi nie zamierzał się w nic wikłać. Niezliczone razy na jawie wyobrażał sobie, że dotrzymująca mu akurat towarzystwa dziwka to dama, która wcześniej wpadła mu w oko. Nie tak dawno temu udawał, że zmysłowa francuska kokota jest Leilą Beaumont, i odszedł dokładnie tak usatysfakcjonowany, jak gdyby istotnie miał tę lodowatą sukę. Nie, bardziej usatysfakcjonowany, ponieważ kokota dała wspaniały pokaz entuzjazmu, podczas gdy prawdziwa Leila Beaumont rozbiłaby mu głowę jakimś tępym przedmiotem.

Dain, mówiąc krótko, bez trudu odróżniał fantazję od rzeczywistości. Poznał Jessicę Trent i poczuł najzupełniej normalną żądzę. Pożądał praktycznie każdej atrakcyjnej kobiety, jaką zobaczył. Cechował go kolosalny apetyt seksualny, odziedziczony, w co nie wątpił, po tej gorącokrwistej włoskiej dziwce, jego matce, oraz jej rodzinie. Jeśli pożądał ladacznicy, płacił i ją miał. Jeśli pożądał przyzwoitej kobiety, znajdował ladacznicę, by posłużyła za substytut, płacił i ją miał.

Tak właśnie postąpił w odniesieniu do siostry Trenta. Czy też usiłował – ponieważ rzecz nadal nie została zrobiona, jak należy.

Nie tylko sny popsuły mu szyki. Incydent w Vingt-Huit może nie całkiem zabił w nim apetyt na dziwki, ale pozostawił kwaśny posmak w ustach. Nie wrócił wtedy do Chloe, żeby podjąć temat tam, gdzie go przerwał, i od tamtej pory nie wziął żadnej kokoty. Mówił sobie, że zamiłowanie Beaumonta do podglądactwa trudno uznać za powód do zrywania z ladacznicami w ogóle. Niemniej Daina ogarniała krańcowa niechęć na myśl o wejściu do pokoju z dowolną *fille de joie*[14], co stwarzało poważny problem, jako że był z kolei akurat na tyle wybredny, by odstręczało go spółkowanie z kobietą w cuchnącym paryskim zaułku.

W konsekwencji, przy mało pomocnych snach i nieprzyjemnym posmaku w ustach, Dain nie zdołał sprawdzonym sposobem uwolnić się od żądzy, jaką wzbudziła w nim panna Trent. Co oznaczało, że tydzień później humor markiza był już potężnie nadszarpnięty. I dokładnie ten zły czas wybrał Bertie Trent na poinformowanie go, że brudny, zapleśniały obrazek, który panna Trent kupiła za dziesięć sou, okazał się szalenie cenną rosyjską ikoną.

Niedawno minęło południe, a lord Dain chwilę wcześniej ledwie uskoczył przed zawartością balii, wylaną z okna któregoś z wyższych pięter przy rue de Provence. Skoncentrowany na tym, żeby uniknąć przemoczenia, nie zauważył truchtającego ku niemu Trenta. Kiedy markiz go spostrzegł, imbecyl dopadł go już i z ekscytacją zarzucił rewelacjami.

Dain ściągnął ciemne brwi przy konkluzji – czy raczej kiedy Bertie zrobił przerwę na oddech.

– Rosyjskie co? – zapytał markiz.

– Iwona. To znaczy nie, że konkretna kobieta, tylko jeden z tych pogańskich obrazków z masą złotej farby i złotą folią.

– Masz na myśli ikonę – stwierdził Dain. – A wobec tego obawiam się, że twoją siostrę wprowadzono w błąd. Kto naopowiadał jej takich bredni?

– Le Feuvre – odparł Bertie.

Lord Dain poczuł chłód w okolicach żołądka. Le Feuvre był najbardziej cenionym rzeczoznawcą w Paryżu. Nawet Ackerman's[15] i Christie's od czasu do czasu zasięgały jego opinii.

– Po świecie krąży mnóstwo ikon – stwierdził Dain. – Mimo to, jeśli ta jest dobra, twojej siostrze trafiła się nie lada gratka za dziesięć sou.

– Ma ramę wysadzaną klejnocikami: perłami, rubinami i tak dalej.

– Zapewne sztucznymi.

Bertie się skrzywił, jak robił to często, kiedy starał się wyprodukować myśl.

– No, trochę by to było dziwne, nie? Upychać taką masę tandetnych świecidełek w taką ładną złotą ramę.

– Obrazek, który widziałem, miał ramę z drewna. – Daina zaczynało łupać w głowie.

– No właśnie, sprytne, prawda? Całe to drewno to część kasetki, w której go pogrzebano. No bo, wiesz, pogrzebano go w grobie. Dlatego tak cuchnął. Ale czy nie można boków zrywać? Ten szczwany dziad, Champtois, nie miał o tym bladego pojęcia. Będzie sobie rwał włosy z głowy, kiedy się dowie.

Dain rozważał wyrwanie głowy Bertiemu. Dziesięć sou. A on z miejsca odrzucił ikonę, nie obdarzył jej więcej niż pobieżnym spojrzeniem, nawet kiedy ta cholerna siostra ślęczała nad nią ze swoją przeklętą lupą. „Kobieta ma interesujący wyraz twarzy," powiedziała. Dain zaś, rozkojarzony przez żywy egzemplarz, niczego nie podejrzewał.

Ponieważ nie było czego podejrzewać, przekonywał sam siebie. Przy Bertiem nawet pawica wychodziła na intelektualistkę. Najpewniej jak zwykle wszystko pokręcił. Ikona była zaledwie jednym z tych tanich świętych obrazków, które każdy religijny fanatyk w Rosji trzyma w kącie pokoju, z ramą pomazaną błyszczącą farbą i obklejoną kolorowymi szkiełkami.

– Oczywiście, mam nie mówić Champtoisowi – ciągnął minimalnie ciszej Bertie. – Nie wolno mi mówić nikomu, zwłaszcza tobie, powiedziała. Ale nie jestem tańczącym niedźwiedziem, oznajmiłem jej, i jakoś nie widzę u siebie w nosie kółka, żeby mnie za nie prowadzać, zgadza się? No więc

zaraz wyskoczyłem cię poszukać… i znalazłem w samą porę, bo Jess idzie do banku, jak tylko Genevieve utnie sobie drzemkę… a wtedy zamkną to cudo w skarbcu i nie będziesz już miał okazji mu się przyjrzeć, no nie?

* * *

Markiz Dain, z czego Jessica w pełni zdawała sobie sprawę, był wściekły. Rozpierał się w fotelu, skrzyżowawszy ramiona na piersi, z na pół opuszczonymi powiekami, niespiesznie wędrując spojrzeniem po kawiarni. Jessice to spojrzenie kojarzyło się mocno z posępnym, zalatującym siarką wzrokiem, jakim – jak zawsze to sobie wyobrażała – Lucyfer obrzucił otoczenie, ocknąwszy się po Upadku.

Dziwiła się, że nie pozostawiało za sobą osmalonych zgliszczy. Ale goście kawiarni jedynie odwracali oczy – by na powrót popatrzeć w stronę ich stolika, ledwie Dain znów wymierzył w nią swoje piekielne niezadowolenie.

Jessica postanowiła już, jak poradzi sobie z problemem, irytowała ją jednak świadomość, że miałaby prostsze zadanie, gdyby Bertie wykazał odrobinkę większą dyskrecję. Żałowała, że wzięła go ze sobą wczoraj, kiedy szła odebrać obrazek od Le Feuvre’a. Skąd wszakże mogła z góry wiedzieć, że jest to coś więcej aniżeli po prostu dzieło niezwykle utalentowanego artysty?

Nawet Le Feuvre się zdumiał, kiedy zabrawszy się do pracy, odkrył wysadzaną klejnotami ramę we wnętrzu przegniłej drewnianej.

I naturalnie, ponieważ ikona, kiedy Le Feuvre nad nią popracował, była śliczna, błyszcząca i mieniła się od klejnotów, Bertie szalenie się podekscytował. Za bardzo, żeby słuchać głosu rozsądku. Jessica usiłowała mu wyjaśnić, że jeśli powie Dainowi, to jakby pomachał czerwoną płachtą przed nosem byka. Bertie psykał, prychał i poinformował ją, że Dain jak najbardziej potrafi przegrywać – a poza tym przypuszczalnie ma tuzin takich cacek i mógłby kupić kolejny, gdyby naszła go ochota.

Cokolwiek posiadał markiz Dain, nie równało się z jej rzadką Madonną, co do tego Jessica nabrała pewności. A choć markiz sprawiał wrażenie znudzonego, kiedy mu ją dziś pokazała, pogratulował jej w szalenie protekcjonalny sposób i prześmiewczo nalegał, że będzie towarzyszył

Bertiemu i jej do banku, by odstraszyć niedoszłych rabusiów, wiedziała, że chętnie by ją zabił.

Kiedy ikonę zamknięto bezpiecznie w bankowym skarbcu, to właśnie Dain zasugerował, żeby zajrzeli tutaj na kawę.

Ledwie usiedli, posłał Bertiego na poszukiwanie pewnego typu krótkiego cygara, co do którego Jessica żywiła mocne podejrzenia, że nie istnieje. Bertie prawdopodobnie nie zjawi się przed północą, jeśli w ogóle wróci. Nie zaskoczyłoby jej, gdyby w pogoni za wyimaginowanym cygarem pospieszył do Indii Zachodnich – zupełnie jakby Dain naprawdę był Belzebubem, a Bertie jednym z jego oddanych sług. Pozbywszy się go, Dain jedynie milcząco przestrzegł gości kawiarni, żeby pilnowali własnego nosa. Gdyby tu na miejscu złapał Jessicę za gardło i zaczął dusić, wątpiła, czy ktoś skoczyłby jej na ratunek. Prawdę mówiąc, wątpiła, czy ktokolwiek z obecnych odważyłby się choć pisnąć w proteście.

– Ile według Le Feuvre’a wart jest ten drobiazg? – zapytał Dain.

Były to jego pierwsze słowa, odkąd przekazał zamówienie właścicielowi kawiarni. Kiedy bowiem Dain wkraczał do dowolnego lokalu, właściciel natychmiast pędził osobiście go obsłużyć.

– Doradził mi, żebym nie sprzedawała od razu – odparła wymijająco. – Chciał skontaktować się najpierw z jakimś rosyjskim klientem. Kuzyn albo siostrzeniec cara interesuje…

– Pięćdziesiąt funtów – rzucił lord Dain. – O ile ten Rosjanin nie jest jednym z licznych pomylonych krewniaków cara, nie da pani ani pensa więcej.

– W takim razie to jeden z tych pomylonych – stwierdziła Jessica. – Le Feuvre wspomniał o znacznie wyższej kwocie.

Popatrzył na nią twardo. Zaglądając w jego mroczną, chropawą twarz, w te czarne, nieprzejednane oczy, Jessica bez trudu wyobraziła go sobie usadowionego na gigantycznym hebanowym tronie na samym dnie Hadesu. Gdyby spojrzała w dół i odkryła, że kosztowny, wypolerowany but spoczywający niedaleko jej trzewika zmienił się w racicę, ani trochę by jej to nie zdumiało.

Każda kobieta mająca choć krztynę zdrowego rozsądku zebrałaby spódnice i uciekła.

Kłopot polegał na tym, że Jessica nie czuła się ani trochę rozsądna. Przez jej zakończenia nerwowe mknął magnetyczny prąd. Prześlizgiwał się przez

jej ciało, wirował, wywołując dziwne, łaskocące wrażenie gorąca w głębi brzucha, i zmieniał jej mózg w zupę.

Chciała zrzucić z nóg trzewiki i osłoniętymi pończochą palcami przesunąć w górę i w dół po jego czarnych, kosztownych wysokich butach. Chciała wsunąć palce pod wykrochmalony mankiet jego koszuli i sunąć nimi po żyłach i mięśniach nadgarstka, poczuć pod kciukiem bicie jego pulsu. Najbardziej zaś pragnęła przywrzeć wargami do tych twardych, rozpustnych ust i całować go do utraty zmysłów.

Oczywiście taka obłąkańcza napaść przyniosłaby jej tylko pozycję płasko na plecach i szybkie wyzbycie się dziewictwa – niewykluczone, że na oczach gości kawiarni. Następnie, jeśli humor by mu dopisywał, Dain klepnąłby ją przyjacielsko w pupę i kazał zmykać, skonstatowała posępnie.

– Panno Trent – rzekł – nie wątpię, że bawiła pani swoimi żartami wszystkie dziewczęta w szkole. Może jednak, gdyby zechciała pani na moment przestać trzepotać rzęsami, wzrok rozjaśniłby się jej na tyle, że zauważyłaby, iż nie ma do czynienia z pensjonareczką.

Nie trzepotała rzęsami. Kiedy Jessica wcielała się w kokietkę, postępowała tak w określonym celu i z rozmysłem, przy czym z pewnością nie była takim matołem, żeby próbować tej metody wobec Belzebuba.

– Trzepotać? – powtórzyła. – Ja nigdy nie trzepoczę, milordzie. Oto, co robię. – Popatrzyła w stronę siedzącego w pobliżu atrakcyjnego Francuza, po czym strzeliła w Daina spojrzeniem z ukosa. – To nie jest trzepotanie – powiedziała, uwalniając Francuza, momentalnie olśnionego, i na powrót koncentrując całą uwagę na Dainie. Jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej posępny.

– Nie jestem również byle sztubakiem – oznajmił. – Zalecam, by zachowała pani te zabójcze spojrzenia dla młodych durniów, którzy na nie reagują.

Francuz gapił się na nią teraz z ogłupiałą fascynacją. Dain odwrócił się i spojrzał na niego. Mężczyzna natychmiast umknął wzrokiem i zaczął z ożywieniem konwersować z towarzyszami.

Jessica przypomniała sobie ostrzeżenie Genevieve. Nie miała pewności, czy Dain istotnie zamyśla schwytać ją na haczyk. Widziała za to, że właśnie postawił znak „Zakaz łowienia”.

Przeszył ją dreszcz, tego należało jednak oczekiwać. Była to prymitywna reakcja kobiety, gdy atrakcyjny mężczyzna w typowo nieuprzejmy sposób

okazuje, że rości sobie do niej prawo. Miała miażdżącą świadomość, że jej uczucia wobec niego są zdecydowanie prymitywne.

Z drugiej strony, nie straciła rozumu dokumentnie.

Dostrzegała, że zanosi się na wielkie kłopoty.

Nietrudno było to dostrzec. Skandal podążał za nim krok w krok. Jessica ani myślała znaleźć się w samym jego centrum.

– Demonstrowałam jedynie subtelną różnicę, która ewidentnie panu umknęła – wyjaśniła. – Subtelności, jak wnoszę, nie są pana mocną stroną.

– Jeśli w ten subtelny sposób przypomina mi pani, że przeoczyłem to, co jej świdrujące oczy dostrzegły pod skorupą brudu na tamtym obrazku…

– Najwyraźniej nie patrzył pan zbyt uważnie, nawet kiedy był czysty – weszła mu w słowo. – Wówczas bowiem rozpoznałby pan dzieło szkoły stroganowskiej… i nie zaproponowałby mi za nie obraźliwej kwoty pięćdziesięciu funtów.

Wykrzywił usta.

– Niczego nie proponowałem. Wyrażałem opinię.

– Żeby mnie sprawdzić – uzupełniła. – Niemniej wiem równie dobrze jak pan, że ten drobiazg to nie tylko szkoła stroganowska, ale jej wyjątkowo rzadka forma. Nawet najbardziej wyrafinowane miniatury oprawiano zwykle w srebro. Nie wspominając o tym, że Madonna…

– Ma oczy szare, nie brązowe – rzekł wielce znudzonym głosem Dain.

– I nieomal się uśmiecha. Przeważnie wyglądają na szalenie nieszczęśliwe.

– Sprzeciw, panno Trent. Wyglądają na nadzwyczaj rozdrażnione. Zapewne z powodu tego, że są dziewicami… że doświadczyły wszystkich nieprzyjemności związanych z ciążą i porodem, a żadnej radości.

– Wypowiadając się w imieniu dziewic na całym świecie, milordzie – oznajmiła, nachylając się ku niemu odrobinę – mogę panu wyjawić, że istnieje mnóstwo radosnych doświadczeń. Jednym z nich jest posiadanie rzadkiego dzieła sztuki sakralnej, wartego co najmniej pięćset funtów.

Roześmiał się.

– Nie ma potrzeby informować mnie, że jest pani dziewicą – stwierdził. – Rozpoznam taką z odległości pięćdziesięciu kroków.

– Na szczęście w innych sprawach nie jestem aż tak niedoświadczona – odparła z niezmąconym spokojem. – Nie wątpię, że pomylony Rosjanin Le Feuvre’a zapłaci mi pięćset. Mam również świadomość, że ów Rosjanin to

bez wątpienia dobry klient, dla którego Le Feuvre pragnie dokonać sprytnego zakupu. Co oznacza, że powinnam uzyskać znacząco lepszą cenę na aukcji. – Wygładziła rękawiczki. – Wielokrotnie obserwowałam, jak mężczyźni całkowicie tracą rozsądek, kiedy owładnie nimi gorączka licytacji. Trudno ocenić, jakimi skandalicznie wysokimi ofertami to zaowocuje.

Dain zmrużył oczy.

W tejże chwili nadciągnął gospodarz z ich zamówieniem. Towarzyszyło mu czterech niższej rangi pomocników, którzy uwijali się jak w ukropie, z bolesną precyzją aranżując serwety, srebra i zastawę. Talerzy nie szpecił najmniejszy okruszek, na nieskazitelnie lśniących srebrach nie znać było śladu nalotu. Nawet cukier pocięto na idealnie równe sześciany – nie lada wyczyn, jeśli wziąć pod uwagę, że przeciętna głowa cukru na skali twardości plasuje się gdzieś pomiędzy granitem a diamentami. Jessica zastanawiała się zawsze, jak pomocy kuchennej udaje się ją rozbić bez użycia materiałów wybuchowych.

Przyjęła niewielki kawałek żółtego ciasta ze spienioną białą polewą.

Dain zezwolił, by płaszczący się przed nim właściciel przyozdobił jego talerz pokaźnym zestawem tart owocowych, ułożonych artystycznie w koncentryczne kręgi.

Jedli słodkości w milczeniu, aż wreszcie Dain, przetrzebiwszy tarty na tyle, by rozbolał go każdy ząb, odłożył widelczyk i ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na jej dłonie.

– Czy od mojego wyjazdu z Anglii zmieniły się wszystkie zasady? – spytał. – Wiem, że damy nie wystawiają beztrosko nagich dłoni na widok publiczny. Rozumiałem jednak dotąd, że wolno im zdjąć rękawiczki przy jedzeniu.

– Jest to dozwolone – przyznała. – Tyle że niemożliwe. – Uniosła dłoń, żeby pokazać mu długi rząd maleńkich guziczków z pereł. – Bez pomocy pokojówki rozpięcie ich zajęłoby mi całe popołudnie.

– Po co, u diaska, zakładać tak nieznośnie kłopotliwe rzeczy?

– Genevieve kupiła je specjalnie do tej pelisy. Gdybym ich nie nosiła, ogromnie by ją to zraniło.

Nadal wbijał wzrok w rękawiczki.

– Genevieve to moja babka – wyjaśniła.

Nie poznał jej. Gdy przybył, Genevieve położyła się właśnie, by uciąć sobie drzemkę – Jessica jednak nie wątpiła, że usłyszawszy głęboki męski głos, babka prędko wstała i podpatrywała przez szparę w drzwiach.

Właściciel owego głosu spojrzał teraz na nią z błyskiem w oku.

– A, tak. Zegarek.

– On również okazał się mądrym wyborem – powiedziała Jessica, odkładając widelczyk i przybierając znów biznesowy ton. – Była oczarowana.

– Nie jestem pani siwowłosą babunią – odparł, natychmiast wychwytując, o co jej chodzi. – Nie jestem na tyle oczarowany ikonami… nawet szkoły stroganowskiej… żeby płacić za nie choć pensa więcej, aniżeli są warte. Według mnie ta jest warta co najwyżej tysiąc. Jeśli wszakże obieca pani nie nudzić mnie targami, z przerywnikami w postaci tych jej zabójczych spojrzeń, z radością zapłacę tysiąc pięćset.

Liczyła, że urobi go stopniowo. Jego ton informował, że ani myśli być urabiany. Prosto do rzeczy zatem – rzeczy, na którą zdecydowała się parę godzin temu, odnotowawszy wyraz jego oczu, gdy dała mu obejrzeć swoje niepospolite znalezisko.

– Z radością ją panu podaruję, milordzie – powiedziała.

– Nikt mi niczego nie darowuje – odparł zimno. – Proszę grać w swoją grę, na czymkolwiek ona polega, z kim innym. Moja oferta to tysiąc pięćset. Moja jedyna oferta.

– Jeśli odeśle pan Bertiego do domu, ikona jest pańska – oświadczyła. – Jeśli nie, trafi na aukcję do Christie’s.

* * *

Gdyby Jessica Trent rozumiała, w jakim stanie ducha jest Dain, poprzestałaby na pierwszym zdaniu. Nie, gdyby naprawdę rozumiała, natychmiast wzięłaby nogi za pas. Ale nie mogła rozumieć tego, co lord Dain sam ledwie pojmował. Pragnął łagodnej rosyjskiej Madonny, z jej na poły uśmiechniętą, na poły smutną twarzą, bardziej niż kiedykolwiek czegokolwiek w życiu. Na jej widok zachciało mu się płakać, przy czym nie wiedział dlaczego.

Dzieło było wyborne – sztuka zarazem podniosła i ludzka – i ten artyzm go poruszył, wtedy. Jego reakcje w tej chwili ani trochę nie przypominały

tamtych przyjemnych doznań. Aktualnie wył w nim dawny potwór. Dain nie potrafił nazwać tych uczuć ani trochę lepiej niż wówczas, gdy miał osiem lat. Nigdy nie zawracał sobie głowy nadawaniem im nazwy, po prostu brutalnie odpychał i przepędzał je z drogi, raz po raz, aż wreszcie, podobnie jak dawno temu szkolni koledzy, przestały go dręczyć.

Ponieważ nigdy nie było im dane dojrzeć, uczucia te pozostały na prymitywnym dziecięcym poziomie. Teraz, znalazłszy się nieoczekiwanie w ich władzy, lord Dain nie rozumował jak człowiek dorosły. Nie potrafił powiedzieć sobie, że Bertie Trent stanowi piekielne utrapienie, które należało posłać w diabły wieki temu. Markizowi nie przyszło nawet do głowy, że powinien wpaść w zachwyt, skoro siostra tego przygłupa była gotowa hojnie mu zapłacić – czy też raczej go przekupić – by pozbył się kłopotu.

Dain widział tylko przepiękną dziewczynę, drażniącą się z nim zabawką, której rozpaczliwie pragnął. Zaproponował jej na wymianę swoją największą i najlepszą zabawkę. A ona roześmiała się i zagroziła, że wrzuci własną zabawkę do wychodka, jedynie po to, żeby zmusić go do błagań. Po czasie lord Dain zrozumie, że takie właśnie – lub równie idiotyczne – myśli szalały mu w głowie.

Nastąpi to jednak dużo później, o wiele za późno.

W tej chwili miał mniej więcej osiem lat wewnątrz i blisko trzydzieści trzy na zewnątrz, toteż wyszedł z siebie.

Nachylił się ku niej.

– Panno Trent, nie ma innych warunków – oznajmił niebezpiecznie cichym głosem. – Płacę tysiąc pięćset, pani mówi „Zgoda” i rozstajemy się szczęśliwi.

– Nie. – Z uporem zadarła brodę. – Jeśli nie odeśle pan Bertiego do domu, nie ubijemy interesu. Pan mu niszczy życie. Żadna suma pieniędzy tego nie wynagrodzi. Nie sprzedam panu tej ikony, choćbym przymierała głodem.

– Łatwo tak mówić z pełnym brzuchem – zauważył. Później kpiąco zacytował po łacinie Publiliusza Syrusa: – *Na spokojnym morzu każdy utrzyma ster*.

Odpowiedziała w tymże języku cytatem z tego samego mędrca:

– *Nie założy się tego samego buta na obie stopy.*

Mina Daina nie ujawniła nic z jego zdumienia.

– Widzę, że zdarzyło się pani liznąć Publiliusza – skomentował. – Tym bardziej dziwi, że tak bystra kobieta nie dostrzega tego, co ma przed samym nosem. Nie jestem martwym językiem, którym można się bawić, panno Trent. Ryzykownie zbliża się pani do niebezpiecznych wód.

– Ponieważ mój brat w nich tonie. Ponieważ trzyma mu pan głowę pod powierzchnią. Nie jestem na tyle wielka lub silna, żeby odciągnąć pańską rękę. Mam jedynie coś, czego pan pragnie, a czego nawet pan nie może sobie zabrać. – Jej srebrne oczy zalśniły. – Dostanie to pan wyłącznie w jeden sposób, lordzie Belzebubie. Odtrącając mojego brata.

Gdyby Dain był zdolny myśleć jak dorosły, uznałby jej rozumowanie za wyśmienite – za, co więcej, dokładnie takie, jakie sam by przeprowadził, gdyby znalazł się w jej przykrym położeniu. Mógłby nawet docenić fakt, że otwarcie i precyzyjnie poinformowała go, do czego zmierza, zamiast używać kobiecych podstępów i sztuczek, by go zmanipulować.

Nie był zdolny myśleć jak dorosły.

Błysk gniewu w jej oczach powinien odbić się od niego, nie wyrządzając szkody. Tymczasem trafił go szybko i głęboko, podpalając lont w jego wnętrzu. Sądził, że chodzi o gniew. Sądził, że gdyby była mężczyzną, rzuciłby nią o ścianę. Sądził, że skoro trafiło na kobietę, będzie musiał znaleźć inny, równie skuteczny sposób udzielenia jej lekcji.

Nie wiedział, że rzucanie nią stanowiło w istocie przeciwieństwo tego, co pragnął zrobić. Nie wiedział, że lekcje, jakich pragnął jej udzielać, należały do sfery Wenus, nie Marsa, *Sztuki kochania* Owidiusza, a nie *O wojnie galijskiej* Cezara.

W konsekwencji popełnił błąd.

– Nie, bynajmniej nie widzi pani jasno – stwierdził. – Zawsze istnieje inny sposób, panno Trent. Wydaje się pani, że tak nie jest, ponieważ zakłada pani, iż będę grał według wszystkich tych drobnych zasad, które towarzystwo tak uwielbia. Wydaje się pani na przykład, że ponieważ znajdujemy się w miejscu publicznym, a pani jest damą, będę zachowywał się przyzwoicie. Może nawet wydaje się pani, że biorę wzgląd na jej reputację. – Wykrzywił usta w złym uśmiechu. – Panno Trent, może chciałaby pani dać sobie chwilę, żeby ponownie przemyśleć te kwestie.

Zwęziła szare oczy.

– Wydaje mi się, że pan mi grozi.

– Proszę pozwolić, że wyartykułuję tę groźbę równie jasno, jak pani swoją. – Nachylił się ku niej. – Mogę zrobić rysę na pani reputacji w mniej niż trzydzieści sekund. W trzy minuty zetrę ją w proch. Oboje wiemy, nieprawdaż, że będąc tym, kim jestem, osiągnę cel bez przesadnego wysiłku. Już stała się pani obiektem spekulacji przez sam fakt, że widziano ją w moim towarzystwie. – Zrobił krótką przerwę, żeby te słowa do niej dotarły.

Nie odezwała się. Jej zwężone oczy miotały wściekłe iskry.

– Oto, jak to działa – podjął. – Jeśli przyjmie pani moją ofertę tysiąca pięciuset, zachowam się, jak należy, odprowadzę panią do otwartej dorożki i bezpiecznie wyekspediuję do domu.

– A jeśli się nie zgodzę, podejmie pan próbę zniszczenia mojej reputacji.

– To nie będzie próba.

Wyprostowała się sztywno i złożyła razem na stole filigranowe dłonie w rękawiczkach.

– Z chęcią to zobaczę – oznajmiła.

Rozdział 4

Dain podarował pannie Trent aż nadto okazji, by pojęła swój błąd. Nie zdołałby ostrzec jej bardziej czytelnie.

Tak czy owak, gdyby zawahał się w takiej sytuacji, zasygnalizowałby wątpliwości lub, gorzej nawet, słabość. Postąpić tak w relacjach z mężczyzną byłoby niebezpiecznie. W relacjach z kobietą równałoby się to zgubie.

Dlatego też lord Dain uśmiechnął się i nachylił jeszcze bliżej, aż jego wielki nos Usignuolów znalazł się ledwie na grubość palca od jej nosa.

– Radzę się pomodlić, panno Trent – rzekł cicho.

Następnie przesunął dłoń – wielką, ciemną, nagą dłoń, ponieważ przed jedzeniem zdjął rękawiczki i nie założył ich jeszcze z powrotem – w dół po rękawie jej pelisy, aż dotarł do pierwszego guziczka frywolnych szarych rękawiczek zdobionych perłami.

Uwolnił perełkę z dziurki.

Jessica poparzyła na jego dłoń, lecz ani drgnęła.

Świadom, że wszystkie oczy w lokalu są w nich utkwione, a hałaśliwe rozmowy przycichły do szeptów, zaczął mówić do niej po włosku. Tonem kochanka opisywał pogodę, siwego wałacha, którego sprzedaż rozważał, oraz stan paryskich kanałów ściekowych. Chociaż nigdy nie próbował ani nie potrzebował uwodzić kobiety, widział i słyszał różnych biednych sukinsynów uczestniczących w tej grze, i w szczegółach odtworzył ich groteskowe tony. Wszyscy wokół uznają, że oni dwoje są kochankami. Przy tym przez cały czas sprawnie sunął do jej nadgarstka.

Nie wyrwał jej się żaden dźwięk, jedynie od czasu do czasu z nieruchomą twarzą przenosiła wzrok z jego oblicza na dłonie i z powrotem, co zinterpretował jako przejaw niemego przerażenia.

Może trafniej zdefiniowałby jej reakcję, gdyby czuł się równie opanowany, jak wydawał się na zewnątrz. Wyraz jego twarzy pozostawał zmysłowo skupiony, głos niski i uwodzicielski. Dain miał jednak niepokojącą świadomość, że puls zaczął mu przyspieszać mniej więcej przy

guziku numer sześć. Przy numerze dwunastym gnał już jak szalony. Przy piętnastym Dain musiał mocno się koncentrować, żeby utrzymać miarowy oddech.

Uwolnił z sukienek, gorsetów, halek, podwiązek i pończoch setki dziwek. Nigdy dotąd nie rozpinał jednak rękawiczki szlachetnie urodzonej panny. Dokonał tylu nieobyczajnych czynów, że któż by je zliczył. Ani razu nie czuł się tak zdeprawowany jak w tej chwili, kiedy wypchnął z dziurki ostatni guzik i ściągnął w dół miękką koźlęcą skórkę, obnażając jej nadgarstek i ciemnymi palcami pocierając delikatną skórę, którą wystawił na widok publiczny.

Zbyt pochłonęło go poszukiwanie definicji własnego stanu – i zbyt skonfundowało to, co sobie uświadomił – by uzmysłowił sobie, że w szarych oczach panny Jessiki Trent pojawił się ów wyraz upojnego oszołomienia, typowy dla przyzwoitej starej panny, która wbrew sobie daje się uwieść.

Nawet gdyby zrozumiał, co wyraża jej mina, nie dałby temu wiary, tak jak nie potrafił uwierzyć we własny niefortunny stan podniecenia – z powodu przeklętej rękawiczki i skrawka kobiecego ciała. I to nawet nie jednego z tych lepszych – tych, których mężczyzna nie posiada – ale drobnego fragmentu nadgarstka, niech ją szlag.

Najgorsze, że nie potrafił przestać. Najgorsze, że jego namiętnie skupiony wyraz twarzy jakimś sposobem stał się autentyczny i Dain nie opowiadał jej już po włosku o ściekach, lecz o tym, jak pragnie odpiąć, odczepić, rozwiązać każdy guzik, haftkę, sznurówkę… i zdejmować z niej ubrania, jedno po drugim, i sunąć monstrualnie wielkimi, ciemnymi dłońmi po jej białym, dziewiczym ciele.

Opisywał szczegółowo po włosku swoje ogniste fantazje i wolno ściągał jej rękawiczkę, obnażając delikatną, ponętną dłoń. Szarpnął lekko w kierunku jej knykci. Zrobił przerwę. Kolejne szarpnięcie. I przerwa. Jeszcze jedno szarpnięcie… i rękawiczka została mu w dłoni. Upuścił ją na stół, po czym ujął małą, chłodną, białą dłoń dziewczyny w swoją, wielką i ciepłą. Sapnęła cichutko. To wszystko. Żadnej walki. Nie żeby mogło to cokolwiek zmienić.

Było mu za ciepło, brakowało tchu, a serce waliło tak, jakby dopiero co gonił za czymś zaciekle. I dokładnie tak, jakby istotnie ścigał i wreszcie dopadł zdobycz, nie zamierzał jej puszczać. Zamknął palce wokół jej dłoni i

posłał groźne spojrzenie, rzucając wyzwanie, by spróbowała – tylko spróbowała – się uwolnić.

Odkrył, że ona nadal siedzi z szeroko otwartymi oczami. Potem zamrugała i, opuściwszy wzrok na ich złączone dłonie, powiedziała cicho, na bezdechu:

– Bardzo mi przykro, milordzie.

Choć sam nadal nie panował należycie nad oddechem, zdołał wykrztusić:

– Nie wątpię. Ale, widzi pani, już za późno.

– Widzę. – Ze smutkiem pokręciła głową. – Obawiam się, że pańska reputacja nigdy się po tym nie podniesie.

Poczuł ukłucie niepokoju. Zignorował je i ze śmiechem omiótł spojrzeniem ich zafascynowaną publiczność.

– *Cara mia*, to pani rep…

– Markiza Daina widziano w towarzystwie damy – weszła mu w słowo. – Widziano i słyszano, jak o nią zabiega. – Podniosła nań wzrok z błyskiem w srebrnych oczach. – To było cudowne. Nie miałam pojęcia, że włoski jest taki… poruszający.

– Mówiłem o ściekach – rzekł cierpko.

– Nie wiedziałam. Podobnie jak z pewnością nikt z obecnych. Wszyscy myślą, że dawał pan wyraz miłości. – Uśmiechnęła się. – Do starej panny, siostry przygłupiego Bertiego Trenta.

Wówczas, zbyt późno, dostrzegł słaby punkt w swoim rozumowaniu. Przypomniał sobie komentarz d’Esmonda na temat legendarnej Genevieve. Tu obecni uwierzą, że dziewczyna poszła w ślady babki – *femme fatale* – i cały przeklęty Paryż uzna, że dał się jej zauroczyć.

– Markizie – powiedziała niskim, twardym głosem – jeśli natychmiast nie puści pan mojej dłoni, pocałuję pana. Na oczach wszystkich.

Trawiło go upiorne podejrzenie, że odwzajemniłby pocałunek. Przy świadkach. Oto Dain, Belzebub we własnej osobie, całujący damę – dziewicę. Zmiażdżył w sobie panikę.

– Panno Trent – rzekł równie nisko i twardo – z chęcią to zobaczę.

– Niech to licho! – rozbrzmiał tuż za Dainem wstrętnie znajomy głos. – Przeszedłem pół Paryża… i nie jest to dokładnie to, czego chciałeś, wiem, ale sam najpierw wypróbowałem i śmiem twierdzić, że się nie zawiedziesz.

Nieświadom pulsującego wokół napięcia, Bertie Trent położył pudełko z cygarami na stole tuż przy dłoni Daina. Zaciśniętej nadal na dłoni panny

Trent.

Kiedy spojrzenie Bertiego tam padło, rozwarł szerzej niebieskie oczy.

– Niech cię diabli, Jess! – rzucił gniewnie. – Czy człowiek nie może ci ani na chwilę zaufać? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zostawiła w spokoju moich przyjaciół?

Panna Trent z opanowaniem zabrała rękę.

Trent posłał Dainowi przepraszające spojrzenie.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Dain. Robi tak wszystkim chłopom. Nie wiem, po co, skoro ich nie chce. Całkiem jak te głupie koty ciotki Louisy. Tyle zachodu, żeby złapać mysz, a potem obmierzłe bestie nawet ich nie żrą. Porzucają truchła, gdzie popadnie, i niech kto inny je sobie zbiera.

Wargi panny Trent zadrżały.

Owa sugestia śmiechu wystarczyła, żeby ubić burzliwą mieszankę we wnętrzu lorda Daina w zimną furię. Formalną edukację rozpoczął od tego, że wepchnięto mu głowę do wychodka. Bywał już wykpiwany i dręczony. Ale nie trwało to długo.

– Na szczęście, Trent, masz talent do przybywania w samą porę – stwierdził. – Ponieważ słowa nie zdołają wyrazić mojej ulgi i wdzięczności, czyny muszą przemówić głośniej. Może przydrepczesz do mnie, kiedy już odstawisz do domu swoją nieodparcie pociągającą siostrę? Vawtry i paru innych mają zajrzeć na butelczynę lub dwie i prywatną partyjkę.

Przetrwawszy nieskładne wyrazy zachwytu ze strony Trenta, lord Dain pożegnał się chłodno i niespiesznie wyszedł z lokalu, z ponurym postanowieniem, by trzymać głowę Bertiego Trenta pod wodą tak długo, aż głupek utonie.

* * *

Lord Dain nie dotarł jeszcze do domu, a raporty naocznych świadków jego sam na sam z panną Trent już mknęły ulicami Paryża.

Zanim, tuż przed świtem, zakończyła się jego prywatna orgia pijaństwa i hazardu – a Bertiego, uboższego o kilkaset funtów, ponieśli do łóżka dwaj służący – robiono już zakłady co do zamiarów markiza Daina wobec panny Trent.

O trzeciej po południu u Tortoniego Francis Beaumont natknął się na Rolanda Vawtry’ego i zaproponował mu zakład o sto pięćdziesiąt funtów,

że panna Trent schwyta Daina w małżeńskie sidła przed przypadającymi w czerwcu urodzinami króla.

– Dain? – powtórzył Vawtry, a jego orzechowe oczy zaokrągliły się ze zdumienia. – Ślub? Z przyzwoitą starą panną? Siostrą Trenta?

Dziesięć minut później, kiedy Vawtry przestał się śmiać i stopniowo odzyskiwał normalny oddech, Beaumont ponowił propozycję.

– To zbyt proste – orzekł Vawtry. – Nie mogę przyjąć twoich pieniędzy. Postąpiłbym nie fair. Znam Daina od czasów Oksfordu. Ta sprawa w kawiarni to był jeden z jego żartów. Żeby wywołać powszechne poruszenie. Zapewne w tej właśnie chwili zaśmiewa się do rozpuku, że wystrychnął wszystkich na dudka.

– Dwieście – rzucił Beaumont. – Dwieście, że przestanie się śmiać przed upływem tygodnia.

– Rozumiem – stwierdził Vawtry. – Chcesz wrzucać pieniądze do kolejnej studni bez dna. Doskonale, chłopcze. Określ warunki.

– W ciągu tygodnia ktoś zobaczy, jak się za nią ugania. Wychodzi za nią z pokoju. Ściga ją na ulicy. Bierze za rękę. Rany, nieważne, chwyta za włosy… Bardziej w jego stylu, no nie?

– Beaumont, uganianie się za kobietami nie jest w stylu Daina – tłumaczył cierpliwie Vawtry. – Dain mówi: „Biorę tę”. Po czym kładzie na stół pieniądze i wybrana kobieta idzie.

– Za tą będzie się uganiał – obstawał przy swoim Beaumont. – Dokładnie tak, jak powiedziałem. Na oczach wiarygodnych świadków. Dwieście, że zrobi to w ciągu siedmiu dni.

Nie po raz pierwszy dogłębne zrozumienie Daina pozwoli Rolandowi Vawtry’emu zarobić. W rzeczy samej, przewidywanie zachowań Belzebuba odpowiadało za co najmniej połowę jego dochodów. Pomyślał, że Beaumont powinien już do tej pory zmądrzeć. Ale nie zmądrzał, a pełen zadowolenia z siebie i wyższości uśmiech na jego twarzy zaczynał irytować Vawtry’ego. Z miną wyrażającą bezgraniczne współczucie – żeby zirytować Beaumonta – Vawtry przyjął zakład.

* * *

Sześć dni później Jessica stała przy oknie w mieszkaniu brata, chmurnie spoglądając na ulicę poniżej.

– Zabiję cię, Dain – wymamrotała. – Wpakuję ci kulkę dokładnie tam, gdzie ten twój włoski nos spotyka się z czarnymi brwiami.

Dochodziła szósta. Bertie obiecał, że wróci do domu najpóźniej o wpół do piątej, żeby wykąpać się i ubrać, a następnie eskortować siostrę i babkę na przyjęcie u madame Vraisses. Na godzinę ósmą zaplanowano odsłonięcie portretu gospodyni pędzla pani Beaumont. Jako że Bertie potrzebował na toaletę co najmniej dwóch i pół godziny, a wieczorem na ulicach bez wątpienia będzie spory ruch, nie zdążą na odsłonięcie.

A winę za to ponosił Dain.

Od spotkania w kawiarni nie mógł ścierpieć, gdy Bertie znikał mu z oczu. Dokądkolwiek Dain się udawał, cokolwiek robił, bawił się dobrze wyłącznie wówczas, gdy towarzyszył mu Bertie.

Bertie, oczywiście, wierzył, że pozyskał wreszcie dozgonną przyjaźń Daina. Będąc naiwnym półgłówkiem, nigdy nie wpadłby na to, że domniemana przyjaźń stanowi zemstę markiza na Jessice.

Co tylko pokazywało, jaki z Daina nikczemny łajdak. Spór miał z Jessicą, ale nie, nie mógłby stanąć uczciwie do walki z przeciwnikiem zdolnym odparować ciosy. Musiał karać Jessicę poprzez jej nieszczęsnego, przygłupiego brata, który nie miał bladego pojęcia, jak się bronić.

Bertie nie wiedział, jak nie upijać się do nieprzytomności albo odejść od gry w karty, albo oprzeć się zawarciu z góry przegranego zakładu, albo zaprotestować, kiedy ladacznica kosztowała trzy razy tyle, ile powinna. Jeśli Dain pił, to Bertie także, chociaż nie miał mocnej głowy. Jeśli Dain grał, zakładał się albo łajdaczył, Bertie musiał robić dokładnie to samo.

Zasadniczo Jessica nie potępiała żadnej z wymienionych praktyk. Więcej niż raz zdarzyło jej się być na rauszu i sporadycznie traciła pieniądze w karty lub w wyniku zakładu – tyle że dyskretnie i w rozsądnych granicach. Co do ladacznic, przypuszczała, że gdyby była mężczyzną, od czasu do czasu nabierałaby ochoty na taką rozrywkę – ale z pewnością nie zapłaciłaby ani pensa ponad bieżące stawki. Trudno jej było uwierzyć, że Dain płaci tak dużo, jak twierdził Bertie, niemniej brat przysięgał na honor, że na własne oczy widział, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk.

– Jeśli to prawda – oznajmiła mu rozdrażniona, nie dalej jak minionego wieczoru – może tak być wyłącznie dlatego, że ma nadmierne wymagania… że kobiety muszą ciężej pracować, nie rozumiesz?

Ale Bertie zrozumiał tyle, że Jessica sugeruje, iż nie jest tak pełnym wigoru ogierem jak jego idol. Zakwestionowała męskość brata, toteż wyszedł sztywnym krokiem i nie wrócił – czy też nie przyniesiono go – aż do siódmej dziś rano.

Tymczasem Jessica leżała bezsennie niemalże do tej godziny, zastanawiając się, czego konkretnie Dain wymaga od partnerki w łóżku.

Dzięki Genevieve jak najbardziej rozumiała podstawy, jeśli chodzi o to, czego przeciętny mężczyzna wymaga – czy też co dostarcza, w zależności od punktu widzenia. Wiedziała na przykład, co robił dżentelmen w peruce, ukryty pod spódnicami damy, podobnie jak wiedziała, że takie pozycje nie należą do powszechnie spotykanych w sprośnych zegarkach. Dlatego go kupiła.

Ponieważ jednak Dain nie był przeciętnym mężczyzną i z pewnością płacił za znacznie więcej niż byle podstawy, rzucała się gorączkowo w łóżku, pobudzona mieszkanką strachu i ciekawości, i… cóż, gdyby miała być się ze sobą całkowicie szczera, a zasadniczo była, także odrobiny pożądania, niech jej niebiosa dopomogą.

Nie umiała przestać myśleć o jego dłoniach. Nie należy przez to rozumieć, że nie kontemplowała również każdej innej części jego ciała, jednak tych wielkich, nazbyt wprawnych dłoni doświadczyła fizycznie w sposób bezpośredni i palący.

Na samą myśl o nich, nawet teraz, przy całej swej wściekłości, czuła, jak w głębi brzucha wiruje jej jakieś gorące, bolesne doznanie.

Co tylko zwiększało jej furię. Zegarek na kominku wyśpiewał godzinę. Najpierw zabije Daina, powiedziała sobie. Później brata.

Wszedł Withers.

– Wrócił posłany do domu markiza portier – poinformował ją.

Bertie, paryskim zwyczajem, zlecał portierowi w budynku zadania, które zwykle przydzielano lokajom, pokojówkom i chłopcom na posyłki. Pół godziny temu portiera, Tessona, wyprawiono do lorda Daina.

– Wnoszę, że nie przyprowadził Bertiego z powrotem – stwierdziła – gdyż w przeciwnym razie już słyszałabym nawoływania w korytarzu.

– Służący lorda Daina odmówił odpowiedzi na zapytanie Tessona – wyjaśnił Withers. – Kiedy Tesson lojalnie nalegał, ten zuchwały lokaj zepchnął go ze schodów. Służba, panno Trent, pod względem charakteru obrzydliwie dopasowała się do swego pana.

Jedna rzecz, pomyślała gniewnie Jessica, gdy Dain wykorzystuje słabości jej brata. Zupełnie inna, kiedy pozwala swoim pachołkom maltretować przepracowanego portiera, który usiłuje tylko doręczyć wiadomość.

Daruj jedną zniewagę, powiedział Publiliusz, *a zachęcisz do popełnienia wielu*.

Jessica nie zamierzała tego darować. Z zaciśniętymi pięściami pomaszerowała ku drzwiom.

– Nie obchodzi mnie, czy ten służący to Mefistofeles we własnej osobie – oświadczyła. – Z chęcią zobaczę, jak próbuje zepchnąć ze schodów mnie.

Niewiele później, podczas gdy jej przerażona pokojówka, Flora, kuliła się w brudnej paryskiej dorożce, Jessica wytrwale łomotała kołatką do drzwi wejściowych domu lorda Daina.

Otworzył jej angielski lokaj w liberii. Miał jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu. Kiedy zuchwale zmierzył ją wzrokiem z góry na dół, Jessica bez trudu wydedukowała, jakie myśli chodzą mu po głowie. Każdy służący z choć krztyną inteligencji rozpoznałby w niej damę. Z drugiej strony, dama nigdy nie dobijałaby się do drzwi nieżonatego dżentelmena. Zarazem Dain nie był dżentelmenem. Nie czekała, aż lokaj rozwikła tę łamigłówkę.

– Nazwisko brzmi Trent – oznajmiła z werwą. – I nie nawykłam, by przetrzymywano mnie na progu, ponieważ leniwy gamoń udający służącego postanowił się na mnie pogapić. Masz dokładnie trzy sekundy, żeby zejść mi z drogi. Jeden. Dwa…

Cofnął się, a Jessica minęła go, wchodząc do westybulu.

– Przyprowadź mojego brata – poleciła.

Wpatrywał się w nią z tępym niedowierzaniem.

– Panno… panno…

– Trent – podpowiedziała. – Siostra sir Bertrama. Chcę się z nim zobaczyć. Teraz. – Dla pokreślenia swych słów stuknęła końcem parasolki o marmurową posadzkę.

Przybrała ton głosu i sposób bycia, które sprawdzały się, ilekroć musiała poradzić sobie z niesfornymi chłopcami większymi od niej lub z tymi spośród służących jej stryjów i ciotek, którzy wygłaszali nonsensowne uwagi w rodzaju „Panu by się to nie spodobało” albo „Pani mówi, że nie mogę”. Ów ton głosu i sposób bycia zapewniały słuchacza, że jego wybór sprowadza się do dwóch rozwiązań: posłuszeństwo albo śmierć. Metoda okazała się równie skuteczna w tym przypadku, jak w większości innych.

Lokaj zerknął spanikowany w stronę schodów na końcu holu.

– Ja… ja… nie mogę, panienko – szepnął z przestrachem. – On… on mnie zabije. Nie wolno mu przeszkadzać. Z żadnego powodu. Nigdy.

– Rozumiem – stwierdziła. – Wystarczy ci odwagi, żeby wyrzucić na ulicę o połowę mniejszego od ciebie portiera, ale…

Huknął strzał.

– Bertie! – krzyknęła Jessica.

Upuściwszy parasolkę, pobiegła ku schodom.

* * *

W zwykłych okolicznościach odgłos strzału z pistoletu, nawet jeśli, jak teraz, w ślad za nim rozbrzmiewały kobiece krzyki, nie wprawiłby Jessiki w panikę. Kłopot w tym, że jej brat przebywał w pobliżu. Jeśli Bertie przebywał w pobliżu rowu, było pewne, że do niego wpadnie. Jeśli przebywał w pobliżu otwartego okna, było pewne, że przez nie wypadnie.

Tym samym, skoro Bertie przebywał w pobliżu poruszającej się kuli, wypadało założyć, że wejdzie na jej tor.

Jessica nie była na tyle naiwna, by liczyć, że nie oberwał. Modliła się jedynie o to, żeby zdołała powstrzymać krwawienie.

Pomknęła w górę długimi schodami, a potem korytarzem, nieomylnie obierając kurs na piski – kobiece – oraz pijackie wrzaski – męskie.

Szarpnięciem otworzyła drzwi.

Pierwszym, co zobaczyła, był jej brat, leżący na wznak na dywanie.

Przez moment nie widziała nic innego. Pospieszyła do ciała. Akurat gdy klękała, żeby je zbadać, pierś Bertiego uniosła się nierówno i jej brat głośno zachrapał – donośne, cuchnące winem chrapnięcie, za sprawą którego Jessica natychmiast znalazła się znów w pionie.

Wówczas odnotowała, że w pokoju panuje grobowa cisza.

Rozejrzała się.

Na fotelach, sofach i stołach rozwaliło się kilkunastu mężczyzn w różnych stadiach dezabilu. Niektórych widziała po raz pierwszy. Innych – Vawtry’ego, Sellowby’ego, Goodridge’a – rozpoznała. Towarzyszyła im spora liczba kobiet, bez wyjątku przedstawicielek najstarszego zawodu świata.

Później jej wzrok spoczął na Dainie. Siedział w ogromnym fotelu, z pistoletem w dłoni, trzymając na kolanach dwie dziwki – jasną i ciemną – o nader bujnych kształtach. Wszyscy troje gapili się na nią, przy czym, jak pozostali, najwyraźniej zamarli w pozycji, w jakiej się znajdowali, kiedy Jessica wparowała do pokoju. Ta ciemna wyciągała akurat Dainowi koszulę ze spodni, podczas gdy druga kobieta wspomagała ją, rozpinając guziki rozporka.

Fakt, że znalazła się w otoczeniu bandy na pół rozebranych, pijanych mężczyzn i kobiet na wczesnym etapie orgii, ani trochę nie stropił Jessiki. Widywała już biegających tam i sam nagich chłopców – którzy robili to celowo, aby wywołać krzyki domowniczek – i więcej niż raz oglądała obnażone młodzieńcze pośladki, gdyż jej kuzyni często w ten właśnie sposób wyobrażali sobie dowcipną ripostę.

Bieżące okoliczności w najmniejszym stopniu jej nie zakłopotały ani nie wzburzyły. Nawet pistolet w dłoni Daina nie wzbudzał jej niepokoju, ponieważ już wypalił i wymagał ponownego nabicia.

Jedynym denerwującym doznaniem, jakiego doświadczała, było całkowicie absurdalne pragnienie, żeby wyrwać tym dwóm farbowanym ladacznicom włosy z korzeniami i połamać wszystkie palce. Powiedziała sobie, że to głupie. Były po prostu kobietami interesu, robiącymi to, za co im zapłacono. Wytłumaczyła sobie, że im współczuje i to dlatego czuje się na wskroś nieszczęśliwa.

Prawie w to uwierzyła. Niemniej, wierzyła w to czy nie, była panią samej siebie, a więc również każdej sytuacji.

– Myślałam, że nie żyje – powiedziała, ruchem głowy wskazując nieprzytomnego brata. – Ale tylko zalał się w trupa. Mój błąd. – Ruszyła ku drzwiom. – Nie przerywajcie sobie, panowie. I panie.

Po czym wyszła.

* * *

Do pewnego etapu, uznał lord Dain, wszystko przebiegało jak po maśle. Wreszcie wypracował rozwiązanie przejściowego problemu z dziwkami. Skoro nie tolerował obcowania z nimi w burdelu ani na ulicy, sprowadzi je do domu.

Nie będzie to pierwszy raz.

Dziesięć lat temu, na pogrzebie ojca, wpadła mu w oko miejscowa puszczalska dziewczyna, Charity Graves, i parę godzin później wziął ją w wielkim rodowym łożu. Okazała się całkiem zabawną towarzyszką, aczkolwiek ani w połowie nie tak zabawną jak myśl o dopiero co zmarłym rodzicu, który przewraca się w grobowcu Ballisterów – a większość szacownych przodków wraz z nim.

Pewna przykrość zaistniała dziewięć miesięcy później, lecz zaradzenie jej nie nastręczyło wielkich trudności. Przedstawiciel Daina w interesach załatwił problem kosztem pięćdziesięciu funtów rocznie.

Od tamtej pory Dain ograniczał się do dziwek, które wykonywały swój zawód zgodnie z zasadami interesów i były za mądre na to, żeby produkować rozwrzeszczane bachory – a tym bardziej wykorzystywać je do prób manipulowania mężczyzną i szantażowania go.

Denise i Marguerite rozumiały zasady, Dain zaś z pewnością zamierzał wreszcie zabrać się do dzieła, jak należy.

Kiedy tylko upora się z panną Trent.

Chociaż Dain nie wątpił, że panna Trent prędzej czy później zacznie go nagabywać, nie spodziewał się, że wparuje do jego salonu. Mimo wszystko zasadniczo pozostawało to w zgodzie z jego planami. Odkąd Dain aktywnie zaangażował się w doprowadzenie jej brata do upadku, ten pogrążał się w satysfakcjonującym tempie.

Panna Trent z pewnością odgadnie przyczynę. A jako bystra kobieta, wkrótce będzie zobowiązana przyznać, że popełniła poważny błąd, pogrywając z markizem Dainem jak z byle głupcem. Postanowił, że przyzna to na kolanach. Następnie będzie go błagać o litość. I tutaj właśnie sprawy ewidentnie skręciły w złym kierunku.

Rzuciła znudzone spojrzenie na brata, kolejne na gości, a wreszcie z lekka rozbawionym wzrokiem omiotła samego Daina. Później, absolutnie spokojna, ta nieznośna istota odwróciła się i wyszła.

Przez sześć dni Dain niemal każdą godzinę na jawie spędził z jej przeklętym bratem, udając serdecznego druha tego nieznośnego imbecyla. Przez sześć dni Trent jazgotał Dainowi do ucha, deptał mu po piętach, ślinił się i dyszał, dopraszając się uwagi, i potykał się o własne stopy tudzież dowolny pechowy przedmiot lub osobę na swojej drodze. Po blisko tygodniu, gdy ten bezmózgi szczeniak zdarł mu nerwy do żywego, Dain osiągnął tyle, że znienacka stał się obiektem rozbawienia panny Trent.

– *Allez-vous en*[16] – polecił cichym głosem.

Denise i Marguerite natychmiast zeskoczyły mu z kolan i pomknęły na drugą stronę pokoju.

– No wiesz co, Dain… – zaczął łagodząco Vawtry. Dain posłał mu piorunujące spojrzenie. Vawtry sięgnął po butelkę z winem i spiesznie napełnił kieliszek.

Dain odłożył pistolet, ciężkim krokiem podążył do drzwi i wyszedł, z hukiem zatrzaskując je za sobą.

Później poruszał się szybko. Dotarł do podestu akurat w porę, żeby zobaczyć, jak siostra Trenta przystaje przy drzwiach wyjściowych i za czymś się rozgląda.

– Panno Trent – powiedział.

Nie podnosił głosu. Nie musiał. Gniewny baryton odbił się echem w holu niczym grzmot. Porywczo otworzyła drzwi i wypadła na zewnątrz. Przyglądał się, jak drzwi się zamykają, i nakazał sobie wracać do odstrzeliwania nosów gipsowym aniołkom na suficie, ponieważ jeśli za nią pójdzie, zabije ją. Co było nie do przyjęcia, Dain bowiem nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zniżał się do tego, by dać się sprowokować przedstawicielce gorszej płci.

Udzielając sobie tych porad, pokonywał już biegiem ostatni odcinek schodów i pędził przez długi hol w stronę drzwi. Szarpnął je i wypruł na zewnątrz, z impetem zatrzaskując je za sobą.

Rozdział 5

Nieomal ją stratował, ponieważ z jakiegoś szalonego powodu panna Trent nie umykała ulicą, lecz maszerowała z powrotem do jego domu.

– Niech diabli porwą jego zuchwalstwo! – zawołała, zmierzając do drzwi. – Złamię mu nos. Najpierw portier, teraz moja pokojówka… i dorożka. Miarka się przebrała.

Dain zastąpił jej drogę, masywnym ciałem zagradzając wejście.

– O nie, wykluczone. Niewiele mnie obchodzi, w co pani pogrywa…

– Pogrywam?

Cofnęła się o krok, wsparła ręce na biodrach i zadarłszy głowę, spiorunowała go wzrokiem. W każdym razie wydawało się, że piorunuje go wzrokiem. Trudno było stwierdzić to na pewno ze względu na szerokie rondo bonetu i gasnące światło.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale masywne szare chmury pogrążały Paryż w ciężkim mroku. Z oddali dobiegło niskie dudnienie grzmotu.

– Pogrywam? – powtórzyła. – To ten pański zbir w roli lokaja, który bierze przykład ze swego pana, jak się domyślam… i wyładowuje irytację na niewinnych osobach. Bez wątpienia uznał za wyśmienity żart przegnanie stąd dorożki, z moją pokojówką w środku, i pozostawienie mnie w tarapatach… kiedy w dodatku ukradł mi parasolkę.

Okręciła się na pięcie i odeszła sztywnym krokiem.

Jeśli Dain poprawnie interpretował tę tyradę, Herbert przegonił pokojówkę panny Trent, jak również wynajęty pojazd, który je tu przywiózł.

Prędko nadciągała burza. Herbert zabrał jej parasolkę, a szanse na namierzenie wolnej dorożki o tej porze, przy złej pogodzie, równały się zeru.

Dain się uśmiechnął.

– Wobec tego *adieu*, panno Trent – rzucił. – Życzę miłej przechadzki.

– *Adieu*, milordzie – odparła, nie odwracając głowy. – Życzę miłego wieczoru z pańskimi krówskami.

Krówskami?

Zwyczajnie usiłowała go sprowokować, powiedział sobie Dain. Komentarz stanowił żałosną próbę utarcia mu nosa. Zareagowanie obrazą równałoby się przyznaniu, że go ubodła. Doradził sobie, żeby się roześmiać i wracać do… krówsk.

W kilku wściekłych krokach znalazł się u jej boku.

– Ciekawi mnie, czy przemawia przez panią pruderia, czy zazdrość? – zaatakował. – Gorszy panią ich zawód… a może jedynie fakt, że natura hojniej je wyposażyła?

Nie zwolniła kroku.

– Kiedy Bertie zdradził mi, ile pan płaci, myślałam, że to ich usługi są tak horrendalnie drogie. Teraz jednak pojmuję swój błąd. Płaci pan za objętość.

– Niewykluczone, że cena jest wyśrubowana – rzekł, podczas gdy ręce świerzbiły go, żeby nią potrząsnąć. – Nie targuję się przecież tak zręcznie jak pani. Może w przyszłości poprowadziłaby pani negocjacje w moim imieniu? Opiszę wobec tego moje wymagania. Lubię…

– Kiedy są wielkie, piersiaste i głupie.

– A co ma tu do rzeczy inteligencja? – odszczeknął, dławiąc w sobie dzikie pragnienie, by zedrzeć jej z głowy bonet i go podeptać. – Nie wynajmuję ich, żeby prowadzić metafizyczne dysputy. Skoro jednak rozumie pani moje preferencje w zakresie wyglądu, przejdę szybko do wyjaśnienia, co lubię, kiedy robią.

– Wiem, że lubi pan być przez nie rozbierany. Lub może ubierany. Trudno było stwierdzić, czy dopiero zaczynały, czy kończyły przedstawienie.

– Lubię jedno i drugie – odparł przez zaciśnięte zęby. – A w czasie pomiędzy lubię…

– Zalecam, żeby w tej chwili spróbował pan samodzielnie zapiąć guziki – przerwała mu. – Spodnie zaczynają się panu nieestetycznie marszczyć nad butami.

Dopiero wtedy Dain przypomniał sobie, jak jest ubrany – czy raczej nieubrany. Odkrył, że mankiety koszuli trzepocą mu u nadgarstków, a sama koszula nadyma się na porywistym wietrze.

Chociaż słowa „nieśmiały” i „skromny” występowały w jego słowniku, nijak nie wiązały się z jego osobą. Z drugiej strony, jego ubiór, w

przeciwieństwie do charakteru, był zawsze, jak należy. Nie wspominając o tym, że kroczył ulicami najbardziej krytycznego w tych sprawach miasta na świecie.

Żar wspiął mu się na szyję.

– Dziękuję, panno Trent – rzekł spokojnie – za zwrócenie mi uwagi na tę kwestię.

Następnie, równie spokojnie i cały czas idąc przy jej boku, rozpiął resztę guzików u spodni, wepchnął w nie koszulę, po czym niespiesznie na powrót się zapiął.

Pannie Trent wyrwał się jakiś zdławiony dźwięk.

Dain spojrzał na nią ostro. Nie miał pewności, ze względu na bonet i pogłębiającą się gwałtownie ciemność, ale chyba się zarumieniła.

– Czy znalazła się pani na skraju omdlenia, panno Trent? – zagadnął. – Dlatego minęła pani miejsce, gdzie powinna skręcić?

Zatrzymała się.

– Minęłam je – odparła zduszonym głosem – ponieważ nie wiedziałam, że to tutaj.

Uśmiechnął się.

– Nie zna pani drogi do domu.

Ruszyła znowu, w kierunku wskazanej przez niego ulicy.

– Jakoś ją znajdę.

Podążył za nią za róg.

– Zamierzała pani po prostu iść pieszo, w środku nocy, do domu brata… nie mając bladego pojęcia, jak się tam dostać. Głuptasek z pani, prawda?

– Zgadzam się, że robi się ciemno, lecz z pewnością nie jest to środek nocy. Poza tym nie idę sama, a trudno uznać za głupie, że mam jako eskortę najbardziej przerażającego mężczyznę w Paryżu. Bardzo to rycerskie z pana strony, markizie. Wręcz słodkie. – Przystanęła u wylotu wąskiej uliczki. – Aha, zaczynam się orientować, gdzie jestem. Tędy dojdę do rue de Provence, zgadza się?

– Co pani powiedziała? – zapytał złowieszczo cichym głosem.

– Powiedziałam, że tędy dojdę…

– Słodkie – powtórzył, skręcając w ślad za nią.

– Tak, to tutaj. – Przyspieszyła kroku. – Rozpoznaję tę latarnię.

Gdyby była mężczyzną, dopilnowałby, żeby jej czaszka zawarła intymną znajomość z rzeczoną latarnią.

Dain uzmysłowił sobie, że zaciska pięści. Zwolnił kroku i nakazał sobie wracać do domu. Teraz. Nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę. Zachowanie tego rodzaju świadczyło nie tylko o godnym pogardy braku opanowania, lecz także o tchórzostwie. Wyłącznie tchórze używają zabójczej broni wobec bezbronnych.

– Zdaje się, że nie grozi nam już, iż będzie pani w nieskończoność błąkać się ulicami Paryża, podburzając mieszkańców do zamieszek – stwierdził cierpko. – Mogę więc z czystym sumieniem pozwolić pani dokończyć podróż solo.

Przystanęła i odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

– W pełni rozumiem. O tej porze na rue de Provence panuje zwykle tłok i mógłby zobaczyć pana któryś z przyjaciół. Lepiej niech pan już zmyka. Obiecuję, że nie pisnę słówka o pańskim rycerskim zachowaniu.

Polecił sobie roześmiać się i odejść. Robił tak wcześniej tysiące razy i wiedział, że to jeden z najlepszych sposobów. Jakże bowiem dźgać i docinać, kiedy Dain śmieje się człowiekowi w twarz? Dźgano go już w życiu i docinano mu bardziej zajadle. To tutaj było zaledwie… irytujące.

A jednak śmiech się nie pojawiał, a Dain nie potrafił odwrócić się do niej plecami.

Tymczasem zniknęła za rogiem.

Z furią podążył za nią i złapał ją za ramię, zatrzymując w miejscu.

– A teraz niech pani trzyma ten pracowity język za zębami i słucha – rzekł głosem wyzutym z emocji. – Nie jestem jednym z tych pani trzpiotów z towarzystwa, żeby mnie wyśmiewała i wykpiwała jakaś tania gąska o wygórowanym mniemaniu na temat własnego dowcipu. Nie obchodzi mnie, co ludzie widzą, myślą czy też mówią. Nie jestem rycerski, panno Trent, ani nie jestem słodki, niech diabli porwą pani impertynencję!

– A ja nie jestem jedną z pańskich głupich krów! – odgryzła się. – Nikt mi nie płaci, żebym robiła dokładnie to, co panu odpowiada, i żadne prawo na świecie mnie do tego nie zobowiązuje. Będę mówiła, co mi się podoba, a w tej chwili bezgranicznie podoba mi się doprowadzać pana do szału. Ponieważ ja właśnie tak się czuję. Zrujnował mi pan wieczór. Nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż zrujnować pański, ty zepsuty, samolubny, mściwy brutalu!

Kopnęła go w kostkę.

Tak go tym zaskoczyła, że puścił jej ramię. Zagapił się na jej stópkę obutą w trzewik.

– Dobry Boże, to naprawdę miało mnie zaboleć? – Roześmiał się. – Oszalałaś, Jess?

– Ty wielki, pijany ośle! – krzyknęła. – Jak pan śmie! – Zerwała z głowy bonet i smagnęła Daina nim w pierś. – Nie pozwoliłam panu używać mojego imienia. – Trzepnęła go znowu. – I nie jestem tanią gąską, ty tępy wole! – Łup, łup, łup.

Dain spojrzał w dół, dogłębnie skonfundowany. Zobaczył kruchą, smukłą jak brzozowa witka kobietę, która ewidentnie usiłowała wyrządzić mu krzywdę wyrobem modniarskim.

Zdaje się, że wpadła w furię. Łaskocąc go w pierś swym niedorzecznym kapeluszem, wygłaszała tyradę o jakimś przyjęciu, portrecie i pani Beaumont, oraz jak Dain wszystko zepsuł i jak bardzo tego pożałuje, ponieważ przestał ją obchodzić Bertie, z którego nie ma absolutnie żadnego pożytku, toteż wraca prosto do Anglii, otwiera sklep i osobiście wystawi na aukcję ikonę, za którą dostanie dziesięć tysięcy, a Dain niech się tym udławi.

Dain nie był pewien, czym ma się udławić, chyba że śmiechem, gdyż bez wątpienia nie oglądał dotąd w życiu zjawiska tak niebywale zabawnego jak panna Jessica Trent w napadzie szału.

Policzki jej się zaróżowiły, oczy miotały srebrne iskry, a jedwabiste czarne włosy rozsypywały się na plecach.

Były intensywnie czarne, równie smoliste jak jego własne. Ale inne. On miał włosy grube, szorstkie i kręcone. Jej przywodziły na myśl falujący jedwabny welon.

Kilka pasm uwolniło się ze szpilek i kołysało kusząco na wysokości jej biustu.

To wtedy się rozkojarzył.

Obcisła jasnozielona pelisa, zapięta aż po jej białą szyję, podkreślała wypukłości piersi.

W zestawieniu z, powiedzmy, hojnie wyposażoną Denise, kształty panny Trent wypadałoby określić jako nikłe. Niemniej w proporcji do smukłej, drobnokościstej sylwetki i cieniutkiej talii owe kobiece krągłości okazywały się raptem więcej niż wystarczające.

Lorda Daina zaczęły świerzbić palce, w trzewiach zwijał mu się wąż żaru.

Łaskoczący bonet zaczął go drażnić. Chwycił go, zmiażdżył w dłoni i rzucił na ziemię.

– Wystarczy – oznajmił. – Zaczyna mnie to irytować.

– Irytować?! – wykrzyknęła. – Irytować? Już ja cię zirytuję, ty nadęty patafianie!

Cofnęła się, zwinęła dłoń w pięść i grzmotnęła go w splot słoneczny.

Był to dobry, solidny cios i gdyby za obiekt ataku obrała mniej postawnego mężczyznę, ten by się zachwiał.

Dain ledwie cokolwiek poczuł. Leniwe krople deszczu rozpluskujące mu się na głowie wywierały mniej więcej taki sam efekt.

Zobaczył jednak, że skrzywiła się, gwałtownie cofając rękę, i uzmysłowił sobie, że zrobiła sobie krzywdę, a wówczas zachciało mu się wyć. Złapał jej dłoń, po czym natychmiast puścił, przerażony, że mimowolnie ją zmiażdży.

– Oby cię piekło pochłonęło! – ryknął. – Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju, ty dżumo w kobiecej postaci!

Bezpański kundel, węszący przy latarni, pisnął i umknął.

Pannie Trent nie drgnęła nawet powieka. Stała i z ponurym uporem wpatrywała się w miejsce, gdzie uderzyła Daina, jakby na coś czekając.

Nie wiedział na co. Wiedział jedynie – przy czym nie miał pojęcia, skąd w nim owa pewność, niemniej zdawała się ona równie nieuchronna jak pędząca ku nim rozszalała burza – że jeszcze tego nie dostała i nie odejdzie, dopóki nie dostanie.

– Czego chcesz, u diabła?! – krzyknął. – Co, do cholery, jest z tobą nie tak?

Nie odpowiedziała.

Zdawkowe plaśnięcia deszczu przerodziły się w miarowe bębnienie na trotuarze. Krople połyskiwały na jej włosach i migotały na zaróżowionych policzkach. Jedna pomknęła wzdłuż jej nosa do kącika ust.

– Niech to szlag! – rzucił.

A potem przestało go obchodzić, co miażdży czy łamie. Zamknął monstrualne łapska wokół jej talii i uniósł ją, aż jej mokra, nadąsana twarz znalazła się na wysokości jego własnej. I natychmiast, zanim miała szansę krzyknąć, przywarł twardymi, rozwiązłymi ustami do jej ust.

W tejże chwili otworzyły się niebiosa, spuszczając w dół strumienie wody.

Deszcz tłukł go w głowę, a dwie drobne, zaciśnięte w pięści dłonie w rękawiczkach okładały go po barkach i piersi.

Żadna z tych okoliczności ani trochę go nie frasowała. Był przecież Dainem, lordem Belzebubem we własnej osobie.

Niestraszny był mu gniew natury, podobnie jak gniew cywilizowanego społeczeństwa. I z pewnością nie przejmował się oburzeniem panny Trent.

Słodki, czy tak? Był wielkim, odrażającym, rozpustnym wieprzem, a jeśli sądziła, że wywinie mu się po zaledwie jednym odstraszającym cmoknięciu zdemoralizowanych warg, będzie musiała przemyśleć rzecz ponownie.

W jego pocałunku trudno by doszukiwać się słodyczy czy rycerskości. Stanowił twardą, bezwstydną, bezlitosną napaść, aż głowa dziewczyny odchyliła się do tyłu.

Przez jedną przerażającą chwilę sądził, że złamał jej kark.

Ale nie mogła być martwa, ponieważ nadal młóciła go pięściami i się wykręcała. Owinął ją ciasno ramieniem w talii, drugą ręką unieruchomił jej głowę.

Momentalnie przestała młócić i się wykręcać. I w tejże chwili jej szczelnie zaciśnięte wargi ustąpiły przed jego najazdem tak niespodziewanie, że zachwiał się i zrobił krok w tył, wpadając na latarnię.

Z całych sił oplotła mu szyję ramionami.

Madonna in cielo[17].

Najsłodsza Matko Jezusa, ta obłąkana kobieta odwzajemniała pocałunek.

Ochoczo przywarła do jego warg ciepłymi, miękkimi ustami, świeżymi jak wiosenny deszcz. Pachniała mydłem – rumiankowym – a także mokrą wełną i kobietą.

Nogi zachwiały się pod nim.

Oparł się plecami o latarnię, poluzowując miażdżący uścisk, gdyż mięśnie zmieniały mu się w gumę. Mimo to Jessica lgnęła do niego, jej smukłe, rozkosznie wyrzeźbione ciało zsuwało się po nim wolno, aż palcami stóp dotknęła chodnika. Przy czym nadal nie puszczała jego szyi. Nadal nie odrywała warg od jego ust. Całowała go równie słodko, z niewinną żarliwością, jak on ją śmiało i lubieżnie.

Topił się od tego dziewiczego żaru niczym słup soli w strugach deszczu.

Przez wszystkie te lata, odkąd ojciec odesłał go do Eton, żadna kobieta nie zrobiła dla niego nic, dopóki nie wcisnął jej pieniędzy do ręki. Lub – jak w przypadku pewnej szacownej niewiasty, za którą wielce niefortunnie uganiał się niespełna osiem lat temu – dopóki nie podpisał dokumentów, przekazując w jej ręce swe ciało, duszę i majątek.

Panna Jessica Trent uczepiła się go tak, jakby od tego zależało jej życie, i całowała go, jakby świat miał się skończyć, jeśli przestanie, przy czym nie było tu miejsca na żadne „dopóki”.

Zdumiony i rozpalony zarazem, niepewnie przeciągnął potężnymi dłońmi po jej plecach i otoczył drżącymi palcami rozkosznie filigranową talię. Nigdy wcześniej nie trzymał czegoś takiego jak ona – tak uroczo smukłego i gibkiego, wyrzeźbionego z delikatną perfekcją. Poczuł bolesny ucisk w piersi, miał chęć zapłakać. *Sognavo di te*. Śniłem o tobie.

Ti desideravo nelle mia braccia dal primo momento che ti vedi. Pragnąłem wziąć cię w ramiona od chwili, gdy cię poznałem.

Stał bezradny w ulewnym deszczu, niezdolny zapanować nad złaknionymi ustami, niespokojnymi dłońmi, podczas gdy serce biło mu do rytmu upokarzającej prawdy. *Ho bisogno di te.* Potrzebuję cię.

Całkiem jakby to ostatnie stanowiło zniewagę tak potworną, że nawet niedbały zwykle Najwyższy nie mógł puścić jej płazem, mrok rozciął błysk światła, po którym natychmiast rozległ się gwałtowny huk, wstrząsając chodnikiem.

Oderwała się od niego i cofnęła chwiejnie, dociskając dłoń do ust.

– Jess – powiedział, sięgając, by przyciągnąć ją z powrotem. – *Cara*, ja…

– Nie. O Boże. – Odgarnęła z twarzy mokre włosy. – Niech cię szlag, Dain!

A potem odwróciła się i uciekła.

* * *

Jessica Trent była młodą kobietą, która nie zwykła chować głowy w piasek, toteż kiedy ociekając wodą, wspinała się po schodach do mieszkania brata, stawiła czoło faktom.

Po pierwsze, skorzystała z pierwszej okazji, żeby zapolować na lorda Daina.

Po drugie, wpadła w głębokie przygnębienie, które momentalnie ustąpiło miejsca napędzanej zazdrością furii, ponieważ zastała dwie kobiety usadowione na jego kolanach.

Po trzecie, nieomal się popłakała, kiedy tak obraźliwie wypowiadał się o jej wdziękach i nazwał ją tanią gąską.

Po czwarte, sprowokowała go do napaści.

Po piąte, o włos go nie udusiła, domagając się, by owa napaść trwała jak najdłużej.

Po szóste, trzeba było uderzenia pioruna, żeby ją od niego oderwać.

Kiedy dotarła do drzwi mieszkania, bardzo ją kusiło, by walić o nie głową.

– Idiotka, idiotka, idiotka – mamrotała, łomocąc do wrót.

Otworzył jej Withers. Rozdziawił usta.

– Withers – powiedziała. – Zawiodłam cię. – Wkroczyła do mieszkania. – Gdzie jest Flora?

– Ojej… – Withers rozejrzał się bezradnie.

– Ach, czyli jeszcze nie wróciła. Ani trochę mnie to nie dziwi. – Jessica ruszyła do pokoju babki. – W rzeczy samej, nie będę biedaczki winić, jeśli nakłoni woźnicę, żeby zabrał ją prosto do Calais, a stamtąd łodzią wiosłową przez kanał.

Zapukała do drzwi Genevieve.

Babka otworzyła, przez długą chwilę przyglądała się Jessice, po czym zwróciła się do Withersa:

– Panna Trent potrzebuje gorącej kąpieli – oznajmiła. – Dopilnuj, proszę, żeby ktoś się tym zajął, i to szybko.

Następnie ujęła Jessicę za ramię, wciągnęła do pokoju, posadziła i zdjęła jej przemoczone trzewiki.

– Pójdę na to przyjęcie – oznajmiła Jessica, dłubiąc przy zapinkach pelisy. – Niech sobie Dain robi ze mnie głupią, ale nie zepsuje mi wieczoru. Nie obchodzi mnie, czy cały Paryż widział. To on powinien się wstydzić: żeby biegać półnagi po ulicach. A kiedy mu przypomniałam, że jest półnagi, jak myślisz, co zrobił?

– Kochana, przerasta to możliwości mojej wyobraźni. – Genevieve sprawnie zdejmowała wnuczce jedwabne pończochy.

Jessica opowiedziała jej, jak leniwie rozpiął spodnie.

Genevieve dostała spazmów ze śmiechu.

Jessica spojrzała na nią chmurnie.

– Niełatwo mi przyszło zachować powagę… ale nie to okazało się najtrudniejsze. Najtrudniejsze… – Westchnęła. – Och, Genevieve. Był taki rozkoszny. Chciałam go pocałować. Prosto w ten wielki, piękny nos. A potem we wszystkie inne miejsca. Szalenie mnie to frustrowało. Postanowiłam, że nie wybuchnę, ale nic z tego. No więc biłam go i biłam, aż mnie pocałował. A potem biłam go dalej, aż zrobił to, jak należy. I powinnam ci wyznać, jakkolwiek to upokarzające, że gdyby nie uderzył w nas piorun… czy też prawie… zrujnowałby mnie dokumentnie. Pod latarnią. Na rue de Provence. A potworne jest to – jęknęła – że żałuję, iż tak się nie stało.

– Wiem – powiedziała kojąco Genevieve. – Wierz mi, kochana, wiem.

Rozebrała Jessicę do końca – jako że dziewczyna nie była w stanie zrobić wiele więcej poza paplaniem i bezmyślnym gapieniem się na meble – owinęła ją w szlafrok, usadowiła w fotelu przy kominku i kazała służbie podać brandy.

* * *

Jakieś pół godziny po tym, jak Jessica Trent mu uciekła, lord Dain, przemoczony do cna, ściskając w dłoni pokiereszowany bonet, wkroczył przez drzwi, które otworzył mu drżący Herbert. Zignorowawszy lokaja, markiz podążył przez hol i schodami w górę, a następnie korytarzem do swojej sypialni. Cisnął bonet na fotel, zdjął ociekające wodą ubrania, wytarł się do sucha, ubrał w świeże rzeczy i wrócił do swoich gości.

Nikt, nawet dziwki, nie okazał się na tyle zuchwały bądź pijany, żeby domagać się od niego sprawozdania, dokąd poszedł i czym się zajmował. Dain rzadko zawracał sobie głowę tłumaczeniem swoich poczynań. Nie odpowiadał przed nikim.

Oznajmił im tylko, że jest głodny i wychodzi coś zjeść, oni zaś mogą robić, co im się podoba. Wszyscy poza Trentem, niezdolnym do czynności wykraczających poza oddychanie – czemu oddawał się nader hałaśliwie – towarzyszyli Dainowi do restauracji w Palais-Royal. Stamtąd udali się do Vingt-Huit, gdzie odkryli, że tego właśnie dnia przybytek zamknięto. Ponieważ żaden inny lokal nie oferował tak różnorodnego wyboru, kompania rozbiła się na mniejsze grupki, z których każda ruszyła szukać

swojej preferowanej rozrywki. Dain skierował się do szulerni wraz ze swoimi… krówskami oraz Vawtrym i jego krówskiem.

O trzeciej nad ranem Dain wyszedł, sam, i wędrował ulicami.

Te jego wędrówki zawiodły go w okolice domu madame Vraisses, akurat kiedy goście zaczynali wychodzić.

Stał pod drzewem, daleko poza zasięgiem wątłego migotania samotnej latarni, i obserwował.

Marudził tak od blisko dwudziestu minut, kiedy ujrzał wyłaniającego się z budynku d'Esmonda, z Jessicą Trent wspartą na jego ramieniu. Rozmawiali i się śmiali.

Zamiast niedorzecznego bonetu miała na głowie szaloną kompozycję z włosów, jeszcze bardziej groteskową. Z czubka głowy wyrastały jej błyszczące węzły i zwoje, a z nich dyndały pióra i perły. W opinii Daina cała ta koafiura była zwyczajnie głupia.

Właśnie dlatego pragnął wyrwać perły, pióra i szpilki… i przyglądać się, jak jedwabisty czarny welon spływa falami na jej ramiona… białe, połyskujące w świetle latarni.

Za dużo połyskiwało tej bieli, odnotował z narastającą irytacją. Przesadnie wielkie, baloniaste rękawy srebrno-niebieskiej sukni nawet nie sięgały ramion. Zaczynały się w połowie drogi do łokci, pedantycznie zakrywając wszystko od tamtego punktu w dół – to zaś, co powinno być ukryte, pozostawiając zuchwale wystawione na spojrzenia wszystkich śliniących się łajdaków w Paryżu.

Każdy mężczyzna na przyjęciu zlustrował, niespiesznie i z bliska, te białe krągłości.

Podczas gdy Dain, niczym książę ciemności, za którego powszechnie go uważano, stał na zewnątrz, przyczajony w cieniu.

Nie czuł się w tej chwili zanadto szatańsko. Czuł się, gdyby wyznać upokarzającą prawdę, jak przymierający głodem ulicznik, który przyciska nos do witryny ciastkarni.

Przyglądał się, jak ona wspina się do powozu. Drzwi się zamknęły i pojazd odjechał leniwie.

Chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć lub usłyszeć, Dain zaśmiał się cicho. Tej nocy śmiał się bardzo wiele, nie zdołał jednak śmiechem przegonić prawdy.

Od razu wiedział, że ona oznacza kłopoty – jak zresztą każda przyzwoita kobieta.

– Żona czy kochanka, bez różnicy – mawiał często do przyjaciół. – Jeśli pozwolicie, by uczepiła się was dama, cnotliwa czy nie, to jakbyście zostali właścicielami kłopotliwego lokalu, w który bez końca wlewacie pieniądze i pracę, a najemcy i tak nieustannie mają o coś pretensje. A wszystko to dla sporadycznego przywileju (oczywiście pod warunkiem że dama będzie mieć taki kaprys) dostania tego, co każda uliczna dziwka dałaby wam za kilka szylingów.

Pragnął jej, tak, lecz bynajmniej nie po raz pierwszy kobieta z owego nieakceptowalnego gatunku wzbudziła w nim żądzę. Pożądał ich, zawsze wszakże pozostawał świadom grząskiej pułapki, w którą takie kobiety muszą go zwabić – ponieważ w tym celu się urodziły i tak zostały wychowane.

A ohydna prawda przedstawiała się tak, że Dain wszedł prosto w tę pułapkę, po czym oszukiwał sam siebie, że tego nie zrobił – lub że jeśli jednak, nie ma się czym przejmować, ponieważ nie istnieje już jama na tyle głęboka ani bagno na tyle gęste, by go uwięzić.

Zatem co cię tu trzyma? – pytał sam siebie. Co za potężna siła zawlekła cię tutaj i kazała gapić się głupio, niczym zauroczony szczeniak, na byle dom, ponieważ ona przebywała w środku? Jakie łańcuchy przykuły cię do tego miejsca w oczekiwaniu, żeby choć rzucić na nią okiem?

Dotyk. Pocałunek.

Odrażające, powiedział sobie.

Bo też było to odrażające, lecz zarazem prawdziwe, on zaś nienawidził tej prawdy i nienawidził Jessiki Trent za to, że do niej doprowadziła.

Powinien był wywlec ją z powozu, myślał, powyciągać jej z włosów te tandetne damskie ozdóbki, wziąć, co chciał, a później odejść ze śmiechem, jak na pozbawionego sumienia potwora przystało.

Co lub kto by go powstrzymał? Przed rewolucją niezliczeni zdeprawowani arystokraci postępowali w ten właśnie sposób. Nawet teraz, któż by go oskarżył? Jego reputacja była powszechnie znana. Powiedziano by, że panna Trent sama jest sobie winna, skoro weszła mu w drogę. Prawo nie pomściłoby jej honoru. Zadanie spadłoby na Bertiego Trenta… pojedynek na pistolety z odległości dwudziestu kroków.

Dain z ponurym uśmiechem porzucił swoje stanowisko obserwacyjne i leniwie ruszył ulicą. Znalazł się w pułapce, ale już tak bywało, napominał się. Bywało, że tkwił na zewnątrz, cierpiąc w samotności, ponieważ nie wpuszczano go do środka. Zawsze jednak w końcu wygrywał. Zmusił szkolnych dręczycieli, żeby go szanowali i zazdrościli mu. Po dziesięciokroć odpłacił ojcu za każde upokorzenie i ranę. Stał się najgorszym sennym koszmarem starego drania w tym życiu i, wypadało mieć nadzieję, najbardziej gorzką torturą po śmierci.

Nawet Susannah, która wodziła go za nos przez sześć żałosnych miesięcy, spędziła potem każdą świadomą chwilę, doznając w konsekwencji ucierania swego ślicznego noska.

To prawda, że Dain w tamtym czasie nie tak postrzegał sytuację, ale mężczyzna niczego nie widzi, jak należy, kiedy kobieta zatopi w nim szpony i rozrywa go na strzępy.

Obecnie widział nader wyraźnie: letni dzień 1820 roku, kolejny pogrzeb, blisko rok po pogrzebie jego ojca.

Tym razem w obsypanej kwiatami błyszczącej trumnie leżał Wardell. Podczas pijackiej bójki o dziwkę na dziedzińcu stajennym gospody upadł na bruk i rozbił sobie czaszkę.

Po pogrzebie Susannah, najstarsza z pięciu młodszych sióstr Wardella, odciągnęła markiza Daina na bok i podziękowała mu za to, że przybył aż z Paryża. Jej biedny brat – otarła dzielnie łzę – ogromnie go cenił. Położyła dłoń na jego dłoni. Po czym, rumieniąc się, cofnęła ją gwałtownie.

– Ach tak, mój różany pączku – mruknął cynicznie Dain. – Zgrabnie to rozegrałaś.

Bo też tak było, gdyż tym dotykiem Susannah go zwiodła. Zwabiła go do swojego świata – wytwornego towarzystwa – którego nauczył się unikać lata wcześniej, wystarczyło bowiem, żeby spojrzał na młodą damę, a ta robiła się szara na twarzy, podczas gdy jej przyzwoitki wpadały w histerię. Jedyne dziewczęta, jakie kiedykolwiek z nim tańczyły, były siostrami jego przyjaciół, przy czym wypełniały tylko nieprzyjemny obowiązek, pragnąc uwinąć się z nim jak najszybciej.

Ale nie Susannah. Nie mogła tańczyć ze względu na żałobę, mogła wszakże rozmawiać i robiła to, patrząc przy tym na niego, jakby był rycerzem w lśniącej zbroi, sir Galahadem we własnej osobie.

Po czterech miesiącach otrzymał pozwolenie, by przez dwadzieścia sekund trzymać jej obleczoną w rękawiczkę dłoń. Kolejne dwa miesiące zajęło mu zebranie się na odwagę, żeby ją pocałować.

W ogrodzie różanym jej stryja szarmancki rycerz złożył cnotliwy pocałunek na policzku damy swego serca.

Nieomal w tej samej chwili, jakby na dany sygnał, z krzaków wyfrunęło stadko rozwrzeszczanych kobiet – matka, ciotka, siostry. Moment później znalazł się zamknięty w gabinecie ze stryjem Susannah, gdzie surowo rozkazano mu zadeklarować zamiary. Będąc wówczas naiwnym, zauroczonym szczeniakiem, Dain oznajmił, że są honorowe.

Zaraz potem miał w dłoni pióro, a przed sobą gigantyczny stos dokumentów, które rozkazano mu podpisać.

Nawet teraz Dain nie potrafił powiedzieć, jakim cudem znalazł w sobie dość przytomności umysłu, żeby najpierw je przeczytać. Być może pewien wpływ wywarł tu fakt, że usłyszał dwa rozkazy z rzędu, a nie nawykł do przyjmowania jakichkolwiek komend.

Bez względu na przyczynę, odłożył pióro i zaczął czytać.

Odkrył, że w zamian za przywilej poślubienia jego rumianego pączka wolno mu będzie pospłacać wszystkie długi zmarłego brata Susannah, jak również długi jej stryja, ciotki, matki i jej własne, teraz i na wieki wieków, dopóki śmierć nas nie rozłączy, amen.

Dain uznał tego rodzaju inwestycję za lekkomyślną i tak też powiedział.

Surowo przypomniano mu, że skompromitował niewinną dziewczynę z dobrej rodziny.

– Więc mnie zastrzelcie – odparł. I wyszedł.

Nikt nie próbował do niego strzelać. Kilka tygodni później, już po powrocie do Paryża, dowiedział się, że Susannah poślubiła lorda Linglaya.

Linglay był sześćdziesięciopięcioletnim rozpustnikiem o wyglądzie dziewięćdziesięciolatka, który różowił sobie policzki, kolekcjonował obsceniczne tabakierki i podszczypywał tudzież obłapiał każdą posługaczkę na tyle głupią, by zawędrowała w zasięg jego trzęsących się rąk. Spodziewano się, że nie przeżyje nocy poślubnej.

Nie tylko przeżył, lecz zdołał zapłodnić młodą żonę, co następnie powtarzał w szybkim tempie. Ledwie wydała na świat jednego bachora, już zasiewał w niej kolejnego.

Lord Dain w szczegółach wyobrażał sobie swą dawną miłość w ramionach umalowanego, trzęsącego się, spoconego, zaślinionego małżonka, napawając się tymi detalami, kiedy w oddali odezwały się dzwony Notre Dame.

Uzmysłowił sobie, że rozbrzmiewają cokolwiek dalej, niżby należało, gdyby znajdował się na rue de Rivoli, gdzie mieszkał i dokąd powinien już do tej pory dotrzeć.

Wówczas przekonał się, że jest na niewłaściwej ulicy, w ogóle w niewłaściwej okolicy.

Jego skonsternowane spojrzenie padło na znajomo wyglądającą latarnię.

Nastrój, który poszybował mu w górę dzięki obrazom ziemskiego piekła Susannah, natychmiast znów zatonął w grzęzawisku, wciągając w nie umysł, ciało i duszę Daina.

Dotknij mnie. Przytul. Pocałuj.

Skręcił za róg, w ciemną, wąską uliczkę, gdzie puste, pozbawione okien ściany nie mogły niczego zobaczyć ani powtórzyć. Docisnął czoło do zimnego kamienia i jakoś przetrwał, ponieważ nie miał wyboru. Nie potrafił powstrzymać bólu, skręcającego mu trzewia.

Potrzebuję cię.

Jej wargi lgnące do jego warg… jej ręce, trzymające go mocno. Miękka i ciepła, smakowała deszczem, i słodko, nieznośnie słodko było choć przez chwilę wierzyć, że chciała znaleźć się w jego ramionach.

Wierzył w to w tamtej chwili i pragnął wierzyć nadal, i nienawidził siebie za to pragnienie, i nienawidził jej, ponieważ je w nim wzbudziła.

Toteż, zacisnąwszy zęby, lord Dain wyprostował się i ruszył w drogę, znosząc tę udrękę i mówiąc sobie, że ona za to zapłaci. W swoim czasie.

Wszyscy płacili. W swoim czasie.

Rozdział 6

Po południu dzień po przyjęciu u madame Vraisses nieszczęśliwy Roland Vawtry zapłacił Francisowi Beaumontowi dwieście funtów.

– Sam to widziałem – stwierdził Vawtry, kręcąc głową. – Z okna. Mimo to nie uwierzyłbym, gdyby nie fakt, że inni też widzieli. Po prostu wyszedł i ścigał ją ulicą. Żeby ją odstraszyć, jak przypuszczam. Zapewne w tej właśnie chwili panna pakuje walizki.

– Bawiła wczoraj wieczorem na uroczystości odsłonięcia portretu – poinformował go z uśmiechem Beaumont. – Chłodna, opanowana i pewna siebie, gładko zarządzała rojem dyszących wielbicieli. Kiedy panna Trent zdecyduje się pakować, będzie to jej wyprawa ślubna. A bielizna pościelowa zostanie przyozdobiona literą D, jak Dain.

– To zupełnie nie tak – żachnął się Vawtry. – Wiem, co zaszło. Dain nie lubi, kiedy mu się przerywa. Nie lubi nieproszonych gości. A kiedy czegoś nie lubi, pozbywa się tego. Albo ściera na miazgę. Gdyby była mężczyzną, rozgromiłby ją. Ponieważ nie jest, przepędził ją.

– Trzysta – rzucił Beaumont. – Trzysta, że do urodzin króla panna Trent zostanie markizą Dain.

Vawtry zdusił uśmiech. Cokolwiek Dain zrobi bądź czego nie zrobi z panną Jessicą Trent, nie poślubi jej.

Nie w tym rzecz, że Dain nigdy się nie ożeni. Uczyni to jednak wyłącznie dlatego, żeby przysporzyć więcej wstydu rodzinie, zaszokować i wzbudzić odrazę zarówno jej żyjących członków – garstki dalekich kuzynów – jak i legionu zmarłych. Panna młoda ani chybi będzie kochanką powszechnie znanego zdrajcy lub mordercy, wdową po nim albo jego córką. A przy tym także słynną ladacznicą. Ideał stanowiłaby burdelmama, pół-Irlandka, Mulatka i Żydówka, której ostatniego kochanka powieszono za stosunki analne z jedyną prawowitą potomkinią księcia Kentu, dziewięcioletnią Aleksandrą Wiktorią, a następnie jej uduszenie. Markiza Dain będąca dziewicą, która odebrała staranne wychowanie, wywodzącą się

z szanowanej – nawet jeśli ekscentrycznej – rodziny, absolutnie nie wchodziła w rachubę.

Ślub Daina – z kimkolwiek – w ciągu zaledwie dwóch miesięcy wydawał się tak dalece wykluczony, jakby przynależał do innej galaktyki.

Vawtry przyjął zakład.

Nie był to jedyny zakład zawarty w tym tygodniu w Paryżu i bynajmniej nie największy spośród tych, gdzie pojawiały się nazwiska Dain i Trent.

Prostytutki, które były świadkami wtargnięcia panny Trent do salonu Daina i jego późniejszego pościgu za nią, opowiedziały o zdarzeniu przyjaciółkom i klientom. Goście płci męskiej również relacjonowali tę historię, wzbogaconą o typowe ozdobniki, każdemu, kto chciał słuchać, a to oznaczało wszystkich.

Każdy też, oczywiście, miał na ten temat własne zdanie. Wielu na poparcie tego zdania wykładało pieniądze. Nim minął tydzień, w Paryżu kipiało i wrzało jak wśród rzymskiej tłuszczy wokół areny, niecierpliwie oczekującej walki na śmierć i życie między dwoma najpotężniejszymi gladiatorami.

Problem polegał na tym, jak sprowadzić walczące strony na jedną arenę. Panna Trent poruszała się w wytwornym towarzystwie. Lord Dain grasował w półświatku. W taki oto sposób, zupełnie nie licząc się z innymi, unikali się nawzajem. Żadnego z nich nie dało się też nakłonić lub podstępem doprowadzić do wypowiedzi na temat tego drugiego.

Lady Wallingdon, która mieszkała w Paryżu od osiemnastu miesięcy i większość tego czasu poświęciła staraniom, z różnym rezultatem, by zostać jego pierwszą i najważniejszą gospodynią, dostrzegła swoją życiową szansę i natychmiast ją pochwyciła.

Śmiało zaplanowała bal na ten sam dzień, kiedy jedna z jej rywalek urządzała bal maskowy. Przypadkiem wypadało to dokładnie dwa tygodnie po sławetnej scenie pościgu ulicami za panną Trent. Mimo że lady Pembury i jej dwoje wnucząt nie kwalifikowali się jako *crème de la crème* ani paryskiego, ani londyńskiego towarzystwa i w innych okolicznościach lady Wallingdon nie zawracałaby sobie nimi głowy, zaprosiła ich na bal.

Zaprosiła także lorda Daina.

Następnie zadbała, żeby wszyscy o tym usłyszeli. Jakkolwiek lady Wallingdon, podobnie jak co najmniej pół Paryża, uważała, że markiz został podbity przez pannę Trent, nie oczekiwała, że się zjawi. Powszechnie

rozumiano, że jego uczestnictwo w szacownym wydarzeniu towarzyskim jest mniej więcej tak prawdopodobne jak to, że zaprosi kata, by przetestował na nim ostrze gilotyny.

Z drugiej strony, wobec panny Trent Dain zachował się już w sposób nieprawdopodobny, tym samym więc istniała szansa. A kiedy istnieje szansa, że wydarzy się niemożliwe, zawsze znajdą się ludzie, którzy zechcą być na miejscu, na wypadek gdyby istotnie do tego doszło.

W przypadku lady Wallingdon okazało się, że są to właśnie ci ludzie, których zaprosiła. Nie nadszedł ani jeden liścik z wyrazami ubolewania. Nawet, ku jej zaniepokojeniu, od lorda Daina.

Zarazem Dain nie poinformował także o przyjęciu zaproszenia, przynajmniej więc nie musiała udawać niewiedzy, czy się zjawi, i obawiać się, że ktoś przyłapie ją na kłamstwie. Mogła z czystym sumieniem utrzymywać pozostałych zaproszonych w niepewności. Na wszelki wypadek wynajęła dwunastu postawnych francuskich służących jako uzupełnienie własnego personelu.

* * *

Tymczasem Jessica stopniowo uznawała swoją porażkę. Po zaledwie trzech spotkaniach z Dainem prosty zwierzęcy pociąg zintensywniał, przekształcając się w bezmyślne zadurzenie. Doświadczane przez nią objawy, nie dość, że złośliwe, stały się zauważalne.

Na przyjęciu u madame Vraisses pan Beaumont poczynił kilka przebiegłych uwag na temat Daina. Jessica, której nerwy nadal wibrowały na skutek wstrząsów następczych po pewnym burzliwym uścisku, zareagowała stanowczo zbyt ostro. Chytry uśmieszek Beaumonta powiedział jej, że typ odgadł, na czym polega jej problem, przy czym ani trochę by jej nie zdziwiło, gdyby poinformował o tym Daina.

Ale tydzień po przyjęciu Beaumontowie znienacka wyjechali z Paryża, a Dain od czasu owego druzgocącego pocałunku w samym sercu burzy nie zbliżył się do Jessiki bardziej niż na milę.

Wynikało z tego, że jeśli nawet przekazano mu, iż Jessica Trent się w nim zadurzyła, ani trochę o to nie dbał. Co w pełni jej odpowiadało, zapewniała samą siebie.

Ponieważ markiz Dain potrafił dbać o dowolną kobietę wyłącznie w jeden sposób, mianowicie tak długo, jak potrzeba, żeby powalić ją na łóżko lub stół w gospodzie, rozpiąć spodnie, załatwić wiadomą sprawę i zapiąć je z powrotem.

Zadurzona czy nie, Jessica miała za wiele rozumu, by kusić los, ryzykując kolejne spotkanie z Dainem, kiedy mógłby osobiście zobaczyć jej żenujący stan i wpaść na pomysł, że zadba o nią w praktykowany przez siebie sposób.

Ledwie skończyła przekonywać samą siebie, że postąpi inteligentnie, jeśli natychmiast opuści Paryż, kiedy przyszło zaproszenie od lady Wallingdon.

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a Jessica wiedziała – podobnie jak cały Paryż – że Daina także zaproszono.

Odgadnięcie powodu nie wymagało geniuszu: spodziewano się, że ona i Dain dostarczą głównej rozrywki. Pojmowała również, że mnóstwo pieniędzy przejdzie z rąk do rąk w zależności od tego, jak się zaprezentuje przed jego lordowską mością.

Postanowiła, że nie chce brać w tym udziału.

Genevieve zdecydowała inaczej.

– Jeśli on pójdzie, a ciebie tam nie będzie, poczuje się upokorzony – tłumaczyła. – Nawet jeśli tylko chce iść, z dowolnego powodu, i dowie się, że ty się nie zjawisz, zareaguje tak samo. Wiem, że to irracjonalne i niesprawiedliwie, ale mężczyźni często tacy są, zwłaszcza w sprawach, które w ich wyobrażeniu godzą w ich dumę. Lepiej weź udział w tym balu, inaczej zaryzykujesz, że wpadnie w szał i odegra się na tobie, by ulżyć zranionym uczuciom.

Jakkolwiek Jessica mocno wątpiła, czy Dain posiada uczucia, które można by zranić, miała także świadomość, że Genevieve dysponuje o kilka dekad bogatszym doświadczeniem z mężczyznami. Licznymi mężczyznami.

Zaproszenie zostało przyjęte.

* * *

Dain wahał się, co począć z zaproszeniem lady Wallingdon.

Część umysłu zalecała, żeby je spalił.

Inna sugerowała olanie go ciepłym moczem.

Jeszcze inna doradzała, by wepchnął je szacownej damie do gardła.

Ostatecznie wrzucił je do kufra kryjącego, obok różnych pamiątek z podróży, jeden pomięty bonet i jedną falbaniastą parasolkę. Za sześć miesięcy od teraz, powiedział sobie, spojrzy na te rzeczy i wybuchnie śmiechem. Wtedy je spali, podobnie jak, lata wcześniej, spalił rękawiczki, które nosił, kiedy Susannah po raz pierwszy dotknęła jego dłoni, piórko, które odpadło od jej bonetu, oraz liścik z zaproszeniem na tamto fatalne przyjęcie w domu jej stryja.

Teraz musiał tylko zdecydować, jak najlepiej wyrównać rachunki z panną Trent oraz świętoszkowatymi hipokrytami, którzy oczekiwali, że ona dokona cudu i rzuci lorda Belzebuba na kolana.

Wiedział, że to dlatego lady Wallingdon go zaprosiła. Szacowny Paryż niczego nie pragnął równie mocno, jak oglądać jego upadek. Okoliczność, że w roli pogromczyni występowała wiotka angielska stara panna, czyniła taką perspektywę jeszcze bardziej rozkoszną. Nie wątpił, że każdy pyszałkowaty bałwan w Paryżu modli się, by poniósł z jej rąk klęskę – im bardziej sromotną, tym lepiej.

Pragnęli moralitetu, *Triumfu cnoty* lub innej tego rodzaju szmiry.

Mógł kazać im czekać z zapartym tchem, aż się poduszą, podczas gdy scena pozostanie pusta. Całkiem podobał mu się taki obrazek: kilkaset dusz umierających z niepewności, podczas gdy Belzebub zabawia się gdzie indziej, śmiejąc się i pijąc szampana, z usadowionym mu na kolanach tłumem wymalowanych nierządnic.

Z drugiej strony, rozkosznie byłoby zaśmiać się im w twarz, wkroczyć na scenę i odegrać przedstawienie, którego nie zapomną. Ta wizja również kryła swój urok: godzina szatańskiej awantury w jednej z najbardziej obyczajnych i ekskluzywnych sal balowych w dzielnicy Faubourg St. Germain. Następnie, w punkcie kulminacyjnym, porywa pannę Jessicę Trent w ramiona, uderza kopytem o podłogę i znika wraz z nią w chmurze dymu.

Ledwie wyczarował tę scenkę, odrzucił ją jako sprzeczną ze swymi celami. Jessicę Trent należało zignorować, tak by zarówno ona, jak i wszyscy inni zrozumieli, że nie ma nad nim żadnej władzy. Powinien raczej zgarnąć naręcze przypadkowych kobiet, wywlec je z sali i porzucić ogłupiałe z przerażenia na cmentarzu.

Z tym wszakże wiązałoby się sporo zachodu, a Paryż nie zasługiwał na tyle rozrywki. Lepiej niech sobie umiera z rozczarowania.

I tak krążyły jego myśli, ze skrajności w skrajność, aż do samego wieczoru balu.

* * *

Jessica przybyła na bal odrażająco sfrustrowana, a późniejsze wydarzenia bynajmniej nie poprawiły jej nastroju.

Przed przyjęciem długo grymasiła w kwestii fryzury, sukni i dodatków. Po przybyciu spędziła ponad dwie godziny, znosząc mnóstwo subtelnych aluzji ze strony obecnych na sali kobiet oraz nie tak subtelnych ze strony mężczyzn.

Do wpół do dwunastej Bertie stracił kilkaset funtów w pokoju karcianym, upił się do nieprzytomności i został odstawiony do domu. Genevieve tymczasem po raz drugi tańczyła z księciem d’Abonville. Jej błoga mina zdradziła Jessice, że tego wieczoru na wsparcie ze strony babki nie ma co liczyć. Francuski arystokrata wywarł na niej wrażenie. Kiedy na Genevieve wywierał wrażenie jakiś mężczyzna, nie potrafiła skoncentrować się na niczym innym.

Przeważnie Jessica spoglądała na romantyczne słabostki babki z dystansem podszytym rozbawieniem. Teraz rozumiała, przenikliwie, co czuje Genevieve, i nie znajdowała w tym nic zabawnego.

Nie bawiło jej też, że sama czuje się podminowana, niespokojna, samotna i znudzona ponad wytrzymałość, ponieważ dochodziła północ, a pewien nikczemny brutal nie pofatygował się, żeby się zjawić. Nie bawiła jej również świadomość, iż to lepiej, że nie przyszedł, ani pragnienie, by mimo wszystko znalazł się tutaj, ani nienawiść do siebie samej, że tego pragnie.

Pozostawiła sobie nawet dwa wolne tańce, w upokarzającej nadziei na to, że Jego Szatańska Wysokość będzie miał kaprys przewlec ją trochę po parkiecie. Teraz, obserwując Genevieve i przystojnego francuskiego arystokratę, podupadła na duchu. Z Dainem nigdy by to tak nie wyglądało.

Nigdy nie patrzyłby na nią z takim rozbrajającym uśmiechem jak d’Abonville, a gdyby Jessica podniosła nań wzrok z równym jak u Genevieve zachwytem na twarzy, Dain by ją wykpił.

Miażdżąc rozpacz, skądinąd irracjonalną, Jessica uległa dwóm najbardziej natarczywym absztyfikantom. Jeden z zarezerwowanych tańców oddała Malcolmowi Goodridge’owi, drugi lordowi Sellowby’emu.

Wypisując swoje nazwisko na ostatnim wolnym patyczku jej wachlarza – miał być pamiątką z tego wydarzenia, ostatniej nocy Jessiki w Paryżu – Sellowby zauważył półgłosem:

– Widzę, że nie zachowała pani tańca dla Daina. Jest pani pewna, że nie przybędzie?

– A pan sądzi inaczej? Wykrył pan zapach siarki albo obłoczek dymu, obwieszczające jego nadejście?

– Postawiłem sto funtów na to, że się zjawi – wyjaśnił Sellowby. Wyjął kieszonkowy zegarek. – Dokładnie o… No, przekonamy się lada moment.

Jessica zobaczyła, że wskazówka minutowa jego czasomierza spotyka się z krótszą towarzyszką, i w tej samej chwili usłyszała głośnie bicie zegara gdzieś w domu.

Przy dziesiątym uderzeniu głowy zaczęły odwracać się w stronę wejścia na salę balową, a jazgot głosów stopniowo przycichał. Przy dwunastym na sali panowała martwa cisza.

Z walącym sercem Jessica zmusiła się, by także spojrzeć ku wejściu. Tworzył je ogromny, bogato zdobiony łuk. Wydawał się nie dość duży dla mrocznej, imponującej postaci, która zatrzymała się pod nim na chwilę.

Była to długa, teatralna chwila zwłoki, współgrająca z teatralnym wejściem o północy. Ponadto, stosownie do swej reputacji księcia ciemności, Dain ubrał się niemal wyłącznie w surową, bezkompromisową czerń. U nadgarstków połyskiwała mu odrobina śnieżnej bieli, kolejna przy szyi i w górnej części torsu, lecz te skrawki tylko podkreślały efekt. Nawet kamizelkę miał czarną.

Chociaż stała po drugiej stronie sali, Jessica nie wątpiła, że w mrocznym spojrzeniu, niedbale omiatającym zebranych, połyskuje lekceważenie, a twarde usta wyginają się w nader nikłym, pogardliwym uśmiechu.

Na wspomnienie tego, co owe rozpustne usta zrobiły jej dwa tygodnie temu, na jej szyję wspiął się żar. Powachlowała się, usiłując odegnać wspomnienie – wraz z podejrzeniem, że Sellowby obserwuje ją kątem oka. Powiedziała sobie, że nie gra roli, co myśli Sellowby czy ktokolwiek inny poza Dainem.

Przyszedł, a Jessica tu była, nie miał więc powodów do narzekań. Teraz pozostawało jej odgadnąć, jaką grę zamierzał prowadzić, i zagrać według jego reguł, żywiąc nadzieję, że choć umownie mieszczą się one w granicach cywilizowanego zachowania. Wówczas on, udobruchany, roześmieje się i pójdzie w swoją stronę, Jessica zaś wróci do Anglii bez obaw, że rozszalały markiz ruszy za nią, by się odegrać. Podejmie swoje życie dokładnie tam, gdzie je zostawiła, i w krótkim czasie zapomni o Dainie. Albo będzie pamiętać go tak, jak pamięta się zły sen lub atak gorączki, wzdychając z ulgą, że jest już po wszystkim.

Sprawy muszą potoczyć się w ten sposób, powiedziała sobie Jessica. Alternatywę stanowiła ruina, a nie dopuści, by jej życie legło w gruzach z powodu przelotnego ataku szaleństwa, choćby i wyjątkowo zjadliwego.

* * *

Dain potrzebował dokładnie dziewięciu sekund, żeby wypatrzyć w tłumie pannę Trent. Stała z Sellowbym i paroma innymi niesławnymi hulakami na drugim końcu sali balowej. Miała na sobie mieniącą się srebrnoniebieską suknię, a wokół jej głowy migotało i trzepotało całe mrowie obiektów. Zapewne znowu kazała je sobie wkręcić w te niedorzeczne zwoje. Niemniej fryzura, podobnie jak przesadnie wielkie rękawy i obwieszone błyskotkami bonety, pozostawała w zgodzie z najnowszą modą, przy czym wątpił, by cokolwiek zdołało przebić koszmarne rajskie ptaki zdobiące kok na czubku głowy opasłej lady Wallingdon.

Na nalanym obliczu lady Wallingdon malował się sztywno uprzejmy wyraz powitania. Dain podszedł do gospodyni, ukłonił się z przesadą, uśmiechnął i obwieścił, że czuje się oczarowany tudzież zaszczycony i, ogólnie rzecz biorąc, nie posiada się z zachwytu.

Nie dostarczył jej wymówki do odwrotu, gdy zaś słodko poprosił, żeby przedstawiła go gościom, czerpał złośliwą przyjemność z konsternacji, wskutek której jej oczy jak paciorki się rozszerzyły, a z przyozdobionej obfitym podbródkiem twarzy odpłynął wszelki kolor.

Tymczasem wokół nich tłum znieruchomiałych postaci stopniowo budził się do życia. Na sygnał drżącej gospodyni muzycy posłusznie zaczęli grać i sala balowa wróciła powoli do stanu na tyle bliskiego normalności, na ile

wydawało się to rozsądnie możliwe, biorąc wzgląd na wpuszczonego między gości potwora. Mimo to, kiedy gospodyni prowadziła go od jednej grupki do kolejnej, Dain miał świadomość wiszącego w powietrzu napięcia, tego, że wszyscy czekają, aż popełni jakiś oburzający czyn – i przypuszczalnie obstawiają, jakiego rodzaju czyn to będzie.

Pragnął, i to bardzo, uczynić zadość ich oczekiwaniom. Minęło prawie osiem lat, odkąd ostatnio zawitał do tego świata, a choć goście wyglądali i zachowywali się tak, jak pamiętał, że wygląda i zachowuje się kulturalne towarzystwo, zapomniał, jakie to uczucie być odmieńcem. Pamiętał sztywną kurtuazję, niezdolną zamaskować strach i odrazę w ich oczach. Pamiętał nagłą bladość kobiet, kiedy się zbliżał, oraz fałszywą serdeczność mężczyzn. Zapomniał wszakże, jak gorzko samotny się przez nich czuł, i do jakiej furii go to doprowadzało. Zapomniał, jak z tego powodu wszystko się w nim skręcało i jak pragnął wyć i niszczyć, co popadnie.

Po półgodzinie jego samokontrola wisiała na włosku i postanowił stąd wyjść – kiedy tylko raz na zawsze pokaże sprawczyni tych udręk, gdzie jej miejsce.

Jako że kadryl dobiegł właśnie końca, Malcolm Goodridge prowadził pannę Trent z powrotem do kółka jej adoratorów, marudzących w pobliżu donicy z gigantyczną paprocią.

Dain zwolnił lady Wallingdon. Pozostawił ją, gdy chwiejnie ruszała w kierunku krzesła, odwrócił się i zdecydowanym krokiem podążył przez salę ku groteskowej paproci. Szedł, aż tłoczący się wokół panny Trent mężczyźni znaleźli się przed wyborem: ustąpić mu z drogi albo dać się stratować. Usunęli się z drogi, ale nie odeszli.

Omiótł ich spojrzeniem spod na pół opuszczonych powiek.

– Idźcie stąd – polecił cicho.

Oddalili się.

Wolno zmierzył pannę Trent wzrokiem od głowy do stóp.

Zrewanżowała się tym samym.

Ignorując palące doznanie, jakie wywołała w nim tymi leniwymi oględzinami, niespiesznie skierował uwagę na stanik jej sukni, po czym zuchwale zlustrował wystawiony na pokaz bezkres kremowobiałych ramion i dekoltu.

– Bez wątpienia trzymają go w górze druty – skomentował. – Chyba że pani krawcowa odkryła sposób na przeciwstawienie się prawom grawitacji.

– Jest podszyty usztywniającym materiałem i fiszbinami jak gorset – odparła ze spokojem. – Potwornie niewygodny, ale stanowi ostatni krzyk mody, a nie śmiałam ryzykować, że wywołam pańskie niezadowolenie, ubierając się jak szara myszka.

– Ach, była pani pewna, że przyjdę – skomentował. – Ponieważ nie sposób się pani oprzeć.

– Żywię nadzieję, że nie mam aż tak samobójczych skłonności, by pragnąć działać nieodparcie na pana. – Powachlowała się. – Prosty fakt jest taki, że najwyraźniej trwa farsa z nami w rolach głównych. Jestem gotowa podjąć rozsądne kroki, by pomóc położyć jej kres. Wprawdzie to pan wprawił języki w ruch tamtą sceną w kawiarni, przyznaję jednak, że pana sprowokowałam – dodała szybko, nie zostawiając mu czasu na ripostę. – Przyznaję także, że plotki być może ustałyby, gdybym nie wtargnęła do pańskiego domu i nie rozgniewała pana. – Zarumieniła się. – Jeśli chodzi o późniejsze wydarzenia, najwyraźniej nikt tego nie widział, toteż rzecz pozostaje bez znaczenia dla bieżącego problemu.

Odnotował, że mocno ściska wachlarz, a jej biust unosi się i opada w tempie wskazującym na wzburzenie.

Uśmiechnął się.

– Wówczas nie zachowywała się pani, jakby chodziło o rzecz bez znaczenia. Wprost przeciwnie…

– Markizie, pocałowałam pana – przerwała mu bez emocji. – Nie widzę powodu, żeby robić z tego sprawę. Nie pierwszy raz pana całowano i na pewno nie ostatni.

– Wielkie nieba, panno Trent, nie grozi pani chyba, że zrobi to ponownie? – Otworzył szeroko oczy w kpiącym przerażeniu.

Westchnęła.

– Wiedziałam, że liczyć, iż zachowa się pan rozsądnie, to zbyt wiele.

– Dla kobiety mężczyzna „rozsądny” to taki, którym ona steruje. Ma pani słuszność, panno Trent. Nie można liczyć na tak wiele. Słyszę, że ktoś piłuje skrzypce. Chyba szykuje się walc lub coś w miarę zbliżonego.

– Najwyraźniej – odparła sztywno.

– Wobec tego zatańczymy – oznajmił.

– Nie, nie zatańczymy. Zachowałam wcześniej dwa tańce, gdyż… Cóż, nieważne. Mam już partnera na ten taniec.

– Oczywiście. Mnie.

Uniosła mu przed twarzą wachlarz, by zaprezentować męskie gryzmoły na patyczkach.

– Proszę uważnie się przyjrzeć. Widzi pan, by napisano tutaj „Belzebub”?

– Nie jestem krótkowidzem – odparł, wyjmując wachlarz z jej spiętych palców. – Nie musi pani trzymać mi go przed samym nosem. Ach, tak, to ten? – Wskazał patyczek. – Rouvier?

– Tak – odparła, omijając go wzrokiem. – Właśnie idzie.

Dain się odwrócił. Francuz zbliżał się ostrożnie, z pobladłą twarzą. Dain się powachlował. Mężczyzna przystanął. Uśmiechając się, Dain wziął patyczek z zapisanym na nim „Rouvier” między kciuk a palec wskazujący. Patyczek trzasnął.

Rouvier odszedł.

Dain popatrzył znów na pannę Trent i, ciągle uśmiechnięty, połamał patyczki jeden po drugim. Następnie wepchnął zniszczony wachlarz do donicy z paprocią. Wyciągnął rękę.

– Mój taniec, jak mniemam.

* * *

Był to prymitywny pokaz, klarowała sobie Jessica. Na skali rozwoju społecznego plasował się mniej więcej o oczko wyżej od zdzielenia jej drągiem w głowę i powleczenia za włosy.

Wyłącznie Dainowi coś takiego mogło ujść na sucho, podobnie jak wyłącznie on potrafił oczyścić pole z rywali po prostu mówiąc im, bez cienia zakłopotania czy subtelności, żeby sobie poszli.

I tylko taka zadurzona wariatka jak Jessica mogła uznać wszystko to za upajająco romantyczne.

Przyjęła jego dłoń.

Oboje nosili rękawiczki. Mimo to poczuła dreszcz kontaktu, ostry jak przeskakująca iskra. Przemknął przez jej ciało, aż zmiękły jej kolana. Podniósłszy wzrok, dostrzegła w oczach Daina wyraz zaskoczenia i gdy jego chytry uśmiech przygasał, zastanowiła się, czy poczuł to samo.

Nawet jeśli tak, nie zawahał się, lecz zuchwale ujął ją w talii i, przy następnym przedtakcie, zawirował z nią.

Brakło jej tchu, przytrzymała się jego ramienia.

Później świat zahuśtał się, zamglił, zniknął, gdy Dain porwał ją do walca, który nie przypominał żadnego z jej dotychczasowych doświadczeń.

Nie tańczył na stateczną angielską modłę, lecz w kołyszącym, rażąco zmysłowym stylu kontynentalnym, popularnym, jak przypuszczała, na spotkaniach w półświatku. Tak właśnie, zgadywała, tańczył ze swoimi dziwkami.

Ale Dain nie zmieniłby sposobu bycia jedynie po to, żeby dogodzić bandzie świętoszków z towarzystwa. Będzie tańczyć, jak mu się spodoba, Jessica zaś w swym szaleństwie potrafiła się jedynie cieszyć, że wybrał ją.

Poruszał się z wrodzoną gracją: silny, potężny, na wskroś pewny siebie. Ani przez chwilę nie musiała myśleć, wystarczyło, że poddawała się, gdy porywał ją w wir za wirem po całej sali balowej, podczas gdy jej ciało mrowiło, świadome jego i tylko jego: szerokiego ramienia pod jej dłonią… masywnej, muskularnej sylwetki tuż przy niej… kuszącego zapachu dymu, wody kolońskiej i mężczyzny… ciepłej dłoni w jej talii, która przyciągała ją coraz bliżej, aż jej spódnice wirowały mu wokół nóg… i jeszcze bliżej, i w szybki obrót… jej udo pocierające o jego udo…

Zajrzała w połyskujące, czarne jak węgiel oczy.

– Nie opiera się pani zanadto – skomentował.

– Jakby na cokolwiek się to zdało – odparła, przełykając westchnienie.

– Nie chce pani nawet spróbować?

– Nie. I to właśnie jest najgorsze.

Przez długą chwilę lustrował jej twarz. Potem wygiął usta w tym swoim irytująco szyderczym uśmiechu.

– Rozumiem. Nie potrafi mi się pani oprzeć.

– Przejdzie mi – zapewniła. – Jutro wracam do domu.

Mocniej ujął ją w talii, ale nic nie odrzekł.

Muzyka chwiejnie zmierzała do finiszu. Za chwilę Dain roześmieje się i odejdzie, Jessica zaś będzie mogła wrócić do rzeczywistości… i życia, którego on nie może, absolutnie, być częścią, wówczas bowiem w ogóle by życia nie miała.

– Przepraszam, że doprowadziłam do skazy na pańskiej reputacji – odezwała się. – Ale nie dokonałam tego sama. Mógł mnie pan zignorować. Z pewnością nie musiał pan przychodzić tu dzisiaj. Mimo to nadal wystarczy, że teraz roześmieje się pan i odejdzie, a przekonają się, że nic dla pana nie znaczę i całkowicie się pomylili.

Zawirował z nią zamaszyście po raz ostatni, kiedy muzyka umilkła, i przytrzymał miażdżącą chwilę dłużej, aniżeli wypadało. Nawet kiedy wreszcie ją puścił, nie uwolnił jej całkowicie, lecz nadal więził jej dłoń w swojej.

– A co się stanie, Jess – spytał, zniżając głos – jeśli okaże się, że się nie pomylili?

Wibrująca w tym cichym barytonie ukryta nuta nakłoniła Jessicę, by spojrzała nań ponownie. Zaraz pożałowała, że to zrobiła, wydało jej się bowiem, że w czarnych głębiach jego oczu dostrzega zamęt. Powiedziała sobie, że to ani chybi zaledwie odbicie jej własnego zamętu. Niemożliwe, by Dain odczuwał tego rodzaju emocje, toteż nie miała powodu tak boleśnie pragnąć je ukoić.

– Nie okaże się – odparła niepewnie. – Przyszedł pan wyłącznie po to, żeby zrobić z nich głupców… a zwłaszcza ze mnie. Wkroczył pan i przejął kontrolę, zmuszając wszystkich, żeby się przed nim płaszczyli, nieważne, czy mieli na to ochotę. Mnie także pan zmusił, żebym zatańczyła do jego melodii.

– Rzekłbym, że się to pani podobało.

– To nie oznacza, że pan mi się podoba. Lepiej niech pan puści moją rękę, zanim ludzie pomyślą, że ja podobam się panu.

– Nie obchodzi mnie, co myślą. *Andiamo*[18].

Mocno więżąc jej dłoń w swojej, ruszył, Jessica zaś nie miała wyboru, jak tylko pójść z nim – inaczej powlókłby ją za sobą.

Prowadził ją do wyjścia.

Rozglądała się gorączkowo, rozważając, czy wołanie o pomoc na cokolwiek się zda, kiedy z pokoju karcianego dobiegł jakiś łoskot. Potem ktoś wrzasnął, kilka innych osób krzyknęło i nastąpiły kolejne głośne trzaski. Moment później wszyscy na sali spieszyli w stronę hałasu.

Wszyscy poza Dainem, który jedynie zwiększył tempo, wytrwale zmierzając ku wyjściu.

– To na pewno jakaś bójka – zagaiła, próbując uwolnić rękę. – Bijatyka, sądząc po odgłosach. Przegapi pan zabawę.

Roześmiał się i wyciągnął ją z sali.

Rozdział 7

Dain znał ten dom. Należał on do poprzedniego markiza Avory'ego i gościł niejedną pijacką orgię. Zanosiło się na to, że awansuje na najbardziej niesławną rezydencję w Paryżu, kiedy markiz przedwcześnie spotkał się ze śmiercią. Od tamtej pory minęły mniej więcej dwa lata, a wystrój wnętrz znacząco się zmienił. Mimo to Dain bez trudu rozpoznał mały jasny salonik na parterze, z oknami tarasowymi wychodzącymi na ogród.

To tutaj zabrał Jessicę.

Żeby negocjować.

Ponieważ – czego powinien był się spodziewać i stosownie się na to przygotować – sprawy nie postępowały tak, jak sobie zaplanował.

Planował siać spustoszenie i zamęt. W ciągu pięciu minut po przybyciu odkrył, że połączona duma Ballisterów i Usignuolów mu na to nie pozwoli.

Choćby nie wiedzieć jak bardzo go prowokowano, nie zniży się do tego, żeby zachować się jak zwierzę.

W każdym razie nie na jej oczach.

Przypomniał sobie pogardliwe spojrzenie, jakim dwa tygodnie temu obrzuciła brata, i lekceważąco rozbawione, jakim obdarzyła jego samego, i jak z tego powodu postąpił niczym kompletny idiota.

Usiłował zapomnieć, lecz każdy moment i emocja tamtego epizodu odcisnęły się piętnem w jego umyśle: upokorzenie, furia, frustracja, namiętność… i jedna oszałamiająca chwila szczęścia.

Tego wieczoru doświadczył mnóstwa nieprzyjemnych emocji… które uleciały mu z głowy, ledwie z nią zatańczył.

W jego ramionach była smukła, gibka i lekka. Tak łatwo się ją trzymało. Jej spódnice wirowały mu wokół nóg, Dain zaś myślał o tych szczupłych białych kończynach splecionych z jego własnymi pośród szelestu pościeli. W głowie wirował mu jej zapach, prowokacyjnie niewinna mieszanka rumiankowego mydła i kobiety, i myślał o perłowej skórze, połyskującej w blasku pojedynczej świecy, o długich czarnych włosach rozsypanych w

nieładzie na poduszce… i o sobie samym, otulonym jej czystą, słodką kobiecością, której dotykał, którą smakował i spijał.

Powiedział sobie, że są to niedorzeczne fantazje, ponieważ czyste, słodkie kobiety nie kładą się z nim do łóżka i nigdy z własnej woli nie zaczną.

Zarazem ona była jakby całkiem chętna z nim tańczyć. Jakkolwiek wykluczone, by czerpała z tego przyjemność, i bez wątpienia jakiś typowy pokrętny kobiecy motyw przesądził o tym, że udawała, iż tak jest, zdołała wzbudzić w Dainie przekonanie, że taniec z nim ją raduje. A kiedy zajrzał w zwróconą ku sobie twarz, uwierzył przez moment, że w jej srebrnoszarych oczach połyskuje ekscytacja, nie oburzenie, i że pozwoliła, by przyciągnął ją bliżej, ponieważ tam właśnie pragnęła się znaleźć.

Wszystko to były kłamstwa, oczywiście, istniały wszakże sposoby na przekształcenie pewnych kłamstw w półprawdy. Dain znał te sposoby. Jak każda istota ludzka od czasów stworzenia, także i ona miała swoją cenę. Co za tym idzie, musiał jedynie ustalić, jaka to cena, a następnie zdecydować, czy jest skłonny ją zapłacić. Poprowadził ją w róg ogrodu, jak najdalej od rozświetlonego domu. Większość należącej do zmarłego lorda Avory’ego kolekcji rzymskich artefaktów tkwiła nadal rozsiana malowniczo pośród roślinności, ani chybi wyłącznie dlatego, że usunięcie gigantycznych dzieł kosztowałoby fortunę.

Dain podniósł swoją towarzyszkę i posadził na kamiennym sarkofagu. Ponieważ umieszczono go na zdobnej podstawie, był na tyle wysoki, że znalazła się z Dainem prawie oko w oko.

– Jeśli wkrótce tam nie wrócę – powiedziała z napięciem w głosie – moja reputacja legnie w gruzach. Co pana, naturalnie, nie obchodzi. Ostrzegam jednak, że nie przyjmę tego potulnie i…

– Moja reputacja już legła w gruzach – przerwał jej. – A pani to nie obchodzi.

– To nie tak! – wykrzyknęła. – Usiłowałam panu wyjaśnić: w pełni rozumiem i byłam skłonna pomóc panu wszystko naprawić. To znaczy w granicach rozsądku. Pan jednak nie chce słuchać. Ponieważ, jak każdy mężczyzna, w danym momencie potrafi kierować myśli tylko na jeden tor… przeważnie ten niewłaściwy.

– Podczas gdy kobiety są zdolne utrzymać dwadzieścia siedem wykluczających się wzajemnie pomysłów naraz – odparował. – I z tego

właśnie powodu przestrzeganie jakichkolwiek zasad przekracza ich możliwości.

Ujął jej dłoń i zaczął zdejmować z niej rękawiczkę.

– Lepiej niech pan da spokój – przestrzegła. – Tylko pogorszy pan sprawy.

Uporał się z rękawiczką, a ledwie ujrzał delikatną, białą dłoń, wszelkie myśli o negocjowaniu się rozwiały.

– Nie wiem, jak sprawy mogłyby wyglądać gorzej – mruknął. – Już zadurzyłem się w przemądrzałej, prowokującej starej pannie o ciętym języku.

Poderwała głowę, szeroko otwierając szare oczy.

– Zadurzył się pan? Nic z tych rzeczy. Raczej pragnie pan zemsty. Chce mi dokuczyć.

Szybko i sprawnie zajął się drugą rękawiczką.

– Bez wątpienia się zadurzyłem – oznajmił ze spokojem. – Nie opuszcza mnie idiotyczna myśl, że jest pani najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałem. Z wyjątkiem tej koafiury – dodał, z odrazą omiatając wzrokiem zwoje, pióra i perły. – Wprost upiorna.

Spojrzała spode łba.

– Pańskie romantyczne uniesienia zapierają mi dech.

Chwycił jej dłoń i przywarł ustami do nadgarstka.

– *Sono il tuo schiavo* – mruknął. Pod wargami poczuł, jak gwałtownie przyspiesza jej puls. – To znaczy: „Jestem twoim niewolnikiem” – przetłumaczył, kiedy wyszarpywała dłoń. – *Carissima*. Najdroższa.

Przełknęła ślinę.

– Może jednak pozostanie pan przy angielskim.

– Kiedy włoski jest taki poruszający – zaprotestował. – *Ti ho voluto dal primo momento die ti vedi*. Pragnąłem cię od chwili, gdy cię zobaczyłem. *Mi tormenti ancora.* Odtąd ciągle mnie dręczysz.

Opowiadał jej dalej, słowami, których zrozumieć nie mogła, o wszystkim, co myślał i czuł. Obserwował przy tym, jak łagodnieją jej oczy, słyszał jej coraz szybszy oddech, i prędko sam zdjął rękawiczki.

– Och, nie – szepnęła.

Nachylił się bliżej, nadal mówiąc w języku, który zdawał się ją hipnotyzować.

– Niełądnie, że używa pan męskich forteli – zaprotestowała zdławionym głosem. Dotknęła jego rękawa. – Co takiego niewybaczalnego zrobiłam?

– Sprawiłaś, że cię pragnę – odpowiedział jej w języku swojej matki. – Przez ciebie czuję się przybity, samotny. Przez ciebie tęsknię za tym, czego przysięgałem sobie nigdy nie potrzebować ani nie szukać.

Z pewnością usłyszała wściekłość i frustrację, pulsujące pod pełnymi tęsknoty słowami, ale nie wzdrygnęła się, nie próbowała uciekać. Kiedy zaś otoczył ją ramionami, wstrzymała jedynie oddech, po czym wypuściła powietrze z westchnieniem, którego smak poczuł, gdy zamknął usta na jej ustach.

* * *

Jessica słyszała zamęt w jego głosie i nie potrzebowała daru przepowiadania przyszłości, by rozumieć, że to źle wróży. Już sto razy nakazywała sobie uciekać. Dain by ją puścił. Miał zbyt wiele dumy na to, żeby przemocą wziąć ją w ramiona lub ścigać, gdyby umknęła.

Tyle że po prostu nie potrafiła tego zrobić.

Nie wiedziała, czego Dain potrzebuje, zresztą i tak wątpiła, czy mogłaby mu to dać. Zarazem czuła – z taką samą pewnością, z jaką miała świadomość nadciągającej katastrofy – że potrzebuje tego rozpaczliwie, i nie potrafiła, wbrew rozsądkowi, go porzucić.

Zamiast tego zatraciła się, co kusiło ją, odkąd go ujrzała, a potem nęciło jeszcze boleśniej, gdy rozpinał jej niemożliwą rękawiczkę, i czego pragnęła ponad wytrzymałość, kiedy pocałował ją pośród burzy.

Był wielki, mroczny, piękny i pachniał dymem, winem, wodą kolońską i mężczyzną. Odkryła, że niczego w życiu nie pożądała dotąd tak rozpaczliwie, jak jego niskiego głosu, od którego po plecach przebiegały jej dreszcze, oplatających ją silnych ramion i twardych, zdeprawowanych ust miażdżących jej usta.

Niepohamowanie odpowiadała na zajadłą czułość jego pocałunku, nie umiała powstrzymać swych dłoni wędrujących po wełnie i płótnie, rozgrzanych ciepłem jego ciała, aż znalazły miejsce, gdzie biło jego serce, szybko i mocno, jak jej własne.

Zadrżał pod jej dotykiem i wepchnął się między jej uda, przyciągając ją bliżej, jednocześnie sunął palącymi pocałunkami od jej ust w dół, na szyję.

Miała świadomość napierającej na jej brzuch gorącej, pulsującej męskości oraz tętniącego żaru, jaki ten kontakt wywoływał w intymnym miejscu między jej nogami. Racjonalny głos w głowie mówił jej, że sprawy postępują zbyt szybko, i ponaglał, żeby się odsunęła, wycofała, dopóki jeszcze może – tyle że nie mogła.

W jego dłoniach zmieniała się w wosk, topiła się od pocałunków parzących jej biust.

Sądziła, że rozumie, czym jest pożądanie: pociągiem, potężnym magnetyzmem, który przywodzi ku sobie mężczyznę i kobietę. Sądziła, że rozumie, czym jest żądza: głodem, tęsknotą. Nocami trawiła ją gorączka, gdy o nim śniła, za dnia krążyła niespokojna i podminowana, myśląc o nim. Mówiła, że to zwierzęcy pociąg, prymitywny, szalony.

Odkryła, że nie rozumiała niczego.

Pożądanie okazało się gorącym, czarnym wirem, który miotał nią na wszystkie strony, lecz przez cały czas nieustępliwie, niebezpiecznie szybko wciągał w dół, pod powierzchnię intelektu, woli i wstydu.

Dain niecierpliwie szarpnął za wiązania jej stanika i poczuła, jak ustępują, przez co w niej również obudziła się niecierpliwość, żeby ulec, dać mu to, czego potrzebował. Drżącymi palcami prześlizgiwał się po jej obnażonej skórze i Jessica także zadrżała, cierpiąc wskutek tego druzgocąco delikatnego dotyku.

– *Baciami*. – Głos miał szorstki, dotyk przywodził na myśl jedwabistą pieszczotę. – Pocałuj mnie, Jess. Jeszcze raz. Jakbyś szczerze tego chciała.

Uniosła ręce i wsunęła palce w jego gęste, kręcone włosy, przyciągając jego usta do swoich. Pocałowała go z całym bezwstydem, jaki w sobie znalazła. Odpowiedziała na zuchwałe pchnięcia jego języka równie ochoczo, jak jej ciało odpowiadało na łagodniejszy gwałt zadawany przez jego pieszczotę, unosząc się i wyginając w łuk, by obolałą piersią przywrzeć do jego wielkiej, ciepłej dłoni.

Tego właśnie potrzebowała, tego łaknęła od momentu, gdy go poznała. Był potworem, lecz i tak za nim tęskniła. Tęskniła za każdą związaną z nim potwornością… i za wszystkim, co w nim cudowne: ciepłym, masywnym, muskularnym ciałem, które wibrowało siłą, zuchwalstwem i zwierzęcą gracją… śmiałymi czarnymi oczami, zimnymi jak lód w jednej chwili, by w następnej rozjarzyć się piekielnym ogniem… cichym pomrukiem głosu,

kpiącego, prześmiewczego, zionącego lodowatą pogardą lub pulsującego tęsknotą.

Pragnęła go od samego początku, nie rozumiejąc jeszcze, czym jest pożądanie. Teraz nauczył ją tego i za jego sprawą pragnęła więcej.

Oderwała się od jego ust, pociągnęła mu głowę w dół i pocałowała go w ten piękny, arogancki nos, i w pełną wyższości brew, powiodła wargami po twardej szczęce.

– Och, Jess – jęknął. – *Si. Ancora. Baciami. Abbracciami.*[19]

Nie słyszała nic poza potrzebą w jego głosie. Nie czuła nic poza żarem pożądania, napierającym na jej żar. Miała świadomość wyłącznie jego zwartej, silnej sylwetki, wędrujących po jej ciele ciepłych rąk, podczas gdy ustami znów zawłaszczył jej wargi, szelestu jedwabiu i batystu, gdy zadarł jej spódnice i powiódł dłonią po kolanie, oraz ciepła owej dłoni, pocierającej jej skórę nad pończochą.

Raptem ta dłoń naprężyła się i znieruchomiała, a jego ciepłe ciało stężało.

Oderwał się od jej ust i Jessica, zaskoczona, otworzyła oczy… akurat w porę, by zobaczyć, jak w jego oczach płomień umiera, pozostawiając je zimne jak onyks w jego szpilce do halsztuka.

Wówczas, zbyt późno, wrócił jej także słuch: usłyszała szelest ocierających się o krzewy sukni… i stłumione szepty.

– Zdaje się, że mamy publiczność, panno Trent – odezwał się Dain.

Jego głos ociekał wzgardą. Spokojnie podciągnął na niej stanik i szarpnięciem opuścił spódnice. W geście tym nie było nic z opiekuńczości czy galanterii. Poczuła się tak, jakby, obejrzawszy ją sobie i skosztowawszy, co ma do zaoferowania, uznał ją za niewartą posiadania. Niczym tandetną zabawkę na ladzie u Champtoisa, niezasługującą, by spojrzeć na nią po raz drugi.

Chciał, żeby to właśnie pomyśleli widzowie, zrozumiała Jessica, rejestrując lodowaty wyraz jego twarzy. Zamierzał rzucić ją wilkom na pożarcie. Na tym polegała jego zemsta.

– Wiesz, że oboje na równi ponosimy winę – powiedziała na tyle cicho, żeby gapie nie usłyszeli. – Pomogłeś mi się w to wpakować. Teraz więc, do diaska, możesz pomóc mi z tego wybrnąć.

– A, tak – odparł donośnie. – Mam ogłosić nasze zaręczyny, czyż nie? Dlaczego jednak, panno Trent, miałbym płacić obrączką za to, co mogę

dostać gratis?

Zza jego pleców dobiegły sapnięcia i chichoty.

– Będę zrujnowana – powiedziała z napięciem. – To niegodne ciebie… i niewybaczalne.

Roześmiał się.

– No to mnie zastrzel.

Po czym, z kpiną obrzuciwszy spojrzeniem stojące w mroku postacie, odszedł.

* * *

Dainowi wrzało w głowie od upokorzenia i furii, kiedy na ślepo parł przez ogród, wyrywał z zawiasów zamkniętą na klucz furtkę i podążał wąską alejką, a później dalej ulicą, i kolejną, i następną.

Dopiero gdy znalazł się w pobliżu Palais Royal, oddech zaczął wracać mu do normalności, a czarna furia ustąpiła miejsca burzliwym myślom.

Była taka sama jak wszystkie – sprytniejsza od Susannah, lepsza aktorka, która zręczniej zastawiła na niego identyczną pułapkę. On zaś, mimo że miał za sobą lata doświadczeń, wkroczył prosto w potrzask. Znowu. Żeby zostać usidlonym w gorszych okolicznościach.

W przypadku Susannah po prostu skradł pocałunek w policzek na oczach jej chciwej rodziny. Tym razem kilkoro najbardziej wyrafinowanych przedstawicieli paryskich elit przyglądało się, jak Dain robi z siebie głupca, słuchało, jak jęczy, dyszy i bełkoce z pożądania i oddania niczym napalony uczniak.

Nawet jako trzynastolatek nie zachowywał się nigdy jak otumaniony szczeniak. Nawet wtedy nie zdarzyło się, by nieomal łkał z tęsknoty.

Och, Jess!

Poczuł ucisk w gardle. Przystanął i brutalnie przełknął palący ból, opanował się i poszedł dalej.

W Palais Royal zgarnął trzy pulchne ladacznice i kilku kompanów, po czym zanurzył się w rozpuście. Nierządnice, hazard i szampan: jego świat. To tutaj przynależał, powiedział sobie. Tutaj czuł się szczęśliwy, zapewniał sam siebie.

Toteż grał, pił, opowiadał sprośne dowcipy i przełykając odrazę, jaką wzbudzała w nim znajoma woń perfum, pudru i farby, zapełniał kolana

dziwkami, grzebiąc swoje cierpiące serce, jak zawsze, pod śmiechem.

* * *

Zanim jeszcze śmiech Daina zamilkł w oddali, a on sam rozpłynął się pośród cieni w ogrodzie, Jessica wygrzebała się z czarnej otchłani upokorzenia i rozpaczy, w którą ją cisnął. Pozostawało jej tylko zadrzeć brodę i zmierzyć się z najbliższą chwilą oraz momentami, które dopiero nadejdą. Popatrzyła prosto na gapiów, wyzywając ich, by ktoś wygłosił zniewagę. Kolejno odwracali się i wycofywali w milczeniu.

Tylko jedna osoba wystąpiła naprzód. Vawtry zdejmował surdut, kiedy Jessica, kurczowo przytrzymując stanik sukni, żeby się zasłonić, zeskakiwała z sarkofagu. Pospieszył do niej z okryciem.

– Próbowałem – odezwał się, nieszczęśliwy, taktownie odwracając wzrok, kiedy otulała się jego surdutem. – Powiedziałem im, że Dain wyszedł sam, a pani udała się poszukać babki, ale służący widział, jak wchodzicie do saloniku… – Umilkł na chwilę. – Przykro mi.

– Chciałabym dyskretnie opuścić to miejsce – rzekła głosem starannie wyzutym z emocji. – Byłby pan tak uprzejmy i znalazł lady Pembury?

– Nie chcę zostawiać pani samej.

– Nie zemdleję. Nie mam skłonności do histerii. Nic mi nie będzie.

Posłał jej zatroskane spojrzenie, po czym spiesznie odszedł.

Kiedy tylko się oddalił, Jessica zdjęła jego surdut i przywróciła suknię do porządku na tyle, na ile była w stanie to zrobić bez pomocy pokojówki. Nie dosięgła wszystkich zapięć, z których większość umieszczono na plecach, znalazła ich jednak wystarczająco dużo, by nie musiała dłużej podtrzymywać na sobie stanika. Walcząc z wiązaniami oraz haftkami, analizowała swoją sytuację z brutalnym obiektywizmem.

Wiedziała, że nie gra szczególnej roli fakt, iż Dain jej nie zniewolił. Liczyło się, że to z nim ją przyłapano. Tyle wystarczyło, by w oczach świata stała się wybrakowanym towarem.

W mniej niż dwadzieścia cztery godziny opowieść dotrze do każdego zakątka Paryża. W ciągu tygodnia zawędruje do Londynu. Dostatecznie dobrze widziała, co ją czeka w przyszłości.

Żaden szanujący się dżentelmen nie skala swego rodowego nazwiska, żeniąc się z resztkami po Dainie. Po tym zajściu nie będzie miała cienia

szansy na przyciągnięcie do swojego sklepu tłumów bogatych, szacownych osób, od których zależał jej sukces – i poważanie. Mijając ją, damy będą przytrzymywać spódnice, żeby się o nią nie otrzeć, lub przechodzić na drugą stronę ulicy, chcąc uniknąć skażenia. Dżentelmeni przestaną być dżentelmenami i zaczną poniżać ją w sposób zarezerwowany dla najpodlejszych ulicznych dziwek.

Mówiąc krótko, garstką słów Dain zniszczył jej życie. Celowo.

Wystarczyło, by omiótł tych ludzi jednym ze swych morderczych spojrzeń i oznajmił im, że nic nie widzieli, a uznaliby, że najzdrowiej będzie przyznać mu rację. Wszyscy się go bali, nawet ci jego tak zwani przyjaciele. Bez trudu nakłoniłby ich, żeby robili, mówili i wierzyli w to, co chciał.

On jednak chciał wyłącznie zemsty – za to, cokolwiek to było, co w jego pokręconym przekonaniu wyrządziła mu Jessica. Zabrał ją do ogrodu jedynie w tym celu. Nie zdziwiłaby się, gdyby zawczasu rzucił przy kimś aluzję, by zyskać pewność, że zostaną nakryci w najbardziej upokarzającym momencie: kiedy rozpięty stanik sukni zwisał jej w talii, on zaś sunął językiem po jej szyi, wpychając brudne łapska pod spódnicę.

Choć na samo wspomnienie płonęła jej twarz, nie zgadzała się odczuwać wstydu z powodu tego, co zrobiła. Zgodnie z zasadami eleganckiego świata wypadało opisać jej zachowanie jako nieprzyzwoite, wedle jej własnych zaś jako nieprzemyślane, nie widziała w nim jednak niczego złego. Była zdrową młodą kobietą, która po prostu uległa uczuciom, jak niezliczone inne kobiety – przy czym uchodziło im to bezkarnie, jeśli były mężatkami lub wdowami i zachowywały dyskrecję.

Mimo że nie była mężatką ani wdową, a zatem według zwykłych zasad należało postrzegać ją jako nieosiągalną, nie mogła, gwoli sprawiedliwości, winić Daina za to, że skorzystał z darów tak ochoczo mu oferowanych.

Mogła wszakże i będzie winić go za to, że jej nie osłonił. Nie miał nic do stracenia, podczas gdy doskonale wiedział, że Jessica ma do stracenia wszystko. Mógł jej pomóc. Kosztowałoby go to zaledwie odrobinę wysiłku, nic więcej. Zamiast tego obraził ją i porzucił.

To było złe. Podły, niewybaczalny czyn. I za ten czyn, postanowiła, Dain zapłaci.

* * *

O wpół do piątej nad ranem Dain brylował w Antoine’s, restauracji w Palais Royal. Krąg jego kompanów poszerzył się tymczasem o garstkę gości lady Wallingdon: Sellowby’ego, Goodridge’a, Vawtry’ego i d’Esmonda. Tematu Jessiki Trent skrupulatnie unikano. Zamiast tego w szczegółach i kłótliwie omawiano przegapioną przez Daina bójkę w pokoju karcianym – między pijanym pruskim oficerem a francuskim republikaninem.

Nawet kokoty poczuły się w obowiązku wyrazić swoje zdanie, przy czym ta usadowiona na prawym kolanie Daina wzięła stronę republikanina, ta na lewym zaś stała murem za Prusakiem. Obie dowodziły swoich racji na takim poziomie ignorancji, zarówno w sferze politycznej, jak i gramatycznej, że nawet Bertie Trent wypadłby przy nich na geniusza intelektu.

Dain żałował, że pomyślał o Trencie. Ledwie w głowie mignął mu obraz brata, pojawiła się siostra: Jessica, spoglądająca mu w oczy spod przesadnie udekorowanego bonetu… obserwująca twarz Daina, gdy rozpinał jej rękawiczkę… uderzająca go bonetem i piąstką w rękawiczce… całująca go w świetle błyskawicy, przy huku pioruna… wirująca z nim na parkiecie z szelestem ocierających mu się o nogi spódnic, z twarzą zarumienioną z ekscytacji. A później, w jego ramionach… pożoga obrazów, uczuć oraz jeden słodki, bolesny moment… kiedy pocałowała go w ten wielki, odrażający nos… i pocięła mu serce na kawałki, po czym poskładała je z powrotem, aż uwierzył, że nie uważa go za potwora. Za jej sprawą uwierzył, że jest piękny.

Kłamstwa, powiedział sobie.

Wszystko to były kłamstwa i sztuczki, żeby złapać go w sidła. Zrujnował jej brata. Nic jej nie pozostało. Toteż, podobnie jak Susannah, której brat przegrał w karty rodzinny majątek, Jessica Trent poczuła się na tyle zdesperowana, by zastawić najstarszą pułapkę w historii i schwytać sobie bogatego, utytułowanego męża.

Niemniej teraz Dain przyłapał się na tym, że analizuje otaczających go mężczyzn. Wszyscy byli od niego przystojniejsi, zachowywali się lepiej i, ogólnie rzecz biorąc, lepiej rokowali.

Zawiesił na dłużej spojrzenie na siedzącym obok niego d’Esmondzie, który był najpiękniejszym mężczyzną na trzech kontynentach, a przy tym

bardzo możliwe – choć nikt nie wiedział tego na pewno – że zamożniejszym nawet od markiza Daina.

Czemu nie d’Esmond? – zadał sobie pytanie Dain. Skoro potrzebowała bogatego męża, dlaczego taka bystra kobieta jak Jessica Trent miałaby wybrałać Belzebuba zamiast anioła Gabriela, piekło zamiast nieba?

Niebieskie oczy d’Esmonda napotkały jego spojrzenie.

– *Amore e cieco* – mruknął hrabia z idealnym florenckim akcentem. – Miłość jest ślepa.

Dain przypomniał sobie, jak przed paroma tygodniami d’Esmond mówił o swoich „złych przeczuciach” w związku z Vingt-Huit, i wrócił myślami do zdarzeń, które nastąpiły zaraz potem. Spoglądając na niego w tej chwili, Dain sam miał nieprzyjemne przeczucie: że ten anielski hrabia czyta mu w myślach, podobnie jak odczytał wskazówki, niewidoczne dla innych, na temat zlikwidowanego już pałacu grzechu.

Dain otwierał właśnie usta do miażdżącej riposty, kiedy d’Esmond zesztywniał i nieznacznie obrócił głowę, wbijając spojrzenie w inny punkt, podczas gdy uśmiech spływał mu z twarzy.

Dain spojrzał w tę stronę – w kierunku drzwi – ale początkowo nic nie zobaczył, ponieważ Sellowby nachylił się, żeby ponownie napełnić sobie kieliszek.

Później Sellowby na powrót rozparł się w fotelu.

Wtedy Dain ją ujrzał.

Założyła ciemnoczerwoną suknię, zapiętą pod samą szyję, oraz czarny szal, udrapowany na głowie i ramionach jak mantyla. Twarz miała bladą i zaciętą. Ruszyła w kierunku wielkiego stołu, z zadartą brodą i błyskiem w srebrnych oczach, po czym zatrzymała się w odległości kilku kroków.

Serce galopowało mu tak gorączkowo, że nie był w stanie oddychać, a cóż dopiero mówić.

Omiotła spojrzeniem jego kompanię.

– Idźcie stąd – poleciła cichym, twardym głosem.

Dziwki zeskoczyły Dainowi z kolan, w pośpiechu przewracając szkło. Jego przyjaciele poderwali się z miejsc i wycofali. Czyjeś krzesło grzmotnęło o podłogę, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

Jedynie d’Esmond nie stracił głowy.

– Mademoiselle – zaczął łagodnym, kojącym tonem.

Odrzuciła do tyłu szal i uniosła prawą rękę. Trzymała w niej pistolet, mierząc prosto w serce Daina.

– Proszę odejść – poleciła d’Esmondowi.

Dain usłyszał kliknięcie odwodzonego kurka i szuranie krzesła, kiedy d’Esmond wstawał.

– Mademoiselle – spróbował znowu hrabia.

– Radzę się pomodlić, Dain – powiedziała.

Przeniósł spojrzenie z pistoletu na jej błyszczące, pełne furii oczy.

– Jess – szepnął.

Pociągnęła za spust.

Rozdział 8

Strzał pchnął Daina na oparcie krzesła, wraz z którym runął na podłogę.

Jessica opuściła pistolet, uwolniła wstrzymywany oddech, odwróciła się i wyszła.

Trwało kilka chwil, nim gapie ogarnęli umysłami to, co przekazywały im oczy i uszy. W tym czasie Jessica bez przeszkód przecięła restaurację, przestąpiła próg i zeszła po schodach.

Wkrótce odnalazła dorożkę, której wcześniej kazała na siebie zaczekać, i poleciła dorożkarzowi, by zawiózł ją na najbliższy posterunek policji.

Tam poprosiła o oficera dowodzącego. Oddała pistolet i powiedziała, co zrobiła. Oficer jej nie uwierzył. Posłał do Antoine's żandarmów, jej zaś podał kieliszek wina. Mężczyźni wrócili godzinę później, ze sporządzonymi na miejscu zbrodni obfitymi notatkami oraz hrabią d'Esmondem.

D'Esmond przybył ją uwolnić, wyjaśnił. Chodziło o nieporozumienie, wypadek. Rana markiza Daina nie była śmiertelna. Ledwie draśnięcie. Nie wniesie zarzutów przeciw mademoiselle Trent.

Naturalnie, że nie, pomyślała Jessica. Przegrałby z nią batalię przed sądem. Ostatecznie, znajdowali się w Paryżu.

– Wobec tego sama wniosę przeciw sobie zarzuty – oznajmiła, zadzierając brodę. – A pan może powiedzieć przyjacielowi…

– Mademoiselle, poczytam sobie za zaszczyt przekazać, jaką tylko wiadomość pani sobie życzy – przerwał jej gładko d'Esmond. – Sądzę jednak, że wygodniej zakomunikuje mi ją pani w moim powozie.

– Wykluczone – odparła. – Nalegam, żeby zamknięto mnie w więzieniu, dla mojej ochrony, by markiz nie mógł mnie zabić, chcąc mnie uciszyć. Ponieważ, monsieur, wyłącznie w ten sposób ktokolwiek zdoła mnie uciszyć. – Odwróciła się do oficera dowodzącego. – Z radością spiszę dla pana pełne i szczegółowe zeznanie. Nie mam nic do ukrycia. Bardzo chętnie porozmawiam z reporterami, którzy bez wątpienia zaczną się tu tłoczyć w ciągu pół godziny.

– Mademoiselle, jestem pewien, że sprawę da się załatwić w sposób dla pani satysfakcjonujący – przekonywał d’Esmond. – Zalecam wszakże, aby pani ochłonęła, zanim podejmie rozmowy.

– Bardzo mądrze – poparł go oficer dowodzący. – Jest pani wzburzona. To zrozumiałe. Sprawa sercowa.

– W rzeczy samej – przyznała, spoglądając w enigmatyczne niebieskie oczy d’Esmonda. – Zbrodnia z namiętności.

– Tak, mademoiselle, co wszyscy sobie wydedukują – rzekł d’Esmond. – Jeśli policja natychmiast pani nie zwolni, nie tylko reporterzy przypuszczą atak na to miejsce. Cały Paryż powstanie, żeby panią ratować, i miasto pogrąży się w zamieszkach. Z pewnością nie chce pani, żeby z jej powodu zginęli niewinni ludzie.

Z zewnątrz dobiegła jakaś wrzawa – pierwsza partia reporterów, zgadywała Jessica. Przeciągała tę chwilę, czekając, aż napięcie w pomieszczeniu wzrośnie.

Potem wzruszyła ramionami.

– Doskonale. Pojadę do domu. Dla dobra zagrożonych niewinnych.

* * *

Przed dziesiątą rano hrabia d’Esmond zajrzał do Daina, który leżał na sofie w bibliotece.

Rana była bez wątpienia błaha. Dain ledwie ją poczuł. Kula przeszła czysto na wylot. Choć ramię potężnie krwawiło, nawykł do widoku krwi, także własnej, toteż nie powinien był zemdleć.

A jednak zemdlał, i to kilka razy, ilekroć zaś odzyskiwał przytomność, trawiła go większa gorączka. Lekarz przyszedł, zbadał ranę, stosownie się nią zajął i założył opatrunek, po czym oznajmił, że Dain miał wiele szczęścia.

Rana była czysta. Żadnych strzaskanych kości. Uszkodzenia mięśni i nerwów okazały się tak drobne, że w zasadzie bez znaczenia. Nie występowało ryzyko infekcji.

Toteż Dain nie powinien gorączkować, a jednak tak się działo. Najpierw płonęło mu ramię, potem ogień przeniósł się na bark i szyję. Aktualnie pożoga ogarnęła głowę.

Pośród tych piekielnych płomieni docierał do niego głos d’Esmonda, gładki i kojący jak zawsze.

– Ona wie, *naturellement*, że żadna ława przysięgłych we Francji jej nie skaże – mówił d’Esmond. – Tutaj łatwiej jest przepchnąć wielbłąda przez ucho igielne, niż skazać piękną kobietę za dowolną zbrodnię, która wydaje się w jakikolwiek sposób wiązać z *l’amour*.

– Oczywiście, że wie – wycedził przez zaciśnięte zęby Dain. – Podobnie jak ja wiem, że nie zrobiła tego w afekcie. Widziałeś jej rękę? Najmniejszego drżenia. Chłodna i spokojna jak marzenie. Nie działała w ślepym szale. Dokładnie wiedziała, co robi.

– Bardzo dobrze wie, co robi – zgodził się d’Esmond. – Postrzelenie ciebie to zaledwie początek. Zamierza wystawić cię na pośmiewisko. Mam ci przekazać, że upubliczni… na sali sądowej, jeśli uda jej się doprowadzić do procesu, na który nalega, a w przeciwnym razie w gazetach… każdy detal tego epizodu. Twierdzi, że powtórzy wszystko, co do niej mówiłeś, i nader szczegółowo opisze każde twoje poczynanie.

– Czyli będzie przesadzać i przekręcać słowa tak, żeby pasowały do jej celów – podsumował Dain, gniewnie świadom, że wystarczy, iż ona powie prawdę. Ta w oczach świata zredukowałaby lorda Belzebuba do poziomu usychającego z miłości, dyszącego, jęczącego, pocącego się sztubaka. Przyjaciele zaśmiewaliby się do rozpuku z jego ckliwych wynurzeń, nawet po włosku.

Na pewno zapamiętała brzmienie słów – władała przecież biegle łaciną – i będzie udatnie je naśladować, ponieważ była bystra… i żądna zemsty. Wtedy wszystkie jego upokarzające sekrety, marzenia i fantazje zostaną przetłumaczone na francuski i angielski – a wkrótce na wszelkie inne znane ludzkości języki. Słowa znajdą się w chmurkach nad jego głową w karykaturach na wystawach drukarni. Na scenach odgrywane będą farsy oparte na tym epizodzie.

Przy czym Dain wiedział, że to zaledwie ułamek tego, co go czeka.

Wystarczyło, że przypomniał sobie, jak dwanaście lat temu prasa postawiła pod pręgierzem Byrona – gdy w porównaniu z markizem Dainem poeta stanowił wzór wszelkich cnót. Co więcej, Byron nie był obscenicznie bogaty, przerażająco wielki i brzydki ani denerwująco potężny.

Im człowiek większy, tym twardszy jego upadek. I tym chętniej świat taki upadek ogląda.

Dain doskonale rozumiał, jak funkcjonuje świat. Widział dostatecznie jasno, co przyniesie przyszłość. Panna Jessica Trent niewątpliwie również to widziała. Dlatego go nie zabiła. Zadbała, żeby cierpiał piekielne męki za życia.

Wiedziała, że będzie cierpiał, uderzyła bowiem w jedyne miejsce, gdzie mogła go zranić: w jego dumę.

Gdyby zaś nie zdołał tego znieść – przy czym pojmowała, oczywiście, że nie zdoła – bez wątpienia planowała uzyskać satysfakcję prywatnie. Każe mu się czołgać.

Znalazł się dokładnie tam, gdzie ta diablica chciała.

Podczas gdy w połowie jego ciała szalał ogień, zaczęła go łupać głowa.

– Lepiej rozprawię się z nią bezpośrednio – stwierdził. Język mu spuchł, przez co słowa brzmiały niewyraźnie. – Będę negocjować. Powiem jej… – Przełknął ślinę. Gardło również mu płonęło. – Warunki. Powiem jej…

Zamknął oczy i szukał w pulsującym, zmąconym umyśle słów, lecz bez skutku. Jego głowa przypominała rozgrzany do czerwoności kawał metalu, w który piekielny kowal walił młotem, rozcierając w proch intelekt i myśli. Słyszał głos d’Esmonda, dobiegający z bardzo daleka, ale nie rozumiał słów. Potem szatański młot raz jeszcze opadł z miażdżącą siłą, posyłając Daina w nieświadomość.

Trawiony gorączką, której mieć nie powinien, Dain przez większą część czterech kolejnych dni na zmianę to przytomniał, to znów odpływał w niebyt.

Obudził się w pełni rankiem piątego dnia, mniej więcej zdrowy. To znaczy pożoga i pulsowanie zniknęły. Nie mógł jednak poruszać lewym ramieniem. Zwisało bezużytecznie wzdłuż boku. Miał w nim czucie, ale nie potrafił zmusić go do wykonania jakiejkolwiek czynności.

Lekarz wrócił, zbadał go, pomruczał coś mądrze, po czym pokręcił głową.

– Niczego nie znajduję – stwierdził.

Wezwał kolegę, który również niczego nie znalazł, a potem następnego, z tym samym rezultatem.

Do późnego popołudnia Daina obejrzało ośmiu medyków, przy czym wszyscy powtarzali mu to samo. Wychodził już z siebie. Przez większą część dnia poszturchiwano go i przepytywano, i mamrotano nad nim, wydał majątek na honoraria lekarzy, a wszystko na nic.

Na dokładkę kilka minut po wyjściu ostatniego konowała przybył urzędnik sądowy. Herbert dostarczył przyniesioną przez kancelistę wiadomość akurat w chwili, gdy Dain usiłował nalać sobie wina. Ze wzrokiem utkwionym w liścik na srebrnej tacy, Dain nie trafił do kieliszka i ochlapał winem szlafrok, pantofle i orientalny dywan.

Obrzucił Herberta przekleństwami, poprawił, ciskając tacą w jego głowę, po czym wypadł z salonu i wparował do swojej sypialni, gdzie doprowadził się do furii, próbując jedną ręką rozpieczętować i otworzyć liścik. W rezultacie z wściekłości ledwie widział na oczy.

Niewiele było do oglądania. W liściku informowano, że pan Andrew Herriard, w imieniu panny Jessiki Trent, życzy sobie spotkania z prawnikiem jego lordowskiej mości.

Wnętrzności lorda Daina zamieniły się w ołów.

Andrew Herriard był słynnym londyńskim prawnikiem, z którego usług korzystali liczni potężni ekspatrianci w Paryżu. Był także filarem prawości – nieprzekupny, lojalny, niestrudzenie służący swoim klientom. Lord Dain, podobnie jak większość ludzi, zdawał sobie sprawę, że pod tą świątobliwą powłoką majaczy stalowa pułapka, której szczęk i zębów pozazdrościłby niejeden rekin. Pułapkę zarezerwowano przede wszystkim dla mężczyzn, ponieważ pan Andrew Herriard upodobał sobie rolę szarmanckiego rycerza w służbie słabszej płci.

Dla prawnika nie liczyło się, że przepisy stoją twardo po stronie męskich przywilejów ani że kobiecie, praktycznie rzecz biorąc, nie przysługują w ich świetle żadne prawa, w tym do jakiejkolwiek własności, nawet w odniesieniu do potomstwa.

Herriard tworzył prawa, które uważał za należne kobietom – i uchodziło mu to płazem. Nawet Francis Beaumont, przy całej swej łajdackiej przebiegłości, z powodu Herriarda nie mógł tknąć choćby dziesiątej części pensa z dochodów swojej żony.

Wynikało to z podejścia stosowanego przez Herriarda w sytuacji, gdy obiekt ataku opierał się przed skandalicznymi żądaniami. Mianowicie napuszczał na takiego nieszczęśnika niekończący się strumień prawników i inicjował procesy w najdrobniejszych sprawach, aż biedaczysko ustępował z czystego wyczerpania, względnie kończył zrujnowany przez honoraria adwokackie lub odstawiano go, wrzeszczącego, do przytułku dla obłąkanych.

Mówiąc krótko, panna Trent nie tylko zamierzała przeczołgać lorda Daina, ale zatrudniła Herriarda, żeby wykonał tę brudną robotę za nią, w dodatku w pełni legalnie, nie zostawiając żadnej luki, przez którą Dain mógłby się wyślizgnąć.

Łatwiej zwalczyć bohatera, powiedział niegdyś Arystofanes. *Łatwiej ognia stłumić żary, / Niż kobietę… Wżdy pantera / Nie jest gorsza.*[20]

Gorsza niż pantera. Bezlitosna. Nieludzka.

– O, nie, wykluczone – wymamrotał Dain. – Nie przez pośredników, ty diabelskie nasienie.

Zmiął liścik w ciasną kulkę i cisnął na palenisko. Następnie ciężkim krokiem podszedł do sekretarzyka, złapał papier listowy, nabazgrał odpowiedź i krzyknął na swego osobistego lokaja.

* * *

W liściku do pana Herriarda Dain oznajmiał, że spotka się z panną Trent o siódmej tego wieczoru w domu jej brata. Nie przyśle swojego prawnika na spotkanie z Herriardem, o co prosił ten ostatni, ponieważ, jak napisał, „żaden pełnomocnik nie będzie niczego przysięgał ani podpisywał w jego imieniu, żeby wykrwawić go do cna”. Jeśli panna Trent życzy sobie podyktować warunki, równie dobrze może przedstawić mu je osobiście. Jeżeli takie rozwiązanie jej nie odpowiada, niech przyśle do Daina swego brata, gdyż markiz z radością rozstrzygnie sprawę na dwadzieścia kroków – przy czym tym razem obaj przeciwnicy będą uzbrojeni.

Ze względu na tę ostatnią sugestię, Jessica uznała, że będzie najlepiej, jeśli Bertie spędzi wieczór gdzie indziej. Nadal nie miał pojęcia, co się wydarzyło.

Wróciwszy z posterunku policji, zastała brata cierpiącego bolesne konsekwencje spożycia alkoholu na balu u lady Wallingdon. Ponieważ organizm osłabiły mu miesiące rozpusty, uległ gwałtownej dyspepsji i wstał z łóżka dopiero poprzedniego dnia w porze podwieczorku.

Nawet w najlepszych okolicznościach mózg Bertiego nie funkcjonował w sposób godny zaufania. Wysiłek konieczny do tego, by pojąć anormalne zachowanie Daina, mógłby doprowadzić do nawrotu choroby, jeśli nie wręcz do apopleksji. Co równie ważne, Jessica nie śmiała ryzykować, że

Bertie podrepce chwiejnie za Dainem z niefortunnym pomysłem, by pomścić jej honor.

Genevieve przyznała jej rację. Stosownie do tego zabrała Bertiego, żeby towarzyszył jej na kolacji u księcia d'Abonville. Na dyskrecji księcia można było polegać. Ostatecznie to właśnie on doradził dyskrecję Jessice – dopóki nie porozmawia z prawnikiem.

I to także książę pokrywał honorarium pana Herriarda. Gdyby Jessica nie wyraziła na to zgody, d'Abonville osobiście wyzwałby Daina na pojedynek. Propozycja ta wyjawiła Jessice wszystko na temat uczuć francuskiego arystokraty wobec Genevieve.

W taki oto sposób o siódmej Bertiego usunięto już bezpiecznie z drogi. W salonie towarzyszył Jessice jedynie pan Herriard. Stali przed stołem, na którym spoczywał schludny stos dokumentów, kiedy wkroczył Dain.

Ze wzgardą rzucił okiem na Herriarda, po czym utkwił sardoniczne obsydianowe spojrzenie w Jessice.

– Szanowna pani – rzekł, kłaniając się płytko.

– Milordzie – odparła z jeszcze bardziej lakonicznym skinieniem głowy.

– Zatem towarzyskie subtelności mamy za sobą – skonstatował. – Może pani przejść do szantażu.

Wargi pana Herriarda zacisnęły się w wąską kreskę, ale się nie odezwał.

Wziął ze stołu papiery i podał je Dainowi, który przeszedł z nimi do okna. Położył je na szerokim parapecie, podniósł ten z wierzchu i niespiesznie rozpoczął lekturę. Przeczytawszy dokument, odłożył go i sięgnął po następny.

Mijały minuty. Jessica czekała, z chwili na chwilę bardziej podminowana.

Wreszcie, po blisko półgodzinie, Dain podniósł wzrok znad dokumentów, na zapoznanie się z którymi wystarczyłby mu w istocie ułamek tego czasu.

– Zastanawiałem się, jak zamierza pan to rozegrać – zwrócił się do Herriarda. – Jeśli darujemy sobie prawnicze sformułowania i łacinę, rzecz sprowadza się do procesu o zniesławienie… jeżeli nie zgodzę się uregulować sprawy prywatnie, stosownie do pańskich wyśrubowanych warunków.

– Słowa, które wyrzekł pan w obecności sześciu innych stron, można było zinterpretować wyłącznie w jeden sposób, milordzie – oświadczył Herriard. – Tymi słowami zniszczył pan wiarygodność towarzyską i

finansową mojej klientki. Uniemożliwił jej pan zamążpójście lub zarobienie w sposób godny środków na samodzielne utrzymanie. Uczynił ją pan wyrzutkiem z warstw społeczeństwa, w których została wychowana i do których przynależy. Stąd też zmuszona będzie żyć na wygnaniu, z dala od przyjaciół i bliskich. Musi zbudować sobie nowe życie.

– Ja zaś, jak rozumiem, mam za to zapłacić – uzupełnił Dain. – Uregulować wszystkie długi jej brata, sięgające sześciu tysięcy funtów. – Zerknął w kartki. – Zapewnić jej wsparcie w kwocie dwóch tysięcy rocznie i… a, tak. Było tu coś na temat pozyskania dla niej lokum i utrzymywania go.

Przerzucał kartki, upuszczając przy tej okazji kilka na podłogę.

To wtedy Jessica uzmysłowiła sobie, że nie używa lewej ręki i trzyma ramię jakoś dziwnie, jakby coś było z nim nie tak. A nie powinno, nie licząc drobnej rany po kuli. Wymierzyła starannie, a była doskonałym strzelcem. Nie wspominając o tym, że stanowił wyjątkowo duży cel.

Spojrzał akurat w jej stronę i przyłapał ją na tym, że się gapi.

– Podziwia pani swoje dzieło? Zapewne z chęcią przyjrzałaby się pani bliżej. Niestety, nie ma na co patrzeć. Z ramieniem wszystko jest w porządku, według konowałów. Tyle że nie działa. Mimo to uważam się za szczęściarza, panno Trent, że nie wycelowała pani sporo niżej. Pozbawiła mnie pani zaledwie ręki, nie męskości. Aczkolwiek nie wątpię, że obecny tu Herriard zadba o kastrację.

Ukłuło ją sumienie. Zignorowała to.

– Dostał pan… i dostanie dokładnie to, na co zasługuje, podstępny, złośliwy brutalu.

– Panno Trent – łagodził Herriard.

– Nie, nie będę trzymać języka na wodzy – oznajmiła. – Jego lordowska mość zażyczył sobie mojej obecności, ponieważ chce awantury. Doskonale wie, że źle postąpił, ale jest zbyt uparty, by to przyznać. Pragnie zrobić ze mnie podstępną, chciwą…

– Mściwą – wtrącił Dain. – Proszę nie zapominać o mściwej.

– Ja, mściwa?! – wykrzyknęła. – To nie ja zaaranżowałam „przypadkową obecność” największych plotkarzy Paryża, kiedy byłam na pół rozebrana i wiedziona, głupia, prosto ku ruinie.

Minimalnie uniósł czarne brwi.

– Nie sugeruje pani chyba, panno Trent, że zaaranżowałem ową farsę.

– Nie muszę niczego sugerować! To oczywiste. Vawtry tam był. Pański przyjaciel. I inni… ci wyrafinowani paryscy szydercy. Wiem, kto zadbał o to, by oglądali moje pohańbienie. I wiem dlaczego. Zrobił pan to z czystej złośliwości. Jakby wszystko, co się wydarzyło… wszystkie plotki, każdy uszczerbek na pańskiej cennej reputacji… były moją winą!

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Potem Dain rzucił resztę dokumentów na dywan, sztywnym krokiem podszedł do tacy z karafkami i nalał sobie kieliszek sherry. Poradził sobie jedną ręką, podobnie jak jeden łyk wystarczył mu, żeby opróżnić szkło.

– Zdaje się, że oboje działaliśmy, opierając się o to samo błędne przekonanie – odezwał się. – Sądziłem, że to pani zaaranżowała ten… hm… przerywnik.

– Nie dziwi mnie to. Wyraźnie pielęgnuje pan w sobie również błędne przekonanie, że stanowi wspaniały łup… biorąc mnie w dodatku za osobę szaloną. Gdybym rozpaczliwie poszukiwała męża… a nie poszukiwałam i nigdy nie będę… nie zniżałabym się do takich archaicznych, żałosnych sztuczek. – Wyprostowała się. – Może panu, milordzie, wydaję się niegodną uwagi, zasuszoną starą panną, zapewniam pana jednak, że jego pogląd znajduje się w mniejszości. Pozostaję niezamężna z wyboru, nie ze względu na brak propozycji.

– Teraz wszakże żadnej pani nie dostanie – podsumował. Wodził po niej leniwie sardonicznym spojrzeniem, aż mrowiła skóra. – Przeze mnie. I do tego rzecz się sprowadza. – Odstawiwszy pusty kieliszek, zwrócił się do Herriarda: – Uszkodziłem towar, a teraz muszę zapłacić tyle, ile on pańskim zdaniem jest wart, w przeciwnym wypadku zarzuci mnie pan dokumentami, będzie nasyłał na mnie prawników i urzędników i przeciągał przez trwające w nieskończoność procesy.

– Gdyby prawo postrzegało kobiety we właściwym świetle, proces nie trwałby w nieskończoność – odparł pan Herriard, niewzruszony. – Kara byłaby surowa i szybka.

– Żyjemy wszakże w nieoświeconych czasach – stwierdził Dain. – Ja zaś, o czym zapewni pana panna Trent, jestem najbardziej nieoświeconym z mężczyzn. Obok innych staroświeckich przekonań żywię i takie, że kiedy za coś płacę, powinno to należeć do mnie. Ponieważ najwyraźniej nie mam innego wyboru, niż zapłacić za pannę Trent…

– Nie jestem kieszonkowym zegarkiem – przerwała mu z napięciem w głosie. Powiedziała sobie, że nie powinna czuć się ani trochę zaskoczona, że ten pyszałkowaty bałwan sugeruje załatwić sprawy, robiąc z niej swoją kochankę. – Jestem istotą ludzką i nigdy nie stanę się pańską własnością, nieważne, ile pan zapłaci. Może i zniszczył pan mój honor w oczach świata, ale nie zniszczy go pan w rzeczywistości.

Uniósł brew.

– Zniszczyć pani honor? Droga panno Trent, proponuję go ocalić. Pobierzemy się. A teraz może zechce pani usiąść cicho, jak grzeczna dziewczynka, żeby mężczyźni mogli uzgodnić szczegóły.

Jessica trwała chwilę w otępieniu, zanim te słowa w nią uderzyły, ostre i oszałamiające niczym cios w głowę. Pokój pociemniał, wnętrze zakołysało się pijacko. Skoncentrowanie się kosztowało ją wiele wysiłku.

– Pobierzemy? – Jej głos zdawał się dobiegać z oddali, słaby, płaczliwy.

– Herriard żąda, żebym spłacił pani brata, a także zapewnił pani dom i wsparcie na resztę życia – odparł. – Doskonale. Zgadzam się… ale na takich samych warunkach, na jakie nalegałby każdy inny mężczyzna: własność i prawa reprodukcyjne na wyłączność.

Spod na pół opuszczonych powiek spojrzał na stanik jej sukni, a żar zapiekł ją tam i rozlał się dalej, całkiem jakby dotykał jej dłońmi, nie wzrokiem.

Zebrała się w sobie.

– Widzę, do czego pan zmierza – oznajmiła. – Nie jest to autentyczna propozycja, lecz strategia, żeby związać nam ręce. Wie pan, że nie możemy go pozwać, jeżeli proponuje rzekomo honorowe rozwiązanie. Wie pan również, że za niego nie wyjdę. I tak oto sądzi pan, że zapędził nas w kozi róg.

– Owszem – przyznał z uśmiechem. – Jeśli odmówi mi pani i spróbuje procesu, tylko się pani poniży. Wszyscy uznają panią za polującą na pieniądze zdzirę.

– A jeśli przyjmę pańską fikcyjną propozycję małżeństwa, będzie pan grał swoją rolę do ostatniej minuty… i zostawi mnie czekającą przy ołtarzu. I poniży mnie tak czy owak.

Roześmiał się.

– Otwierając drzwi długiemu, kosztownemu procesowi o złamanie obietnicy małżeństwa? Ułatwiając Herriardowi zadanie? Pomyśl ponownie,

Jess. I nie komplikuj sprawy, dobrze? Małżeństwo albo nic.

Złapała pierwszą rzecz pod ręką – małą, ale ciężką mosiężną figurkę konia.

Pan Herriard postąpił krok ku niej.

– Panno Trent – rzekł cicho. – Błagam, by oparła się pani pokusie.

– Niech rzuca – wtrącił Dain. – Nic jej z tego nie przyjdzie. Przed kulą nie zdążyłem się uchylić, ale teraz jestem już czujny.

Odstawiła figurkę i popatrzyła na Herriarda.

– Rozumie pan, prawda? – spytała. – Nie składa tej propozycji, żeby mi zadośćuczynić, ponieważ nie uważa, żeby był mi cokolwiek winien. Chce tylko być górą, nade mną, a jeśli przy okazji także nad panem, tym słodszy jego triumf.

– Nie ma znaczenia, co o mnie myślisz, Jess – stwierdził Dain. – Istnieją tylko dwie możliwości. A jeśli czekasz, żebym pomógł ci to przełknąć, padając na kolana i błagając cię o rękę, możesz tak sobie czekać do sądnego dnia – dodał ze śmiechem.

Wówczas ją usłyszała, słabą, ale znajomą. Słyszała ją już wcześniej, w chłopięcych przechwałkach i drwinach: maleńką, dysonansową nutę niepewności, która pobrzmiewała pod powierzchnią śmiechu. Prędko przejrzała wypowiedziane przezeń dotąd słowa i zastanowiła się, czy nie było aby tak, że na więcej nie pozwoliła mu duma. Męska duma stanowi przedmiot nad wyraz cenny i kruchy. To dlatego mężczyźni budują wokół niej fortece, praktycznie od dzieciństwa.

Nie boję się, mówią ze śmiechem chłopcy, podczas gdy robi im się niedobrze z przerażenia. Wykpiwają otrzymywane cięgi i udają, że nic nie czują. Wrzucają także gryzonie i gady na kolana dziewczynek, w których się durzą, śmiejąc się w ten sam niepewny sposób, kiedy one uciekają z krzykiem.

Być może więc jego propozycja stanowiła odpowiednik podarku w postaci gryzonia lub gada. Jeśli Jessica odrzuci ją z oburzeniem, Dain roześmieje się i powie sobie, że właśnie tego chciał.

Być może jednak nie chciał.

Napomniała się, że „być może” trudno uznać za solidną podstawę dla małżeństwa.

Z drugiej strony, Genevieve doradzała złapanie Daina na haczyk. Nie dalej jak tego ranka, po wszystkim, co się wydarzyło, nadal obstawała przy

swoim.

– Wiem, że zachował się obrzydliwie, i nie winię cię, że go postrzeliłaś – oznajmiła. – Pamiętaj jednak, że przerwano mu w momencie, kiedy mężczyźni bardzo nie lubią zakłóceń. Nie myślał racjonalnie. Nie zdołałby. Mimo to jestem pewna, że zależy mu na tobie. Nie sprawiał wrażenia aż takiego zuchwalca i cynika, kiedy z tobą tańczył.

– Małżeństwo albo nic – wdarł się w jej myśli zniecierpliwiony głos Daina. – Takie są warunki, jedyne warunki. Wybieraj, Jess.

* * *

Dain mówił sobie, że to bez znaczenia. Jeśli ona się zgodzi, on przynajmniej oczyści swoją idiotyczną żądzę w zamian za niebotyczną sumę, jaką przyjdzie mu zapłacić. Później zostawi Jessicę w Devon i wróci do swojego życia. Jeśli Jess odmówi, Dain nie zapłaci ani pensa, ona zaś odejdzie i przestanie go nękać, dzięki czemu zapomni o żądzy i o niej. Tak czy inaczej, wygrywał, a Jess przegrywała.

Mimo to serce tłukło mu się w piersi, a wnętrzności skręcały się wskutek lodowatego, pulsującego przerażenia, jakiego nie odczuwał od dzieciństwa.

Zacisnął zęby i wytrwał, obserwując zarazem, jak ona zostawia Herriarda i podchodzi do fotela. Nie usiadła jednak. Po prostu zagapiła się na mebel, z piękną twarzą wyzutą z wyrazu.

Herriard nasrożył brwi.

– Może chce pani trochę czasu, panno Trent? Kilku minut prywatności. Jego lordowska mość z pewnością na tyle wyrazi zgodę – dodał, kierując marsa na Daina. – Ostatecznie, waży się cała przyszłość damy.

– Nie potrzebuję więcej czasu – oznajmiła panna Trent. – Nietrudno podsumować aktywa i pasywa dla obu sytuacji. – Popatrzyła na Daina i, ku jego zaskoczeniu, uśmiechnęła się. – Perspektywa życia w nędzy i zapomnieniu gdzieś na rubieżach cywilizowanego świata wybitnie mnie nie pociąga. Nie przychodzi mi do głowy nic bardziej absurdalnego, jak wieść takie życie wyłącznie ze względu na dumę. Zdecydowanie wolę być bogatą markizą. Oczywiście, Dain, jesteś absolutnie okropny i nie wątpię, że dołożysz starań, by zamienić moje życie w piekło. Jednakowoż, od strony merkantylnej, pan Herriard dopilnuje, żebym została dobrze zaopatrzona. Ponadto niejaką osobistą satysfakcję przyniesie mi wiedza, że będziesz

musiał przełknąć każde pogardliwe słowo, jakie wyrzekłeś kiedykolwiek na temat mężczyzn, którzy dają się uwięzić w małżeństwie lub w inny sposób wikłają się w relacje z godnymi szacunku kobietami. Wiele bym dała, żeby posłuchać, jak tłumaczysz swoje zaręczyny przyjaciołom, mój ty lordzie Belzebubie.

Wpatrywał się w nią, bojąc się zaufać własnym uszom.

– Odpowiedź brzmi „tak” – dodała niecierpliwie. – Naprawdę sądzisz, że taki ze mnie półgłówek, żeby powiedzieć „nie” i dać ci ujść bezkarnie?

– Wiedziałem, że nie mogę liczyć na aż tak wiele – zdołał wykrztusić.

Podeszła do niego.

– Co powiesz przyjaciołom, Dain? Zapewne coś w stylu, że uznałeś małżeństwo za mniej kłopotliwe, niż gdybym miała dalej uganiać się za tobą z pistoletem.

Delikatnie dotknęła rękawa jego surduta, a pod wpływem tego drobnego gestu pierś zacisnęła mu się boleśnie.

– Powinieneś włożyć ją w temblak – poradziła. – Urządzić pokaz. No i zmaleje prawdopodobieństwo, że przypadkiem ją uszkodzisz.

– Temblak zepsułby mi linię surduta – odparł sztywno. – I nie muszę urządzać pokazu ani niczego tłumaczyć.

– Przyjaciele obśmieją cię bezlitośnie. Jakżebym chciała to usłyszeć.

– Ogłoszę im nasze zaręczyny dziś wieczorem w Antoine’s. I mogą z tym zrobić, co im się żywnie podoba. Nie obchodzi mnie zdanie tych idiotów. A tymczasem zalecam, żebyś pobiegła się pakować. Herriard i ja mamy interesy do omówienia.

Zmartwiała.

– Pakować?

– Pojutrze wyjeżdżamy do Anglii – obwieścił. – Zajmę się organizacją podróży. Pobierzemy się w Londynie. Nie życzę sobie tłumów najeżdżających wiejskie krajobrazy Dartmoor i niepokojących bydło. Wyruszymy do Devon po ślubnym śniadaniu.

Oczy jej pociemniały.

– O nie, nie ma mowy – oznajmiła. – Możemy pobrać się tutaj. Nic ci się nie stanie, jeśli pozwolisz mi choć przez chwilę nacieszyć się Paryżem, zanim wygnasz mnie do Devon.

– Pobierzemy się w kościele Świętego Jerzego na Hanover Square. Za miesiąc. Niech mnie szlag, jeśli będę błagał tego pieprzonego arcybiskupa

Canterbury o specjalną licencję. Zapowiedzi zostaną odczytane. A ty w tym czasie możesz cieszyć się Londynem. Nie zostajesz w Paryżu, więc po prostu wybij sobie ten koncept z głowy.

Na myśl o markizie Dain mieszkającej w plugawym tyglu przy rue de Rivoli, który nazywał domem, cierpła mu skóra. Jego pani nie będzie zasiadać do stołu, przy którym hulała połowa paryskich degeneratów, jedząc i pijąc do upadłego – i rzygając na dywany oraz meble. Nie będzie wyszywać lub czytać przy kominku w salonie, który gościł orgie, jakich pozazdrościliby starożytni Rzymianie.

Zanotował w myślach, żeby zamówić nowy materac do rodowego łoża w Devon oraz kazać spalić całą obecną pościel i zasłony. Nie dopuści, żeby markizę Dain zbrukały przedmioty, pośród których spłodził bękarta z Charity Graves.

– Przez ciebie mój pobyt w Paryżu był jak dotąd absolutnie okropny – powiedziała, a jej szare oczy miotały iskry. – Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi to nadrobić. Nie śmiałabym nawet śnić, że staniesz się pantoflarzem, sądziłabym jednak, że wolno mi będzie chodzić na przyjęcia, cieszyć się świeżo odzyskanym honorem i…

– Ależ możesz chodzić na przyjęcia w Londynie – przerwał jej. – Możesz mieć najwspanialsze weselne śniadanie, jakiego sobie zażyczysz. Możesz kupować wszystkie kiecki i świecidełka, jakie ci się spodobają. Co to dla ciebie, u czorta, za różnica, gdzie jesteś, dopóki to ja płacę rachunki?

– Jak możesz być tak bezduszny?! – wykrzyknęła. – Nie życzę sobie, żeby wyprawiano mnie w pośpiechu z Paryża jak jakiś upokarzający sekret.

– Sekret?! – podniósł głos. – W Świętym Jerzym, na Hanover Square? Czy ten piekielny związek mógłby stać się jeszcze bardziej publiczny i przyzwoity?

Ponad jej głową spojrzał na Herriarda, który przy stole upychał papiery do skórzanej teczki na dokumenty, z miną wyrażającą wystudiowaną nieświadomość toczącej się kłótni.

– Herriard, może pan zdoła wyjaśnić, jakąż to wstrząsającą zbrodnię popełnię, biorąc ślub w Londynie.

– Ten spór nie podlega mojej jurysdykcji – odparł Herriard. – Podobnie jak liczba gości weselnych czy inne rozbieżności zdań, następujące przeważnie po zaręczynach. Negocjacje tyczące tych kwestii będą państwo musieli przeprowadzić samodzielnie.

Lord Dain pomyślał, że jak na jeden dzień przecierpiał już dość „negocjacji”. Nie przyszedł tutaj z zamiarem poślubienia autorki swej niedoli. W każdym razie nie świadomie. Oświadczył się, jak sądził, wyłącznie dlatego, że nie potrafił znieść, iż miałby zostać osaczony, zaszczuty i pokonany przez pałającą żądzą zemsty drobną starą pannę i jej diabolicznego prawnika.

Dopóki się nie oświadczył, nie zdawał sobie sprawy, jak ogromne znaczenie miała jej odpowiedź. Aż do tej chwili nie uzmysławiał sobie, jak nudny i przygnębiający wydawał mu się Paryż oraz nadciągające tygodnie i miesiące, kiedy rozmyślał nad tym, że ona znika z jego życia… na zawsze.

Chociaż się zgodziła, nadal odczuwał niepokój, ponieważ jeszcze nie była jego i mogła mu mimo wszystko uciec. Zarazem duma nie pozwalała mu ustąpić. Daj kobiecie palec, a zagarnie całą rękę.

Musiał zacząć tak, jak zamierzał kontynuować, mówił sobie, a zamierzał być panem we własnym domu. Nie pozwoli sobą kierować. Nie zmieni przyzwyczajeń dla nikogo, nawet dla niej. Dain wydawał rozkazy; inni się podporządkowywali.

– *Cara* – powiedział.

Spojrzała mu w oczy z czujną miną. Ujął ją za rękę.

– Pakuj się – rzekł miękko.

Usiłowała wyrwać mu dłoń. Puścił ją, lecz jedynie po to, żeby otoczyć zdrowym ramieniem w talii, pociągnąć do siebie i w górę, podrywając z podłogi, a potem docisnąć usta do jej ust.

Całość trwała ledwie chwilę. Nie miała nawet czasu się opierać. Szybki, bezwstydny pocałunek… i opuścił ją na ziemię, po czym uwolnił. Cofnęła się chwiejnie o krok, z płonącą twarzą.

– Tylko na takie negocjacje możesz liczyć, Jess – oznajmił, pospiesznie dusząc żar i głód, które wzbudził w nim ów nazbyt krótki kontakt. – Jeżeli nadal będziesz się spierać, założę, że życzysz sobie więcej.

– Doskonale, zatem Londyn… ale będzie cię to kosztować, Dain. – Odwróciła się od niego. – Panie Herriard, proszę nie okazywać mu litości. Jeśli chce ślepego posłuszeństwa, nie dostanie go tanio. Oczekuję królewskich kwot na drobne wydatki. Własnego powozu i koni. Pokaźnych udziałów w majątku dla potomstwa, obojga płci. Niech wyje, panie Herriard. Jeśli nie będzie ryczał i tupał jak rozszalały słoń, może pan być pewien, że nie żąda dostatecznie dużo.

– Gotów jestem zapłacić mnóstwo – oświadczył Dain z szerokim, złym uśmiechem – za ślepe posłuszeństwo. Już dziś w nocy zacznę sporządzać listę poleceń. – Ukłonił się z przesadą. – Zatem do pojutrza, panno Trent.

Dygnęła.

– Niech cię piekło pochłonie, Dain.

– Kiedyś na pewno. – Spojrzał na prawnika. – Może pan zajść do mnie jutro o drugiej ze swoimi diabelskimi dokumentami, Herriard.

Nie czekając na odpowiedź, Dain leniwym krokiem opuścił pokój.

Rozdział 9

W drodze do Calais Dain jechał wraz z Bertiem konno obok powozu. W gospodach oddalał się wraz z Bertiem do baru, podczas gdy Jessica spożywała posiłek w towarzystwie babki. Kiedy przeprawiali się przez kanał, jego lordowska mość trzymał się drugiego krańca francuskiego parowca. W drodze do Londynu ponownie jechał obok wynajętej luksusowej karety. Gdy dotarli na miejsce, zdeponował ją, Bertiego i Genevieve pod drzwiami domu wuja Arthura i ciotki Louisy. Od tamtej pory Jessica nie widziała swego narzeczonego.

Obecnie, pełne dwa tygodnie po opuszczeniu Paryża – po czternastu dniach, w trakcie których przyszły mąż z determinacją ignorował jej istnienie – przybył o drugiej po południu i oczekiwał, że Jessica rzuci, czymkolwiek akurat się zajmowała, żeby mu usługiwać.

– Chce, żebym wybrała się z nim na przejażdżkę? – zapytała z oburzeniem, kiedy zdenerwowana ciotka wróciła do bawialni, żeby przekazać wiadomość od Daina. – Tak po prostu? Nagle przypomniał sobie o moim istnieniu i spodziewa się, że przybiegnę, ledwie strzeli palcami? Dlaczego mu nie powiedziałaś, żeby poszedł do diabła?

Ciocia Louisa opadła na fotel, dociskając palce do czoła. Najwyraźniej w ciągu paru minut Dain zdołał podkopać nawet jej autokratyczne opanowanie.

– Jessico, wyjrzyj proszę przez okno – powiedziała.

Jessica odłożyła pióro na sekretarzyk, przy którym walczyła z menu weselnego śniadania, wstała i podeszła do okna. Na ulicy poniżej zobaczyła ładną czarną kariolkę. Pojazd był doczepiony do dwóch potężnych, wielce temperamentnych czarnych wałachów, które Bertie rozpaczliwie starał się utrzymać. Prychały i tańczyły wokół niego niezmordowanie. Jessica nie wątpiła, że jeszcze kilka minut, a zatańczą na głowie jej brata.

– Jego wszechmocna lordowska mość mówi, że nie opuści tego domu bez ciebie. – Głos cioci Louisy pulsował oburzeniem. – Radzę ci się pospieszyć, zanim te jego mordercze bestie zabiją ci brata.

Za trzy minuty kipiąca gniewem Jessica miała bonet na głowie i dopasowaną zieloną pelisę zapiętą na dziennej sukni. Po kolejnych dwóch z pomocą Daina wsiadała do powozu. Czy raczej została w nim upchnięta, gdy zwalił potężne ciało na siedzenie, ona zaś musiała wklinować się w narożnik, żeby umknąć przed muskularnym ramieniem. Mimo to na tak małej powierzchni nie dało się uniknąć fizycznego kontaktu. Bezużyteczna lewa dłoń spoczywała mu na udzie, którym napierał na nią zuchwale, podobnie jak rzekomo uszkodzonym lewym ramieniem. Ich ciepło przenikało przez gruby materiał pelisy i muślinowej sukni.

– Wygodnie ci? – zapytał z kpiącą uprzejmością.

– Dain, ta kariolka jest za mała na nas dwoje – odparła poirytowana. – Miażdżysz mnie.

– Może więc usiądziesz mi na kolanach?

Stłumiwszy palące pragnienie, żeby trzasnąć go w twarz i zetrzeć z niej ten złośliwy uśmieszek, skierowała uwagę na brata, który nadal gmerał nieporadnie przy końskich łbach.

– Niech cię szlag, Bertie, wynoś się stamtąd! – rzuciła ostro. – Chcesz, żeby roztarły ci głowę na bruku?

Dain roześmiał się i popędził konie, a Bertie uskoczył chwiejnie na bezpieczny chodnik.

Moment później kariolka gnała na złamanie karku zatłoczonymi ulicami West Endu. Niemniej, zakleszczona między wysokim, tapicerowanym bokiem siedzenia pojazdu a twardym jak skała ciałem swego demonicznego narzeczonego, Jessica wiedziała, że nie grozi jej, iż wypadnie. Oparła się wygodnie i kontemplowała piekielne rumaki Daina.

Nie spotkała jeszcze koni o tak podłym charakterze. Awanturowały się, prychały i protestowały przeciw wszystkiemu, co znalazło się na ich drodze. Próbowały tratować przechodniów. Wymieniały końskie obelgi z każdym napotkanym pobratymcem. Usiłowały przewracać latarnie i słupki drogowe oraz dążyły do kolizji z każdym pojazdem, który miał czelność korzystać z tej samej ulicy.

Nawet kiedy dotarli do Hyde Parku, zwierzęta nie wyglądały na ani trochę zmęczone. Starały się powalić robotników, którzy kończyli nową bramę przy Hyde Park Corner. Groziło, że popędzą Rotten Row – gdzie wolno było się poruszać wyłącznie pojazdowi monarchy.

Jednakowoż żadne z owych szatańskich przedsięwzięć im się nie powiodło. Chociaż zwlekał z tym do ostatniej chwili, Dain poskramiał wszelkie próby wywołania chaosu. Ku pomieszanej z podziwem irytacji Jessiki, dokonywał tego na pozór bez wysiłku, mimo że z konieczności powoził jedną ręką.

– Przypuszczam, że grzeczne konie nie stanowiłyby żadnego wyzwania – pomyślała na głos.

Gładko odciągnął wałacha z prawej, gdy ten już miał się zderzyć z posągiem Achillesa, i skierował piekielne bestie na zachód, w główną aleję.

– Może wyczuły twój zły humor i się spłoszyły. Nie wiedzą, dokąd uciec, co począć. Zgadza się, Nick, Harry? Boicie się, że was postrzeli?

Bestie szarpnęły łbami, wybuchając złym końskim śmiechem.

– Też byłbyś w złym humorze – odparła – gdybyś spędził ostatni tydzień, zmagając się z listą gości, menu weselnego śniadania, przymiarkami i gromadą nachalnych krewnych. Też byś się zirytował, gdyby wszyscy kupcy w Londynie oblegli twój dom, aż twój salon zacząłby wyglądać jak dom towarowy, ze stosami katalogów i próbek. Nachodzą mnie od poranka, kiedy w gazecie ukazało się zawiadomienie o naszych zaręczynach.

– Ani trochę nie zepsułoby mi to humoru, ponieważ nigdy nie okazałbym się takim tępakiem, żeby pozwolić zawracać sobie głowę.

– To ty nalegałeś na okazały ślub w Świętym Jerzym, na Hanover Square. A potem zostawiłeś wszystko mnie. Nawet nie próbowałeś stwarzać pozorów, że mi pomagasz.

– Ja? Pomagać? – zapytał z niedowierzaniem. – A od czego, u diabła, jest służba, głuptasku? Czy nie powiedziałem ci, żebyś przesyłała mi rachunki? Jeśli nikt z domowników nie nadaje się do tego zadania, zatrudnij kogoś. Skoro chcesz być bogatą markizą, dlaczego nie zachowujesz się jak ktoś taki? Klasy pracujące pracują – wyjaśnił z przesadną cierpliwością. – Klasy wyższe mówią im, co robić. Nie powinnaś zakłócać społecznego porządku. Spójrz, do czego doszło we Francji. Obalili ustanowiony porządek dekady temu, a czym mogą się pochwalić w zamian? Królem, który ubiera się i zachowuje jak drobnomieszczanin, otwartymi ściekami w najbardziej reprezentacyjnych okolicach i brakiem choć jednej przyzwoicie oświetlonej ulicy, nie licząc otoczenia Palais Royal.

Zagapiła się na niego.

– Nie miałam pojęcia, że taki z ciebie konserwatywny snob. Nikt by nie odgadł, patrząc na towarzystwo, jakie sobie dobierasz.

Nie odrywał wzroku od koni.

– Jeśli nawiązujesz do kokot, przypominam, że to wynajęta pomoc.

Ostatnim, czego sobie życzyła, było przypominanie jej o łóżkowych partnerkach Daina. Jessica nie chciała myśleć o tym, jak zabawiał się nocami, podczas gdy ona leżała bezsennie, trapiąc się nocą poślubną i swym brakiem doświadczenia – nie mówiąc już o braku wybujałych kształtów, w których tak odrażająco się lubował.

Przepełniona ponurą pewnością, że jej małżeństwo okaże się fiaskiem – nieważne, co twierdziła Genevieve – Jessica nie chciała przejmować się tym, czy zadowoli go w łóżku. Nie potrafiła wszakże przemóc w sobie dumy, a dla jej kobiecej próżności wizja porażki w oczarowywaniu męża była nie do zniesienia. Dowolnego męża, nawet jego. Żaden z małżonków Genevieve ani nie pomyślał o skoku w bok, podobnie jak żaden z kochanków, których brała sobie dyskretnie w trakcie długiego okresu wdowieństwa.

Teraz z pewnością nie była pora na zmaganie się z tym zniechęcającym problemem, powiedziała sobie Jessica. Sensowniej postąpi, korzystając z okazji, żeby rozstrzygnąć kwestie praktyczne. Jak lista gości.

– Wiem, gdzie na skali społecznej plasują się twoje znajome – powiedziała. – Mężczyźni to inna sprawa. Na przykład pan Beaumont. Ciocia Louisa mówi, że nie można zaprosić go na weselne śniadanie, ponieważ nie należy do dobrego towarzystwa. Ale jest twoim przyjacielem.

– Ni cholery go nie zapraszaj – rzucił Dain, zaciskając szczękę. – Pieprzony sukinsyn próbował mnie szpiegować, kiedy byłem z dziwką. Zaproś go na ślub, a świnia uzna, że zaproszenie obejmuje udział w nocy poślubnej. Przez całe to opium i alkohol pewnie nie umie postawić swojej pały na baczność, więc ogląda, jak robią to inni.

Jessica odkryła, że obraz krągłych ladacznic wijących mu się na kolanach nie jest ani w połowie tak poruszający jak wizja, którą ujrzała oczami wyobraźni w tej chwili: blisko dwa metry ciemnego, nagiego, podnieconego mężczyzny.

Miała dobre pojęcie o tym, jak wygląda podniecenie. Widziała kilka erotycznych rycin pana Rowlandsona. Żałowała, że tak się stało. Nie

życzyła sobie na tyle żywej wizji Daina robiącego ze zmysłową dziwką to samo, co mężczyźni na wspomnianych obrazkach.

Wizja trwała w jej umyśle, krzykliwa niczym iluminacje wywieszane podczas uroczystości państwowych, przez co wnętrzności splatały jej się w supły i miała chęć kogoś zabić.

Nie była po prostu zazdrosna, lecz oszalała z zazdrości – przy czym Dain wprawił ją w ten upokarzający stan zaledwie paroma niefrasobliwymi słowami. Spoglądając w przyszłość, ujrzała, jak robi to raz za razem, aż doprowadza ją do obłędu. Nie powinna reagować w ten sposób, wiedziała o tym.

Nie powinna odczuwać zazdrości o jego kokoty. Powinna dziękować za nie gwiazdom, ponieważ będzie spędzał z nią bardzo mało czasu, Jessica zaś, jako bogata arystokratka, będzie mogła wieść życie, jakiego tylko zapragnie. Powtórzyła to sobie już co najmniej tysiąc razy od dnia, kiedy tak bezczelnie się jej oświadczył, jej zaś, głupiej, zmiękło serce.

Te pouczenia na nic się zdały. Pojmowała, że jest okropny, że wykorzystał ją obrzydliwie, że nie jest zdolny obdarzyć kogokolwiek uczuciem i poślubia ją głównie z zemsty… i mimo to chciała, żeby pragnął wyłącznie jej.

– Czy wreszcie cię zaszokowałem? – zapytał Dain. – Czy tylko się dąsasz? Ta cisza zrobiła się ogłuszająca.

– Jestem zszokowana – odparła zgryźliwie. – Nie przyszłoby mi na myśl, że przeszkadza ci, gdy ktoś cię obserwuje. Zdajesz się uwielbiać publiczne sceny.

– Beaumont podglądał przez wizjer – wyjaśnił Dain. – Po pierwsze, nie znoszę takich działających ukradkiem kanalii. Po drugie, zapłaciłem za dziwkę… a nie żeby dawać gratisowe pokazy dla publiczności. Po trzecie, pewnym zajęciom wolę się poświęcać na osobności.

Aleja zakręcała w tym miejscu na północ, oddalając się od Serpentine. Konie próbowały utrzymać kurs wzdłuż brzegu, celując w skupisko drzew. Dain płynnie skorygował kierunek, jakby nawet nie zauważał, co robi.

– W każdym razie poczułem się zobowiązany wyjaśnić mu moje zasady za pomocą pięści – ciągnął. – Jest więcej niż możliwe, że Beaumont chowa urazę. Nie zdziwiłbym się, gdyby odegrał się na tobie. Jest podstępnym tchórzem i ma paskudny nawyk… – Urwał, marszcząc brwi. – W każdym razie – podjął z zaciętym wyrazem twarzy – trzymaj się od niego z daleka.

Chwilę trwało, nim Jessica uchwyciła implikacje tego rozkazu, wtedy jednak świat odrobinę pojaśniał, a w jej sercu zagościła ostrożna lekkość. Przesunęła się na bok, żeby przyjrzeć się krytycznie jego gniewnemu profilowi.

– To zabrzmiało szokująco… opiekuńczo.

– Zapłaciłem za ciebie – odparł zimno. – Jesteś moja. Troszczę się o to, co moje. Nickowi i Harry'emu również nie pozwoliłbym się do niego zbliżyć.

– O rety, chcesz powiedzieć, że uważasz mnie za dobytek równie cenny jak konie? – Przyłożyła dłoń do serca. – Och, Dain, twój oszołamiający romantyzm mnie przytłacza.

Na moment skoncentrował na niej całą uwagę, przy czym jego posępny wzrok spoczął tam, gdzie znajdowała się jej dłoń. Prędko złożyła ją z powrotem na podołku.

Srożąc brwi, popatrzył znów na konie.

– To wierzchnie coś, jak tam się nazywa – odezwał się z irytacją.

– Moja pelisa? Co jest z nią nie tak?

– Kiedy ostatnio ją widziałem, lepiej ją wypełniałaś. W Paryżu. Kiedy wtargnęłaś na moje przyjęcie, żeby mi się naprzykrzać. – Skierował bestie w prawo, w wysadzaną drzewami aleję kilka kroków na południe od wartowni. – Kiedy przypuściłaś szturm na moją cnotę. Na pewno pamiętasz. Czy tylko wydawała się lepiej dopasowana, ponieważ byłaś mokra?

Pamiętała. Co ważniejsze, on pamiętał – na tyle dokładnie, by odnotować, że straciła na wadze. Nastrój poprawił jej się o kilka kolejnych oczek.

– Mógłbyś wrzucić mnie do Serpentine, żeby się przekonać – podsunęła.

Krótka aleja zawiodła ich na niewielki, gęsto zacieniony, kolisty placyk. Otaczający go pierścień drzew odcinał pozostałą część parku. Niedługo rozpocznie się spacer o piątej i w tym ustronnym miejscu, jak i w całym Hyde Parku, zaroi się od wytwornych londyńczyków. Aktualnie wszakże znajdowali się tu sami.

Dain zatrzymał kariolkę i ustawił hamulec.

– Wy dwaj się uspokójcie – przestrzegł konie. – Naróbcie choć trochę zamieszania, a będziecie ciągnąć barki w Yorkshire.

Choć mówił cicho, ton jego głosu niósł jasny przekaz: posłuszeństwo albo śmierć. Zwierzęta zareagowały na niego dokładnie tak jak ludzie. Momentalnie stały się parą najpotulniejszych wałachów, jakie Jessice zdarzyło się spotkać.

Dain skierował posępne czarne spojrzenie na nią.

– A teraz, co do ciebie, panno Jędzo Trent…

– Uwielbiam te pieszczotliwe przezwiska – oznajmiła, z uczuciem zaglądając mu w oczy. – Tępak. Głuptasek. Jędza. Przyprawiają mnie o trzepotanie serca.

– Wobec tego wpadniesz w zachwyt, słysząc kilka kolejnych przezwisk, które chodzą mi po głowie. Jak możesz być taką idiotką? Czy robisz to celowo? Spójrz na siebie! – To ostatnie zaadresował do stanika jej sukni. – W tym tempie do dnia ślubu nic z ciebie nie zostanie. Kiedy ostatnio zjadłaś należyty posiłek? – zapytał ostro.

Jessica przypuszczała, że w jego mniemaniu ta napaść stanowi wyraz troski.

– Nie zrobiłam tego celowo – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak się żyje pod dachem cioci Louisy. Prowadzi przygotowania do ślubu tak, jak generałowie działania wojenne. Od naszego przybycia w domu trwa zacięta batalia. Mogłabym zostawić ich, żeby przewalczyli wszystko między sobą, ale musiałabym nie dbać o wynik… a tobie bardzo by się on nie spodobał. Ciocia ma zatrważający gust. Co oznacza, że pozostaje mi tylko w tym uczestniczyć, dzień i noc. W rezultacie, ponieważ utrzymanie kontroli pochłania całą moją wolę i energię, czuję się zbyt zmęczona i rozdrażniona, żeby zjeść należyty posiłek… nawet gdyby służba była w stanie taki przygotować, a nie jest, ponieważ ich również ciocia wykańcza tak, że padają z nóg.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– No tak – rzekł wreszcie, wiercąc się odrobinę na swoim miejscu, jakby nie czuł się do końca komfortowo.

– Każesz mi zatrudnić pomoc. Co to da, skoro w ich działania również będzie ingerować? Nadal będę musiała w tym uczestniczyć, co doprowadza mnie…

– Tak, tak, rozumiem – przerwał jej. – Zadręcza cię. Każę jej przestać. Powinnaś była powiedzieć mi wcześniej.

Wygładziła rękawiczki.

– Aż do tej chwili nie miałam świadomości, że jesteś choć trochę skłonny zabijać dla mnie smoki.

– Nie jestem. Ale trzeba zapatrywać się na sprawy praktycznie. Będziesz potrzebować sił na noc poślubną.

– Nie przychodzi mi do głowy, czemu miałabym potrzebować sił – odparła, ignorując natłok budzących się w jej wyobraźni obrazów, od których wzdłuż kręgosłupa wędrowały jej dreszcze. – Muszę tylko leżeć.

– Nago – uzupełnił ponuro.

– Naprawdę? – Strzeliła weń spojrzeniem spod osłony rzęs. – No, jak mus, to mus, skoro masz w tych sprawach przewagę doświadczenia. Szkoda jednak, że nie uprzedziłeś mnie wcześniej. Nie kazałabym krawcowej tak się trudzić przy negliżu.

– Przy czym?

– Kosztował upiornie dużo, ale jedwab jest delikatny jak pajęczyna, a koronkowe wykończenie wzdłuż linii dekoltu wyjątkowo kunsztowne. Ciocia Louisa była przerażona. Oznajmiła, że tylko kobiety lekkich obyczajów noszą takie rzeczy i że nie zostawia nic dla wyobraźni.

Jessica usłyszała, jak on wciąga powietrze, i poczuła, jak napinają mu się mięśnie uda.

– Gdyby jednak pozostawić te kwestie cioci Louisie – ciągnęła – zakryłaby mnie od brody do stóp grubą bawełną, przymarszczoną za pomocą szkaradzieństw w rodzaju różowych kokardek i pączków róż. Co jest absurdalne, skoro suknia wieczorowa odsłania znacznie więcej, nie wspominając…

– Jakiego koloru? – zapytał chrapliwie.

– Czerwonego wina. Z wąskimi czarnymi wstążkami przeplecionymi na linii dekoltu. Tutaj. – Narysowała nad biustem głębokie U. – Do tego wyjątkowo piękny ażurowy haft nad… no, w tym miejscu. – Przeciągnęła palcem po piersi, tuż nad sutkiem. – I kolejny z prawej strony spódnicy. Odtąd – wskazała biodro – do samego skraju. Kupiłam też…

– Jess – wyrzekł jej imię zduszonym szeptem.

– …pantofelki do kompletu. Czarne, bez pięty, z…

– Jess. – W ułamku chwili cisnął lejce i wciągnął ją sobie na kolana.

Ruch zaniepokoił konie, które zaczęły rzucać łbami, prychać i tańczyć ze wzburzeniem.

– Dosyć! – rzucił ostro Dain. Wałachy zamarły.

Jego mocarne ramię zacisnęło się wokół talii Jessiki, kiedy przyciągał ją bliżej.

Jakby siedziała na pulsującym żarem piecu: jego ciało, gorące i twarde, wibrowało napięciem. Przesunął dłonią w dół po jej biodrze i chwycił udo.

Podniosła wzrok. Spoglądał złowrogo na swoją wielką dłoń w rękawiczce.

– Ty – warknął. – Niech cię szlag!

Odchyliła głowę do tyłu.

– Zwrócę ją, jeśli sobie życzysz. Tę koszulę nocną.

Przeniósł wściekłe czarne spojrzenie w górę, na jej usta. Oddychał chrapliwie.

– Nie, nie zwrócisz – oznajmił.

Potem jego usta, twarde i wygłodniałe, spadły na wargi Jessiki, sunąc po nich, jakby chciał ją ukarać.

Jessica wszakże czuła smak zwycięstwa. Czuła go w żarze, którego nie potrafił zamaskować, w pulsującym napięciu jego sylwetki, słyszała równie wyraźnie jak wygłoszone oświadczenie, kiedy z niecierpliwością napierał językiem, żeby wpuściła go do środka.

Pragnął jej. Nadal.

Może i nie chciał tego, ale nic nie poradził, podobnie jak Jessica nie była w stanie przestać pragnąć jego.

I w tej chwili nie musiała udawać, że jest inaczej. Oplotła go ramionami za szyję i trzymała mocno, kiedy pustoszył jej usta. I wzajemnie.

Całkiem jakby byli dwiema zajadłymi armiami, a pocałunek bitwą na śmierć i życie. Oboje chcieli tego samego: podboju, zawłaszczenia. Nie okazywał litości. Ona wcale jej nie chciała. Nie mogła się nasycić żarliwą grzesznością jego ust, palącym naciskiem dłoni, wędrującej po jej biodrze, zuchwale zawłaszczającej pierś.

Sama także zawłaszczała, sunęła dłońmi po jego masywnych barkach i w dół, wbijając palce w potężne mięśnie ramion. Moje, myślała, kiedy muskuły napinały się i pracowały pod jej dotykiem.

I moje, ślubowała, rozpościerając ręce na jego szerokiej, twardej piersi. Weźmie go i zatrzyma, choćby miało ją to zabić. Może i był potworem, ale jej potworem. Nie będzie z nikim dzielić jego pocałunków. Nie będzie z nikim dzielić tego wielkiego, wspaniałego ciała.

Przysunęła się bliżej. Stężał i z dobywającym się z głębi gardła jękiem sięgnął w dół, chwytając ją za pupę, żeby przyciągnąć jeszcze bardziej. Nawet przez skórę jego rękawiczek do powożenia i kilka warstw materiału ten zuchwały dotyk rozsyłał po jej skórze gorące fale doznania.

Pragnęła poczuć jego dotyk na swym nagim ciele: wielkie, obnażone, ciemne dłonie poruszające się na niej, wszędzie. Szorstkie lub delikatne, nie obchodziło jej to. Byleby jej pragnął. Byleby całował ją i dotykał w ten sposób… jakby umierał z głodu, jak ona, jakby nie potrafił się nią nasyć, jak ona nim.

Oderwał usta od jej ust i, mamrocąc coś, co brzmiało jak włoskie przekleństwa, zabrał ciepłą dłoń z jej pośladków.

– Puść mnie – polecił niewyraźnie.

Przełykając krzyk frustracji, zabrała ręce, złożyła je na podołku i wbiła wzrok w drzewo naprzeciw.

* * *

Dain spoglądał na Jessicę z pełną furii desperacją.

Powinien był mieć dosyć rozumu, żeby trzymać się od niej z daleka. Pobiorą się za trzynaście dni i dostanie noc poślubną, a później tyle nocy, ile będzie potrzebował, żeby ugasić żądzę raz na zawsze. Mówił sobie, że nie gra roli, jak bardzo będzie go do tego czasu dręczyła i prześladowała. Przetrwał gorsze rzeczy, dla mniejszej nagrody, z pewnością więc przetrzyma dwa tygodnie frustracji.

Musiał przetrzymać, gdyż oczyma wyobraźni aż nazbyt żywo widział alternatywę: markiz Dain kręcący się przy swej przyszłej żonie i dyszący nad nią niczym przymierający głodem kundel przy wózku rzeźnika. Skomlałby i ujadał pod jej drzwiami za dnia i wył pod oknem w nocy. Dreptałby za nią do krawcowych i modystek, zakładów szewskich i pasmanterii, warczał na wszystkich wokół niej na przyjęciach.

Nawykł, że dostaje, czego chce, w tej samej chwili, gdy tego zapragnie, i nauczył się mądrze ignorować lub odrzucać rzeczy, których nie mógł otrzymać natychmiast. Tymczasem odkrył, że jej nie potrafi zignorować, tak jak wygłodniały ogar nijak nie zlekceważyłby sztuki mięsa.

Powinien był zdać sobie z tego sprawę w dniu, gdy ją poznał, kiedy to zabawił dłużej w sklepie Champtoisa, niezdolny oderwać od niej oczu.

Powinien był przynajmniej dostrzec problem, kiedy rozpadł się na kawałki, po prostu zdejmując jej przeklętą rękawiczkę.

Tak czy owak, nie ucieknie już od tej prawdy, skoro właśnie dał sobie – i jej – tak upokarzająco wymowny pokaz. Opisała skrawek bielizny, a z miejsca stracił głowę i próbował ją pożreć.

– Życzysz sobie, żebym zeszła ci z kolan? – odezwała się uprzejmie, nadal wpatrzona przed siebie.

– Chcesz zejść? – spytał poirytowany.

– Nie, jest mi bardzo wygodnie.

Chciałby móc powiedzieć to samo. Za sprawą drobnej, krągłej pupy, usadowionej tak cholernie wygodnie na jego kolanach, genitalia Daina doświadczały piekielnych mąk. Miał pulsującą świadomość, że ulga znajduje się bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że odwróci ją ku sobie, uniesie jej spódnice i…

I równie dobrze mogłaby bawić w Chinach, jeśli idzie o szansę, że to nastąpi, pomyślał gorzko. Na tym polega problem z damami – jeden z tysięcy problemów. Człowiek nie może załatwić sprawy wtedy, kiedy chce. Musi się zalecać i przekonywać, a potem zrobić swoje przyzwoicie w łóżku. Po ciemku.

– Wobec tego możesz zostać – stwierdził. – Ale nie całuj mnie więcej. To… prowokujące. I nie opowiadaj mi już o swoich strojach do spania.

– Doskonale – odparła i leniwie rozejrzała się wokół, jakby siedziała przy stole, popijając herbatę. – Wiedziałeś, że pierwsza żona Shelleya utopiła się w Serpentine?

– Czy moja pierwsza żona rozważa to samo? – zapytał, niespokojnie mierząc ją wzrokiem.

– Skądże. Genevieve twierdzi, że zabijanie się z powodu mężczyzny stanowi niewybaczalny nietakt. Zaproponowałam jedynie temat do rozmowy.

Pomyślał, że pomimo doznawanych katuszy, nawet przyjemnie trzyma się na kolanach miękką, miło pachnącą damę, która gawędzi od niechcenia. Usta zaczęły mu się wyginać w uśmiechu. Prędko przekształcił go w chmurny grymas.

– Czy to oznacza, że chwilowo porzuciłaś zagniewanie?

– Tak. – Zerknęła na bezużyteczną lewą rękę Daina, która w trakcie ich burzliwego uścisku ześlizgnęła się na siedzenie. – Naprawdę powinieneś

nosić temblak. Żeby nie walić nią gdzie popadnie. Mógłbyś poważnie ją sobie uszkodzić i nawet tego nie zauważyć.

– Tylko raz czy dwa zdarzyło się, że w coś walnąłem – odparł, spoglądając chmurnie na rękę. – I zauważyłem to, zapewniam cię. Wszystko czuję, całkiem jakby była sprawna. Tyle że nie jest. Nie funkcjonuje. Po prostu leży. Zwisa. Mniejsza z tym. – Zaśmiał się. – Gryzie cię sumienie?

– Gdzieżby. Zamyślałam potraktować cię szpicrutą, ale przypuszczalnie nic byś nie poczuł.

Obejrzał z uwagą jej szczupłe ramię.

– Musiałabyś mieć o wiele więcej krzepy – orzekł. – I nie byłabyś dostatecznie szybka. Uskoczyłbym i tylko bym się śmiał.

Podniosła wzrok.

– Śmiałbyś się, nawet gdybym cię dosięgnęła. Śmiałbyś się, nawet mając plecy w strzępach. Śmiałeś się, kiedy cię postrzeliłam?

– Nie pamiętam – odparł lekkim tonem – ponieważ zemdlałem. Niedorzeczne.

To było niedorzeczne, uzmysłowił sobie teraz, zaglądając w spokojne szare głębie jej oczu. Absurdem było wściekać się na nią. Nie ona zaaranżowała scenę w ogrodach Wallingdonów. Zaczynał podejrzewać, czyje to dzieło. Jeśli podejrzewał słusznie, zachował się wtedy nie tylko obrzydliwie, lecz także niewybaczalnie głupio.

Zasłużył sobie na kulkę. A ona dobrze wszystko rozegrała. Teatralnie. Uśmiechnął się na samo wspomnienie.

– Zgrabnie ci to wyszło, Jess. Należy ci to oddać.

– Wspaniale mi wyszło. Przyznaj: błyskotliwy plan i wykonanie.

Odwrócił wzrok, spoglądając na Nicka i Harry’ego, którzy udawali sennie pogodzonych ze światem.

– Bardzo dobrze ci wyszło. Kiedy teraz o tym myślę. Ubrana w czerwień i czerń. Głos lady Makbet. – Zaśmiał się cicho. – I to, jak moi dzielni kompani na twój widok czmychnęli w przerażeniu. Jak gromadka dam na herbatce na widok myszy. – Skierował rozbawione spojrzenie na powrót na nią. – Może warto było zarobić kulkę jedynie po to, żeby zobaczyć coś takiego. Sellowby… Goodridge… w panice z powodu jednej wściekłej maleńkiej kobietki.

– Nie jestem maleńka – odparła ostro. – Nie umniejszaj mojego znaczenia tylko dlatego, że taki z ciebie wielki, niezdarny gamoń. Dla pańskiej informacji, lordzie Goliacie, tak się składa, że jestem wzrostu powyżej przeciętnej.

Poklepał ją po ramieniu.

– Nic się nie przejmuj, Jess. Mimo wszystko zamierzam cię poślubić i jakoś zadowolę się tym, co jest. Nie zamartwiaj się więc. W rzeczy samej, przywiozłem dowód.

Wsunął dłoń w głęboki schowek w powozie.

Chwilę zajęło mu znalezienie paczuszki, którą tam ukrył, i ten moment wystarczył, żeby serce zaczęło łomotać mu z niepokoju.

Spędził trzy denerwujące godziny, wybierając podarek. Wolałby być łamany kołem, niż wrócić pod numer trzydzieści dwa na Ludgate Hill i przejść znowu przez to piekielne doświadczenie. Wreszcie zamknął palce na pudełeczku.

Mimo to serce nie przestawało mu łomotać, nawet kiedy wyciągnął pudełko i nieporadnie wcisnął jej w dłoń.

– Sama otwórz – rzucił z napięciem w głosie. – Piekielnie niewygodnie robi się to jedną ręką.

Przeniosła szare spojrzenie z niego na pudełeczko, a potem je otworzyła.

Na moment nastała cisza. Wnętrzności zwijały mu się w supły, skóra lepiła się od potu.

– Och – odezwała się wreszcie. – Och, Dain.

Obezwładniająca panika odrobinę zelżała.

– Jesteśmy zaręczeni – oznajmił sztywno. – To pierścionek zaręczynowy.

Sprzedawca u Rundella i Bridge’a wysuwał różne bulwersujące sugestie. Kamień urodzinowy – kiedy Dain nie znał daty jej urodzin. Kamień pod kolor jej oczu – kiedy nie istniał taki kamień, absolutnie żaden taki przedmiot.

Ten służalczy robak ośmielił się nawet zasugerować rządek kamieni szlachetnych, których pierwsze litery angielskich nazw tworzyły przesłanie: Diament-Szmaragd-Ametyst-Rubin-Epidot-Szafir-Turkus… *dearest*, najukochańsza. Niewiele brakowało, a Dain zwróciłby śniadanie.

Potem, wreszcie, kiedy znajdował się już w ostatnim stadium rozpaczy w wyniku ślęczenia nad szmaragdami, ametystami, perłami, opalami, akwamarynami i wszelkimi innymi przeklętymi kamieniami, jakie

rękodzielnik potrafi wcisnąć w pierścionek… wtedy, na ostatniej z, jak się zdawało, tysiąca wyścielanych aksamitem tacek, Dain go znalazł.

Pojedynczy rubin kaboszon, wypolerowany tak gładko, że zdawał się płynny, w otoczeniu wstrząsająco doskonałych diamentów.

Mówił sobie, że mało go obchodzi, czy pierścionek jej się spodoba. I tak będzie musiała go nosić.

O wiele łatwiej przychodziło mu udawać z dala od niej. Łatwej stwarzał pozory, że wybrał ten konkretny pierścionek po prostu dlatego, iż był najwspanialszy. Łatwiej ukrywał wśród mrocznych nieużytków serca prawdziwy powód: że pierścionek stanowił hołd, o symbolice równie ckliwej jak propozycje sprzedawcy.

Krwisty kamień dla odważnej dziewczyny, która utoczyła mu krwi. A diamenty miotały ogniste błyski, ponieważ przy ich pierwszym pocałunku rozjarzyła się błyskawica.

Podniosła na niego spojrzenie. Oczy zasnuwała jej srebrna mgła.

– Jest piękny – powiedziała cicho. – Dziękuję. – Ściągnęła rękawiczkę i wyjęła pierścionek z pudełka. – Musisz wsunąć mi go na palec.

– Muszę? – Próbował wyrzec to zdegustowanym tonem. – Znowu jakieś sentymentalne bzdury.

– Nikt nie widzi – zapewniła.

Wziął od niej pierścionek i wsunął jej na palec, po czym prędko cofnął rękę, obawiał się bowiem, że Jess zauważy jej drżenie.

Obracała dłoń na różne strony, a diamenty zapłonęły ogniem.

Uśmiechnęła się.

– Przynajmniej pasuje – stwierdził.

– Idealnie. – Cmoknęła go w policzek, po czym spiesznie wróciła na swoje miejsce. – Dziękuję, Belzebubie – powiedziała miękko.

Poczuł bolesny ucisk w sercu. Chwycił lejce.

– Wynośmy się stąd, nim zacznie się ten modny owczy pęd – burknął. – Nick! Harry! Możecie już przestać odgrywać martwych.

Te konie umiały odegrać wszystko. Wyszkolił je cyrkowy woltyżer i uwielbiały się popisywać, błyskawicznie reagując na subtelne sygnały, których Dain uczył się od ich poprzedniego pana przez pełne trzy dni. Mimo że wiedział, na czym polega sztuczka, sam miewał niekiedy problem z pamiętaniem, że reagują na określony ruch lejcami lub zmianę tonu, a nie jego słowa jako takie.

Szczególnie przepadały za rolą, którą odgrywały podczas jazdy do Hyde Parku, toteż pozwolił im zabawić się tak ponownie, przez całą drogę powrotną. Odwróciło to uwagę narzeczonej od niego, ukierunkowując ją na modlitwy, by dotarła żywa do domu ciotki. Zapewniwszy Jessice absorbujące zajęcie, Dain mógł bez pośpiechu złożyć do kupy swoje roztrzaskane opanowanie i zaprząc inteligencję, żeby dodać dwa do dwóch, co powinien był zrobić tygodnie temu.

Widzów było sześcioro, powiedział mu Herriard.

Obecnie Dain usiłował przypomnieć sobie twarze. Vawtry, tak, wyglądający jak rażony gromem. Rouvier, człowiek, którego Dain publicznie zawstydził. Dwóch Francuzów, których, jak pamiętał, widywał często w Vingt-Huit. Oraz dwie Francuzki. Jednej nie znał. Drugą była Isobel Callon, jedna z najzłośliwszych plotkarek Paryża… należąca zarazem do grona ulubionych towarzyszek Francisa Beaumonta.

Co powiedziała tamtego wieczoru Jessica? Coś o tym, że plotki umarłyby śmiercią naturalną, gdyby nie wtargnęła do jego domu.

Może jednak wcale by nie umarły, rozważał Dain. Niewykluczone, że publiczne zainteresowanie jego relacjami z panną Trent rozrosło się do szalonych rozmiarów, ponieważ ktoś lał wodę na plotkarski młyn. Niewykluczone, że ktoś nieustannie puszczał plotki w ruch i zachęcał do zawierania zakładów, wiedząc, że tego rodzaju pogłoski doprowadzą Belzebuba do szału.

Wystarczyło, by Beaumont napomknął słówko właściwej osobie. Na przykład Isobel Callon. Capnęłaby taki smakowity kąsek i zbudowała na nim kampanię. Nie potrzebowałaby szczególnej zachęty, gdyż nienawidziła Daina. Posiawszy ziarno, Beaumont mógłby wyjechać do Anglii, cieszyć się zemstą z bezpiecznej odległości… i zaśmiewać do rozpuku, czytając listy od przyjaciół z opisami najnowszych zwrotów akcji w dramacie Dain kontra Trent.

Kiedy takie podejrzenie zakiełkowało w nim po raz pierwszy, Dain uznał je za naciągane, wytwór wzburzonego umysłu.

Teraz wydawało mu się znacznie bardziej sensowne niż jakiekolwiek inne wyjaśnienie. Tłumaczyło przynajmniej, dlaczego zblazowany Paryż nabrał takiej obsesji na punkcie garstki spotkań jednego brzydkiego Anglika z jedną ładną Angielką.

Zerknął na Jessicę.

Usiłowała ignorować przedstawienie Nicka i Harry’ego pod tytułem *Rumaki z piekła rodem*, koncentrując uwagę na pierścionku zaręczynowym. Nie założyła na powrót rękawiczki. Obracała dłoń, a diamenty mieniły się tęczowym ogniem.

Pierścionek jej się podobał.

Kupiła koszulę nocną z czerwonego jedwabiu, z czarnymi wykończeniami. Na swoją noc poślubną.

Odwzajemniała jego pocałunki i dotykała go. I nie sprawiała wrażenia, jakby przeszkadzało jej, że jest całowana i dotykana.

Piękna i Bestia. Tak nazwałby ich Beaumont, ta kanalia o zatrutym języku.

Ale za trzynaście dni ta tutaj Piękna zostanie markizą Dain. I będzie leżała w łożu Bestii. Naga.

Wówczas Dain zrobi to wszystko, za czym usychał z tęsknoty przez, jak się zdawało, całą wieczność. Wówczas Jessica będzie jego i nie tknie jej żaden inny mężczyzna, ponieważ stanowiła wyłączną własność Daina.

To prawda, że za kwotę, jaką zapłacił za tę „wyłączność”, kupiłby Portugalię.

Z drugiej strony, trafił mu się towar z najwyższej półki. Dama. Jego dama.

I bardzo możliwe, że zawdzięczał to wszystko podstępnemu, zdeprawowanemu, tchórzliwemu, złośliwemu Francisowi Beaumontowi.

W takim zaś wypadku, uznał, branie Francisa Beaumonta na stronę, żeby pogruchotać mu kości, mijałoby się z celem – a przy tym stanowiłoby marnotrawstwo energii, którą lepiej będzie zaoszczędzić na noc poślubną.

Wypadałoby wręcz, żeby Dain mu podziękował.

Tyle że markiz Dain nie był człowiekiem przesadnie uprzejmym.

Uznał, że wieprz nie jest wart fatygi.

Rozdział 10

W jasny niedzielny poranek jedenastego dnia maja roku pańskiego tysiąc osiemset dwudziestego ósmego markiz Dain stanął przed pastorem w kościele Świętego Jerzego na Hanover Square z Jessicą, jedyną córką nieżyjącego sir Reginalda Trenta, baroneta.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom, dach nie runął, kiedy lord Dain wkroczył do świętego gmachu, ani razu też w trakcie ceremonii nie uderzył grom. Nawet gdy na koniec markiz pociągnął pannę młodą w ramiona i pocałował tak soczyście, że upuściła modlitewnik, huk pioruna nie wstrząsnął kościelnymi murami, aczkolwiek kilka starszych dam zemdlało.

Co za tym idzie, wieczorem tegoż dnia pan Roland Vawtry wręczył Francisowi Beaumontowi wystawiony przez siebie skrypt dłużny na trzysta funtów. Pan Vawtry wypisał już inne skrypty dłużne, opiewające na różne kwoty, i dostarczył je lordowi Sellowby'emu, kapitanowi Jamesowi Burtonowi, Augustusowi Tolliverowi i lordowi Avory'emu.

Pan Vawtry nie miał pojęcia, skąd ani jak zdobędzie pieniądze na pokrycie skryptów. Kiedyś, dekadę temu, udał się do lichwiarzy. Dowiedział się – a wiedza ta kosztowała go dwa lata niedoli – że funkcjonuje to, w skrócie, w taki sposób, iż pożyczają człowiekowi pięćset funtów, a domagają się z powrotem tysiąca. Prędzej wpakowałby sobie kulkę w łeb, niż powtórzył tamto doświadczenie.

Towarzyszyła mu bolesna świadomość, że bez problemu spłaciłby aktualne długi honorowe, gdyby przed opuszczeniem Paryża nie musiał uregulować tak wielu innych. Nie miałby w ogóle obecnych długów, pomyślał żałośnie, gdyby przyswoił otrzymaną w Paryżu lekcję i dał spokój z zakładaniem się o jakiekolwiek sprawy związane z Dainem.

Wygrał tylko raz, przy czym nie było to żadne wielkie zwycięstwo. Stracił dwieście funtów na rzecz Isobel Callon, kiedy twierdziła, że Dain zwabił pannę Trent do ogrodu lady Wallingdon, żeby się z nią kochać. Po prostu odzyskał tę kwotę, kiedy Dain, przyłapany, wbrew przepowiedni

pewnej siebie Isobel nie odegrał roli rycerskiego amanta. Choć raz zachował się, jak przystało na Daina.

Nieszczęśliwie dla finansów Vawtry'ego, zdarzyło się to wyłącznie ów jeden raz. Ponieważ niespełna tydzień później, po tym, jak przysięgał, że nie tknąłby panny Trent, choćby podano mu ją na tacy z czystego złota – po tym, jak ta niepojęta kobieta go postrzeliła – Dain wszedł leniwym krokiem do Antoine's i ze spokojem ogłosił swoje zaręczyny. Oznajmił, że ktoś musi ją poślubić, gdyż panna Trent stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego, on zaś najpewniej jest tu jedynym mężczyzną na tyle wielkim i złośliwym, żeby ją okiełznać.

Zastanawiając się markotnie, kto tu kogo okiełznał, Vawtry usadowił się wraz z Beaumontem przy stole w narożniku w serwującej ostrygi jadłodajni pana Pearke'a na Vinegar Yard, z południowej strony teatru przy Drury Lane.

Choć lokal nie należał do eleganckich, Beaumont go lubił jako miejsce spotkań artystów. A że było tu w dodatku bardzo tanio, Vawtry również darzył przybytek sympatią.

– Zatem, jak słyszę, Dain zafundował wszystkim nie lada spektakl – zagaił Beaumont, kiedy posługaczka napełniła ich kieliszki. – Przeraził pastora. Śmiał się, kiedy panna młoda ślubowała posłuszeństwo. I prawie złamał jej szczękę przy pocałunku.

Vawtry zmarszczył czoło.

– Byłem pewien, że Dain przeciągnie sprawę do ostatniej minuty, a później głośno obwieści: „Nie". Po czym się roześmieje i wyjdzie równie leniwym krokiem, jak wszedł.

– Założyłeś, że potraktuje ją jak wcześniej inne kobiety – stwierdził Beaumont. – Najwyraźniej zapomniałeś, że te inne kobiety były bez wyjątku kokotami, a w arystokratycznym pojęciu Daina kokoty to zaledwie wiejskie dziewki, które się miętosi i wyrzuca z pamięci. Panna Trent jednakże jest dziewicą z dobrej rodziny. Diametralnie odmienna sytuacja, Vawtry. Jakże żałuję, że tego nie dostrzegłeś.

Teraz Vawtry to dostrzegał. I wydawało to się tak oczywiste, że nie mógł uwierzyć, iż sam do tego nie doszedł wieki temu. Dama. Całkowicie odmienny gatunek.

– Gdybym dostrzegł, byłbyś o trzysta funtów w plecy – skonstatował lekkim tonem, acz z ciężkim sercem.

Beaumont uniósł kieliszek i przyjrzał mu się z uwagą, nim ostrożnie upił łyk.

– Da się wypić – ocenił – ale ledwo, ledwo.

Vawtry pociągnął bardzo długi łyk z własnego kieliszka.

– Tak naprawdę to żałuję – podjął po chwili Beaumont – że nie znałem faktów. Sprawy wyglądałyby teraz zupełnie inaczej. – Marszcząc brwi, wbił wzrok w stół. – Gdybym wtedy znał prawdę, coś bym ci chociaż napomknął. Ale nie znałem, ponieważ żona nic mi nie mówi. Widzisz, szczerze wierzyłem, że panna Trent nie ma ani pensa. I to aż do wczorajszego wieczoru, kiedy znajomy artysta, który robi szkice dla Christie’s, skorygował moje błędne mniemanie.

Pan Vawtry niespokojnie zmierzył przyjaciela wzrokiem.

– Co masz na myśli? Wszyscy wiedzą, że siostra Bertiego jest biedna jak mysz kościelna, przez niego.

Beaumont się rozejrzał. Następnie, pochylając się nad stołem, odezwał się ciszej:

– Przypominasz sobie ten zbutwiały obrazek, o którym opowiadał nam Dain? Ten, który dziewucha wyrwała Champtoisowi za dziesięć sou?

Vawtry przytaknął.

– Okazało się, że to rosyjska ikona, w dodatku jedno z najwspanialszych, najbardziej niezwykłych dzieł szkoły stroganowskiej, jakie istnieją.

Vawtry patrzył na niego bez zrozumienia.

– Koniec szesnastego wieku – wyjaśnił Beaumont. – Pracownia ikon, otwarta przez rodzinę Stroganowów, rosyjską arystokrację. Artyści wykonywali miniatury do domowego użytku. Delikatna, mrówcza praca. Kosztowne materiały. Osiągają dziś wysokie ceny. Do tej ikony użyto płatków złota. Ma złotą ramę, wysadzaną cennymi klejnotami.

– Ewidentnie warta więcej niż dziesięć sou – podsumował Vawtry, siląc się na swobodny ton. – Dain mówił przecież, że dziewczyna jest bystra.

Dwoma łykami opróżnił kieliszek i napełnił go ponownie. Kątem oka zobaczył, że nadchodzi posługaczka z posiłkiem. Zaklinał ją, żeby się pospieszyła. Nie miał ochoty słyszeć nic więcej.

– Wartość, oczywiście, zależy od oceniającego – ciągnął Beaumont. – Ja bym ją wycenił na minimum tysiąc pięćset funtów. Na aukcji, bardzo prawdopodobne, kilka razy tyle. Ale wiem o co najmniej jednym

Rosjaninie, który sprzedałby swojego pierworodnego, żeby ją dostać. Dziesięć, nawet dwadzieścia tysięcy.

Lady Granville, córka księcia Sutherlanda, jednego z najbogatszych ludzi w Anglii, wniosła mężowi w posagu dwadzieścia tysięcy funtów.

Takie kobiety, córki parów, wraz ze swymi gigantycznymi wianami, znajdowały się daleko poza zasięgiem pana Vawtry'ego. A panna Trent, córka pozbawionego znaczenia baroneta, należała do tej samej warstwy ziemiaństwa co pan Vawtry.

Dostrzegał teraz, że miał idealną sposobność, by zaskarbić sobie jej względy, po tym jak Dain publicznie ją obraził i upokorzył. W tamtym momencie była bezbronna. Zamiast jedynie podać jej swój surdut, Vawtry mógł wcielić się w szarmanckiego rycerza. I może to on stałby dziś przed kaznodzieją.

Wówczas ikona byłaby jego, a sprytny Beaumont pomógłby mu zamienić ją na gotówkę… gotową do zainwestowania. Roland Vawtry ustatkowałby się z wcale niebrzydką żoną i wiódłby spokojne, komfortowe życie, niezależny odtąd od pani Fortuny – czy też, ujmując rzecz trafniej, od kaprysów markiza Daina.

Zamiast tego Roland Vawtry miał długi sięgające pięciu tysięcy funtów. Choć według standardów co poniektórych nie było to wiele, dla niego mogłoby równie dobrze chodzić o miliony. Nie przejmował się długami u kupców, ale głębokim niepokojem napawały go skrypty dłużne, które wystawił przyjaciołom. Jeśli wkrótce nie ureguluje tych zobowiązań, towarzystwo odwróci się od niego. Dżentelmena, który nie płaci długów honorowych, przestaje się uważać za dżentelmena. Perspektywa ta wydawała mu się straszniejsza nawet niż groźba lichwiarzy, domu dla dłużników czy więzienia. Uważał swoją sytuację za rozpaczliwą. Pewni ludzie mogliby mu powiedzieć, że Francis Beaumont wyczuwa rozpacz innych z dwudziestu kroków, a z jątrzenia jej czerpie wielką osobistą przyjemność. Jednakże tych mądrych osób nie było w pobliżu, a Vawtry nie zaliczał się do mężczyzn przesadnie inteligentnych.

W konsekwencji, nim skończyli posiłek i opróżnili sześć butelek podłego wina, pan Beaumont rozstawił sidła, a pan Vawtry uprzejmie w nie wpadł.

* * *

Mniej więcej w czasie, kiedy Roland Vawtry wpadał w sidła, tylne partie ciała nowej markizy Dain zaczynały dawać objawy *rigor mortis*. Siedziała wraz z małżonkiem w eleganckim czarnym faetonie podróżnym, którym jechali od pierwszej po południu, kiedy to porzucili gości na weselnym śniadaniu.

Jak na człowieka, który zapatruje się na małżeństwo i szacowne towarzystwo z bezgraniczną pogardą i odrazą, Dain przejawiał zadziwiająco dobry humor. W rzeczy samej, wyglądało na to, że procedura niepomiernie go bawiła. Trzy razy poprosił drżącego pastora, żeby mówił głośniej, tak by publiczności nic nie umknęło. Uznał również za wyśmienity żart, by z pocałowania panny młodej urządzić cyrkowe przedstawienie. Cud, że nie zarzucił jej sobie na ramię i nie wyniósł z kościoła jak worek ziemniaków.

Gdyby tak zrobił, pomyślała cierpko Jessica, nadal wyglądałby przy tym na arystokratę w każdym calu. Czy raczej monarchę. Przekonała się już, że Dain ma nad wyraz wysokie mniemanie o swoim znaczeniu, a standardowa precedencja nie gra dlań najmniejszej roli.

Bardzo jasno wyłożył swoje poglądy cioci Louisie, wkrótce po tym, jak podarował Jessice niezwykle piękny pierścionek zaręczynowy. Odwiózłszy ją do domu i spędziwszy z nią godzinę na studiowaniu list i menu, jak również innych ślubnych uciążliwości, odprawił ją i odbył prywatną rozmowę z jej ciocią. Wyjaśnił, jak należy traktować przyszłą markizę Dain. Sprawa przedstawiała się dosyć prosto.

Zabronione było gnębienie Jessiki i sprzeciwianie się jej w jakikolwiek sposób. Nie odpowiadała przed nikim poza Dainem, on zaś nie odpowiadał przed nikim poza królem, a i to tylko wówczas, gdy nastrój mu dopisywał.

Nazajutrz przybył prywatny sekretarz Daina z parą służących i przejął dowodzenie. Od tej pory Jessica musiała jedynie sporadycznie wydać jakieś polecenie i przywykać do tego, że jest traktowana jak nadzwyczaj cenna i delikatna, wszechwiedząca i ogólnie doskonała księżniczka.

Przez wszystkich z wyjątkiem męża.

Podróżowali od ponad ośmiu godzin, a choć często zatrzymywali się zmienić konie, postoje nie trwały ani sekundy dłużej niż ta jedna do dwóch minut koniecznych na wymianę. W Bagshot, o czwartej, musiała skorzystać z wychodka. Po powrocie zastała Daina spacerującego niecierpliwie przy powozie, z kieszonkowym zegarkiem w dłoni. Ogromnie utyskiwał, że

uporanie się z zewem natury zajęło Jessice pięć razy więcej czasu niż stajennym wyprzęgnięcie czterech koni i zaprzęgnięcie czterech nowych.

– Mężczyzna – wyjaśniła mu spokojnie – odpina guziki u spodni, celuje byle gdzie i po kłopocie. Ja jestem kobietą i ani moje instalacje, ani odzież nie stwarzają tak dogodnych warunków.

Roześmiał się, upchnął ją do powozu i poinformował, że piekielne z niej utrapienie, ale taka już się urodziła, nieprawdaż? – to znaczy jako kobieta. Jednakże kiedy następnym razem musiała sobie ulżyć, kilka mil temu w Andover, zrzędliwie powiedział, żeby się nie spieszyła. Po powrocie zastała go przy cierpliwym sączeniu piwa z kufla. Prześmiewczo zaproponował jej łyk, po czym śmiał się jeszcze bardziej, kiedy wychyliła do końca ćwierć pinty, jaką zostawił.

– To był błąd – orzekł, kiedy znaleźli się ponownie w drodze. – Teraz stąd do Amesbury będziesz co rusz wołała za potrzebą.

Zaowocowało to serią dowcipów o wychodkach i nocnikach. Jessica nie pojmowała dotąd, dlaczego mężczyźni uważają tego rodzaju anegdoty za nieskończenie śmieszne. Teraz odkryła, że w ustach diabolicznie bystrego gawędziarza mogą brzmieć całkiem zabawnie.

Odzyskiwała właśnie siły po wielce niedojrzałym ataku śmiechu.

Dain rozpierał się leniwie na siedzeniu, jak zwykle zajmując większą jego część. W kącikach na pół przymkniętych oczu utworzyły mu się zmarszczki, twarde usta wygiął w ujmująco szalbierskim uśmiechu.

Chciała odczuwać irytację na niego, że sprowokował ją do niepohamowanego śmiechu z grubiańskich, infantylnych historyjek. Nie potrafiła. Wyglądał na tak uroczo zadowolonego z siebie.

Stanowiła beznadziejny przypadek, skoro uważała Belzebuba za uroczego, ale nic na to nie poradzi. Z chęcią wdrapałaby mu się na kolana i obsypała tę jego niecną twarz pocałunkami.

Przyłapał ją na tym, że mu się przygląda. Miała nadzieję, że jej zadurzenie nie rzuca się w oczy.

– Niewygodnie ci? – zapytał.

– Nie czuję siedzenia ani nóg – odparła, odsuwając się od niego minimalnie.

Nie żeby dało się od niego uciec, nawet w tym powozie, o wiele przestronniejszym niż jego kariolka. I tak znajdowało się tu tylko jedno

siedzisko, a Daina było ogromnie dużo. Z drugiej strony, z nastaniem wieczoru zrobiło się znacznie chłodniej, on zaś emanował ciepło.

– Powinnaś była poprosić, że chcesz wysiąść rozprostować nogi, kiedy zatrzymaliśmy się w Weyhill. Kolejny postój mamy dopiero w Amesbury.

– Ledwie zauważyłam Weyhill. Opowiadałeś jedną z najbardziej idiotycznych anegdot, jakie zdarzyło mi się słyszeć.

– Gdyby była mniej idiotyczna, nic byś nie zrozumiała. Zdrowo się śmiałaś.

– Nie chciałam ranić twoich uczuć. Sądziłam, że próbujesz wywrzeć na mnie wrażenie, prezentując górne granice możliwości swego intelektu.

Popatrzył na nią ze złym uśmiechem.

– Kiedy przystąpię do wywierania na tobie wrażenia, moja pani, wierz mi, że intelekt nie będzie miał tu nic do rzeczy.

Ze stoicyzmem odwzajemniła jego spojrzenie, podczas gdy w środku ogarniała ją gorączkowa panika.

– Nawiązujesz, bez wątpienia, do nocy poślubnej – powiedziała spokojnie. – Do „praw reprodukcyjnych”, za które zapłaciłeś tak wyśrubowaną cenę. No cóż, bez trudu mi zaimponujesz, skoro jesteś ekspertem, a ja nigdy tego nie robiłam, ani razu.

Jego uśmiech odrobinę przygasł.

– Mimo to wiesz wszystko na ten temat. Ani trochę nie skonfundowała cię czynność, której oddawali się dama i dżentelmen z zegarka twojej babki. I wydajesz się doskonale zorientowana w kwestii usług, do świadczenia których wynajmuje się kokoty.

– Istnieje różnica między wiedzą teoretyczną a praktycznym doświadczeniem – pouczyła go. – Przyznam, że to drugie troszeczkę mnie niepokoi. Niemniej, skoro jesteś całkowicie pozbawiony zahamowań, z pewnością nie będziesz się wstydził udzielić mi instrukcji.

Jessica miała również nadzieję, że nie będzie zanadto niecierpliwy. Uczyła się szybko i nie wątpiła, że w stosunkowo krótkim czasie odkryje, jak go zadowalać. Jeśli Dain da jej szansę. Tak naprawdę wyłącznie tym się martwiła. Przywykł do profesjonalistek, wyszkolonych, by zaspokajały męskie potrzeby. Jej ignorancja z łatwością mogła go znudzić i zirytować, a wtedy zostawi Jessicę dla kobiet… mniej kłopotliwych.

Wiedziała, że zabiera ją do Devon, zamierzając porzucić tam, kiedy już się nią nasyci.

Wiedziała, że sama się prosi o złamane serce, żywiąc nadzieję i próbując zdobyć więcej.

Przeważająca część osób – wszyscy poza garstką spośród grona weselnych gości – postrzegała go jako potwora, a jej ślub z zakałą rodu Ballisterów jako rozwiązanie tylko minimalnie lepsze od wyroku śmierci. Nie był wszakże potworem, kiedy trzymał ją w ramionach. I dlatego Jessica nie potrafiła pohamować nadziei na więcej przynajmniej tego. A skoro miała nadzieję, była zdeterminowana próbować.

Dain tymczasem umknął spojrzeniem. Pocierał kciukiem kolano, wpatrując się w to miejsce z nasrożonymi brwiami, jakby na jego spodniach miało czelność pojawić się zagniecenie.

– Chyba rozsądniej będzie przełożyć tę rozmowę na później – odezwał się. – Nie miałem… Rany, sądziłbym, że to dosyć proste. Nie rywalizujesz o pierwszą notę w klasyce lub matematyce na uniwersytecie.

Jedynie o pierwsze miejsce w jego czarnym sercu, pomyślała.

– Kiedy coś robię, chcę to robić dobrze – wyjaśniła. – Prawdę mówiąc, zawsze chcę być najlepsza. Tkwi we mnie koszmarnie silny duch rywalizacji, rozumiesz. Być może bierze się to z faktu, że musiałam radzić sobie z tak wieloma chłopcami. Musiałam być lepsza od brata i kuzynów we wszystkim, ze sportami włącznie. Inaczej by mnie nie szanowali.

Podniósł wzrok – nie na nią, lecz żeby wyjrzeć przez okno.

– Amesbury – oznajmił. – Najwyższy czas, psiakrew. Umieram z głodu.

* * *

W istocie w tej chwili zakała rodu Ballisterów umierał ze strachu.

Przed nocą poślubną.

Teraz, kiedy było za późno, dostrzegł swój błąd.

Tak, wiedział, że Jessica jest dziewicą. Trudno, żeby o tym zapomniał, skoro ów fakt należał do najbardziej upokarzających aspektów całej sytuacji: jeden z największych rozpustników Europy ogłupiony żądzą wobec wiotkiej angielskiej starej panny.

Wiedział, że jest dziewicą, tak samo jak wiedział, że ma oczy koloru dartmoorskiej mgły, a przy tym równie zmienne jak aura tych zdradliwych pustkowi. Wiedział o tym, tak samo jak wiedział, że jej włosy przywodzą na myśl jedwabisty gagat, a skóra kremowy aksamit. Wiedział to wszystko i

owa wiedza przepełniała go słodyczą, kiedy, stojąc przed pastorem, spoglądał na narzeczoną. Założyła srebrnoszarą suknię, na jej policzkach połyskiwał delikatny rumieniec i była nie tylko najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek oglądał – była także czysta. Wiedział, że nie posiadł jej przed nim inny mężczyzna, że należy do niego i tylko do niego.

Wiedział także, że pójdą do łóżka. Śnił o tym dostatecznie długo i często. Co więcej, przeczekawszy, jak się zdawało, sześć lub siedem wieczności, zdecydował, że załatwi sprawę, jak trzeba, w luksusowym zajeździe, w wielkim, wygodnym łożu z czystą pościelą, po smakowitej kolacji i kilku kieliszkach dobrego wina.

Jakimś sposobem nie uwzględnił, co oznacza jej dziewictwo – poza byciem nietkniętą. Jakimś sposobem we wszystkich tych rozpalonych fantazjach pomijał jeden krytyczny czynnik: nie poprzedzał go ciąg mężczyzn, którzy utorowaliby mu drogę. Musiał złamać ją sam.

I obawiał się, że właśnie to zrobi: złamie ją.

Powóz się zatrzymał. Zdławiwszy w sobie rozpaczliwe pragnienie wrzaśnięcia na woźnicę, żeby jechał dalej – najchętniej aż do Dnia Sądu Ostatecznego – Dain pomógł żonie wysiąść.

Przyjęła jego ramię i ruszyli ku wejściu. Jej dłoń w rękawiczce jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak żałośnie maleńka, jak w tej chwili.

Jessica upierała się, że jest wzrostu powyżej przeciętnej, jednakże nie stanowiło to żadnego pocieszenia dla mężczyzny wielkiego jak dąb, który przypuszczalnie zwali się na nią z równie druzgocącym skutkiem.

Zmiażdży ją. Złamie jej coś, rozedrze. A jeśli jakimś sposobem uda mu się jej nie zabić i jeśli doświadczenie nie przemieni jej w bełkocącą wariatkę, Jessica ucieknie z wrzaskiem, jeżeli Dain kiedykolwiek spróbuje ponownie jej dotknąć.

Ucieknie i nigdy więcej nie pocałuje go ani nie przytuli, ani…

– No, niech mnie kule biją… albo nadciąga barka z węglem, albo to Dain.

Rechotliwy głos gwałtownie przywołał Daina z powrotem do rzeczywistości i zapomnianego otoczenia. Zdążył wejść do zajazdu, nawet tego nie odnotowawszy, i wysłuchać powitania gospodarza, nie zwracając uwagi na słowa, obecnie zaś, w tym samym stanie rozkojarzenia, podążał za

mężczyzną w kierunku schodów, które prowadziły do zarezerwowanych przezeń zawczasu pokoi.

Z tychże schodów zstępował akurat właściciel głosu: dawny kolega szkolny Daina z Eton, Mallory. Czy też aktualnie książę Ainswood. Poprzedni książę, ledwie dziewięcioletni, przed rokiem padł ofiarą dyfterytu. Dain przypomniał sobie, jak podpisywał liścik z kondolencjami, który jego sekretarz napisał do matki chłopca, oraz drugi, taktownie łączący kondolencje z gratulacjami, do Mallory'ego, kuzyna zmarłego. Dain nie zawracał sobie głowy wskazywaniem, że w przypadku Vere'a Mallory'ego takt oznaczał zbędny wysiłek.

Nie widział tego człowieka od pogrzebu Wardella. Jego dawny szkolny kolega był wówczas pijany i pijany był również w tej chwili. Ciemne włosy Ainswooda przypominały zatłuszczone szczurze gniazdo, oczy miał opuchnięte i nabiegłe krwią, a zarost na szczęce wyglądał na co najmniej dwudniowy.

Nerwy Daina już były stargane. Gdy uzmysłowił sobie, że musi przedstawić tę odpychającą figurę swej filigranowej, eleganckiej, czystej żonie, napięły się niebezpiecznie o kolejny stopień.

– Ainswood – rzekł z lakonicznym skinieniem głowy. – Co za urocza niespodzianka.

– Niespodzianka to niewłaściwe słowo. – Ainswood ciężkim krokiem dotarł do podnóża schodów. – Zwaliło mnie z nóg. Kiedy ostatnio cię widziałem, oznajmiłeś, że nie wrócisz więcej do Anglii dla nikogo, a jeśli ktoś życzy sobie oglądać cię na swoim pogrzebie, powinien wynaleźć sposób, żeby wyzionąć ducha w Paryżu. – W tym momencie zwrócił nabiegłe krwią oczy na Jessicę i wyszczerzył zęby w uśmiechu, który Dain uznał za nie do zniesienia obsceniczny. – No, no, niech mnie, jeśli piekło autentycznie nie zamarzło. Dain nie tylko wrócił do Anglii, ale na dobitkę podróżuje z muślinową kiecką.

Nici samokontroli Daina zaczęły się strzępić.

– Nie zapytam, w jakiej pustelniczej norze się zaszyłeś, że nie wiesz, iż od blisko miesiąca bawiłem w Londynie i tego ranka wziąłem ślub – powiedział chłodno, podczas gdy wszystko w nim się gotowało. – Ta dama, tak się składa, jest moją żoną. – Odwrócił się do Jessiki. – Moja droga, mam wątpliwy zaszczyt przedstawić…

Przerwał mu głośny rechot księcia.

– Ślub?! – wykrzyknął Ainswood. – Szybko, dawaj kolejny. Może ten rajski ptak jest twoją siostrą. Nie, jeszcze lepiej, twoją stryjeczną babką Mathildą.

Ponieważ każda kobieta, która wyrosła już ze szkolnej ławy, wiedziała, że „rajski ptak” oznacza nierządnicę, Dain nie wątpił, iż jego żona ma świadomość, że ją obrażono.

– Ainswood, właśnie nazwałeś mnie kłamcą – rzekł złowieszczo łagodnym tonem. – Oczerniłeś moją panią. Dwa razy. Dam ci dokładnie dziesięć sekund na skomponowanie przeprosin.

Ainswood gapił się na niego przez chwilę. Później uśmiechnął się szeroko.

– Zawsze dobrze ci szło prowokowanie i straszenie, chłopcze, ale nic z tego. Rozpoznam mistyfikację z daleka. Gdzie występowałaś ostatnio, gołąbeczko? – zwrócił się do Jessiki. – W King’s Theatre na Haymarket? Widzisz, ani trochę cię nie oczerniam. Od razu poznałem, że przewyższasz jego zwykły asortyment z Covent Garden.

– To już trzy razy – zauważył Dain. – Gospodarzu.

Właściciel zajazdu, który tymczasem wycofał się w najciemniejszy kąt holu, wychynął stamtąd ostrożnie.

– Milordzie?

– Proszę łaskawie odprowadzić panią do pokoju.

Jessica wbiła mu palce w ramię.

– Dain, twój przyjaciel ma mocno w czubie – szepnęła. – Nie możesz…?

– Na górę.

Westchnęła, puściła jego ramię i zrobiła, jak kazał.

Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie minęła podestu. Wtedy skoncentrował znów uwagę na księciu, który nadal spoglądał w ślad za Jessicą, z wyrazem twarzy odzwierciedlającym lubieżne myśli.

– Świetna sztuka – ocenił książę, odwracając się znów ku Dainowi i posyłając mu mrugnięcie. – Gdzieżeś ją znalazł?

Dain chwycił go za halsztuk i pchnął na ścianę.

– Ty głupi, plugawy kawałku końskiego łajna. Dałem ci szansę, kretynie. Teraz muszę skręcić ci kark.

– Tak się trzęsę, że zaraz zgubię buty – odparł Ainswood, a jego przymglone oczy rozjaśniły się wobec perspektywy bójki. – Dostanę dziewczynę, jeśli wygram?

* * *

Krótką chwilę później, nie bacząc na protesty swej pokojówki, Jessica stała na balkonie wychodzącym na dziedziniec gospody.

– Milady, błagam, pani stamtąd odejdzie – zaklinała ją Bridget. – To nie jest odpowiedni widok dla pani. Pochoruje się pani, to pewno, i w dodatku w noc poślubną.

– Oglądałam już bójki – odparła Jessica. – Ale nigdy z mojego powodu. Nie sądzę, żeby się pokiereszowali. Siły oceniam jako wyrównane. Dain jest większy, oczywiście, ale musi walczyć jedną ręką. A Ainswood jest nie tylko dobrze zbudowany, lecz również na tyle pijany, by niewiele czuć.

Brukowany dziedziniec poniżej zapełniał się prędko mężczyznami, po części w koszulach nocnych i szlafmycach. Wieści szybko się rozeszły i nawet o tak późnej porze niewielu potrafiło oprzeć się pokusie, jaką przedstawiała bójka. I to nie byle jaka, ponieważ do walki stawali parowie. Tak smakowity kąsek nie trafiał się amatorom boksu często.

Każdy z mężczyzn przyciągnął kółko popleczników. Wokół Daina zebrało się pół tuzina dobrze ubranych dżentelmenów. Tradycyjnie udzielali mu głośnych i sprzecznych rad, podczas gdy osobisty lokaj Daina, Andrews, pomagał swemu panu pozbyć się górnych elementów garderoby.

Bridget pisnęła przeraźliwie i zrobiła szybki krok w tył, wpadając na drzwi balkonowe.

– Niech niebiosa mają nas w opiece: oni są nadzy!

Jessiki nie obchodzili „oni”. Wpatrywała się w jednego tylko mężczyznę, który, rozebrany do pasa, zapierał dech.

Światło pochodni połyskiwało na gładkiej oliwkowej skórze, szerokich barach i krzepkich bicepsach, rozlewało się czule po twardych łukach i pracujących wypukłościach klatki piersiowej. Odwrócił się, prezentując jej olśnionym oczom gładki bezmiar pleców, połyskujących niczym ciemny marmur, wyrzeźbionych jako czyste linie kości i prężących się mięśni. Mógłby być ożywionym marmurowym atletą z czasów rzymskich.

Poczuła ucisk w trzewiach, w jej wnętrzu zawirowało znajome gorąco, dudniąca mieszanina tęsknoty i dumy.

Mój, pomyślała, i była to myśl bolesna, słodko-gorzka, pełna zarazem nadziei i rozpaczy. Należał do niej z nazwy, w świetle prawa boskiego i ziemskiego. Jednakże żadne prawo nie uczyni go autentycznie, w pełni jej

własnym. To będzie wymagało długiej i zaciętej walki. Pijany Ainswood, skonstatowała smętnie, miał większe niż ona szanse na zwycięstwo. Z drugiej strony, książę nie wydawał się przesadnie inteligentny, a jej walka wymagała intelektu, nie mięśni.

Jessice intelektu nie brakowało, a apetyczny widok w dole stanowił więcej niż dostateczną motywację.

Przyglądała się, jak jeden z poplecznikó Daina zabezpiecza mu lewe ramię w prowizorycznym temblaku. Później przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, nieomal nos w nos. Padł sygnał.

Ainswood momentalnie rzucił się do zajadłego ataku, z opuszczoną głową, wymachując pięściami. Dain odstąpił z uśmiechem, niedbale unikając deszczu ciosów, i po prostu pozwalał, by książę dawał z siebie wszystko.

A obojętnie ile Ainswood by z siebie dawał, jego wysiłki szły na marne. Dain stąpał lekko, refleks miał błyskawiczny – co zresztą okazało się koniecznością, gdyż Ainswood, mimo że nietrzeźwy, był zaskakująco szybki. Tak czy owak, Dain dał mu popalić. Cios za ciosem, każdy, jak się zdawało, wyprowadzony stuprocentowo celnie, trafiał jedynie w powietrze, co doprowadzało księcia do furii.

Jeszcze spotęgował starania, wkładał w atak więcej sił, próbował różnych kątów. Wreszcie trafił Daina w ramię. Wówczas nastąpił zamazany ruch – i głośne uderzenie. Ainswood cofnął się chwiejnie, krew strumieniem polała mu się z nosa.

– Prosto w cel, jak rany – mruknęła Jessica. – I zupełnie się nie spodziewałam. Podobnie jak, nie wątpię, Jego Książęca Wysokość.

Zakrwawiony, lecz niezrażony, Ainswood roześmiał się i skoczył do kolejnego zajadłego ataku.

Bridget zdążyła już tymczasem wrócić do boku swej pani.

– Litości – jęknęła, a jej okrągła twarz pomarszczyła się z odrazy. – Czy nie dość raz oberwać?

– Nie czują tego. – Jessica skoncentrowała się znów na bójce. – To znaczy dopóki nie jest po wszystkim. Och, brawo, Dain! – zawołała, kiedy potężny prawy prosty markiza trafił księcia w bok. – Tego mu trzeba! Na korpus, kochany! Głowa tego durnia jest twarda jak kowadło!

Na szczęście jej nawoływania nie miały szans przebić się przez krzyki gapiów, gdyż krwiożercza rada filigranowej żony mogłaby rozkojarzyć

Daina – z opłakanym skutkiem.

Najwyraźniej jednak Dain sam doszedł do podobnego wniosku i jeden-dwa-trzy brutalne uderzenia w korpus powaliły wreszcie Ainswooda na kolana.

Dwóch mężczyzn podbiegło, żeby dźwignąć Jego Książęcą Wysokość do pionu. Dain się cofnął.

– Poddaj się, Ainswood! – zakrzyknął ktoś z kółka Daina.

– No, zanim naprawdę zrobi ci krzywdę!

Ze swego stanowiska Jessica nie widziała dokładnie, jak wiele szkód wyrządził Dain. Na dziedzińcu było sporo rozbryzganej krwi, ale też rozbity nos obficie krwawi.

Ainswood stanął chwiejnie.

– No dalej, Nochalu – zadrwił, wciągając głośno powietrze. – Jeszcze z tobą nie skończyłem. – Niezdarnie zamachał pięściami.

Ze wzruszeniem ramion Dain przeszedł do przodu, kilkoma szybkimi ruchami odtrącił młócące pięści przeciwnika i wpakował mu swoją prosto w brzuch.

Książę złożył się w pół jak szmaciana lalka i runął do tyłu. Na szczęście jego poplecznicy zareagowali w dobrym tempie i złapali go na moment przed tym, jak grzmotnąłby głową o bruk. Kiedy podciągnęli go do pozycji siedzącej, książę wyszczerzył do Daina zęby w głupim uśmiechu. Po twarzy spływał mu strużkami pot zmieszany z krwią.

– Przeproś – rzucił Dain.

Ainswood odetchnął głęboko parę razy.

– Błagam o wybaczenie, Belz – wychrypiał.

– Skorzystasz także z pierwszej sposobności, żeby przeprosić moją panią.

Ainswood siedział, kiwając głową i oddychając ciężko przez długą chwilę. Potem, ku rozczarowaniu Jessiki, popatrzył w stronę balkonu.

– Przepraszam, milady! – zawołał chrapliwie.

Wtedy Dain również spojrzał w górę. Wilgotne czarne loki kleiły mu się do czoła, na szyi i ramionach połyskiwał pot.

Na jej widok oczy rozszerzyły mu się na moment z zaskoczenia, a później przez twarz przemknął dziwny, bolesny wyraz. Jednakże w następnej chwili jego miejsce zajęła znajoma kpiąca mina.

– Milady – powiedział i ukłonił się teatralnie.

Tłum wiwatował.

Skłoniła głowę.

– Milordzie.

Z chęcią zeskoczyłaby z balkonu i padła mu w ramiona.

Mając tylko jedno sprawne ramię, walczył z przyjacielem z jej powodu. Walczył sprytnie, znakomicie. Był wspaniały. Chciało jej się płakać. Wykrzesała z siebie drżący uśmiech, po czym odwróciła się i pospieszyła przez drzwi, które przytrzymywała Bridget.

* * *

Niepewien z początku, jak interpretować niespokojny uśmiech świeżo poślubionej żony, Dain przeanalizował sytuację i własny wygląd, po czym doszedł do najgorszych możliwych wniosków.

Uznał, że wspomniany uśmiech i chłodne opanowanie były na użytek publiczności. Podobnie jak wiele spośród jego własnych uśmiechów, służył zamaskowaniu prawdziwych odczuć Jessiki, przy czym Dain z łatwością wyobraził sobie, co takiego maskowała.

Jej nowy mąż okazał się zwierzęciem.

Urządzał burdę na dziedzińcu jak pospolity opryszek.

Był brudny, spocony, obryzgany krwią Ainswooda i śmierdział.

Do tego był na pół nagi, a światło latarni ujawniło przed jej wzrokiem drastyczny widok, który Dain zamierzał ukryć w ciemności: zwaliste, ciemne ciało.

W tej chwili zapewne kurczowo ściskała nocnik, zwracając zawartość żołądka – jeśli nie ryglowała drzwi i nie pomagała Bridget zastawić ich ciężkimi meblami.

Dain zdecydował, że nie będzie mył się w pokoju. Zamiast tego podszedł do pompy, głuchy na ostrzeżenia lokaja na temat nocnego powietrza i zabójczego przeziębienia.

Nie chcąc okazać się gorszy, Ainswood dołączył do niego. W milczeniu polewali się wodą, podczas gdy kompani zebrali się wokół, wymieniając głośne komentarze i spierając się na temat walki.

Kiedy dwaj niedawni rywale zakończyli zimne ablucje, stanęli, mierząc się wzrokiem i potrząsając ramionami, by ukryć dreszcze.

Ainswood odezwał się pierwszy.

– Ślub, coś takiego – skomentował, kręcąc głową. – Kto by pomyślał?

– Postrzeliła mnie – wyjaśnił Dain. – Należało ją ukarać. *Daruj jedną zniewagę*, mówi Publiusz, *a zachęcisz do popełnienia wielu*. Nie mogę dopuścić, żeby każda kobieta, która się na mnie zirytuje, biegała za mną z pistoletem. Wypadało zrobić z niej przykład. – Potoczył wzrokiem po zebranych. – Jeżeli jednej kobiecie uszłoby na sucho strzelanie do Belzebuba, inne mogłyby uznać, że upiecze im się strzelanie do dowolnego mężczyzny, pod byle trywialnym pretekstem.

Mężczyźni wokół niego umilkli. Kiedy dumali nad tak skandaliczną wizją, ich twarze przybrały bardzo poważny wyraz.

– Poślubiłem ją w służbie dobru publicznemu – dodał. – Niekiedy mężczyzna musi wznieść się ponad własne drobne troski i podjąć działanie w interesie przyjaciół.

– No musi – zgodził się Ainswood. Uśmiechnął się szeroko. – Ale aż takim poświęceniem bym tego nie nazwał. Pierwszorzędny towar… to znaczy, chciałem powiedzieć, że twoja dama jest wyjątkowo ładna.

Dain udał obojętność.

– Ja bym rzekł, że piękna – wtrącił Carruthers.

– Klasa – dorzucił ktoś inny.

– Elegancko się nosi – podsunął trzeci. – Wdzięk łabędzicy.

Podczas gdy z dumy pęczniała mu pierś i prostowały się plecy, Dain zdołał przybrać zniesmaczoną minę.

– Idźcie łamać sobie głowy nad lirycznymi odami sławiącymi jej doskonałość – rzekł. – Ja zamierzam się napić.

Rozdział 11

Kolacja Jessiki pojawiła się w pokoju mniej więcej dwadzieścia minut po walce. Jej mąż nie. Był w barze z paroma kompanami, jak doniósł jej właściciel zajazdu, i prosił, żeby milady na niego nie czekała.

Jessiki nie zaskoczyła ta informacja. Z jej doświadczeń wynikało, że po rozpaczliwych próbach wybicia oponentowi mózgu z czaszki, mężczyźni prędko stawali się najserdeczniejszymi przyjaciółmi i dla uczczenia owej bliskości upijali się w sztok.

Zjadła kolację, umyła się i przebrała na noc. Nie zawracała sobie głowy zakładaniem czerwono-czarnej koszuli nocnej. Wątpiła, by jego lordowska mość przybył w stanie, który pozwoliłby mu docenić ów fatałaszek. Przywdziała więc mniej interesującą kremową koszulę, na nią narzuciła pastelowy szlafroczek z brokatu, po czym usadowiła się w wygodnym fotelu przy kominku z *Don Juanem* Byrona.

Północ już dawno minęła, kiedy usłyszała nieporadne kroki trzech osób w korytarzu pod drzwiami i trzy pijackie głosy bełkocące sprośną piosenkę. Wstała i otworzyła drzwi.

Dain, który wspierał się na dwóch kompanach, odepchnął się od nich i zatoczył ku niej.

– Oto i pan młody – obwieścił niewyraźnie. Zarzucił ramię na barki Jessiki. – Wynocha! – polecił towarzyszom.

Oddalili się chwiejnie. Kopnięciem zamknął drzwi.

– Mówiłem, żebyś nie czekała.

– Pomyślałam, że możesz potrzebować pomocy. Posłałam Andrewsa do łóżka. Zasypiał na stojąco. A ja i tak nie spałam, czytałam.

Surdut i nieskazitelną wcześniej koszulę miał wymięte, zgubił halsztuk. Do tego ochlapane krwią, wilgotne spodnie i zaschnięta na butach warstewka błota.

Puścił Jessicę i chwiejąc się, przez długą chwilę wpatrywał się w swoje wysokie buty. Zaklął pod nosem.

– Może usiądziesz na łóżku? – zasugerowała. – Pomogę ci zdjąć buty.

Niepewnym krokiem przeszedł w stronę łóżka. Kurczowo przytrzymując się słupka, opadł ostrożnie na materac.

– Jess.

Zbliżyła się i uklękła przy jego stopach.

– Tak, mój panie.

– Tak, mój panie – powtórzył ze śmiechem. – Jess, moja pani, zdaje się, że jestem wrakiem. Szczęściara.

Zaczęła ciągnąć za jego lewy but.

– Przekonamy się, czy aż taka szczęściara. Mamy tylko jedno łóżko, a jeśli po alkoholu chrapiesz tak, jak wuj Arthur, czeka mnie upiorna noc… czy też resztka nocy.

– Chrapanie. Przejmujesz się moim chrapaniem. Ptasi móżdżek.

Uporała się z lewym butem i zabrała za prawy.

– Jess – powiedział.

– Przynajmniej mnie rozpoznajesz.

Prawy but okazał się bardziej uparty. Obawiała się wszakże szarpnąć zbyt mocno, gdyż Dain mógłby runąć do przodu i zwalić się na nią.

– Lepiej się połóż – poradziła.

Wyszczerzył do niej zęby w głupkowatym uśmiechu.

– Na dół – poleciła stanowczo.

– Na dół – powtórzył, tym samym bezmyślnym uśmiechem omiatając pokój. – Czyli gdzie?

Wstała, wsparła mu ręce na piersi i pchnęła mocno.

Padł na plecy, aż podskoczył materac. Dain zachichotał.

Jessica nachyliła się i na nowo podjęła walkę z butem.

– Filigranowa – odezwał się, wbijając wzrok w sufit. – Filigranowa lady Dain. Deszczem smakuje. Ból powoduje. Jak wrzód na tyłku. *Ma com’è bella. Molto bella.* Bardzo piękny… wrzód… na tyłku.

Szarpnięciem zdjęła mu but.

– Nie rymuje się. – Wstała. – Byronem to ty nie jesteś.

Odpowiedziało jej ciche chrapnięcie.

– Oto i pan młody – mruknęła. – Dzięki Bogu łóżko jest duże. Moje małżeńskie oddanie nie obejmuje spania na podłodze.

Przeszła do umywalki. Zmywszy z rąk błoto, zdjęła szlafroczek i powiesiła na krześle.

Obeszła łóżko i uniosła przykrycia, na ile się dało. Czyli niewystarczająco. Górna część ciała Daina rozciągała się ukosem na materacu.

Pchnęła go w ramię.

– Przesuń się, pacanie.

Mamrocząc coś, przetoczył się najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

Jessica pchnęła mocniej.

– Suń się, niech cię szlag.

Utyskując, znowu odrobinę się przetoczył. Popychała go wytrwale, aż w końcu – przez cały czas nieprzytomny – złożył głowę na poduszce, a stopy dźwignął z podłogi. Następnie zwinął się w pozycji płodowej, zwrócony w jej stronę.

Wspięła się na łóżko obok niego i gniewnie poderwała koce.

– Wrzód na tylnej części ciała, doprawdy? – wymamrotała pod nosem. – Należało zepchnąć cię na podłogę.

Odwróciła się, żeby nań spojrzeć. Splątane czarne loki opadały mu na czoło, we śnie gładkie jak u niewinnego niemowlęcia. W prawej dłoni ściskał róg poduszki. Chrapał, ale bardzo cicho, był to niski, miarowy pomruk.

Zamknęła oczy.

Mimo że ich ciała się nie stykały, była przenikliwie świadoma jego obecności, jego ciężaru na materacu… i mieszanki męskich woni: dymu, alkoholu i jego samego… oraz ciepła, jakie wytwarzało jego potężne ciało.

Zdawała sobie także sprawę, że czuje się najzupełniej irracjonalnie sfrustrowana… i zraniona, jeśli miała być całkowicie szczera.

Spodziewała się, że Dain wychyli parę kieliszków z przyjaciółmi. Spodziewała się, że przyjdzie wstawiony. Nie miałaby nic przeciw temu. Nie byłby pierwszym ani ostatnim panem młodym, który przybywa do ślubnego łoża pod gazem, a przyszło jej na myśl, że przy zamglonej percepcji wykazałby większą pobłażliwość dla jej niedoświadczenia.

W istocie, prawdę mówiąc, wolałaby go w stanie możliwie bliskim nieprzytomności. Defloracja dziewicy nie zalicza się do doświadczeń szczególnie estetycznych, a Genevieve uprzedziła ją, że często to właśnie ci najwięksi, najbardziej gruboskórni brutale wpadają w histerię na widok paru kropel dziewiczej krwi. Wytłumaczyła także Jessice, jak poradzić sobie z tą histerią – i resztą spraw.

Świadoma, że od wydarzeń tej nocy może zależeć cała jej przyszłość z Dainem, Jessica przygotowała się do nich, jak każdy mądry generał do bitwy o krytycznym znaczeniu.

Zebrała stosowne informacje i postanowiła dać z siebie wszystko. Przygotowała się, że będzie radosna, chętna, elastyczna i uważna.

Nie przygotowała się na taką sytuację.

Nie był sztubakiem. Wiedział, ile może wypić. Wiedział, ile potrzeba, żeby zwalić go z nóg.

Mimo to nie przestał pić. W swoją noc poślubną.

Rozum podpowiadał Jessice, że na pewno istnieje typowy pokręcony męski powód jego zachowania, który ona prędzej czy później odkryje, przy czym okaże się, że absolutnie nie chodziło mu o próbę zranienia jej uczuć albo wzbudzenia w niej przekonania, że jest mało atrakcyjna, bądź wywołania innych przygnębiających doznań, jakich w tej chwili doświadczała.

Ale to był długi dzień, który, co teraz sobie uzmysłowiła, upłynął jej głównie w napięciu wywołanym mieszanką niecierpliwego wyczekiwania i niepokoju w związku z tym, co, jak się okazało, nie nastąpi.

Czuła się wyczerpana i nie mogła zasnąć, a jutro czekał ją kolejny milion mil do pokonania w tym samym gorączkowym tempie, w tym samym stanie emocjonalnego wzburzenia. Chciało jej się płakać. Jeszcze bardziej chciała krzyczeć i tłuc go, i szarpać za włosy, aż poczułby się tak samo zraniony i zły jak ona.

Otworzyła oczy, usiadła i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby go uderzyć, nie wyrządzając trwałej szkody. Mogłaby wylać na niego zawartość dzbana z wodą, uznała, kiedy jej spojrzenie padło na umywalkę.

Potem uzmysłowiła sobie, że nie powinna widzieć umywalki. Zostawiła płonącą lampę na stoliku nocnym po swojej stronie. Przesunęła się na skraj łóżka i zgasiła ją.

Siedziała tam, wpatrując się w ciemność. Za oknem rozbrzmiewał już zwiastujący świt świergot ptaków.

Dain burknął coś i poruszył się niespokojnie.

– Jess. – Głos miał zniekształcony snem.

– Przynajmniej wiesz, że tu jestem – mruknęła. – Zawsze coś.

Z westchnieniem położyła się na powrót. Szarpała właśnie za koce, kiedy materac poruszył się i zapadł. Znów rozległo się niezrozumiałe burczenie.

Potem Dain przerzucił ramię przez jej talię, a nogę przez nogi.

Leżał na przykryciach. Ona pod nimi.

Jego wielkie kończyny był ciężkie, ale bardzo ciepłe.

Poczuła się minimalnie lepiej.

W ciągu paru chwil zasnęła.

* * *

Pierwsze świadome doznania Daina dotyczyły niewielkiej, miękkiej pupy wtulonej w jego genitalia oraz rozkosznie krągłej piersi pod jego dłonią. W tym krótkim czasie, jaki zajęło mu połączenie w myślach owych przyjemnych części ciała z kobietą, do której należały, napłynęło całe mnóstwo wspomnień, a jego nastrój sennej kochliwości zmiotła wzbierająca nienawiść do samego siebie.

Wdał się w bójkę na dziedzińcu gospody jak pospolity kmiotek, a jego żona na to patrzyła. Wypił tyle wina, że popłynąłby na nim duży statek handlowy, po czym, zamiast taktownie stracić przytomność w barze, dopuścił do tego, że prostaccy kompani zawlekli go do sypialni małżeńskiej. Jakby nie wystarczyło, że świeżo poślubiona żona widziała go brudnego i cuchnącego potem, musiał na dodatek zaprezentować się jej w całej swej pijackiej ordynarności. I nawet wtedy nie był na tyle rycerski, żeby runąć na podłogę, z dala od niej. Zwalił cuchnące winem i dymem cielsko słonia na łóżko i pozwolił, by filigranowa, szlachetnie urodzona żona ściągnęła mu buty.

Twarz mu płonęła.

Przetoczył się dalej od niej i wbił wzrok w sufit.

Przynajmniej jej nie zgwałcił. Wypił o wiele więcej niż zwykle, żeby to zagwarantować. Cud, że zdołał wejść po schodach.

Obyłby się bez tego akurat cudu. Obyłby się bez paru innych rzeczy, na przykład wspomnień z minionej nocy. Gdybyż tak wszystko inne w nim było równie sparaliżowane jak lewe ramię!

Kowal na usługach szatana znów używał jego głowy w charakterze kowadła. Kuchmistrz Lucyfera mieszał w jego ustach jakiś ohydny wywar. A kiedy Dain zażywał tych kilku nędznych godzin snu, książę ciemności najwyraźniej rozkazał stadu rozszalałych nosorożców przegalopować w popłochu po jego ciele.

Obok poruszyło się źródło jego kłopotów.

Podźwignął się ostrożnie, krzywiąc się, gdy tysiąc igieł zaczęło mu dźgać lewę ramię oraz palić i kłuć dłoń.

Wstał z łóżka, do wtóru wściekłych protestów każdej kości, mięśnia i organu, po czym chwiejnie ruszył do umywalki.

Od strony łóżka dobiegł szelest. A potem zdławiony snem kobiecy głos:

– Pomóc ci, Dain?

Szczątkowe sumienie, jakie posiadał niegdyś lord Dain, zapadło na śmiertelną chorobę i wyzionęło ducha mniej więcej w okolicach jego dziesiątych urodzin. Na dźwięk głosu żony, oferującej mu pomoc, wstało z martwych niczym Łazarz. Zacisnęło powykręcane palce na sercu Daina i wrzasnęło tak, że powinny od tego zadrżeć szyby w oknie, dzbanek z wodą i niewielkie lustro na umywalce, w które właśnie spoglądał.

Tak, odparł bezgłośnie. Chciał pomocy. Chciał, żeby ktoś pomógł mu narodzić się na nowo, tym razem jako udany egzemplarz.

– Głowa pewnie piekielnie ci dokucza – odezwała się znowu po długiej chwili ciszy. – Bridget powinna już być na nogach. Poślę ją na dół, żeby przygotowała ci lekarstwo. I zamówimy dla ciebie lekkie śniadanie, dobrze?

W trakcie jej wypowiedzi nastąpiły kolejne szelesty. Bez patrzenia odgadywał, że opuściła łóżko. Gdy podeszła do krzesła po swój szlafroczek, skierował wzrok na okno. Przymglone słoneczne światło pokrywało cętkami parapet i podłogę. Stawiał, że jest po szóstej. Poniedziałek. Dwunastego maja. Dzień po jego ślubie.

Był to także dzień jego urodzin, przypomniał sobie, niemile zaskoczony. Trzydziestych trzecich urodzin. Skonstatował ponuro, że obudził się w tym samym stanie, w jakim witał poprzednich dwadzieścia takich rocznic i w jakim powita dwadzieścia kolejnych.

– Nie ma na to lekarstwa – mruknął.

Zdążyła już ruszyć w stronę drzwi. Przystanęła i się odwróciła.

– Co powiesz na drobny zakład?

– Szukasz tylko wymówki, żeby mnie otruć. – Podniósł dzban i nieporadnie chlapnął wodą do miski.

– Jeśli nie boisz się go wypróbować, obiecuję, że wydobrzejesz niemal całkowicie do czasu, gdy stąd wyruszymy. Jeżeli do tej pory nie poczujesz się nieskończenie lepiej, możesz zażądać ode mnie dowolnego rewanżu.

Jeśli ci się poprawi, podziękujesz mi postojem przy Stonehenge, gdzie pozwolisz mi obejrzeć to miejsce… bez konieczności wysłuchiwania sarkastycznych uwag i skarg na opóźnienie.

Zbłądził ku niej spojrzeniem i szybko nim umknął. Nie dość szybko wszakże. Splątane czarne włosy opadały jej luźno na ramiona, na policzkach utrzymywał się nadal delikatny rumieniec snu, warstewka perłowego różu na kremowobiałej porcelanie. Nigdy jeszcze nie wydawała się aż tak krucha. Choć rozczochrana, z nieumytą twarzą i smukłym ciałem słaniającym się ze zmęczenia, nigdy dotąd nie wyglądała pięknej.

Oto Piękna i zaciekła Bestia, pomyślał Dain, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

– Jeśli mi się nie poprawi – rzekł – będę używał twoich ud jako poduszki przez całą drogę do Devon.

Roześmiała się i wyszła.

* * *

O wpół do ósmej rano, dwie mile za Amesbury, Dain opierał się o kamienny monolit na wzniesieniu, skąd roztaczał się widok na równinę Salisbury. Poniżej i w oddali rozciągał się pofałdowany koc zieleni z kilkoma prostokątnymi łatami jasnożółtych pól rzepaku. Pośród krajobrazu widniały nieliczne piegi domów, a czasem także samotne stado owiec lub bydła, jakby rozrzucone od niechcenia ręką olbrzyma. Tu i ówdzie ta niedbała ręka upchnęła na horyzoncie kępę drzew lub wetknęła ją w rowek między łagodnymi krągłościami zboczy.

Dain skrzywił się na ten dobór metafor: koce, krągłości i rowki między nimi, i wielkie, niezdarne dłonie. Żałował, że przełknął cały kubek wonnego płynu, który dała mu Jessica. Ledwie poczuł się trochę lepiej, wróciło znajome świerzbienie.

Nie miał kobiety od tygodni…

Jeśli rychło sobie nie ulży, będzie musiał wyrządzić komuś krzywdę. Wielu osobom. Pokiereszowanie Ainswooda ani trochę nie poprawiło jego stanu. Upicie się do nieprzytomności zaledwie czasowo wytłumiło świerzbienie. Dain przypuszczał, że na trasie stąd do Devon znalazłby dziwkę odpowiednich rozmiarów, trapiło go jednak nieprzyjemne

podejrzenie, że nie przyniosłoby to większej korzyści niż walka czy alkohol.

To swojej smukłej, przygnębiająco kruchej żony pragnął i nie potrafił przestać od chwili, gdy ją poznał.

Wokół panowała cisza. Słyszał szelest sukni podróżnej, kiedy Jessica się poruszała. Ów dokuczliwy dźwięk się zbliżał. Z uporem wpatrywał się przed siebie, dopóki nie przystanęła w odległości paru kroków.

– Jak rozumiem, jeden z trylitów przewrócił się całkiem niedawno – odezwała się.

– W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym – odparł. – Powiedział mi o tym kolega z Eton. Twierdził, że kamień runął z trwogi w dniu moich narodzin. Sprawdziłem więc. Mylił się. Liczyłem sobie już wtedy pełne dwa lata.

– Zapewne wbiłeś te fakty koledze pięścią do głowy. – Uniosła twarz, żeby nań spojrzeć. – Czy to był może Ainswood?

Pomimo spaceru w rześkim powietrzu poranka wyglądała na zmęczoną. Zbyt blada. Cienie pod oczami. Z jego winy.

– Ktoś inny – odparł krótko. – I nie myśl, że tłukę się z każdym głupcem, który ćwiczy na mnie swój marny dowcip.

– Nie tłuczesz się. Walczysz bardzo umiejętnie. Intelektualnie, rzekłabym. Wiedziałeś, co zrobi Ainswood, zanim on sam to sobie uświadomił. – Oddaliła się, podchodząc do przewróconego kamienia. – Zastanawiałam się, jak dasz sobie radę tylko z jedną sprawną ręką. – Upuściła parasolkę na kamień i przybrała pozę, zaciskając pięści, z których jedną trzymała bliżej ciała. – Zadawałam sobie pytanie, jak on zdoła jednocześnie osłaniać się i uderzać. Ale nie tak to rozegrałeś. – Przekrzywiła prędko głowę w bok, jakby robiła unik przed ciosem, a później się cofnęła. – Unik i odwrót, wabiłeś go dalej i dalej, żeby marnował siły.

– To nie było trudne – stwierdził, przełykając zaskoczenie. – Zabrakło mu czujności. Nie ruszał się ani w połowie tak szybko, jak kiedy jest trzeźwy.

– Ja jestem trzeźwa. – Wskoczyła na kamień. – Chodź, przekonajmy się, czy ruszam się dość szybko.

Nosiła gigantyczny słomkowy kapelusz, z którego czubka wyrastały kwiaty i satynowe wstążki. Zawiązała go pod lewym uchem na ogromną

kokardę. Na jej suknię podróżną, zgodnie z aktualną modą, składały się obłędne ilości falban i koronki oraz przesadnie nadmuchane rękawy. Każdy z nich, spięty nad łokciem satynowym paskiem, w górnej części wyglądał jak zrobiony z balonu. Satynowe sznurki, którymi sznurowało się dół rękawów, kończyły się długimi frędzlami, dyndającymi w środkowej części przedramion.

Nie przypominał sobie, kiedy poprzednio oglądał obrazek równie groteskowy, jak ta głupiutka odrobina kobiecości, z powagą przybierająca na kamieniu zwyczajową postawę bokserską.

Podszedł do niej, przy czym wargi mu drżały.

– Zejdź stamtąd, Jess. Wyglądasz jak kompletny półgłówek.

Jej pięść wystrzeliła do przodu. Odruchowo cofnął głowę i chybiła… ale ledwie o włos.

Roześmiał się – a wtedy coś uderzyło go w ucho. Zmierzył ją badawczym wzrokiem. Uśmiechała się, w jej szarych oczach jaśniały bliźniacze psotne błyski.

– Zrobiłam ci krzywdę, Dain? – spytała z ewidentnie fałszywą troską.

– Krzywdę? – powtórzył. – Naprawdę sądzisz, że możesz zrobić mi krzywdę tym?

Chwycił rękę, którą go uderzyła.

Jessica straciła równowagę, zachwiała się do przodu i przytrzymała jego ramienia.

Jej usta znalazły się na szerokość dłoni od jego ust. Pokonał ten dystans i pocałował ją, ogniście, zarazem puszczając jej rękę i obejmując Jess ramieniem w talii.

Poranne słońce przygrzewało, ona wszakże smakowała deszczem, letnią burzą, słyszał też grzmot własnej potrzeby, łomot krwi w uszach, serca, które biło w tym samym nierównym rytmie.

Pogłębił pocałunek, chciwie plądrując słodki żar jej ust, momentalnie odurzony, kiedy odpowiedziała tym samym, kiedy zwijała język na jego języku w kokieteryjnym tańcu, od którego wirowało mu w głowie. Smukłymi ramionami oplotła mu szyję, wzmocniła uścisk. Jędrne, krągłe piersi napierały na jego tors, posyłając w dół spirale żaru, który pulsował mu w lędźwiach. Przesunął dłoń w dół i zamknął na drobnej, rozkosznie zaokrąglonej pupie.

Moja, pomyślał. Lekka, smukła, wyrzeźbiona z cudowną doskonałością… i była jego. Jego bardzo własna żona, niewoląca go ustami i językiem z niewinnym wyuzdaniem, lgnąca doń z odurzającą zaborczością. Jakby go pragnęła, jakby czuła to samo co on, tę samą bezmyślną, miażdżącą potrzebę.

Nie przerywając pocałunku, zgarnął ją z kamiennego piedestału i już miał złożyć na twardej ziemi… gdy skrzekliwy wrzask z góry gwałtownie przywołał go do rzeczywistości.

Oderwał się od jej ust i podniósł wzrok.

Na jednym z mniejszych bloków z błękitnoszarego piaskowca nieustraszenie przysiadł czarnowron i prezentował dziobaty profil, połyskującym okiem popatrując na Daina z – jak się zdawało – szyderczym ptasim rozbawieniem.

Wielkodzioby – nazwał go minionego wieczoru Ainswood. Jeden z epitetów z czasów Eton – obok Szczypawicy, Czarnego Ciołka i mnóstwa innych czułych określeń.

Z płonącą twarzą odwrócił się od żony.

– Chodź – rzucił głosem ostrym od goryczy. – Nie możemy zmitrężyć tu całego dnia.

* * *

Jessica usłyszała tę gorycz i dostrzegła rumieniec pod oliwkową skórą. Przez moment bała się, że obraziła go czymś lub zniesmaczyła. Jednakże w połowie drogi w dół zbocza zwolnił, aby mogła go dogonić. Kiedy zaś ujęła jego dłoń – tę niesprawną – i ścisnęła, spojrzał na nią i odezwał się:

– Nienawidzę wron. Hałaśliwe, brudne stworzenia.

Przypuszczała, że w jego przypadku jedynie na tyle mogła liczyć tytułem wyjaśnienia lub przeprosin. Obejrzała się na starożytną świątynię.

– Wnioskuję, że to dlatego, iż jesteś jak nadwrażliwy koń czystej krwi. Dla mnie był to zaledwie element atmosfery tego miejsca. Ogólnie bardzo romantycznej.

Zaśmiał się krótko.

– Chcesz powiedzieć gotyckiej.

– Nie. Oto ja w ramionach mrocznego, niebezpiecznego herosa, pośród ruin Stonehenge, pradawnego miejsca pełnego tajemnic. Sam Byron nie

odmalowałby romantyczniejszej sceny. Na pewno sądzisz, że nie masz w sobie ani krztyny romantyzmu – dodała, spoglądając nań z ukosa. – Gdybyś taką znalazł, starłbyś ją w proch. Ale nie obawiaj się. Wobec osób postronnych nie ośmieliłabym się twierdzić niczego innego.

– Nie jestem romantykiem – odparł sztywno. – A już na pewno nie jestem wrażliwy. Co do czystej krwi… wiesz doskonale, że jestem w połowie Włochem.

– Ta włoska połowa to też błękitna krew – zauważyła. – Książę d'Abonville powiedział mi, że ród twojej matki to bardzo stara florencka szlachta. Najwyraźniej dzięki temu pogodził się z naszym małżeństwem.

Wymamrotał ciąg słów, których nie zrozumiała, odgadywała jednak, że są to przekleństwa w języku jego matki.

– Zamierza poślubić Genevieve – dodała łagodząco. – Stąd jego nadopiekuńczość wobec mnie. Ale to przywiązanie ma swoje zalety. Wziął się za Bertiego, co oznacza, że w przyszłości nikt nie będzie zawracał ci głowy finansowymi trudnościami mojego brata.

Dain dumał nad tym w milczeniu, dopóki nie wrócili do powozu. Wtedy, z westchnieniem wypuściwszy powietrze z płuc, oparł się wygodnie i zamknął oczy.

– Romantyczny. Wrażliwy. I w dodatku uważasz za pokrzepiające, że kochanek twojej babki chce zrobić porządek z twoim bezmózgim bratem. Naprawdę, Jess, jesteś równie obłąkana jak wszyscy pozostali członkowie… i potencjalni członkowie… twojej szalonej rodziny.

– Będziesz spał?

– Mógłbym, gdybyś zdołała przez trzy minuty utrzymać język za zębami.

– Też jestem zmęczona. Masz coś przeciw, żebym oparła się o twoje ramię? Nie zasnę, siedząc sztywno wyprostowana.

– Zdejmij najpierw ten idiotyczny kapelusz – mruknął.

Zrobiła to i wsparła głowę na muskularnym ramieniu Daina. Po chwili przesunął się nieco w bok i przytulił sobie jej głowę na piersi. Tak było wygodniej.

Na razie tyle wystarczyło, by podnieść Jessicę na duchu. Później spróbuje wykoncypować, czym się zdenerwował w trakcie pocałunku – i dlaczego stał się tak bardzo spięty, kiedy mówiła o rodzie jego matki. Aktualnie zadowalało ją czerpanie radości z tego, co odbierała jako rozkoszny przejaw mężowskiego uczucia.

* * *

Przespali większą część podróży, aż do granicy hrabstwa Devon. Mimo że wyruszyli z opóźnieniem, do Exeter dotarli późnym popołudniem. Wkrótce potem przekroczyli rzekę Teign, a stamtąd skierowali się ku wiosce Bovey Tracey, by następnie przeprawić się przez rzekę Bovey. Jeszcze kilka mil na zachód i Jessica po raz pierwszy ujrzała dziwne formacje skalne Dartmoor.

– Haytor Rocks – powiedział Dain, przez okno po swojej stronie wskazując gigantyczny głaz, który wypiętrzał się na szczycie wzgórza.

Wspięła mu się na kolana, żeby lepiej widzieć. Roześmiał się.

– Nie masz się co martwić, że to przegapisz. Jest ich tu o wiele więcej. Setki, gdzie tylko spojrzysz. Skaliste pagórki, kopce z kamieni, kurhany, trzęsawiska. Wyszłaś za mnie i skończyłaś dokładnie na takich „rubieżach cywilizowanego świata", jakich chciałaś uniknąć. Lady Dain, witam na straszliwych pustkowiach Dartmoor.

– Moim zdaniem są piękne – odparła miękko.

Jak ty, miała chęć dodać. W pomarańczowej poświacie zachodzącego słońca poszarpany krajobraz był równie mroczny i surowo piękny jak Dain.

– Będę musiała wygrać kolejny zakład – odezwała się w nastrojowej ciszy. – Żebyś zabrał mnie do tych skał.

– Gdzie nabawisz się zapalenia płuc. Jest tam zimno, wietrznie i mokro, a aura zmienia się z orzeźwiająco jesiennej na przenikliwie zimową i z powrotem jakieś dziesięć razy na godzinę.

– Nigdy nie choruję. Nie jestem nadwrażliwym koniem czystej krwi… jak pewne osoby, których imion nie wymienię.

– Lepiej zejdź mi z kolan. Wkrótce dotrzemy do Athcourt, a służba wystąpi w swych najbardziej odświętnych strojach. Już teraz prezentuję się marnie. Rozbebeszyłaś i wymiętosiłaś mnie tak, że nic nie da się z tym zrobić. We śnie wiercisz się nawet bardziej niż na jawie. Przez całą drogę do Exeter prawie nie zmrużyłem oka.

– Wobec tego chrapałeś z zamkniętymi oczami – stwierdziła, wracając na miejsce obok niego.

– Nie chrapałem.

– W moją głowę. A kilka razy prosto do ucha. – Ten głęboki, męski pomruk odbierała jako niewysłowienie ujmujący.

Spojrzał na nią chmurnie.

Jessica zignorowała to, kierując znów wzrok na mijany krajobraz.

– Dlaczego twój dom nazywa się Athcourt? – zapytała. – Na cześć jakiejś wielkiej bitwy, jak Blenheim?

– Ballisterowie mieszkali pierwotnie dalej na północ. Jednemu z nich przypadła do gustu posiadłość w Dartmoor, jak również córka i zarazem jedyna żyjąca potomkini sir Guya de Atha, ważnej postaci w tych okolicach. Nawiasem mówiąc, nazwisko początkowo brzmiało Death[21]. Zmieniono je z oczywistych powodów. Mój przodek dostał rzeczoną córkę i majątek pod warunkiem, że przedłuży żywot tego osobliwego nazwiska. Dlatego mężczyźni z rodu otrzymują „Guy de Ath” doczepione tuż przed „Ballister”.

Czytała jego imiona i nazwiska na niezliczonych dokumentach związanych ze ślubem.

– Sebastian Leslie Guy de Ath Ballister – powiedziała z uśmiechem. – No popatrz, a myślałam, że dostałeś wszystkie te imiona, ponieważ jest ciebie tak dużo.

Poczuła, że jego ciało tężeje. Podniosła wzrok. Szczękę także zacisnął, usta uformowały surową kreskę.

Zastanawiała się, w jaką czułą strunę niechcący uderzyła.

Nie miała czasu na rozwikłanie tej zagadki, ponieważ Dain porwał zapomniany kapelusz i wepchnął jej na głowę, za bardzo z tyłu, toteż musiała wyprostować go i zawiązać wstążki. Następnie podjęła próbę doprowadzenia do w miarę przyzwoitego wyglądu sukni, w której podróżowała od wczesnego ranka, powóz skręcał już bowiem w bramę, a źle maskowane poruszenie Daina zdradziło Jessice, że aleja za nią prowadzi do jego domu.

Rozdział 12

Mimo nieplanowanej przerwy w Stonehenge powóz zajechał przed główne wejście Athcourt punktualnie o ósmej, zgodnie z planem. Do ósmej dwadzieścia Dain i jego żona dokonali inspekcji domowej armii, wystrojonej ceremonialnie i ustawionej w szeregu, sami również poddawani dyskretnym oględzinom. Z nielicznymi wyjątkami obecny personel nie widział dotąd swego pana ani razu. Ludzie ci byli jednak zbyt dobrze wyszkoleni i zbyt dobrze opłacani, żeby okazywać jakiekolwiek emocje, z ciekawością włącznie.

Wszystko czekało gotowe, ściśle według poleceń Daina, każdą potrzebę spełniano na czas, zgodnie z harmonogramem, który wysłał wcześniej. Kiedy on i Jessica dokonywali przeglądu służby, uszykowano dla nich kąpiele. Odprasowano i schludnie wyłożono ubrania, w których mieli zasiąść do kolacji.

Pierwsze danie wniesiono, gdy tylko pan i pani zajęli miejsca po przeciwnych końcach długiego stołu w przepastnej jadalni. Zimne potrawy przybywały zimne, ciepłe – ciepłe. Andrews, osobisty lokaj Daina, przez cały posiłek stał w pobliżu krzesła jego lordowskiej mości i służył pomocą przy zadaniach, które wymagały dwóch sprawnych rąk.

Jessica nie wydawała się ani trochę onieśmielona jadalnią rozmiarów opactwa westminsterskiego czy tuzinem lokajów w liberii, czekających na baczność przy kredensie, kiedy państwo konsumowali kolejne dania.

Kwadrans przed jedenastą wstała od stołu, żeby zostawić Daina przy porto. Z takim spokojem, jakby rządziła w tym dworze od stuleci, poinformowała zarządcę domu, Rodstocka, że wypije herbatę w bibliotece.

Naczynia uprzątnięto, nim jeszcze opuściła pomieszczenie, a karafka z porto pojawiła się przed Dainem niemalże w tej samej chwili. Z tą samą cichą dyskrecją napełniono mu kieliszek, po czym tłum pomocników rozwiał się jak duchy, kiedy Dain oznajmił:

– To będzie wszystko.

Po raz pierwszy od dwóch dni zaznał czegoś przypominającego prywatność i miał wreszcie szansę zastanowić się należycie nad problemem pozbawienia świeżo poślubionej żony dziewictwa – pierwszą od chwili, gdy uzmysłowił sobie, że stanowi to problem.

Tymczasem myślał o tym, że ma za sobą długi dzień, niesprawne ramię mu pulsuje, w jadalni zrobiło się zbyt cicho, nie podoba mu się kolor zasłon, a wiszący nad kominkiem krajobraz jest za mały w tym miejscu.

Za pięć jedenasta odepchnął od siebie kieliszek z nietkniętym winem i poszedł do biblioteki.

* * *

Jessica stała przy podstawce na książki, na której spoczywała gigantyczna rodowa księga, otwarta na stronie, gdzie zwyczajowo zapisywano daty ślubów, urodzin i śmierci. Kiedy wszedł jej mąż, posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Dziś są twoje urodziny. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Zbliżył się, jak zwykle układając twarz w kpiącą maskę, kiedy spoglądał w dół, na miejsce, które wskazywała.

– A niech mnie! Szanowny rodzic nie zaczernił mojego imienia. Jestem wstrząśnięty.

– Usiłujesz mi wmówić, że ani razu nie zajrzałeś do tej księgi? Że nie interesowali cię twoi przodkowie… kiedy wiedziałeś wszystko na temat Guya de Atha?

– O przodkach opowiadał mi guwerner. Starał się ożywić historyczne życiorysy za pomocą regularnych przechadzek po galerii portretów. „Pierwszy hrabia Blackmoor”, oznajmiał uroczyście, zatrzymując się przed portretem rycerza z długimi złotymi lokami. „Obraz powstał w czasach panowania króla Karola II”, byłem informowany. Następnie guwerner rozprawiał o wydarzeniach z okresu tego panowania i tłumaczył, w jaki sposób wpisywał się w nie mój szlachetny przodek oraz co takiego zrobił, że otrzymał tytuł hrabiowski.

Opowiadał mu o tym guwerner, nie ojciec.

– Podobałyby mi się takie lekcje – stwierdziła. – Może zabierzesz mnie jutro na przechadzkę po galerii portretów? Domyślam się, że ciągnie się przez dziesięć lub dwanaście mil.

– Sto osiemdziesiąt stóp – odparł, kierując znów wzrok na księgę. – Chyba masz przesadne wyobrażenie o rozmiarach Athcourt.

– Przywyknę. Udało mi się nie rozdziawiać zanadto ust ani nie wytrzeszczać oczu, kiedy wprowadzono mnie do wioski katedralnej, znanej także jako apartamenty markizy.

Nadal wpatrywał się w stronę, gdzie odnotowano jego narodziny. Nie zmienił sardonicznego wyrazu twarzy, ale w jego ciemnych oczach panował zamęt. Jessica zastanawiała się, czy to wpis zaraz poniżej tak go poruszył. Ją samą wcześniej zasmucił, współczuła mu.

– Straciłam rodziców rok po tym, jak ty straciłeś matkę – odezwała się. – Zginęli w wypadku powozu.

– Febra. Umarła na febrę. To także zapisał. – W głosie Daina pobrzmiewało zaskoczenie.

– Kto odnotował śmierć twojego ojca? To nie jest twoje pismo.

Wzruszył ramionami.

– Zapewne jego sekretarz. Albo pastor. Albo jakiś nadgorliwy wszędobylski. – Odepchnął jej rękę i z hukiem zamknął wiekową księgę. – Jeśli łakniesz historii rodu, znajdziesz jej całe tomy na półkach tam na końcu. Uwieczniono ją w nużących szczegółach, od czasów rzymskiego podboju, jak przypuszczam.

Na powrót otworzyła księgę.

– Jesteś głową rodu i musisz mnie teraz wpisać – powiedziała łagodnie. – Ożeniłeś się, musisz to odnotować.

– Muszę, doprawdy, w tej właśnie chwili? – Uniósł brew. – A przypuśćmy, że postanowię cię jednak nie zatrzymywać? Wtedy będę musiał wrócić i wykreślić twoje imię.

Podeszła do stołu do nauki, wzięła pióro i kałamarz i wróciła do niego.

– Z chęcią zobaczę, jak próbujesz się mnie pozbyć – oznajmiła.

– Mógłbym zdobyć unieważnienie. Na podstawie tego, że w momencie składania obietnicy ślubu byłem nie w pełni władz umysłowych. Małżeństwo lorda Porstmoutha zostało unieważnione na takiej podstawie zaledwie przedwczoraj.

Mimo to wziął od niej pióro i z wielkim ceremoniałem, zamaszystym pismem zarejestrował ich małżeństwo, dodając parę zawijasów dla większego efektu.

– Ach, jak ładnie – skomentowała, pochylając się nad jego ramieniem, żeby spojrzeć na wpis. – Dziękuję, Dain. Odtąd będę częścią historii Ballisterów.

Miała świadomość, że napiera na niego biustem.

On także. Odsunął się gwałtownie, jakby chodziło o parę rozżarzonych węgli.

– Tak, zostałaś uwieczniona w księdze rodu – rzekł. – Spodziewam się, że w następnej kolejności zażądasz portretu i będę musiał przenieść któregoś ze sławnych przodków do składziku, żeby zrobić dla ciebie miejsce.

Jessica żywiła nadzieję, że kąpiel, kolacja i kieliszek lub dwa porto go uspokoją, ale był równie humorzasty jak w chwili, gdy wjeżdżali na teren Athcourt.

– Czy Athcourt jest nawiedzony? – zapytała, z wystudiowaną swobodą przechodząc do wysokiego ciągu regałów. – Powinnam się przygotować na brzęk łańcuchów lub koszmarne zawodzenie o północy, względnie na osobliwie przyodziane damy i dżentelmenów snujących się po korytarzach?

– Rany, nie! Kto ci podsunął taki pomysł?

– Ty. – Wspięła się na palce, żeby zbadać zawartość półki z dziełami poetyckimi. – Nie umiem stwierdzić, czy szykujesz się, żeby wyznać mi coś strasznego, czy tylko oczekujesz czegoś strasznego. Pomyślałam, że tym czymś mogłyby być wyskakujące ze ścian duchy Ballisterów.

– Do niczego się nie szykuję. – Sztywnym krokiem ruszył w kierunku kominka. – Nie jestem spięty. Jestem całkowicie odprężony. Jak powinienem, w moim własnym przeklętym domu.

Gdzie historię rodu poznawał z ust guwernera, a nie ojca, pomyślała. Gdzie jego matka umarła, gdy miał dziesięć lat… strata, która najwyraźniej ciągle zadawała mu dotkliwy ból. Gdzie znajdowała się ogromna, wiekowa rodowa księga, do której nigdy nie zaglądał.

Zastanawiała się, czy znał wcześniej imiona zmarłego przyrodniego rodzeństwa, czy też przeczytał je po raz pierwszy dopiero przed chwilą.

Wyjęła piękne, kosztownie oprawione wydanie *Don Juana*.

– To niewątpliwie twój zakup – stwierdziła. – Ostatnie pieśni *Don Juana* opublikowano zaledwie cztery lata temu. Nie wiedziałam, że lubisz dzieła Byrona.

Stanął tymczasem przy kominku.

– Nie lubię. Poznałem go w trakcie podróży do Włoch. Kupiłem to ze względu na niegodziwość autora i nieprzyzwoitą ponoć zawartość.

– Innymi słowy, nie czytałeś. – Otworzyła książkę i wybrała strofę z pierwszej pieśni.

Niedawno śluby ją związały święte
Z mężem – niestety! – wiosen pięćdziesięci.
Myślę – a z życia mam dowody wzięte –
Że lepiej mieć dwu o dwudziestu pięci.[22]

Surowe usta Daina drgnęły w uśmiechu. Jessica przerzuciła kilka stron.

Jeszcze się wzdragała, jeszcze siliła
I „nie pozwolę” szepcąc – pozwoliła.[23]

Stłumił śmiech. Ale wiedziała, że go ma. Usadowiła się na sofie i przeskoczyła do drugiej pieśni, do miejsca, gdzie zakończyła lekturę poprzedniej nocy.

Szesnastoletniego Don Juana, wyjaśniła, odsyłano właśnie z powodu jego romansu z piękną doñą Julią, żoną wspomnianego pięćdziesięcioletniego dżentelmena.

Następnie Jessica zaczęła głośno czytać.

Po pierwszej strofie Dain porzucił kominek.

Przy ósmej siedział już obok niej. Do czasu czternastej wyciągnął się leniwie, z poduszką z sofy pod głową i stopą wspartą na tapicerowanym podnóżku. Po drodze jego kaleka lewa dłoń tajemniczym sposobem zawędrowała na prawe kolano Jessiki. Udała, że tego nie zauważa, i czytała dalej – o smutku Don Juana, kiedy statek oddalał się od jego ojczystego kraju, postanowieniu poprawy, nieśmiertelnej miłości do Julii i o tym, że nigdy jej nie zapomni ani nie pomyśli o czymkolwiek poza nią.

Nie dla mnie balsam powtórnej miłości…
(Tu okręt zachwiał się – on dostał mdłości).

Dain parsknął śmiechem.

Wprzód niebo ziemię zgniecie… (tu się skutki
Wstrząśnienia wzmogły). O Julio! dopóty

Łkać będę… (Piotrze daj mi trochę wódki,
Battista, pomóż mi zejść do kajuty…)

Gdyby czytała w samotności, Jessica chichotałaby, podobnie jak robiła to poprzedniej nocy. Jednakże na użytek Daina wyrzucała z siebie deklaracje usychającego z miłości Don Juana z melodramatyczną udręką, której towarzyszyło coraz większe rozkojarzenie, w miarę jak choroba morska brała górę nad nieśmiertelną miłością.

Udawała, że nie zauważa wstrząsanego niemym śmiechem wielkiego ciała, tak blisko niej, ani sporadycznych na pół wytłumionych chichotów, wskutek których lekki podmuch muskał jej włosy.

Tak bym się dzisiaj do nóg twoich cisnął
Całować!… (tu się gwałtownie zachłysnął!)[24]

Podmuch połaskotał górną część jej ucha i nie musiała podnosić wzroku, by wiedzieć, że mąż nachyla się bliżej i zagląda jej przez ramię. Czytała dalej, przechodząc do kolejnej strofy, świadoma ciepłego oddechu na swoim uchu i wibracji, jakie wywoływał w jej wnętrzu ten niski, dudniący śmiech.

Juan by świetniej wymową zapałał…

– *Cóż – gdy ocean jak emetyk działał*[25] – dokończył strofę uroczystym tonem.

Wtedy podniosła wzrok, Dain jednak w tej samej chwili umknął spojrzeniem, z nieodgadnionym wyrazem na surowo przystojnej twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że kupiłeś ją i nigdy nie przeczytałeś – skomentowała. – Nie miałeś pojęcia, co tracisz, prawda?

– Efekt jest z pewnością bardziej komiczny, kiedy czyta to na głos dama – odparł. – No i lektura nie kosztuje tyle wysiłku.

– Wobec tego będę ci czytywać regularnie. Jeszcze zrobię z ciebie romantyka.

Odsunął się, a bezwładna ręka ześlizgnęła się na sofę.

– Twoim zdaniem to romantyczne? Byron jest skończonym cynikiem.

– Dla mnie romans nie oznacza ckliwej, przesłodzonej sentymentalności. Jest jak curry, doprawione ekscytacją i humorem, a także zdrową porcją

cynizmu. – Opuściła rzęsy. – Moim zdaniem będzie z ciebie jeszcze świetne curry, Dain… trzeba cię tylko nieco doprawić.

– Doprawić? – powtórzył, sztywniejąc. – Chcesz mnie poprawiać?

– Oczywiście. – Poklepała leżącą obok niej dłoń. – Małżeństwo wymaga dostosowań, z obu stron.

– Nie to małżeństwo, moja pani. Zapłaciłem… jak za zboże… za ślepe posłuszeństwo i dokładnie tego…

– Naturalnie, jesteś panem sytuacji – weszła mu w słowo. – Nigdy nie spotkałam mężczyzny bardziej biegłego w zarządzaniu otoczeniem. Ale nawet ty nie zdołasz pomyśleć o wszystkim lub oczekiwać rzeczy, z którymi nie miałeś dotąd do czynienia. Śmiem twierdzić, że posiadanie żony niesie korzyści, jakich sobie nawet nie wyobrażałeś.

– Ma tylko jedną korzyść – odparł, zwężając oczy – i zapewniam cię, moja pani, że o niej myślałem. Często. Ponieważ to jedyna cholerna rzecz…

– Wynalazłam lek na twoją niedyspozycję dziś rano – stwierdziła, tłumiąc wzbierającą irytację… i niepokój. – Myślałeś, że nie ma lekarstwa. Właśnie odkryłeś Byrona, dzięki mnie. A to wprawiło cię w lepszy humor.

Kopnięciem odepchnął podnóżek.

– Rozumiem. Więc do tego zmierzasz: poprawiasz mi humor. Zmiękczasz mnie… albo próbujesz.

Jessica zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

Postanowiła wcześniej, że będzie cierpliwa, wypełni swój obowiązek wobec niego, będzie się o niego troszczyć, gdyż rozpaczliwie tego potrzebował, nieważne, czy zdawał sobie z tego sprawę. Teraz zastanawiała się, po co zadawała sobie trud. Po minionej nocy – po dzisiejszym poranku – po tym, jak wygnał ją na drugi kraniec długiego na milę stołu w jadalni – ten tuman miał czelność zredukować jej nadludzkie wysiłki do manipulacji. Raptem skończyła jej się cierpliwość.

– Próbuję… cię… zmiękczyć. – Przeciągała słowa, a każde rozbrzmiewało z hukiem w jej wnętrzu, aż serce tłukło jej się z furii. – Ty pyszałkowaty, tępy niewdzięczniku.

– Nie jestem ślepy. Wiem, do czego zmierzasz, a jeśli sądzisz…

– Jeśli ty sądzisz, że nie potrafiłabym tego zrobić – przerwała mu z napięciem – że nie umiałabym doprowadzić do tego, żebyś jadł mi z ręki,

gdybym tego właśnie chciała, radzę ci zastanowić się ponownie, Belzebubie.

Zapadła krótka, grzmiąca cisza.

– Jadł ci z ręki – powtórzył bardzo, bardzo spokojnie.

Rozpoznała ten spokojny ton i to, co on zwiastował, i część jej umysłu wrzeszczała: „Uciekaj!”. Reszta przekształciła się jednak w czerwoną masę gniewu. Wolno, z rozmysłem, oparła na kolanie lewą dłoń, wnętrzem do góry. Prawym palcem wskazującym zakreśliła kółko w samym jej środku.

– Stąd – powiedziała równie spokojnie jak on, układając usta w zgryźliwy uśmiech. – W ten sposób, Dain. Prosto z ręki. A potem – ciągnęła, nadal gładząc wnętrze dłoni – kazałabym ci się czołgać. I błagać.

Kolejna cisza przetoczyła się grzmotem przez pokój, aż Jessica zdumiewała się, że książki nie pospadały z półek.

Później nadeszła, aksamitnie miękka, jedyna odpowiedź, której nie oczekiwała, a zarazem ta jedna, zorientowała się momentalnie, którą powinna była przewidzieć.

– Z chęcią to zobaczę – oznajmił.

* * *

Mózg usiłował coś mu powiedzieć, lecz Dain słyszał wyłącznie dźwięczące w uszach: czołgać się… i błagać. Nie był w stanie sięgnąć myślami poza kpinę, którą wychwycił w jej cichym głosie, i skręcającą mu trzewia furię.

Toteż zamknął się w lodowatej wściekłości, gdzie był bezpieczny, odporny na zranienie. Nie czołgał się ani nie błagał, kiedy rozpadał się jego ośmioletni świat, kiedy uciekł od niego jedyny pozór miłości, a ojciec go odepchnął. Świat wpychał go do wychodków, drażnił się z nim, wykpiwał go i bił. Świat odsunął się od niego, kazał mu słono płacić za każde śliczne oszustwo udające szczęście. Świat próbował przemocą go sobie podporządkować, ale Dain się nie dał, i świat musiał nauczyć się żyć z nim na jego warunkach.

Ona także będzie musiała. A Dain zniesie, cokolwiek okaże się konieczne, by jej to wpoić.

Pomyślał o skałach, które pokazywał jej kilka godzin wcześniej, a których nie starły ani nie złamały stulecia gwałtownych ulew, porywistego

wiatru i przenikliwego zimna. Zmienił się w taką właśnie kamienną masę i kiedy poczuł, jak Jess porusza się obok niego, powiedział sobie, że nie znajdzie oparcia dla stóp – nie wespnie się na niego, podobnie jak nie zdoła go stopić bądź zetrzeć w proch.

Uklękła obok niego i przeczekał długą chwilę jej bezruchu. Wahała się, gdyż nie była ślepa. Rozpoznała w nim głaz, dostrzegła, być może, swój błąd… i wkrótce się podda.

Uniosła rękę i dotknęła jego szyi – po czym natychmiast gwałtownie cofnęła dłoń, jakby poczuła to samo, co on: skwierczące wyładowanie, które przemknęło pod skórą, rozpalając końcówki nerwowe.

Chociaż uparcie wbijał wzrok przed siebie, Dain kątem oka odnotował jej zdziwienie, mars na czole, kiedy przyglądała się bacznie swojej dłoni, przyuważył zamyślone spojrzenie, jakim powędrowała ku jego szyi.

Potem, z ciężkim sercem, zaobserwował, że kąciki jej ust unoszą się wolno. Przybliżyła się, wsuwając za niego prawe kolano, tak że dotykało jego pośladków, podczas gdy lewe docisnęła mu do uda. Prawym ramieniem objęła go za plecy, lewe ułożyła na jego klatce piersiowej i nachyliła się bliżej. Rozkosznie krągłym biustem naparła mu na ramię, muskając wargami nazbyt wrażliwą skórę w kąciku oka.

Pozostał sztywno wyprostowany, z całych sił koncentrował się na tym, żeby oddychać miarowo, żeby nie zacząć wyć.

Była ciepła i taka miękka, z lekka jabłkowa woń rumianku wirowała wokół niego jak sieć… jakby to delikatnie krągłe ciało, otulające jego własne, nie wystarczyło za sidła. Powiodła rozchylonymi wargami w dół, po jego policzku, wzdłuż nieustępliwej szczęki, do kącika ust.

Wymyślał sobie cicho od głupców, że ją podjudził, wiedząc przecież, że nie cofnie się przed wyzwaniem, podczas gdy on jak dotąd ani razu nie wyszedł z takiej sytuacji bez szwanku.

Wkroczył prosto w pułapkę, znowu, po raz setny, lecz tym razem było gorzej. Nie mógł się odwrócić, żeby spijać jej słodycz, oznaczałoby to bowiem, że ulega, a tego nie zrobi. Musiał siedzieć jak monolit z granitu, podczas gdy jej miękkie piersi sunęły w górę i w dół jego ramienia, a ciepły oddech i miękkie usta drażniły mu skórę pocałunkami, przywodzącymi na myśl pociągnięcia pędzla.

Trwał niczym kamienny blok, kiedy wydała przy jego uchu ciche westchnienie, które z sykiem przeniknęło mu do krwi. Ciągnął tę grę, na

zewnątrz nieruchomy, wewnątrz cierpiąc katusze, kiedy powoli rozwiązywała węzeł halsztuka i zdejmowała mu go z szyi.

Zobaczył, jak halsztuk wypada z jej palców, i usiłował skoncentrować uwagę na splątanym białym materiale u swych stóp, tyle że właśnie całowała go w kark, zarazem wsuwając mu dłoń pod koszulę. Nie potrafił skupić wzroku ani myśli, gdyż była wszędzie, gorączka oplatająca go i pulsująca w jego wnętrzu.

– Jesteś taki gładki – zamruczała, ciepłym oddechem muskając mu nasadę karku, głaszcząc go po plecach. – Gładki jak wypolerowany marmur, ale taki ciepły.

Płonął, a jej niski, zasnuty mgłą głos działał nań jak rozpryskany na płomienie olej.

– I silny – ciągnęła, podczas gdy jej wężowe dłonie również kontynuowały dzieło, ślizgając się po naprężonych mięśniach, które pod jej dotykiem napinały się jeszcze bardziej, drżały.

Był słaby. Wielki, głupi wół, tonący w grzęzawisku dziewiczego uwodzenia.

– Możesz mnie podnieść jedną ręką – ciągnęła gardłowym głosem. – Kocham twoje wielkie ręce. Chcę poczuć je na sobie, Dain. Wszędzie. – Smagnęła mu ucho językiem i zadrżał. – Na skórze. W ten sposób.

Pod wyśmienitym batystem koszuli głaskała palcami miejsce, gdzie łomotało jego serce. Potarła kciukiem spierzchnięty sutek i Dain ze świstem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Chcę, żebyś robił tak mnie – powiedziała.

Pragnął tego, najsłodsza Matko Jezusa, jakże tego pragnął. Pobielały mu knykcie zaciskanych z całych sił pięści, bolała zaciśnięta szczęka, a te doznania zdawały się czystą rozkoszą w porównaniu ze wściekłym pulsowaniem w lędźwiach.

– Robił co? – zapytał, przymuszając zdrętwiały język do wypowiedzenia tych zgłosek. – Czy… miałem… coś poczuć?

– Ty draniu.

Zabrała rękę i przez jego ciało przemknął szybki dreszcz ulgi, nim wszakże Dain zdążył wziąć kolejny oddech, wspinała mu się na kolana, podkasując spódnice, żeby dosiąść go okrakiem.

– Pragniesz mnie – oznajmiła. – Czuję to, Dain.

Trudno, żeby nie poczuła. Jego rozpaloną, podnieconą męskość oddzielały od gorącej kobiecości jedynie warstwa wełny i skrawek jedwabiu. Jego spodnie. Jej pantalony… miękkie uda, dociśnięte do jego ud. Niech mu Bóg dopomoże.

Wiedział, co się tam kryje, pod pantalonami: kilka cali pończochy ponad kolanem, węzeł podwiązki, jedwabista skóra powyżej. Drżały mu nawet palce kalekiej ręki.

Jakby czytając w myślach, uniosła tę bezużyteczną dłoń i przeciągnęła nią po zmiętoszonym jedwabiu spódnicy.

Pod spodem, pragnął zawołać. Pończocha, podwiązka, rozkosznie jedwabista skóra… proszę.

Zacisnął usta.

Nie będzie błagać, nie będzie się czołgać.

Pchnęła go na wznak na poduszki sofy i opadł na nie bez oporu. Wszystkie siły skupiał na powstrzymywaniu wyrywającego się zeń krzyku.

Zobaczył, jak Jess sięga do wiązań u stanika sukni.

– Małżeństwo wymaga dostosowań – powiedziała. – Skoro chcesz ladacznicy, muszę zachowywać się jak ladacznica.

Próbował zamknąć oczy, ale nie miał sił nawet na tyle. Jego uwagę zaabsorbowały smukłe, wdzięczne palce Jess i grzeszne zajęcie, któremu się oddawały… ustępujące tasiemki i haftki, zsuwający się materiał… krągłość kremowego ciała, które wylewało się z koronki i luźnego jedwabiu.

– Wiem, że moje… wdzięki… nie są tak gigantyczne jak te, do których przywykłeś – odezwała się znowu, spychając stanik sukni w dół, na wysokość talii.

Ujrzał bliźniacze księżyce, alabastrowo gładkie i białe.

W ustach mu zaschło, czuł się otępiały, jakby głowę wypełniała mu wata.

– Jeśli jednak znajdę się bardzo blisko, może je zauważysz.

Uniosła się i nachyliła nad nim… blisko, zbyt blisko.

Ściągnięty sutek… centymetry od jego spierzchniętych warg… zapach kobiety, intensywny, wwiercający się w nozdrza, wirujący w głowie.

– Jess. – Chrapliwy i szorstki głos, suchość w gardle.

Umysł zmienił mu się w pustynię. Żadnych myśli. Żadnej dumy. Stał się ledwie piaskiem, wirującym podczas wichury.

Ze zduszonym okrzykiem pociągnął ją w dół i pojmał jej usta… rozkoszną oazę… o, tak, proszę… aż rozchyliła je w reakcji na to szaleńcze błaganie. Łapczywie spijał jej słodycz. Był wysuszony, płonął, ona zaś chłodziła go i zarazem podsycała płomienie. Była niczym deszcz, a także niczym gorąca brandy.

Przeciągnął dłonią po jej gładkich, gibkich plecach, a wtedy zadrżała i westchnęła mu w usta.

– Kocham twoje dłonie – odezwała się niskim, pieszczotliwym szeptem.

– *Sei bella*[26] – odparł chropawo, palcami oplatając jej talię.

Taka jędrna i gibka, lecz, och, jakże drobna pod jego wielką dłonią.

Było jej tak mało, pragnął jednak tego wszystkiego, pragnął rozpaczliwie. Wygłodniałymi ustami sunął po jej twarzy, barku, szyi. Potarł policzkiem o jedwabiste wzgórki piersi, wsunął nos w wonną dolinę między nimi. Językiem wytyczył krętą ścieżkę do różanego sutka, który droczył się z nim parę chwil wcześniej, i pochwycił go. Pieścił go wargami, językiem, przytrzymując mocno jej drżące ciało, gdy ssał.

Ponad jego głową rozległ się cichy, zdumiony okrzyk. Niemniej wplątywała mu palce we włosy, wędrowała nimi niecierpliwie po skórze czaszki, toteż wiedział, że nie jest to krzyk bólu, lecz podniecenia.

Tej diabelskiej dręczycielce się to podobało.

I wtedy, przy całej gorączce i szaleństwie, uzmysłowił sobie, że nie jest bezsilny.

On także mógł ją zmusić do błagań.

Serce tłukło się w nim dziko, umysł miał otępiały, pijany, jakimś sposobem przywołał wszakże szczątkową kontrolę i zamiast pospieszyć dalej, przystąpił do oblężenia drugiej piersi, wolniej, z większym rozmysłem…

Rozsypała się.

– Och. Och, Dain. Proszę.

Jej palce poruszały się spazmatycznie, po jego karku, ramionach.

Tak, błagaj. Chwycił lekko zębami drżący sutek i delikatnie pociągnął.

– Dobry Boże! Proszę… nie. Tak. Och!

Wiła się bezradnie, to wyginając się ku niemu w łuk, to znów próbując mu się wywinąć.

Przeciągnął dłonią w górę pod zmierzwioną, wymiętą spódnicą i pogładził jedwabne pantalony. Jęknęła.

Puścił jej pierś, a wtedy osunęła się i przeciągała rozchylonymi wargami po jego wargach, dopóki nie odpowiedział, zapraszając ją do środka, wstrząsany dreszczami przyjemności, kiedy pustoszyła jego usta.

Spijając gorący trunek jej pocałunku, pchał zarazem w górę cieniutką jedwabną nogawkę pantalonów, po pończosze i wyżej, do węzła podwiązki. Rozwiązał go szybko i odepchnął, pociągnął pończochę w dół, ślizgał się palcami po jej udzie, sunąc znów w górę, po pomarszczonych jedwabnych pantalonach, żeby chwycić rozkosznie zaokrąglone pośladki.

Oderwała się od jego ust, oddychając płytko, nierówno.

Z dłonią zaciśniętą nadal na jej pośladkach, zmienił pozycję, przesuwając się wraz z nią, tak że zległa na boku, uwięziona pomiędzy jego potężną sylwetką a oparciem sofy. Pocałował ją znowu, głęboko, wędrując zarazem ręką do tasiemek pantalonów, które rozwiązał, zsunął w dół. Poczuł, jak jej ciało się napina, lecz nadal więził jej usta, rozpraszał uwagę niespiesznym, czułym pocałunkiem, podczas gdy palce nie przerywały wędrówki po jej udzie, głaszcząc, pieszcząc, zakradając się ku jej niewinności.

Wykręciła się, oderwała od jego ust, lecz ani myślał pozwolić jej uciec, nie potrafił też powstrzymać się przed dotykaniem jej… szlachetna, napięta skóra u nasady uda… lubieżny gąszcz jedwabistych loczków… i słodka kobiecość, ciepła, miękka i śliska jak masło… rozkoszny dowód jej pożądania.

Poruszył ją, podniecił. Pragnęła go.

Zaczął gładzić wrażliwe kobiece fałdy, a wtedy znieruchomiała, absolutnie. Potem:

– Och. – W jej cichym głosie pobrzmiewało zaskoczenie. – Och. To… niesamowite. Nie miałam… – Reszta zginęła w zduszonym okrzyku, na jego palec naparło rozkoszne ciepło. Niespokojnie wykręcała szczupłe ciało, to bliżej niego, to dalej. – Och, Boże. Proszę.

Ledwie słyszał jej błagania. Słyszenie przerastało jego możliwości. Krew łomotała mu w żyłach, grzmiała w uszach.

Znalazł wrażliwy pączek i wąski przedziałek pod nim, jakże mały, jakże napięty pod jego potężnym, bezczelnym palcem.

Pieścił wrażliwy wierzchołek, aż ten nabrzmiał. Kurczowo ściskała jego surdut, wydając ciche, pozbawione tchu dźwięki, usiłowała zagrzebać się w jego twardym ciele. Jak przestraszony kociak. Tyle że ona się nie bała. Ufała mu. Jego własny, ufny kociak. Niewinny. Taki kruchy.

– Och, Jess, jesteś taka drobniutka – wymamrotał zdesperowany.

Delikatnie gładził jej wnętrze, lecz pomimo całej jej śliskości i rozpalenia, przejście było dla niego zbyt wąskie, zbyt ciasne.

Napęczniały żądzą członek parł wściekle na spodnie, potężny, monstrualny intruz, który rozedrze ją na dwoje. Chciało mu się łkać, wyć.

– Taka ciasna – powiedział głosem ociekającym rozpaczą, nie potrafił bowiem przestać jej dotykać, nie potrafił przestać pieścić tego, czego nie mógł, nie śmiał mieć.

Nie słyszała go. Zatraciła się w gorączce, którą napędzał. Dotykała go, całowała.

Jakże ruchliwe były jej dłonie, jakże niewinnie lubieżne usta. Spalała się w ogniu, który rozniecił, żeby ją podbić, teraz zaś nie umiał przestać podsycać.

– Och, nie… tak… proszę.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, głośno załkała… i zadrżała, napięte ciało zacisnęło się na jego palcach… i rozluźniło… i zacisnęło ponownie, kiedy jej smukłą sylwetką wstrząsał kolejny orgazm.

Cofnął dłoń i odkrył, że ta drży. Każdy mięsień w jego ciele napinał się boleśnie z wysiłku, jaki kosztowało go powstrzymywanie się, by jej nie rozerwać. Odnosił wrażenie, że genitalia skręca mu w imadle szatan we własnej osobie.

Wziął nierówny oddech. I następny. I jeszcze jeden, czekając, aż Jess wróci do rzeczywistości; miał nadzieję, że do tego czasu, gdy będzie zmuszony się ruszyć, jego lędźwie już się uspokoją.

Czekał, ale nic się nie działo. Wiedział, że nie umarła. Słyszał, czuł jej oddech… wolny, miarowy, spokojny… zbyt spokojny.

Wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

– Jess?

Wymamrotała coś i wtuliła się w niego, moszcząc głowę w zagłębieniu jego ramienia.

Przez kolejną minutę z rozdziawionymi ustami gapił się na jej piękną, spokojną, uśpioną twarz.

Jak jakiś cholerny mężczyzna, pomyślał z rozdrażnieniem. Dostała to, czego chciała, po czym zasnęła.

Tak właśnie sam powinien postąpić, niech diabli porwą jej zuchwalstwo! A teraz będzie musiał przeklętą niewdzięcznicę zanieść do łóżka tak, żeby

jej nie zbudzić.

Rozdział 13

Jessica nie była pewna, kiedy dokładnie uzmysłowiła sobie, że ktoś niesie ją schodami w górę. Wszystko zdawało się częścią snu lub zamierzchłej przeszłości, kiedy była senną małą dziewczynką, tak drobniutką, że nawet wuj Frederick, najmniejszy z jej wujków, mógł z łatwością zgarnąć ją jednym ramieniem i ponieść na górę do pokoju dziecięcego. Ramiona były twarde, owszem, a droga wyboista, jednakże Jessica czuła się absolutnie bezpiecznie, wtulona w duże męskie ciało, z głową wspartą na szerokim ramieniu.

Stopniowo mgła snu się rozwiała i nim jeszcze Jessica otworzyła oczy, wiedziała, kto ją niesie.

Przypomniała sobie również, co się wydarzyło. Czy też większość z tego. Mnóstwo zginęło w podniecającym wirze, w który wciągnął ją Dain.

– Nie śpię – odezwała się głosem ciężkim od snu. Nadal czuła zmęczenie, umysł miała spowolniony. – Mogę przejść resztę drogi sama.

– Spadniesz ze schodów – burknął Dain. – Poza tym jesteśmy prawie na miejscu.

Na miejscu, czyli, jak się okazało, w apartamentach markizy. Wielkich Katakumbach, jak przemianowała je w duchu, kiedy Dain wniósł ją do słabo oświetlonej pieczary, która służyła za jej sypialnię.

Bardzo ostrożnie złożył Jessicę na łóżku.

Następnie zadzwonił po jej pokojówkę… i wyszedł. Bez słowa, a przy tym w pewnym pośpiechu.

Jessica usiadła wpatrzona w otwarte drzwi, nasłuchując jego wytłumionych przez dywan kroków, kiedy szedł długim korytarzem, aż w końcu z oddali dobiegło ciche stuknięcie zamykanych drzwi jego pokoju.

Westchnąwszy, nachyliła się, żeby zdjąć poluzowaną przez niego pończochę, która ześlizgnęła się aż do kostki.

Napomniała się, że od momentu, gdy zgodziła się za niego wyjść, wiedziała, że sprawa nie będzie prosta. Wiedziała, że tego wieczoru – a w zasadzie przez cały dzień – znajdował się w wyjątkowo drażliwym nastroju.

Nie mogła oczekiwać, że zachowa się racjonalnie… i skonsumuje związek, jak należy… i będzie z nią spał.

Pojawiła się Bridget i jakby nie zauważając nieładu w ubiorze ani rozkojarzenia swej pani, w milczeniu i sprawnie przygotowała ją do snu.

Opatulona w łóżku, po wyjściu pokojówki, Jessica uznała, iż nie ma sensu zamartwiać się tym, że Dain jej nie rozdziewiczył.

To, co zrobił, okazało się bardzo podniecające i zaskakujące, zwłaszcza ostatnia część, kiedy za jego sprawą doświadczyła niewielkiego trzęsienia ziemi. Wiedziała, co to takiego, gdyż Genevieve ją uprzedziła. I dzięki babce Jessica orientowała się, że takie niezwykłe doznania nie zawsze się zdarzają, zwłaszcza na wczesnym etapie małżeństwa. Nie wszyscy mężczyźni zadają sobie trud.

Trudno jej było uwierzyć, że Dain zadał sobie ów trud jedynie po to, żeby zaliczyć punkt, na przykład dowieść swojej władzy nad nią. Według Genevieve, podnieconemu mężczyźnie odmawianie sobie ulgi sprawia ogromny ból. O ile Dain nie znał jakiegoś tajemnego, niewspomnianego przez Genevieve sposobu na ulżenie podnieceniu, cierpiał dotkliwy dyskomfort.

Musiał mieć ku temu ważki powód.

Jessica nie potrafiła nawet zacząć sobie wyobrażać, o co mogło chodzić. Pragnął jej, to bez wątpienia. Usiłował się temu oprzeć, ale nie zdołał – nie po tym, jak bezwstydnie obnażyła piersi i podetknęła mu je pod ten arogancki florencki nos… nie po tym, jak podkasała spódnice i usiadła na jego organach rozrodczych.

Zarumieniła się na to wspomnienie, lecz doświadczany przez nią żar nie był wstydem. W tamtej chwili czuła się cudownie wolna i niegodziwa… i za swoją śmiałość otrzymała gorącą, ekscytującą nagrodę.

Nawet teraz odczuwała to tak, jakby Dain podarował jej prezent. Jakby to ona miała dziś urodziny. I po tym, jak ofiarował swojej żonie niewielkie trzęsienie ziemi i zniósł dotkliwy fizyczny dyskomfort, znalazł sposób – na pewno nie bez sporych trudności – żeby wnieść Jessicę po schodach, nie budząc jej.

Odkryła, że wolałaby, by tego nie robił. Byłoby łatwiej, gdyby szorstko ją obudził, wyśmiał i dał samej wejść po schodach, otumanionej, potykającej się… zamroczonej. Byłoby jeszcze łatwiej, gdyby po prostu pchnął ją na sofę, wbił się w nią, a następnie odtoczył na bok i zasnął.

Tymczasem zadał sobie tyle trudu. Nauczył ją przyjemności, a po wszystkim zatroszczył się o nią. Zachował się doprawdy słodko i rycersko.

Jej mąż przekształcał właśnie prosty zwierzęcy pociąg w coś znacznie bardziej skomplikowanego.

I wkrótce, jeśli Jessica nie zachowa wielkiej ostrożności, może popełnić fatalny błąd i się w nim zakochać.

* * *

Nazajutrz po południu lady Dain odkryła, że Athcourt jednak ma swoje duchy.

Klęczała na wytartym dywanie w najwyższym pomieszczeniu północnej wieży. Pokój służył jako jedno z lokalnych cmentarzysk mebli i elementów wyposażenia. Otaczały ją kufry wypełnione ubraniami z minionych epok, draperiami i bielizną pościelową, jak również zbieranina mebli, skrzynie ze zdekompletowaną zastawą stołową oraz pewna liczba domowych utensyliów nieznanego przeznaczenia. Obok Jessiki klęczała pani Ingleby, gospodyni.

Patrzyły obie na portret młodej kobiety o falujących czarnych włosach, czarnych jak węgiel oczach i dumnym florenckim nosie. Jessica znalazła obraz w ciemnym kącie pokoju, gdzie tkwił ukryty za ustawionymi jeden na drugim kuframi, grubo zawinięty w aksamitne kotary z łóżka.

– To z całą pewnością matka jego lordowskiej mości – stwierdziła Jessica, zastanawiając się, dlaczego serce jej łomoce, jakby się bała, choć tak przecież nie było. – Suknia, fryzura… ostatnia dekada osiemnastego wieku, bez wątpienia.

Nie było potrzeby wspominać o fizycznym podobieństwie. Dama stanowiła po prostu kobiecą wersję obecnego markiza.

Był to także pierwszy widziany przez Jessicę portret, na którym dało się odnotować jakiekolwiek podobieństwo do Daina.

Po śniadaniu, które Jessica spożyła w samotności – Dain zjadł i wyszedł, nim zjawiła się na dole – pani Ingleby zabrała ją na obchód części gigantycznego domu, co obejmowało leniwy spacer galerią naprzeciw ich sypialni, gdzie wisiały rodowe portrety. Poza pierwszym hrabią Blackmoorem, którego spojrzenie spod na pół opuszczonych powiek skojarzyło jej się z Dainem, Jessica nie wykryła żadnych cech wspólnych.

Nigdzie pośród owych szacownych postaci nie wytropiła kobiety, która mogłaby być matką Daina. Zapytana, pani Ingleby odparła, że o ile jej wiadomo, taki portret nie istnieje. Pracowała w Athcourt, odkąd obecny markiz uzyskał swój tytuł, przy której to okazji wymienił większość dotychczasowej służby.

Portret schowano zatem jeszcze za czasów jego ojca. Z żalu? – zastanawiała się Jessica. Czy zmarłemu markizowi patrzenie na obraz żony sprawiało zbyt wielki ból? Jeśli tak, musiałby być zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego ujrzała na portrecie w galerii: jasnowłosy dżentelmen w średnim wieku, ubrany z posępną kwakierską prostotą. Jednakże wyraz jego twarzy kłócił się ze skromnym strojem. Za tym surowym obliczem ze zwężonymi, lodowato niebieskimi oczami nie mieszkała łagodna dusza.

– Nic o niej nie wiem – powiedziała Jessica – poza datą ślubu i datą śmierci. Nie spodziewałam się, że będzie taka młoda. Założyłam, że druga żona była kobietą raczej dojrzałą. Ta tutaj to nieledwie dziewczynka.

I kto, zastanowiła się gniewnie, wydał to przeurocze dziecko za ohydny, świętoszkowaty, stary blok lodu?

Odsunęła się, wstrząśnięta gwałtownością swojej reakcji. Wstała prędko.

– Proszę polecić, żeby zniesiono go do mojej bawialni – zwróciła się do gospodyni. – Można go przedtem delikatnie odkurzyć, ale bez dalszego czyszczenia, zanim przyjrzę mu się dokładnie w lepszym świetle.

* * *

Panią Ingleby sprowadzono z Derbyshire. Przed przybyciem nie słyszała nic o dawnych rodzinnych skandalach, a ponieważ nie tolerowała kuchennych plotek, nie dowiedziała się o nich także później. Przedstawiciel lorda Daina zatrudnił ją nie tylko z powodu wyśmienitej reputacji zawodowej, ale również ze względu na wyznawane przez nią surowe zasady: w jej opinii troska o rodzinę wiązała się ze świętym zaufaniem, którego nie wolno nadużywać, wymieniając szeptem skandaliczne plotki za plecami pracodawcy. Albo warunki były dobre, albo nie. Jeśli nie, uprzejmie dawało się wypowiedzenie i odchodziło.

Surowe zapatrywania pani Ingleby nie powstrzymały jednak reszty personelu przed plotkowaniem, gdy tylko gospodyni odwróciła się plecami.

W konsekwencji większość służby słyszała o poprzedniej lady Dain. Do tych osób należał lokaj wezwany, żeby przeniósł portret do bawialni obecnej lady Dain. Powiedział panu Rodstockowi, kogo przedstawia obraz.

Pan Rodstock miał stanowczo zbyt wiele godności, żeby walić głową o kominek, co chętnie by uczynił. Ograniczył się do jednego mrugnięcia i polecenia podwładnym, by natychmiast go powiadomili, kiedy wróci jego lordowska mość.

* * *

Lord Dain spędził większą część dnia w Chudleigh. Pod Gwiazdą i Podwiązką natknął się na lorda Sherburne'a, który okrężną drogą zmierzał na południe, do Devonport, na walkę zapaśniczą.

Sherburne, żonaty od niespełna roku, zostawił młodą żonę w Londynie. Był ostatnią osobą, która uznałaby za choć trochę dziwne, że mężczyzna świeżo po ślubie porzuca pannę młodą na rzecz baru w zajeździe kilka mil od domu. Wprost przeciwnie, zaprosił Daina na wspólną wyprawę do Devonport. Sherburne czekał na kilku jeszcze kompanów, którzy mieli przybyć wieczorem. Zasugerował, żeby Dain spakował się, wziął osobistego lokaja i dołączył do nich przy kolacji. Mogliby wyruszyć wszyscy razem nazajutrz z samego rana.

Dain bez wahania przyjął zaproszenie, ignorując rozsadzający mu czaszkę wrzask sumienia. Wahanie oznacza słabość, a Sherburne gotów byłby pomyśleć, że Belzebub musi najpierw poprosić żonę o zgodę, albo że nie zniesie parodniowego rozstania z nią.

Zniesie je z łatwością, myślał teraz Dain, spiesząc północnymi schodami do swojego pokoju. Co więcej, należało nauczyć Jessicę, że nie może nim manipulować, a ta lekcja będzie dla niego znacząco mniej bolesna aniżeli udzielona jej minionej nocy. Wolałby już, żeby czarnowrony urządziły sobie ucztę na jego intymnych narządach, niżby miał przechodzić ponownie przez tamto potworne doświadczenie.

Wyjedzie, uspokoi się, spojrzy na sprawy z właściwej perspektywy, a kiedy wróci…

No, nie wiedział dokładnie, co zrobi, ale to dlatego, że nie był spokojny. Kiedy się opanuje, wymyśli coś. Z pewnością istniało proste rozwiązanie,

tyle że nie potrafił podejść do problemu chłodno i obiektywnie, gdy ona nękała go, kręcąc się w pobliżu.

– Milordzie.

Dain przystanął u szczytu schodów i spojrzał w dół. W ślad za nim spieszył Rodstock.

– Milordzie – powtórzył bez tchu zarządca. – Jeśli pan pozwoli, słówko.

Zarządca miał w istocie do powiedzenia więcej niż słówko, aczkolwiek jedynie tyle, ile okazało się niezbędne. Pani dokonywała przeglądu w składziku w północnej wieży. Znalazła portret. Poprzedniej markizy. Rodstock pomyślał, że jego lordowska mość życzyłby sobie zostać o tym poinformowany.

Rodstock był chodzącym ideałem, wzorem dyskrecji i taktu. Nic w jego tonie ani zachowaniu nie wskazywało, że jest świadom, jaką bombę zrzucił właśnie u stóp swego pana.

Jego pan również nijak nie dał po sobie poznać, że odnotował eksplozję.

– Rozumiem – rzekł Dain. – Interesujące. Nie wiedziałem, że mamy tu jakiś. Gdzie jest?

– W bawialni pani, milordzie.

– No, wobec tego nie zaszkodzi rzucić okiem.

Dain odwrócił się i ruszył długą galerią. Serce biło mu nierówno. Poza tym nie czuł nic. I nic również nie widział podczas niekończącej się wędrówki obok portretów kobiet i mężczyzn ze szlachetnej linii, której nigdy nie czuł się częścią.

Na oślep dotarł do końca korytarza, otworzył ostatnie drzwi po lewej stronie i znów skręcił w lewo, w wąskie przejście. Minął jedne drzwi, przeszedł przez kolejne, podążył korytarzykiem do otwartych drzwi na jego końcu.

Portret, który nie powinien był istnieć, stał przed wychodzącym na wschód oknem bawialni na sfatygowanych sztalugach, ani chybi wygrzebanych z sali lekcyjnej.

Dain podszedł do obrazu i wpatrywał się w niego przez długą chwilę, mimo że widok tej pięknej, okrutnej twarzy zadawał mu ból, potężny – większy, niż zdołałby odgadnąć. Płonęło mu gardło, oczy także. Gdyby mógł, rozpłakałby się tu, na miejscu.

Nie mógł jednak, ponieważ nie był sam. Nie musiał odrywać wzroku od portretu, żeby wiedzieć, iż jego żona przebywa w pokoju.

– Kolejne twoje znalezisko – skomentował, przez zajęte ogniem gardło wyduszając krótki śmiech. – I to od razu na pierwszej lokalnej wyprawie w poszukiwaniu skarbów.

– Na szczęście w północnej wieży jest chłodno i sucho – powiedziała. Jej głos także był chłodny i suchy. – A obraz dobrze owinięto. Prawie nie wymaga czyszczenia, wolałabym jednak inną ramę. Ta jest o wiele za ciemna i nadmiernie zdobiona. Poza tym, jeśli nie masz nic przeciw, nie chciałabym umieszczać jej w galerii portretów. Dobrze, żeby miała własne miejsce. Nad kominkiem w jadalni, jak sądzę. Zamiast tamtego krajobrazu.

Podeszła bliżej, zatrzymując się kilka kroków na prawo od niego.

– Krajobraz lepiej się nada do mniejszego pomieszczenia. A gdyby nawet nie, z o wiele większą chęcią patrzyłabym na nią.

On także, pomimo katuszy.

Zadowoliłby się samym patrzeniem na swą piękną, nieznośną matkę. O nic by nie prosił… albo o tak niewiele: miękka dłoń na policzku, zaledwie przez chwilę. Niecierpliwy uścisk. Byłby grzeczny. Próbowałby…

Ckliwe brednie, zganił się gniewnie. To tylko cholerny kawałek płótna wymazany farbą. Portret dziwki, o czym wiedzieli wszyscy domownicy, całe Devon i większość świata. Wszyscy poza jego żoną, z jej piekielnym darem wywracania rzeczywistości do góry nogami.

– Była dziwką – rzucił opryskliwie. A potem szybko i brutalnie, żeby mieć to za sobą, ciągnął: – Uciekła z synem kupca z Dartmouth. Żyła z nim jawnie przez dwa lata i razem z nim umarła, na jakiejś nękanej febrą wyspie Indii Zachodnich.

Odwrócił się i spojrzał na skierowaną ku niemu pobladłą twarz żony. Zszokowana, otworzyła szeroko oczy. Później, nie do wiary, błysnęły w nich… łzy.

– Jak śmiesz? – zaatakowała, odpędzając łzy gniewnym mruganiem. – Jak śmiesz, akurat ty, nazywać swoją matkę dziwką? Co noc kupujesz sobie nową kochankę. Płacąc kilka monet. Z tego, co mówisz, ona wzięła zaledwie jednego kochanka… i zapłaciła za niego wszystkim, co miała: przyjaciółmi, honorem. Synem.

– Powinienem był się domyślić, że nawet w tym zobaczysz romantyczną historię – zakpił. – Czy zaraz uczynisz z tej gorącokrwistej nierządnicy męczennicę… czego, Jess? Miłości?

Odwrócił się tyłem do portretu, w jego wnętrzu rozległo się bowiem znajome wycie i miał chęć krzyczeć: „Dlaczego?!”. A przecież znał odpowiedź, od zawsze. Gdyby matka go kochała – lub chociaż litowała się nad nim, jeśli nie potrafiła kochać – zabrałaby go ze sobą. Nie zostawiłaby go samego w piekle.

– Nie wiesz, jak wyglądało jej życie – zaoponowała Jess. – Byłeś dzieckiem. Nie mogłeś wiedzieć, co czuje. W obcym kraju, z mężem na tyle starym, że mógłby być jej ojcem.

– Jak doña Julia u Byrona, chcesz powiedzieć? – spytał ze zjadliwą ironią. – Może masz rację. Może mama lepiej by sobie poradziła z dwoma dwudziestopięcioletnimi mężami.

– Nie wiesz, czy twój ojciec dobrze ją traktował – perswadowała mu żona, jak nauczyciel opornemu studentowi. – Nie wiesz, czy życie z nim było proste, czy nie do zniesienia. Równie dobrze mógł ją unieszczęśliwić… co wydaje się więcej niż prawdopodobne, jeśli portret trafnie oddaje jego charakter.

A co ze mną? – chciał krzyknąć. Nie wiesz, co to znaczyło dla mnie, tego paskudztwa, które porzuciła, wykluczanego, unikanego, wykpiwanego, dręczonego. Zostawionego… żeby jakoś przetrwał… płacąc, drogo, za rzeczy, które inni uważali za oczywistość: tolerancję, akceptację, miękką dłoń kobiety.

Przeraziły go ta wewnętrzna furia i smutek, histeria dziecka… które umarło dwadzieścia pięć lat temu.

Zmusił się do śmiechu i odpowiedział na jej opanowane szare spojrzenie kpiącą maską, której noszenie tak świetnie opanował.

– Jeśli nie przypadł ci do gustu mój rodzic, nie krępuj się, wygnaj go do północnej wieży. Możesz powiesić ją na jego miejscu. Albo choćby i w kaplicy. – Ruszył do drzwi. – Nie musisz konsultować się ze mną w kwestiach zmiany wystroju. Wiem, że żadna kobieta nie przemieszka dwóch dni w dowolnym domu, zostawiając wszystko na swoim miejscu. Będę wielce zdumiony, jeśli po powrocie odnajdę drogę do własnego pokoju.

– Wyjeżdżasz? – zapytała nadal spokojnym tonem.

Kiedy zatrzymał się w progu i odwrócił, wyglądała przez okno, z opanowaną twarzą, która odzyskała już zwykłe kolory.

– Do Devonport – odparł, zastanawiając się, dlaczego jej opanowanie przeszywa go takim chłodem. – Walka zapaśnicza. Z Sherburne’em i paroma innymi. Mam się z nimi spotkać o dziewiątej. Muszę się spakować.

– Wobec tego zmienię dyspozycje co do obiadu – stwierdziła. – Chyba zjem w pokoju porannym. Najpierw jednak powinnam się zdrzemnąć, inaczej zasnę z nosem w talerzu. Obeszłam zaledwie jedną czwartą domu, a czuję się, jakbym przewędrowała pieszo z Dover na przylądek Land’s End.

Chciał zapytać, co sądzi o domu, co jej się podoba – poza rozdzierającym duszę portretem jego matki – a co nie, oprócz niepasującego krajobrazu w jadalni, który, jak sobie przypomniał, jemu także nie przypadł do gustu.

Gdyby nie wyjeżdżał, mógłby dowiedzieć się tego przy obiedzie, w przytulnej intymności pokoju porannego.

Intymność, pouczył się, to ostatnie, czego mu aktualnie trzeba. Potrzebował wyjechać, gdzieś, gdzie ona nie będzie wywracać go na nice szokującymi „odkryciami”… ani torturować zapachem, jedwabistą skórą, miękkimi krągłościami smukłego ciała.

Odwołał się do całej swej samokontroli, żeby wyjść, a nie wybiec z pokoju.

* * *

Jessica spędziła dziesięć minut, próbując się uspokoić. Nic z tego. Jako że nie miała ochoty na towarzystwo Bridget czy kogokolwiek innego, sama uporała się z kąpielą. Szczęśliwie Athcourt chlubiło się rzadkim luksusem w postaci bieżącej gorącej i zimnej wody, nawet na drugim piętrze.

Ani samotność, ani kąpiel jej nie wyciszyły, a drzemka okazała się niemożliwa. Jessica leżała samotnie w wielkim łożu, odrętwiała, wbijając wzrok w baldachim.

Ledwie trzy dni po ślubie ten wielki dureń ją porzucał. Na rzecz przyjaciół. Na rzecz walki zapaśniczej.

Wstała, zdjęła skromną bawełnianą koszulę nocną i sztywnym krokiem przeszła, naga, do garderoby. Znalazła jedwabny negliż w kolorze czerwonego wina i czerni i założyła go. Wsunęła stopy w czarne pantofle bez pięty. Narzuciła czarno-złoty szlafroczek z ciężkiego jedwabiu, zawiązała pasek i udrapowała luźno linię dekoltu, tak by wyzierał spod niej skrawek negliżu.

Przeciągnąwszy szczotką po włosach, wróciła do sypialni, skąd wyszła drzwiami prowadzącymi do pomieszczenia, które pani Ingleby określiła jako „prywatny salon”. Aktualnie mieścił on część należącej do Daina kolekcji artystycznych kuriozów. Przylegał także do apartamentów jego lordowskiej mości.

Przeszła przez gigantyczne, tonące w półmroku pomieszczenie do drzwi do pokoi Daina. Zapukała. Przytłumione głosy, które słyszała po drodze, umilkły raptownie. Po chwili otworzył jej Andrews. Zatchnął się, ujrzawszy ją w dezabilu, co prędko zamaskował cichym, uprzejmym kaszlem.

Uśmiechnęła się do niego słodko i naturalnie.

– Ach, nie wyjechaliście jeszcze. Co za ulga. Gdyby jego lordowska mość znalazł chwilę, muszę go o coś spytać.

Andrews zerknął w lewo.

– Milordzie, milady życzy sobie…

– Nie jestem głuchy – rozległ się gniewny głos Daina. – Zmiataj stamtąd i wpuść ją.

Andrews cofnął się i Jessica weszła, rozglądając się leniwie po pokoju, kiedy w drodze do męża bez pośpiechu okrążała olbrzymie siedemnastowieczne łoże. Większe nawet niż to u niej, miało rozmiary niewielkiego pokoju.

Dain, w koszuli, spodniach i pończochach, stał nieopodal okna. Spoglądał chmurnie na kufer podróżny, otwarty na suto rzeźbionym stole, jak zgadywała, z tych samych czasów co łoże. Z rozmysłem na nią nie patrzył.

– To… delikatna sprawa – odezwała się z wahaniem, nieśmiało. Żałowała, że nie potrafi rumienić się na zawołanie, ale ten aspekt zawsze nastręczał jej trudności. – Jeśli moglibyśmy… zostać sami?

Zerknął na nią, po czym natychmiast znów wbił wzrok w walizę. Później zamrugał i ponownie odwrócił głowę w jej kierunku, tym razem sztywnym ruchem. Wolno zmierzył ją wzrokiem, z góry na dół i z powrotem, zatrzymując się na moment przy odsłaniającej co nieco linii dekoltu szlafroczka. Mięsień drgnął mu w szczęce.

Następnie jego twarz stężała, twarda jak granit.

– Gotowa na drzemkę, jak widzę. – Ominął ją wzrokiem i spojrzał gniewnie na Andrewsa. – A ty na co czekasz? „Sami”, powiedziała milady. Ogłuchłeś?

Andrews wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Dziękuję, Dain. – Jessica obdarzyła go uśmiechem.

Podeszła bliżej, wzięła z walizy garść wykrochmalonych, schludnie poskładanych halsztuków i upuściła na podłogę.

Popatrzył na nią. Popatrzył na stertę płótna.

Wyjęła stosik nieskazitelnie czystych białych chusteczek i, ciągle uśmiechnięta, je także upuściła.

– Jessico, nie wiem, jaką grę prowadzisz, ale to nie jest zabawne – rzekł bardzo cicho.

Chwyciła naręcze koszul i cisnęła na podłogę.

– Jesteśmy małżeństwem zaledwie trzy dni – oświadczyła. – Nie porzucisz świeżo poślubionej żony dla bandy półgłówków. Nie zrobisz ze mnie pośmiewiska. Jeśli coś ci u mnie nie odpowiada, powiedz, porozmawiamy o tym… albo się pokłócimy, jeśli wolisz. Ale nie…

– Nie rozkazuj mi – przerwał jej bez emocji. – Nie mów mi, gdzie mogę, a gdzie nie mogę jechać… albo kiedy… albo z kim. Ja się nie tłumaczę, ty nie zadajesz pytań. I nie będziesz wchodzić do mojego pokoju, żeby urządzać sceny.

– A i owszem. Jeśli wyjdziesz z tego domu, zastrzelę pod tobą konia.

– Zastrzelisz mojego…

– Nie pozwolę, żebyś mnie porzucił. Nie będziesz mną pomiatał jak Sherburne swoją żoną, nie doprowadzisz do tego, że wszyscy będą się ze mnie śmiać… albo współczuć mi… jak śmieją się albo współczują jej. Jeśli za nic nie możesz opuścić swojej cennej walki zapaśniczej, proszę bardzo, zabierz mnie ze sobą.

– Zabrać cię? – Podniósł głos. – Żebyś wiedziała, że cię zabiorę, droga pani… prosto do twojego pokoju. I zamknę cię tam, jeśli nie będziesz zachowywać się, jak należy.

– Z chęcią to zoba…

Skoczył ku niej, ona zaś zrobiła unik o sekundę za późno. W następnej chwili trzymał ją pod pachą, opasując muskularnym ramieniem, i niczym worek szmat wlókł do drzwi, przez które tu weszła.

Były otwarte. Szczęśliwie otwierały się do wnętrza pokoju, a Jessica miała unieruchomione tylko jedno ramię.

Pchnięciem zamknęła drzwi.

– Cholera jasna!

Przekleństwa były jedynym, co mu w tej sytuacji pozostało. Miał tylko jedną sprawną rękę, aktualnie zajętą. Żeby przekręcić gałkę u drzwi, musiałby puścić Jessicę.

Zaklął ponownie. Odwrócił się, pomaszerował do łóżka i rzucił ją na nie.

Kiedy padła na wznak na materac, jej szlafroczek się rozchylił.

Dain z furią omiótł ją wzrokiem.

– Niech cię diabli, Jess. Niech cię piekło pochłonie. – Mówił zdławionym głosem. – Nie będziesz… nie możesz… – Sięgnął, żeby chwycić jej rękę, ale odczołgała się do tyłu.

– Nie odstawisz mnie na boczny tor – oznajmiła, wycofując się na środek ogromnego łoża. – Nie jestem dzieckiem i nikt nie będzie mnie zamykał w pokoju.

Ukląkł na skraju materaca.

– Niech ci się nie wydaje, że tylko dlatego, że zrobiłaś ze mnie kalekę, nie jestem w stanie udzielić ci lekcji. Nie każ mi się ścigać.

Rzucił się ku niej szczupakiem, sięgając po jej stopę. Odsunęła się, a jemu pozostał w dłoni czarny pantofel bez pięty. Posłał go przez pokój.

Porwała drugi pantofel i cisnęła w niego. Uchylił się, but trafił w ścianę.

Skoczył ku niej z niskim warknięciem. Przetoczyła się na drugą stronę łoża, a Dain stracił równowagę. Upadł na twarz, rozciągając się w dolnej połowie wielkiego materaca.

Był to dobry moment, żeby zeskoczyć z łoża i uciec, ale nie zrobiła tego. Przyszła tu przygotowana na walną bitwę i zamierzała walczyć do samego końca.

Podciągnął się na kolana. Koszula rozchyliła mu się z przodu, odsłaniając napięte mięśnie szyi i ciemną pajęczynę kusząco jedwabistych włosów, którymi jej palce bawiły się minionego wieczoru. Pierś wznosiła mu się i opadała, kiedy oddychał ciężko. Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że gniew jest ledwie cząstką tego, co dzieje się z nim w tej chwili.

– Nie zamierzam się z tobą siłować – oznajmił. – Ani kłócić. Pójdziesz do swojego pokoju. Natychmiast.

Zgubiła gdzieś pasek od szlafroczka i jego górna część ześlizgnęła jej się do łokci. Zrzuciła go z siebie do końca, po czym opadła na poduszki, z uporem zaciskając usta.

Przysunął się bliżej, materac uginał się pod jego ciężarem.

– Jess, ostrzegam cię.

Nie odpowiedziała, nie odwróciła głowy. Nie musiała. Ten jego morderczy ton nie był aż tak złowieszczy i budzący grozę, jak Dain by sobie życzył. I również bez patrzenia rozumiała, dlaczego się zatrzymał.

Wiedziała, że Dain nie chce na nią patrzeć, ale nie potrafi się powstrzymać. Był mężczyzną, toteż musiał spojrzeć, a wykluczone, żeby to, co zobaczył, go nie rozproszyło. Miała świadomość, że jedna z wąskich tasiemek podtrzymujących negliż w górze ześlizgnęła jej się z ramienia. Zwiewny materiał dolnej części zaplątał jej się wokół nóg.

Usłyszała, jak oddech mu się rwie.

– Niech cię diabli, Jess!

Słyszała w tym chrapliwym barytonie niezdecydowanie. Czekała, ciągle ze wzrokiem utkwionym w czarne i złote smoki powyżej, aż on stoczy ze sobą tę bitwę.

Przez pełną minutę lub nawet dłużej trwał w bezruchu, milczący, jeśli nie liczyć chrapliwego, nierównego oddechu.

Potem materac poruszył się i ugiął, poczuła przy biodrze jego kolano, usłyszała stłumiony jęk porażki. Opuścił dłoń na jej kolano i powiódł nią w górę, jedwab szeptał pod jego dotykiem.

Leżała bez ruchu, gdy niespiesznie gładził jej biodro, brzuch. Ciepło tej pieszczoty wkradło się jej pod skórę, rozpaliło gorączkę.

Przeciągnął palcem po hafcie nad piersią. Naprężyła się pod jego dotykiem, sutek stwardniał, sterczał, napierając na cienki jedwab… łaknąc więcej, tak jak i sama Jessica.

Zepchnął delikatny materiał w dół i potarł kciukiem twardy, obolały wzgórek. Potem nachylił się i wziął go w usta, a ona zacisnęła pięści, żeby go tam nie przytrzymać, i zacisnęła szczękę, żeby pohamować okrzyki, które wyrywały jej się minionej nocy: „Tak… proszę… dalej… nie przestawaj”.

Ubiegłej nocy zmusił ją do błagań, a mimo to jej nie posiadł. Dziś zaś sądził, że może odwrócić się do niej plecami i pójść sobie, robić, cokolwiek mu się spodoba. Sądził, że może ją porzucić, nieszczęśliwą i upokorzoną, pannę młodą, ale nie żonę.

Nie chciał jej pragnąć, niemniej pragnął. Chciał słyszeć jej błagania, żeby się z nią kochał, tak by mógł udawać, że panuje nad sytuacją.

Ale nie panował. Gorącymi ustami wędrował po jej piersi, ramieniu, szyi. Ręka mu drżała, dotyk nabierał szorstkości, ponieważ jego także trawiła

gorączka.

– Och, Jess – szepnął z udręką, opadając na materac obok niej. Przyciągnął ją do siebie, gorącymi pocałunkami wędrował po jej twarzy. – *Baciami*. Pocałuj mnie. *Abbracciami*. Przytul mnie. Dotykaj mnie. Proszę. Przepraszam – mówił nagląco, desperacko, zarazem mocując się z cienkimi wstążkami.

Przepraszam. Naprawdę to powiedział. Ale nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi, przekonywała samą siebie Jessica. Zatracił się w zwierzęcym głodzie, podobnie jak minionego wieczoru ona.

Nie było mu przykro, a jedynie ogłupiła go prymitywna męska żądza. Jego dłoń pracowała gorączkowo, ciągnąc negliż w dół, wędrując po jej plecach, talii.

Złapał jej rękę i ucałował.

– Nie złość się. Dotknij mnie. – Wepchnął sobie jej dłoń pod koszulę. – Tak jak wczorajszej nocy.

Jego skóra płonęła. Gorąca, gładka i twarda… pierzaste męskie włoski… mięśnie drżące pod jej palcami… wielkie ciało, które przeszywał dreszcz w reakcji na jej najlżejszy dotyk.

Chciała się opierać, pozostać zagniewana, jednakże tego tutaj pragnęła bardziej. Pragnęła go dotykać, całować i tulić od dnia, kiedy się poznali. Pragnęła, żeby płonął dla niej z pożądania – i żeby ją rozpalił.

Tymczasem ściągał z niej negliż, dołem, przez biodra.

Złapała krawędzie jego koszuli i rozdarła ją wściekłym szarpnięciem.

Dłoń opadła mu z jej biodra. Oderwała mankiet koszuli i rozdarła szew aż do barku.

– Wiem, że lubisz być rozebrany – powiedziała.

– Tak – wydyszał i odsunął się, by dać jej dostęp do drugiego, bezużytecznego ramienia.

Nie obeszła się z tym rękawem ani trochę delikatniej. Oderwała go.

Przyciągnął ją, dociskając jej nagie piersi do potężnego torsu, który obnażyła. Ich serca biły tuż obok siebie, w tym samym gorączkowym rytmie. Chwycił od tyłu jej głowę i brutalnie przywiódł jej usta do swoich, wlewając w ten długi, niszczycielski pocałunek złość, dumę i zamysł.

Postrzępione resztki koszuli pozostały jej w dłoniach. W tym samym szaleńczym momencie zdarł z niej negliż. Ich dłonie zaplątały się, szarpiąc guziki u jego spodni. Wełna się rozdarła, guzik odpadł.

Kolanem rozepchnął jej nogi. Czuła twardy członek, który pulsował gorąco przy jej udzie, podczas gdy jej własny żar wylewał się na jego poszukującą dłoń. Odnalazł miejsce, gdzie dręczył ją minionej nocy, i znów zadawał jej rozkoszne tortury, aż krzyknęła, a jej ciało uroniło kobiece łzy pożądania.

Naparła na niego, drżąca, zdesperowana.

– Proszę – błagała. – Proszę.

Słyszała jego głos, rwący się z tęsknoty… słowa, których nie rozumiała… a potem nagły ból, kiedy się w nią wbił.

Umysł zasnuła jej ciemność, zaklinała Boga, by nie pozwolił jej zemdleć. Wbiła Dainowi paznokcie w plecy, uczepiła się go, by zachować świadomość.

Jego wilgotny policzek dociśnięty do jej policzka, gorący oddech muskający jej ucho.

– Słodki Jezu, nie mogę… Och, Jess.

Opasał ją ramieniem i przetoczył się na bok, zabierając ją ze sobą. Wsunął zgięte ramię pod jej kolano i uniósł jej nogę, tak że oplotła go nią w pasie. Palący nacisk zelżał, wraz z nim ustąpiła panika. Jessica przesunęła się w górę i zanurzyła twarz w zagięcie u nasady szyi Daina. Trzymała się go mocno, chłonąc śliski od potu żar jego skóry, piżmowy zapach namiętności.

Miała świadomość, że on znowu się porusza, w jej wnętrzu, jej ciało poddawało się temu, ból stał się odległym wspomnieniem. Podarował jej już przyjemność i nie oczekiwała, że zazna jej jeszcze, lecz ta nadchodziła stopniowo, pulsowała w niej przy każdym powolnym, zaborczym ruchu.

Rozkosz pęczniała, ciepła i łaskocąca, jej ciało wygięło się w łuk, by ją powitać, przeszyła ją radość, ostra, słodka.

Nie była to ta sama radość, jakiej nauczył ją poprzednio, lecz rozpoznała ją wszystkimi instynktami – i łaknęła więcej. Kołysała się wraz z nim, dopasowując się do jego rytmu, a owo więcej nadciągało, coraz szybciej i mocniej, i jeszcze szybciej… szaleńczy wyścig na szczyt… oślepiający wybuch ekstazy… i słodki deszcz ulgi.

Rozdział 14

– Niech to szlag – mruknął Dain, wycofując się z niej ostrożnie. – Teraz nijak nie zdążę na kolację do Chudleigh.

Przetoczył się na plecy i z całych sił skoncentrował na haftowanych złotych smokach powyżej, żeby się nie poderwać i nie poddać żony skrupulatnym oględzinom medycznym. Szczęśliwie, gdy zaspokoił żądzę, przynajmniej chwilowo, jego intelekt podjął normalną pracę. Kiedy zaś wrócił mu rozum, Dain mógł uporządkować pewne proste fakty.

Nie wziął jej siłą. Jessica go zaprosiła.

Wbił się w nią jak taran i potem również nie wykrzesał z siebie za wiele wstrzemięźliwości, nie krzyczała jednak ani nie łkała. Przeciwnie, zdawało się, że od razu załapała, o co w tym chodzi.

Popatrzył na nią. Włosy opadły jej na oczy. Odgarnął je.

– Rozumiem, że przeżyłaś – burknął.

Wydała dziwny dźwięk – coś jak kaszlnięcie lub czkawka, nie umiał stwierdzić. Potem przywarła do niego gwałtownie.

– Och, Dain – wykrztusiła.

W następnej chwili łkała z twarzą dociśniętą do jego klatki piersiowej.

– *Per carita*. – Otulił ją całym ciałem, głaszcząc po plecach. – Na litość boską, Jess, przestań. To bardzo… kłopotliwe. – Zanurzył twarz w jej włosach. – Och, no dobrze. Płacz, skoro musisz.

Nie będzie płakać wiecznie, powiedział sobie. Jakkolwiek denerwował się, słuchając tego i czując łaskotanie łez na skórze, rozumiał, że sprawy mogłyby wyglądać gorzej. Przynajmniej odwróciła się ku niemu, a nie od niego. Poza tym, jak przypuszczał, miała powody do płaczu. W ostatnich dniach zachowywał się cokolwiek nierozsądnie.

No dobrze, więcej niż nierozsądnie. Zachowywał się jak bydlę.

Jego nowo poślubiona żona znalazła się w tym gigantycznym domu z istną armią służących, a on jej nie pomógł. Niczego jej nie ułatwiał… Tak właśnie Jess mówiła o jego ojcu.

Zachowywał się tak jak jego ojciec. Zimny, wrogi, odrzucający wszelkie starania, by go zadowolić.

Bo Jessica przez cały czas usiłowała go zadowolić, nieprawdaż? Czytała mu, próbowała z nim rozmawiać i prawdopodobnie sądziła, że portretem matki sprawi mu cudowną niespodziankę. Chciała, żeby został, podczas gdy każda inna kobieta wpadłaby w zachwyt, mogąc się go pozbyć. Zaofiarowała mu się, podczas gdy każda inna kobieta omdlewałaby z ulgi, umknąwszy jego atencjom. Tymczasem Jess oddała mu się chętnie i namiętnie.

To on powinien płakać, z wdzięczności.

Oberwanie chmury ustało równie nagle, jak się zaczęło. Jessica odsunęła się od niego, potarła twarz i usiadła.

– Rety, ale się człowiek robi uczuciowy – skomentowała drżącym głosem. – Mam czerwony nos?

– Tak – odparł, choć zapadał już zmrok, on zaś i bez tego nie widział wyraźnie.

– Powinnam umyć twarz – stwierdziła.

Wygramoliła się z łóżka, podniosła szlafroczek i narzuciła go na siebie.

– Możesz skorzystać z mojej łazienki. Pokażę ci drogę. – Zaczął wstawać, ale machnęła ręką, żeby został.

– Wiem, gdzie jest. Pani Ingleby objaśniła mi układ wnętrz.

Nieomylnie przecięła pokój, otworzyła właściwe drzwi i zniknęła za nimi.

Pod jej nieobecność Dain obejrzał prędko pościel i wytarł się skrawkiem swojej koszuli, który następnie wrzucił do ognia.

Jakikolwiek był powód jej ataku płaczu, nie chodziło o poważny fizyczny uraz, pocieszył się. Znalazł plamę krwi na złotym smoku na kapie, miał jej też trochę na sobie, ale w żaden sposób nie przypominało to rzezi, którą w ostatnich trzech dniach odmalowywała jego wyczerpana nerwowo wyobraźnia.

Nie mógł uwierzyć, że jego umysł znalazł się w stanie takiego pomieszania. Po pierwsze, każdy kretyn by zrozumiał, że skoro kobiece ciało potrafi dostosować się do rodzenia dzieci, dostosuje się także do instrumentu, który służy do ich płodzenia – chyba że mężczyzna byłby słoniem, a on nim nie był, mimo wszystko. Po drugie, każdy imbecyl przypomniałby sobie, że ta kobieta nigdy, od owej chwili pod latarnią w

Paryżu, nie wzdragała się przed jego awansami. Mówiła nawet całkiem otwarcie – więcej niż raz, bez mrugnięcia – o jego prawach reprodukcyjnych.

Jakim cudem wpadł na pomysł, że jest krucha i pruderyjna? Ta kobieta go postrzeliła!

Uznał, że winę ponosi napięcie. Trauma wywołana nagłym przejściem w stan małżeński w połączeniu z szaleńczą żądzą, jaką odczuwał wobec świeżo poślubionej żony, przekroczyły możliwości jego umysłu. Portret matki dopełnił dzieła. W tamtym momencie mózg Daina zwyczajnie się wyłączył.

Do powrotu Jessiki Dain doprowadził siebie i otoczenie do należytego porządku. Andrews wyniósł stosy porzuconych ubrań podróżnych, walizę odstawiono, zapalono lampy, do Chudleigh zmierzał lokaj i trwały przygotowania do obiadu.

– Zdaje się, że nie próżnowałeś – skomentowała, rozglądając się, gdy do niego podchodziła. – Ależ tu porządek.

– Nie było cię raczej długo.

– Wzięłam kąpiel. Byłam wzburzona, jak widziałeś. – Ze zmarszczonymi brwiami studiowała węzeł u jego szlafroka. – Chyba zachowałam się jak histeryczka. Nie chciałam płakać, ale nie mogłam się powstrzymać. To było… dogłębnie poruszające doświadczenie. Przypuszczam, że ty do tego przywykłeś, ale ja nie. Wywarło na mnie ogromne wrażenie. Nie spodziewałam się… No, szczerze mówiąc, spodziewałam się najgorszego. To znaczy, kiedy przyszło co do czego. Ale tobie wyraźnie nie sprawiło to trudności, nie wydawało się też, by mój brak doświadczenia zniechęcał cię lub irytował, no i nie licząc krótkiej chwili, w ogóle nie miałam wrażenia, że to pierwszy raz. Tak czy inaczej, nie przypominało to moich wyobrażeń na temat pierwszego razu. I kiedy moje obawy się rozwiały, a do tego te niezwykłe doznania… Krótko mówiąc, nie zapanowałam nad emocjami.

Wobec tego choć raz, wreszcie, odczytał znaki mniej więcej prawidłowo. Wszystko było w porządku. Odtąd musiał tylko postępować ostrożnie, żeby ten porządek utrzymać.

– Również nie byłem całkiem opanowany – przyznał. – Nie nawykłem do stałego towarzystwa kobiety. To… rozpraszające.

– Wiem i brałam ten szczegół pod uwagę. Niemniej, Dain, nie oczekuj, że przejdę przez to ponownie.

Wpatrywał się w czubek jej głowy i obserwował, jak jego schludnie uporządkowany świat na powrót osuwa się w chaos. W jednej chwili jego serce, dopiero co tak lekkie, zmieniło się w ołowianą trumnę ze zwłokami kruchego niemowlęcia nadziei. Powinien być mądrzejszy i darować sobie nadzieję. Powinien dostrzec, że wszystko spartaczył. Nie rozumiał jednak teraz, jak zresztą nie rozumiał nigdy, jakim sposobem doprowadził do tego, że sprawy potoczyły się tak bardzo źle. Nie pojmował, dlaczego Jess znalazła się w jego życiu, by dać mu nadzieję, a potem zabić ją natychmiast, gdy ośmielił się w nią uwierzyć.

Twarz mu stężała, ciało zmieniło się w kamień, ale nie potrafił wykrzesać z siebie okrutnego śmiechu bądź dowcipnego komentarza, by zakończyć tę nazbyt znajomą scenę. Zakosztował w jej ramionach szczęścia – i nadziei – i nie umiał z nich zrezygnować, nie dowiedziawszy się dlaczego.

– Jessico, wiem, że byłem… trudny – zaczął. – Mimo to…

– Trudny? – Podniosła wzrok, szeroko otwierając szare oczy. – Byłeś niemożliwy. Zaczynam myśleć, że masz nie całkiem równo pod sufitem. Oczywiście wiedziałam, że mnie pragniesz. W to jedno nigdy nie wątpiłam. Ale zaciągnąć cię do łóżka… ciebie, największego dziwkarza w chrześcijańskim świecie… rety, toż było gorzej, niż kiedy musiałam zawlec Bertiego na rwanie zęba. Jeśli więc sądzisz, że zamierzam wysilać się tak do końca naszych dni, lepiej ponownie się zastanów. Następnym razem, mój panie, ty zajmujesz się uwodzeniem… albo nic z tego, przysięgam.

Odstąpiła o krok i zaplotła ramiona na piersi.

– Mówię poważnie, Dain. Niedobrze mi już od tego, że ciągle ci się narzucam. Podobam ci się dostatecznie. A jeśli to pierwsze zbliżenie nie dowiodło, że pasujemy do siebie przynajmniej pod tym względem, to jesteś beznadziejnym przypadkiem i umywam od tego ręce. Nie zrobisz ze mnie wraka człowieka.

Dain otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Zamknął je i podszedł do okna. Opadł na wyściełane siedzisko i wyjrzał na zewnątrz.

– Gorzej niż… Bertiego… na rwanie zęba. – Zaśmiał się niepewnie. – Rwanie zęba. Och, Jess.

Usłyszał stukot jej pantofli, kiedy się zbliżała.

– Dain, wszystko w porządku?

Potarł czoło.

– Tak. Nie. Co za idiota. – Odwrócił się i napotkał jej spojrzenie, gdy przyglądała mu się spod zmarszczonych brwi. – Przewrażliwiony – stwierdził. – Na tym polega problem, prawda? Jestem przewrażliwiony.

– Jesteś podenerwowany – skorygowała. – Powinnam była zdać sobie z tego sprawę. Obojgu nam towarzyszyło duże napięcie. A ty ciężej je znosisz, ponieważ jesteś taki wrażliwy i uczuciowy.

Wrażliwy. Uczuciowy. Miał skórę grubą jak u wołu – i najwyraźniej mniej więcej tyle samo inteligencji. Ale nie sprzeciwił się jej słowom.

– Napięcie, tak – mruknął.

– Może też weźmiesz kąpiel? – zasugerowała. Odgarnęła mu włosy z czoła. – A podczas gdy będziesz się moczył, wydam dyspozycje co do obiadu.

– Już to zrobiłem. Niedługo powinni go przynieść. Pomyślałem, żebyśmy zjedli tutaj. W ten sposób nie musielibyśmy zawracać sobie głowy stosownym ubiorem.

Zlustrowała jego twarz, po czym wolno wygięła usta w uśmiechu.

– Może nie jesteś aż tak beznadziejnym przypadkiem, jak sądziłam. Co z Sherburne’em?

– Posłałem do Chudleigh lokaja z liścikiem. Poinformowałem Sherburne’a, że zobaczę się z nim na walce zapaśniczej. W sobotę.

Odstąpiła o krok, z gasnącym uśmiechem.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Wstał. – Jedziesz ze mną.

Obserwował, jak jej chłodne opanowanie topnieje, kiedy dotarło do niej ostatnie zdanie i zdecydowała się mu uwierzyć. Kąciki jej miękkich ust powędrowały znów w górę, w oczach zamigotała srebrna mgła.

– Dziękuję, Dain. Bardzo bym chciała. Jeszcze nigdy nie widziałam walki zapaśniczej z prawdziwego zdarzenia.

– Przypuszczam, że będzie to nowe doświadczenie pod każdym względem – odparł, z powagą mierząc ją wzrokiem z góry na dół. – Nie mogę się doczekać miny Sherburne’a, kiedy przybędę, wlokąc za sobą żonę.

– No i widzisz? – skomentowała bez urazy. – Mówiłam ci, że istnieją inne korzyści z posiadania żony. Mogę okazać się bardzo przydatna, kiedy chcesz zaszokować przyjaciół.

– To jedna sprawa. Ale przede wszystkim brałem pod uwagę własny komfort – dodał, odsuwając się. – Chcę mieć cię przy sobie, żebyś zaspokajała moje zachcianki, koiła nadwrażliwe nerwy i… – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Grzała mi łoże, oczywiście.

– Jakie to romantyczne. – Docisnęła dłoń do serca. – Chyba zemdleję.

– Lepiej nie. – Dain skierował się ku drzwiom, przez które weszła. – Nie mogę poczekać, żeby pozbierać cię z podłogi. Pęcherz zaraz mi eksploduje.

Skoro w jego świecie zapanował bezpieczny porządek, Dain mógł poświęcić leniwy czas w kąpieli na edycję swojego prywatnego słownika. Usunął żonę z ogólnej kategorii opatrzonej nagłówkiem „Kobiety” i przydzielił jej osobną sekcję. Odnotował, że Jess nie uważa go za odrażającego, i zaproponował kilka wyjaśnień: (a) wada wzroku i słuchu, (b) częściowy defekt jej poza tym zdrowego intelektu, (c) odziedziczona po Trentach ekscentryczność lub (d) akt Bożej łaski. Ponieważ Wszechmogący od co najmniej dwudziestu pięciu lat nie wyświadczył mu ani jednej uprzejmości, Dain pomyślał, że czas był już najwyższy, lecz mimo to podziękował Ojcu w Niebiesiech i obiecał, że będzie tak dobry, jak tylko zdoła.

Oczekiwania w tym względzie miał, jak w większości sytuacji, bardzo niskie. Nigdy nie stanie się idealnym mężem. Ledwie się orientował, jak w ogóle być mężem – nie licząc podstaw w postaci zapewnienia pożywienia, przyodziewku, dachu nad głową i ochrony przed dokuczliwościami życia. I płodzenia dzieci.

Kiedy tylko w jego myślach zagościło potomstwo, Dain z hukiem zatrzasnął słownik. Humor mu dopisywał. Nie chciał go psuć, zamartwiając się i doprowadzając znów do obłędu z powodu tego, co nieuniknione. Poza tym były równe szanse na to, że dzieci będą podobne do Jess, jak i do niego. Tak czy owak, nie zapobiegłby ich pojawieniu się, ponieważ absolutnie nie utrzymałby rąk z dala od niej.

Doceniał, kiedy trafiało mu się coś dobrego. Igraszki z żoną były najbardziej niebiańskim spośród jego dotychczasowych doświadczeń. Miał zbyt samolubną i zdeprawowaną naturę, żeby z nich zrezygnować. Dopóki ona będzie chętna, nie zamierzał martwić się konsekwencjami. Coś potwornego zdarzy się bez wątpienia, prędzej czy później. Ale tak to już wyglądało w jego życiu. Skoro nie zapobiegnie temu nieokreślonemu zdarzeniu, mógł równie dobrze zaczerpnąć motto od Horacego: *Carpe*

diem, quam minimum credula postero. Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości.

Stosownie do tego, skoro aktualnie sprawy zostały należycie uporządkowane, Dain dołączył do żony przy obiedzie. W trakcie posiłku wprowadził dalsze korekty w swoim słowniku. Do dziwacznej listy jej umiejętności już wcześniej dodał zrozumienie sztuki boksu. Obecnie odkrył, że Jess posiada również wiedzę na temat zapasów, zaczerpniętą z magazynów sportowych i męskich rozmów. Wychowywała nie tylko brata, wyjaśniła Dainowi, lecz również dziesięciu kuzynów – ponieważ jako jedyna potrafiła „zapanować nad tą bandą nieokrzesanych dzikusów". Mimo to żaden z owych niewdzięczników nie chciał zabrać jej na profesjonalną walkę.

– Nawet na pojedynek Polkinhorne'a z Cannem – poskarżyła się Dainowi z oburzeniem.

Ta słynna walka odbyła się także w Devonport, dwa lata temu.

– Siedemnaście tysięcy widzów – utyskiwała. – Mógłbyś mi wyjaśnić, jak jedna kobieta przyciągnęłaby uwagę w takim tłumie?

– Tobie pisane jest przyciągać uwagę, choćby i wśród siedemdziesięciu tysięcy – odrzekł. – Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem, o czym, pamiętam wyraźnie, mówiłem ci jeszcze w Paryżu.

Odchyliła się na oparcie, zaskoczona, a na jej gładkie policzki wypłynął rumieniec.

– Rety, Dain, toż to czysty komplement… a nawet w tej chwili nie jesteśmy w łóżku.

– Taki już ze mnie szokujący typ. Nigdy nie wiadomo, co zdumiewającego powiem. Ani kiedy. – Pociągnął łyk wina. – Rzecz w tym, że będziesz zwracać uwagę. W normalnych okolicznościach banda pijanych gamoni nękałaby ciebie i rozpraszała twojego towarzysza. Ponieważ jednak to ja będę ci towarzyszył, nie należy się spodziewać nękania czy rozpraszania. Wszyscy gamonie, bez względu na stan upojenia, będą patrzeć na zapaśników i trzymać łapy przy sobie. – Odstawił kieliszek i znów chwycił widelec.

– Lepiej, żeby kokoty robiły to samo – stwierdziła, na powrót koncentrując uwagę na jedzeniu. – Nie jestem tak wielka jak ty ani nie budzę takiej grozy, ale mam swoje metody. Ja również nie będę tolerować natrętów.

Dain wpatrywał się w talerz, skupiony na przełknięciu kęsa, którym dopiero co prawie się zakrztusił.

Była zaborcza… w odniesieniu do niego.

Ta piękna, szalona istota – lub ślepa i głucha istota, czy jak ją określić – oznajmiała to z takim spokojem, z jakim kto inny poprosiłby o podanie solniczki, absolutnie nieświadoma, że ziemia przekrzywiła się właśnie na swej osi.

– Takie wielkie sportowe wydarzenia przyciągają zwykle tabuny kobiet lekkich obyczajów. Obawiam się, że będziesz miała pełne ręce roboty… – Usta drgnęły mu w uśmiechu. – Przy odpieraniu ich ataków.

– Przypuszczam, że prośba o to, żebyś ich nie zachęcał, to byłoby zbyt wiele.

– Moja droga, anibym śmiał je zachęcać. Nawet ja wiem, że w bardzo złym tonie jest… wabić inne kobiety w obecności żony. Nie wspominając o tym, że prawdopodobnie byś mnie postrzeliła. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Jakżebym chciał, aby moja powściągliwość wystarczyła. Jednak, co irytujące, im najwyraźniej nie trzeba zachęt. Dokądkolwiek bym się udał…

– Wcale cię to nie irytuje – skomentowała, posyłając mu pełne przygany spojrzenie. – Świetnie zdajesz sobie sprawę z tego, jak działasz na kobiety, i na pewno z bezgraniczną satysfakcją obserwujesz, jak wzdychają i ślinią się z powodu twojej imponującej fizyczności. Nie chcę psuć ci zabawy, Dain. Proszę cię jednak o to, żebyś wziął wzgląd na moją dumę i powstrzymał się przed publicznym zawstydzaniem mnie.

Kobiety… wzdychające i śliniące się… z powodu jego imponującej fizyczności.

Może niedawne brutalne zbliżenie uszkodziło jej jakiś rejon mózgu.

– Nie wiem, co masz na myśli – stwierdził. – Czy nie zapłaciłem za ciebie majątku? Dlaczego, u czorta, miałbym tracić pieniądze i energię na wabienie innych kobiet, skoro kupiłem sobie jedną na stałe?

– Parę godzin temu byłeś gotów mnie porzucić – wytknęła mu. – Po zaledwie trzech dniach małżeństwa… i przed jego skonsumowaniem. Nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś zważał na pieniądze i energię choć trochę bardziej niż na moją dumę.

– Nie myślałem wtedy jasno. Znalazłem się na łasce moich delikatnych nerwów. No i nie nawykłem zważać na uczucia innych osób. Teraz jednak,

kiedy w głowie mi się rozjaśniło, pojmuję twój punkt widzenia i przyznaję, że jest słuszny. Ostatecznie jesteś markizą Dain i wykluczone, żeby ktokolwiek śmiał się z ciebie lub ci współczuł. Jedna sprawa, kiedy zachowuję się jak osioł. Zupełnie inna, gdy moje zachowanie odbija się niekorzystnie na tobie. – Odłożył widelec i nachylił się ku niej. – Dobrze zrozumiałem, moja pani żono?

Jej miękkie usta wygięły się w uśmiechu.

– Doskonale – odparła. – Jakiż przenikliwy masz umysł, Dain, kiedy nic go nie przyćmiewa. Trafiasz w sedno.

Ów pełen aprobaty uśmiech trafił prosto w serce Daina i umościł się tam ciepło.

– Wielkie nieba, toż to brzmi jak czysty komplement. – Przyłożył dłoń do topniejącego serca. – I to na temat, ni mniej, ni więcej, mojego intelektu. Mojego prymitywnego, męskiego intelektu. Naprawdę zaraz zemdleję. – Ześlizgnął się spojrzeniem na jej głęboki dekolt. – Chyba powinienem się położyć. Może… – Popatrzył jej w oczy. – Skończyłaś, Jess?

Westchnęła cichutko.

– Zdaje się, że mój koniec nastąpił w dniu, kiedy cię poznałam.

Wstał i podszedł do jej krzesła.

– Każdy by ci to powiedział. Nie potrafię sobie wyobrazić, co ci wpadło do głowy, żeby tak uparcie mnie nękać. – Delikatnie przeciągnął palcami po jej jedwabistym policzku.

– Nie myślałam jasno.

Ujął jej dłoń i pociągnął ją z krzesła.

– Zaczynam powątpiewać, czy w ogóle jesteś w stanie myśleć – stwierdził.

On w tej chwili nie był. Pozostawał zbyt dotkliwie świadom jej skóry, nieskazitelnie, porcelanowo białej, oraz drobnej, wdzięcznej dłoni w swojej.

Boleśnie zdawał sobie sprawę ze swego wielkiego, niezdarnego cielska, prostackiego sposobu bycia oraz mroku, wewnątrz i na zewnątrz. Nadal trudno mu było uwierzyć, że zaledwie przed paroma godzinami wbijał się w nią, zaspokajając zwierzęcą żądzę na jej niewinnym ciele. Niewiarygodne, że jego żądza obudziła się znowu, z taką gwałtownością, tak szybko. Ale był bestią. Wystarczyło, że się doń uśmiechnęła, a wzbierała w nim monstrualna, brutalna potrzeba, spopielając intelekt i niszcząc żałośnie cienką powłokę cywilizowanego mężczyzny.

Nakazał sobie uspokoić się, prowadzić rozmowę, zalecać się do niej. Chciała, żeby ją uwodził, i mógł zrobić dla niej przynajmniej tyle. Powinien móc. Powinien posiadać choć taki okruch samokontroli. Tymczasem okazało się, że stać go jedynie, by zaprowadzić ją do łóżka, zamiast pochwycić, rzucić na stół i zwalić się na nią.

Odciągnął przykrycia i posadził ją na materacu. Później spojrzał na nią bezradnie, poszukując właściwych słów w wezbranym grzęzawisku swego umysłu.

– Nie potrafiłam utrzymać się z dala – wyjaśniła, szarym spojrzeniem zaglądając badawczo w głąb jego oczu. – Wiedziałam, że powinnam, ale nie potrafiłam. Sądziłam, że to rozumiesz, ale najwyraźniej nie. Tę część także źle zinterpretowałeś, prawda? Co ty sobie, u licha, myślałeś, Dain?

Zgubił wątek. Zastanawiał się, co wyczytała z jego twarzy.

– Co źle zinterpretowałem? – spytał, siląc się na pobłażliwy uśmiech.

– Wszystko, najwyraźniej. – Opuściła smoliście czarne rzęsy. – Nic dziwnego, że dokonałam niewłaściwej oceny.

– Dlatego nie trzymałaś się z dala? Ponieważ źle mnie oceniłaś?

Pokręciła głową.

– Nie, i także nie dlatego, że mam nierówno pod sufitem. Nie wolno ci myśleć, że jestem szalona, Dain, ponieważ nie jestem. Wiem, że tak to wygląda, ale istnieje całkowicie racjonalne wyjaśnienie. Intelekt, o czym akurat ty doskonale wiesz, nie ma szans wobec intensywności zwierzęcego pociągu. Pożądałam cię od chwili naszego pierwszego spotkania.

Zmiękły mu kolana. Przykucnął przed nią i mocno uchwycił się skraju materaca. Odkaszlnął.

– Pożądałaś. – Udało mu się wyrzec to słowo niskim, spokojnym głosem. Zdecydował, że nie spróbuje tej samej sztuczki z kolejnym.

Znów badawczo zaglądała mu w oczy.

– Nie wiedziałeś, prawda?

Udawanie całkowicie przerastało jego możliwości. Potrząsnął głową.

Ujęła w dłonie jego twarz.

– Najwidoczniej jesteś ślepy. I głuchy. Albo potwornie zdezorientowany. Wszyscy w Paryżu wiedzieli. Biedaku. Nie chcę nawet zaczynać sobie wyobrażać, co się działo w twojej głowie.

Zdołał się roześmiać.

– Myślałem, że to o mnie wiedzą. Że się… zadurzyłem. Bo tak było. Powiedziałem ci to.

– Ale, kochany, ty pożądasz każdej kobiety, którą zobaczysz – odparła z bezgraniczną cierpliwością. – Dlaczego Paryż miałby urządzać wrzawę z tego powodu? Chodziło o moje zachowanie, nie rozumiesz? Zobaczyli, że zbyt mnie zauroczyłeś, bym trzymała się od ciebie z daleka, jak należałoby oczekiwać tego po rozsądnej damie o silnych zasadach moralnych. Dlatego uważali sprawę za interesującą!

Kochany. Pokój wirował wokół niego radośnie.

– Chciałam być rozsądna – ciągnęła. – Nie chciałam cię nachodzić. Wiedziałam, że wynikną z tego kłopoty. Ale nie mogłam nic poradzić. Jesteś taki… jurny. Na wskroś męski. Tak wielki i silny, że podnosisz mnie jedną ręką. Nie potrafię opisać, jakie to niesamowite doznanie.

Jurny, to rozumiał. Był jurny. Pojmował także, że z gustami nigdy nic nie wiadomo. Dopóki się nie pojawiła, pociągały go postawniejsze kobiety. No dobrze. Zatem gustowała w wielkich, silnych mężczyznach. To także z pewnością dało się o nim powiedzieć.

– Słyszałam wcześniej wszystko na twój temat. Sądziłam, że jestem przygotowana. Ale nikt nie opisał cię, jak należy. Oczekiwałam goryla. – Przeciągnęła palcem wskazującym po jego nosie. – Nie powinieneś mieć twarzy księcia z rodu Medyceuszy. Nie powinieneś mieć ciała rzymskiego boga. Na to się nie przygotowałam. Nie wzniosłam stosownych murów obronnych. – Z cichym westchnieniem wsparła dłonie na jego barkach. – Nadal ich nie mam. W sensie fizycznym kompletnie nie jestem zdolna ci się oprzeć.

W swoim myśleniu o sobie usiłował znaleźć miejsce dla książąt z rodu Medyceuszy i rzymskich bogów, ale te frazy nigdzie nie pasowały, a od samego ich kontemplowania chciało mu się wyć ze śmiechu. Albo płakać. Nie potrafił się zdecydować. Uznał, że zmienia się w histeryka. Nic dziwnego. Miała talent do robienia mu takich rzeczy.

Wstał.

– Nie martw się, Jess. Żądza nie stanowi problemu. Z żądzą świetnie sobie poradzę, dziękuję.

– Wiem. – Omiotła go wzrokiem z góry na dół. – Jesteś…

– W rzeczy samej, jestem gotów poradzić sobie z nią w tej właśnie chwili. – Zaczął układać u wezgłowia stos z poduszek.

– Wielce to… wyrozumiałe z twojej strony – odparła, strzelając spojrzeniem od poduszek do niego.

Poklepał stos.

– Połóż się tutaj.

– Nago?

Przytaknął.

Bez cienia wahania wstała i rozwiązała pasek szlafroczka. Przyglądał się, jak materiał się rozchyla. Wstrząsnęła leniwie ramionami.

Urzeczony obserwował, jak ciężki czarny jedwab ześlizguje się z jej szczupłych ramion, po kremowej skórze i boleśnie kobiecych krągłościach, by ze zmysłowym szelestem opaść u jej stóp.

Śledził pełne gracji ruchy jej drobnego ciała, kiedy wspinała się na łóżko i mościła na poduszkach, bez wstydu, bez zahamowań, bez obawy.

– Nieomal żałuję, że nie mogę być naga przez cały czas – powiedziała miękko. – Uwielbiam sposób, w jaki na mnie patrzysz.

– Chodzi ci o dyszenie i ślinienie się? – Rozwiązał pasek u szlafroka.

– Chodzi mi o ten senny, posępny wyraz twarzy, który przybierasz. – Położyła dłoń na brzuchu. – Wywołuje żar i zamęt tu, w środku.

Zrzucił z siebie szlafrok.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Jego nabrzmiały członek poderwał się, jakby na jej wezwanie. Dain spojrzał w dół i się roześmiał.

– Życzysz sobie jurnego mężczyzny. Proszę bardzo, masz jurnego.

– I wielkiego, i silnego – dodała ochryple. Jej miękkie szare spojrzenie przesuwało się po nim z góry na dół i z powrotem. – I pięknego. Jak, u diaska, miałam ci się oprzeć? Jak mogłeś sądzić, że bym zdołała?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś taka płytka. – Wspiął się na łóżko i przysiadł okrakiem na jej nogach.

– Zapewne to tym lepiej. W przeciwnym razie… – Powiodła ręką w górę jego uda. – Och, Dain, gdybyś odgadł, co mi chodziło po głowie, kiedy cię poznałam…

Delikatnie, acz stanowczo zabrał jej dłoń i złożył na materacu.

– Powiedz mi.

– W myślach rozebrałam cię do naga, nie potrafiłam się oprzeć. To były przerażające chwile. Bałam się, że rozsądek mnie zawiedzie i naprawdę to zrobię. Tam, w sklepie. W obecności Champtoisa. Na oczach Bertiego.

– Rozebrałaś mnie – powtórzył. – W myślach.

– Tak. Ściśle mówiąc, zdarłam z ciebie ubranie. Dokładnie tak, jak teraz niedawno.

Nachylił się nad nią.

– Chcesz wiedzieć, co mi chodziło po głowie, maleńka?

– Mam nadzieję, że coś równie zdeprawowanego. – Pogładziła jego tors. Ponownie zabrał jej dłoń.

– Chciałem cię… lizać – wyjawił wolno. – Od czubka głowy… po koniuszki palców u stóp.

Zamknęła oczy.

– Zdeprawowanego, tak.

– Chciałem cię lizać, całować, dotykać… wszędzie. – Pocałował ją w czoło. – Wszystkie białe miejsca. Wszystkie różowe. Wszystkie pozostałe. – Powiódł językiem po jej lśniącej brwi. – To właśnie zamierzam teraz zrobić. A ty musisz leżeć i się podporządkować.

– Tak. – Syczący dźwięk przyzwolenia i dreszcz… przyjemności najwyraźniej, gdyż kąciki jej miękkich, pełnych ust powędrowały w górę.

Potarł wargami o ten uśmieszek kota, który dobrał się do śmietanki, i bez dalszych słów oddał się realizacji swej fantazji.

W rzeczywistości, jak się przekonał, była słodsza, a jej smak i zapach znacznie bardziej upajające niż w marzeniach.

Pocałował ją w nos i rozkoszował się satyną jej policzka. Wdychał ją, smakował i odkrywał całą naraz, ponownie: doskonały owal twarzy, skośne kości policzkowe, skórę tak szlachetną i nieskazitelną, że chciało mu się płakać, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Doskonałość, pomyślał wtedy, i serce nieomal mu pękło, gdyż nie mógł jej mieć.

Mógł wszakże, przynajmniej w tej chwili. Mógł dotykać wargami tej doskonałości… tej poruszającej twarzy… kusząco filigranowego ucha… gładkiej kolumny szyi.

Przypomniał sobie, jak stał skryty w cieniu, łaknąc białej skóry, wystawionej na widok publiczny w świetle latarni. Rozchylonymi wargami powiódł po śnieżnobiałym barku, który dostrzegł wtedy ze swej kryjówki, i dalej w dół jej prawego ramienia, aż do opuszek palców, a później znowu w górę. Niespiesznie wytyczył tę samą zaborczą ścieżkę w górę i w dół lewego ramienia. Zwinęła palce, przy każdym oddechu wydawała

rozkoszne, cichutkie westchnienia, które brzęczały mu w żyłach, aż jego serce śpiewało niczym wiolonczela.

Zasypał pocałunkami jędrne, krągłe piersi, które unosiły się i opadały w rytm jej przyspieszonego oddechu. Powiódł językiem po ściągniętych, zaróżowionych sutkach i przez moment napawał się jej cichymi jękami, po czym ruszył dalej, miał bowiem do poznania więcej, a niczego nie chciał przyjmować na wiarę. Doświadczy wszystkiego, ponieważ jutro równie dobrze mógł nastąpić koniec świata, kiedy piekło otworzy się i go pochłonie.

Kontynuował wędrówkę w dół, obsypując pocałunkami jej gładki brzuch i ponętne krągłości bioder… sunął po zewnętrznej stronie szczupłej, kształtnej nogi, do smukłej kostki, aż po końce palców u stóp, jak obiecał. Następnie wolno podążył z powrotem w górę, do gładkiej jak satyna wewnętrznej strony uda.

Drżała, on zaś czuł w lędźwiach ciężar i żar, bardziej niż gotowy.

Ale jeszcze nie skończył pieszczot i tylko to się w tej chwili liczyło. Dlatego znowu całował i napawał się, wędrując w dół do palców u jej stóp i z powrotem. Później przeciągnął językiem po aksamitnej skórze tuż nad ciemnym gąszczem loczków między jej nogami.

– Jesteś piękna, Jess – rzekł ochryple. – W każdym calu.

Wsunął palce w wilgotny mrok.

Jęknęła.

Przywarł ustami do ciepłego, wilgotnego rdzenia.

Krzyknęła cicho, wplątując palce w jego włosy.

Ten kobiecy krzyk rozkoszy zaśpiewał mu w żyłach. Bogaty zapach i smak kobiety zalewały mu zmysły. Była wszystkim, czego pragnął na tym świecie, i należała do niego, pragnęła go, śliska i rozpalona dla niego.

Wielbił ją ustami za to, że go pragnęła. Zadowalał ją dla szaleńczej radości, jaką mu to sprawiało, aż zacisnęła w pięściach jego włosy, wykrzyczała jego imię i poczuł, jak wstrząsają nią spazmy.

Wtedy, wreszcie, zagłębił się w jej gorącej, chętnej miękkości i połączył z nią.

I dla niego również zadrżał świat, a gdyby w tej chwili nastąpił jego koniec, Dain poszedłby na potępienie szczęśliwy, ponieważ lgnęła do niego i całowała go, jakby jutra miało nie być, ona zaś miała go tak tulić i pragnąć na wieki.

A kiedy świat eksplodował i Dain wlał w nią nasienie, to jakby zarazem wlewał w nią także swą duszę, przy czym oddałby tę duszę ochoczo, gdyby taka była cena za chwilę czystego szczęścia, którą mu ofiarowała.

* * *

Nazajutrz Jessica podarowała mu ikonę.

Dain znalazł ją przy swoim nakryciu, kiedy wszedł do śniadalni. Stała między jego filiżanką z kawą a talerzem. Nawet w słabym świetle pochmurnego ranka perły lśniły, topazy i rubiny migotały, a diamenty rozsyłały tęczowe iskry. Pod połyskującą złotą aureolą szarooka Madonna uśmiechała się rzewnie nad trzymanym w ramionach naburmuszonym niemowlęciem.

Pod wysadzaną klejnotami ramę wetknięto złożoną karteczkę. Z bijącym szybko sercem Dain wyjął ją i rozłożył.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, napisano na niej. To wszystko.

Podniósł wzrok z kartki na siedzącą naprzeciw żonę, której lśniące włosy obrębiała mglista poświata, wpadająca przez okno.

Smarowała masłem kawałek kruchej bułeczki, jak zwykle nieświadoma, jaki kataklizm właśnie wywołała.

– Jess. – Ledwie wydusił tę jedną sylabę przez zaciśnięte gardło.

– Tak? – Odłożyła nóż i łyżeczką naniosła na bułeczkę kopczyk konfitury.

Gorączkowo szukał właściwych słów, jednak chyba ich nie znał.

– Jess.

Kawałek bułeczki zamarł w pół drogi do jej ust. Podniosła wzrok na Daina.

Wskazał ikonę.

Popatrzyła na nią.

– Och! No cóż, pomyślałam, że lepiej późno niż wcale. I tak, wiem, że nie jest to w gruncie rzeczy prezent, gdyż tak czy owak należy do ciebie. Wszystko, co moje… lub prawie wszystko… stało się prawnie twoją własnością, kiedy się pobraliśmy. Ale będziemy musieli udawać, ponieważ nie miałam czasu zastanowić się nad stosownym prezentem urodzinowym, a cóż dopiero go znaleźć.

Wrzuciła posmarowany masłem, suto osłodzony kęs do ust… jakby wszystko zostało dogłębnie wyjaśnione i ustalone, a na ziemię nie runął ani jeden fragment nieba.

Po raz pierwszy Dain zaczął niejasno pojmować, jakie to uczucie być Bertiem Trentem – posiadać niezbędny zasób szarych komórek, nie orientować się wszakże, jak nakłonić je do pracy. Niewykluczone, pomyślał Dain, że Trent wcale się taki nie urodził. Niewykluczone, że stał się kaleką w wyniku doświadczanych przez całe życie eksplozji.

Może termin *femme fatale* należało interpretować bardziej dosłownie. Może to dla mózgu była taka fatalna.

Nie jego mózgu, postanowił Dain. Nie zmieni go w skończonego imbecyla.

Podoła temu. Dojdzie ze wszystkim do ładu. Po prostu go zaskoczyła, i tyle. Ostatni prezent urodzinowy otrzymał od matki, kiedy miał osiem lat. Dziwki, którą dostarczyli mu Wardell i Mallory na trzynaste urodziny, nie liczył, skończyło się bowiem na tym, że sam jej zapłacił.

Czuł się zaskoczony, to wszystko. No dobrze, ogromnie zaskoczony, gdyż naprawdę sądził, że Jessica prędzej wrzuci ikonę do kotła z wrzącym kwasem, niż dopuści, żeby ją dostał. W trakcie małżeńskich negocjacji nawet o nią nie zapytał, założył bowiem, że dawno ją sprzedała, i kategorycznie zabraniał sobie wszelkich wyobrażeń czy żywienia nadziei, choćby przez pół sekundy, że tak się nie stało.

– To… zachwycająca niespodzianka – powiedział, jak postąpiłaby każda inteligentna dorosła osoba w takich okolicznościach. – *Grazie*. Dziękuję.

Uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że zrozumiesz.

– Wykluczone, bym zrozumiał wszystkie aluzje i symboliczne znaczenia – odparł bardzo, bardzo spokojnie. – No, ale jestem mężczyzną, toteż mam mózg zbyt prymitywny na takie skomplikowane kalkulacje. Dostrzegam jednak… co zobaczyłem od razu po jej oczyszczeniu… że to znakomite dzieło sztuki i wątpię, żebym kiedykolwiek znudził się patrzeniem na nią.

Uznał, że to zabrzmiało wytwornie. Dorośle. Inteligentnie. Rozsądnie. Musiał tylko pozostawić dłoń na stole, a nie będzie drżała.

– Miałam nadzieję, że tak do tego podejdziesz – stwierdziła. – Byłam pewna, że rozpoznałeś, jaka jest nadzwyczajna i rzadka. Porusza bardziej niż zwykle dzieła szkoły stroganowskiej, jakkolwiek są wyśmienite.

– Porusza.

Popatrzył na bogato wymalowane postacie. Nawet teraz, gdy ikona należała do niego, odczuwał niepokój, niechęć, by się w niej zatracić lub przyjrzeć uczuciom, jakie w nim budziła.

Jessica wstała, podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy po naprawie i oczyszczeniu, ogromnie na mnie podziałała. W bardzo dziwny sposób. Najwyraźniej przy tym poziomie artyzmu tracę grunt pod nogami. Ty jesteś koneserem. Ja tylko swego rodzaju sroką, przy czym nie zawsze mam pewność, dlaczego dany przedmiot przyciągnął moje oko, nawet gdy nie wątpię w jego wartość.

Podniósł na nią wzrok, skonsternowany.

– Prosisz, żebym wytłumaczył, co czyni ją tak niezwykłą?

– Oprócz nietypowego koloru oczu – uzupełniła. – I obfitości złota. I jakości wykonania. Żadna z tych cech nie wyjaśnia, czemu wzbudza tak silne emocje.

– Wzbudza w tobie silne emocje, ponieważ jesteś uczuciowa – odparł.

Niechętnie wrócił spojrzeniem do ikony. Odkaszlnął i podjął cierpliwym tonem nauczyciela:

– Odbiorcy przywykli do klasycznego rosyjskiego nadąsania. Ale, widzisz, ta ikona jest całkiem inna. Mały Jezus wygląda na naprawdę rozzłoszczonego, jakby zmęczyło go pozowanie albo był głodny… albo jedynie domagał się uwagi. A jego mama nie ma konwencjonalnego tragicznego wyrazu twarzy. Na poły marszczy brwi, tak. Może odrobinę się zirytowała, ponieważ chłopiec daje jej się we znaki. Mimo to na jej twarzy widać przebłysk uśmiechu, jakby chciała go uspokoić lub zasygnalizować, że mu wybacza. Ponieważ rozumie, że on nie potrafi inaczej. Niewinny malec bierze wszystko za pewnik: jej uśmiechy i uspokajający ton, jej cierpliwość… jej wybaczenie. Nie wie, co ma, a tym bardziej, jak okazać za to wdzięczność. Dlatego marudzi i złości się… w błogiej niemowlęcej ignorancji.

Urwał, ponieważ w pokoju wydało mu się raptem zbyt cicho, kobieta u jego boku zbyt nieruchoma.

– Te pozy są całkowicie naturalne i ludzkie – ciągnął, pilnując się, by mówić lekkim, neutralnym tonem. – Zapominamy, że para przedstawia święte postacie, a zamiast tego koncentrujemy się na prostym ludzkim

dramacie w obrębie artystycznej konwencji i bogatych strojów. Gdyby ta Madonna i Jej Dziecię byli po prostu świątobliwi, dzieło nie byłoby ani w połowie tak rzadkie i interesujące.

– Rozumiem, co masz na myśli – odezwała się cicho jego żona. – Artysta uchwycił osobowość swoich modeli, miłość matki do jej chłopczyka i nastrój chwili pomiędzy nimi.

– To właśnie budzi w tobie sentyment. Nawet mnie ci dwoje intrygują i nie potrafię oprzeć się snuciu teorii na temat tego, co wyrażają ich twarze… mimo że od dawna nie żyją, a prawda nie odgrywa większej roli. Na tym polega talent tego artysty: zmusza odbiorcę do zastanowienia. Trochę jakby spłatał widzowi figla, prawda?

Podniósłszy wzrok z ikony na Jessicę, zmusił się do śmiechu, jakby ten boleśnie piękny, chwytający za serce portret matczynej miłości stanowił co najwyżej zabawną artystyczną zagadkę.

Ścisnęła mu ramię.

– Wiedziałam, że kryje się w niej coś więcej niż to, co uchwyciło moje niewyćwiczone oko – stwierdziła, nazbyt łagodnie. – Jesteś taki wnikliwy, Dain.

Potem prędko się odsunęła i wróciła na swoje miejsce.

Nie dość prędko wszakże. Zauważył, zanim zdążyła to zamaskować. Dostrzegł to w jej oczach, podobnie jak przed momentem usłyszał w głosie: smutek… litość.

Serce mu się zacisnęło, a później ogarnęło go wzburzenie, wściekłość na samego siebie, gdyż jakimś sposobem wyjawił za wiele, i na nią, bo zbyt szybko – szybciej niż on sam – uświadomiła sobie, co powiedział i, co gorsza, poczuł.

Ale nie był dzieckiem. Nie był bezradny. Bez względu na to, co mimowolnie ujawnił przed żoną, jego charakter się nie zmienił. On sam się nie zmienił, ani trochę.

W osobie Jessiki znalazł coś dobrego, to wszystko, i zamierzał wykorzystać ów dar jak najlepiej. Pozwoli, żeby go uszczęśliwiała, to na pewno. Prędzej wszakże da się żywcem obedrzeć ze skóry i usmażyć w oleju, niż dopuści do tego, by żona się nad nim litowała.

Rozdział 15

W tym momencie wszedł Andrews, a z nim pierwszy lokaj, Joseph. Przed jego lordowską mością postawiono befsztyk i piwo. Andrews pokroił stek, podczas gdy Jessica, która chciała wykonać tę drobną usługę, siedziała bezużytecznie na krześle, udając, że je śniadanie, które smakowało jak trociny i było mniej więcej równie łatwe do przełknięcia.

Ona – ekspert w interpretowaniu męskich zachowań – ledwie rozumiała własnego męża. Nawet minionego wieczoru, kiedy odkryła, że wbrew jej przekonaniu nie jest próżny oraz że miłość kobiet bynajmniej nie spływa nań łatwo, nie odgadywała rozmiarów problemu.

Ograniczyła się wtedy do przypomnienia sobie, że wielu mężczyzn nie postrzega siebie wyraźnie. Na przykład Bertie patrzył w lustro, uważając, że spoziera na niego stamtąd człowiek rozumny. Kiedy Dain patrzył w lustro, jakimś sposobem nie zauważał całego swego fizycznego piękna. Dziwna rzecz u konesera, ale też mężczyźni zasadniczo nie są logiczni.

Co do miłości kobiet, Jessiki nigdy, ściśle mówiąc, nie ekscytowała perspektywa zakochania się w nim. Zrozumiałe więc, że inne kobiety – nawet zahartowane profesjonalistki – mogły uznać, że Dain to dla nich zbyt wiele. Powinna była jednak uzmysłowić sobie również, że problem tkwi głębiej. Powinna była poskładać w całość tropy: ogromną wrażliwość Daina, jego brak zaufania do kobiet, podenerwowanie w rodzinnym domu, gorycz w odniesieniu do matki, portret jego nieprzystępnego ojca i sprzeczne zachowanie wobec niej samej.

Wiedziała wcześniej – czyż nie podpowiadał jej tego każdy instynkt? – że Dain rozpaczliwie jej potrzebuje, potrzebuje czegoś od niej.

Potrzebował tego, czego łaknie każda istota ludzka: miłości.

Tyle że on potrzebował miłości znacznie bardziej niż wielu innych, gdyż najwyraźniej od dziecka nie zaznał choćby jej namiastki.

…bierze wszystko za pewnik: jej uśmiechy i uspokajający ton, jej cierpliwość, jej wybaczenie.

Jessica wiedziała, że powinna była się roześmiać, podobnie jak on, i utrzymać leki ton rozmowy, bez względu na własne odczucia. Nie należało mówić o mamach i kochanych przez nie chłopczykach. Wówczas Dain nie popatrzyłby na nią tak, jak to zrobił, ona zaś nie dostrzegłaby w nim samotnego chłopczyka. Nie ubolewałaby nad tym dzieckiem, a Dain nie zobaczyłby tego smutku w jej oczach.

Teraz będzie sądził, że Jessica lituje się nad nim – lub nawet gorzej, że rozmyślnie sprowokowała go, żeby się zdradził.

Przypuszczalnie był na nią wściekły.

Nie rób tego, zaklinała go w duchu. Złość się, jeśli musisz, ale nie odwracaj się ode mnie i nie odchodź.

Dain nie odszedł.

Mimo to, gdyby Jessica odrobinę mniej nawykła do męskiej irracjonalności, jego zachowanie w kolejnych dniach zniszczyłoby w niej wszelką nadzieję na to, że zbudują cokolwiek choć trochę przypominającego poprawne małżeństwo. Uznałaby, że Dain to naprawdę Belzebub i że nigdy nie był małym chłopcem – a cóż dopiero samotnym chłopcem o złamanym sercu – ale wyskoczył w pełni wyrośnięty z czaszki księcia ciemności, jak Atena z głowy Zeusa.

Rychło wszakże zrozumiała, że Dain życzy sobie, by wierzyła właśnie w to: że jest bezdusznym rozpustnikiem, zainteresowanym nią głównie z lubieżnych względów, traktującym ją jak zabawkę i nic ponadto.

Do piątku zdeprawował ją na siedzisku przy oknie w swojej sypialni, we wnęce przy galerii portretów, pod fortepianem w pokoju muzycznym i wspartą plecami o drzwi w jej bawialni – naprzeciw portretu matki, ni mniej, ni więcej. A to uwzględniało tylko dzienne deprawacje.

Przynajmniej kiedy się kochali, niezmiennie był namiętny. Cokolwiek odgrywał w chwilach chłodnego opanowania, nie potrafił udawać, że jej nie pragnie – rozpaczliwie – albo że doprowadzenie jej do takiego samego stanu opętania żądzą nie stanowi kluczowego elementu.

Przez resztę czasu pozostawał wszakże Dainem, za którego wszyscy go uważali. Mógł godzinami być uprzejmy, nawet czarujący. Później, bez jakiegokolwiek widocznego powodu, przypuszczał na nią atak, zalewając palącym sarkazmem albo traktując protekcjonalnie, albo rzucając od niechcenia garść słów precyzyjnie obliczonych na to, by zalała ją furia.

Inaczej mówiąc, przesłanie brzmiało, że Jessice wolno go pożądać, wykluczone jednak, by obrażała go łagodniejszymi emocjami w rodzaju tkliwości czy współczucia. Absolutnie zakazane były próby zalezienia mu za skórę lub – Boże broń! – wniknięcia jakimś chytrym sposobem do jego czarnego, zepsutego serca.

Co było absolutnie niesprawiedliwe, gdy wziąć pod uwagę, że ta bestia już zalazła za skórę Jessice i prędko, niczym podstępny pasożyt, przywierała do jej serca. Nie musiał się nawet wysilać. Zakochiwała się w nim – pomimo wszystko, wbrew nakazom rozsądku – wolniej wprawdzie, lecz równie nieuchronnie, jak uległa żądzy wobec niego.

Nie oznaczało to, że nie kusiło jej ogromnie, by zrobić mu poważną krzywdę. W sferze doprowadzania do szału Dain był geniuszem. Nim nastał piątek, rozważała zalety wpakowania mu kolejnej kulki i usiłowała rozstrzygnąć, bez której części jego anatomii najłatwiej by się obeszła.

W sobotę uznała, że najbardziej zbędny jest prawdopodobnie jego mózg.

Obudził się w środku nocy podniecony, po czym obudził ją, żeby ulżyła tej dolegliwości. Co, jak się okazało, wymagało dwukrotnej kuracji. W rezultacie zaspali.

Jako że wyruszyli do Devonport z opóźnieniem, na walkę zapaśniczą dotarli kilka minut po jej rozpoczęciu i nie udało im się zająć odpowiedniego miejsca w tłumie. A winę za wszystko ponosiła Jessica, ponieważ, jak utyskiwał Dain, nie podnieciłby się, gdyby nie spała z pupą wciśniętą w jego intymne rejony.

– Stoimy za blisko – narzekał teraz, otaczając opiekuńczo ramieniem jej plecy. – Za kilka rund będziesz obryzgana potem… i niewykluczone, że krwią, jeśli Sawyer nie przestanie kopać Keasta w kolana.

Jessica nie przypomniała mu, że to on się uparł, by łokciami utorować im drogę na sam przód.

– W ten sposób Cann poradził sobie z Polkinhorne’em – stwierdziła. – Zrozumiałam, że w zapasach w stylu wolnym kopanie uznaje się za dopuszczalne.

– Szkoda, że nikt w tym tłumie nie uznaje za dopuszczalne mydła i wody – mruknął, rozglądając się. – Stawiam pięćdziesiąt funtów, że w obrębie mili nie znajdzie się człowiek, który kąpał się choć raz w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

Jessica odnotowała jedynie typowe męskie wonie alkoholu, tytoniu i piżma – przy czym musiała się w tym celu mocno skoncentrować, stała bowiem dociśnięta do boku męża, a od jego charakterystycznego zapachu aż zwijała palce u stóp. Skupienie się na walce wymagało nie lada wysiłku, kiedy jego ciepłe ciało wyczarowywało podniecające wspomnienia miłosnych zmagań przed świtem. Wielka dłoń dyndała ledwie kilka cali od jej piersi. Jessica zastanowiła się, czy ktokolwiek w napierającym na nich tłumie zauważyłby, gdyby zmieniła pozycję, niwelując tę odległość. Nienawidziła się za to, że tego pragnie.

– Ta walka jest żałosna – sarknął Dain. – Powaliłbym Sawyera ze związanymi rękami i złamaną nogą. Rany, nawet ty dałabyś mu radę, Jess. Nie do wiary, że Sherburne pokonał dwieście mil, żeby obejrzeć ten marny spektakl, zamiast zostać wygodnie w domu i pompować żonkę. Można by go zrozumieć, gdyby dziewczyna trafiła się brzydka albo pryszczata… ale jest niczego sobie, jeśli ktoś gustuje w tych stworzeniach na modłę porcelanowych lalek. A jeśli nie odpowiada jego gustom, czemu, u czorta, głupiec się z nią ożenił? Przecież nie nosiła dzieciaka… i mało prawdopodobne, że będzie, skoro jego nigdy nie ma w domu, żeby załatwić sprawę.

Przemowa wpisywała się w dzisiejszy nastrój Daina: cały świat konspirował, żeby go rozdrażnić. Nawet Sherburne, ponieważ… nie został wygodnie w domu ze swoją żoną.

Wygodnie? Jessica mrugnęła zdumiona. Rety, czyżby jednak poczyniła postępy z tym swoim tępym mężem?

Tłumiąc uśmiech, podniosła wzrok na jego zagniewaną twarz.

– Chyba nie za dobrze się bawisz, mój panie.

– Ten smród jest nie do zniesienia – odparł, spoglądając groźnie gdzieś dalej. – A ten pieprzony Ainswood łypie na ciebie lubieżnie. Słowo daję, ten człowiek prosi się, żeby oddzielić mu zapity łeb od reszty ciała.

– Ainswood? – Wyciągnęła szyję, ale nie rozpoznawała w tłumie żadnych twarzy.

– Nie ma potrzeby, żebyś odwzajemniała jego spojrzenie. Taki z niego idiota, że weźmie to za zachętę. Och, cudownie, teraz dołączył do niego Tolliver. I jeszcze Vawtry.

– Na pewno to na ciebie patrzą – łagodziła Jessica, podczas gdy serce w niej rosło. Brutal był o nią autentycznie zazdrosny. – Przypuszczalnie robili

zakłady, czy przyjedziesz, a Ainswood nie łypie lubieżnie, tylko chełpliwie, ponieważ wygrał.

– Wobec tego żałuję, że nie zostałem w domu. W łóżku. – Dain spojrzał na nią chmurnie. – Ale nie, egzystencja mojej żony utraci znaczenie, jeśli nie będzie jej dane obejrzeć walki zapaśniczej, toteż…

– Toteż poświęciłeś własną wygodę dla mojej zachcianki. A teraz, po całym tym ambarasie, okazuje się, że to tutaj trudno nawet nazwać walką. Jesteś rozdrażniony, ponieważ chciałeś sprawić mi frajdę, a uważasz, że nie wyszło.

Mars na jego czole się pogłębił.

– Jessico, próbujesz mnie ugłaskać. Nie jestem dzieckiem. Nie znoszę, kiedy się mnie ugłaskuje.

– Jeśli nie życzysz sobie ugłaskiwania, przestań grymasić na wszystko wkoło i otwarcie powiedz, w czym rzecz. – Spojrzała znów na zapaśników. – Nie umiem czytać w myślach.

– Grymasić? – powtórzył, puszczając ją. – Grymasić?

– Jak dwulatek, który przegapił drzemkę.

– Dwulatek?

Przytaknęła, na pozór śledząc walkę, podczas gdy jej uwagę przykuwał wściekły mężczyzna u jej boku.

Z furią wciągnął powietrze, raz, drugi, trzeci.

– Idziemy stąd – oznajmił. – Z powrotem do powozu. W tej chwili.

Dain nie dotarł do powozu. Z trudem dobrnął na skraj zewnętrznego kręgu widzów, a powóz czekał sporo dalej, gdyż przybyli późno i mnóstwo pojazdów ich ubiegło. Ozdobione herbami karety stały wciśnięte między skromne wiejskie wozy, a niezadowoleni osobnicy, którym przypadło pilnować koni, dawali upust irytacji, kłócąc się głośno między sobą.

Ponieważ Dain również musiał dać upust irytacji, a był przekonany, że wybuchnie na długo przed tym, nim odnajdzie powóz, popędził żonę w kierunku najbliższego wolnego terenu.

Był to cmentarz, przylegający do maleńkiego, popadającego w ruinę kościółka, w którym nie odprawiano nabożeństw przypuszczalnie od czasów Wielkiej Armady. Nagrobki z napisami dawno wyżartymi przez słone powietrze przechylały się pijacko na wszystkie możliwe strony, byleby nie stać prosto. To znaczy te, które w ogóle udawały, że stoją. Blisko połowa zarzuciła takie wysiłki wieki temu i rozciągały się tam, gdzie padły,

wokół nich zaś tłoczyły się wysokie chwasty, jak kieszonkowcy nad upojonym dżinem marynarzem.

– Całkiem jakby to miejsce nie istniało – skomentowała Jessica, rozglądając się, pozornie nieświadoma wielkiej dłoni, zaciśniętej gniewnie na jej ramieniu, kiedy Dain prowadził ją nieustępliwie. – Jakby nikt nie zauważył, że tu jest, albo nikogo to nie obchodziło. Dziwne.

– Za moment nie wyda ci się to takie dziwne. Sama zaczniesz żałować, że istniejesz.

– Dokąd idziemy, Dain? To na pewno nie skrót do powozu.

– Dopisze ci wielkie szczęście, jeśli to nie będzie skrót na twój pogrzeb.

– Och, spójrz! – wykrzyknęła. – Jakie wspaniałe rododendrony.

Dain nie musiał patrzeć tam, gdzie wskazywała. Już wcześniej spostrzegł gigantyczne krzewy z masą białych, różowych i purpurowych kwiatów. Wypatrzył także pośród nich filary dawnej bramy. Przypuszczał, że kiedyś przylegał do nich mur, wyznaczając granice kościelnych ziem lub sąsiadującej z nimi posiadłości. Niewykluczone, że znajdował się tam nadal, albo jego fragmenty, ukryte w gęstwinie rododendronów. Daina interesowało jedynie owo „ukryte”. Zarośla skutecznie zasłonią ich przed wzrokiem przechodniów.

Poprowadził żonę do bramy i zaciągnął do prawego, lepiej zamaskowanego filaru, po czym oparł o niego plecami.

– Dwulatek, czy tak, moja pani? – Zębami zdarł rękawiczkę z prawej dłoni. – Nauczę cię, ile mam lat. – Zdjął drugą rękawiczkę.

Sięgnął do guzików u spodni.

Strzeliła spojrzeniem ku jego ręce.

Prędko odpiął trzy guziki podtrzymujące klapę z przodu spodni i ta opadła.

Usłyszał, jak Jessica wciąga powietrze.

Nabrzmiewający błyskawicznie członek napierał na materiał przy rozporku. Odpięcie dziewięciu guzików zajęło mu dziewięć sekund. Członek wyskoczył na zewnątrz, gorącym pulsowaniem dopominając się o uwagę.

Jessica opierała się o filar, z zamkniętymi oczami.

Podciągnął jej spódnice.

– Pragnąłem cię przez cały przeklęty dzień, niech cię szlag – warknął.

Czekał zbyt długo, żeby zawracać sobie głowę wiązaniami bielizny czy bawić się w finezję. Znalazł rozcięcie pantalonów, wepchnął przez nie palce i wplątał w jedwabiste loki.

Wystarczyło, że jej dotknął – kilka niecierpliwych pieszczot – a była gotowa, napierając na jego palce, oddychając szybko i płytko.

Wdarł się w nią i przeszyła go paląca radość ze znalezionego tam śliskiego, gorącego powitania i niskiego jęku rozkoszy, który usłyszał. Chwycił ją za pośladki i podniósł.

Oplotła go nogami, po czym, uczepiona kurczowo jego ramion, odrzuciła w tył głowę i zaśmiała się gardłowo.

– Także cię pragnęłam, Dain. Myślałam, że oszaleję.

– Głuptas – stwierdził. Była szalona, skoro pragnęła takiego zwierzęcia.

– Twój głuptas.

– Przestań, Jess. – Nie podporządkowywała się nikomu, a już na pewno nie jemu.

– Kocham cię.

Słowa przeszyły go i zaczęły dobijać się do jego serca. Nie mógł ich wpuścić.

Wycofał się niemal zupełnie, po czym wbił w nią znowu, tym razem mocniej.

– Nie powstrzymasz mnie – wydyszała. – Kocham cię.

Raz za razem wdzierał się w nią mocnymi, wściekłymi pchnięciami.

Ale nie zdołał jej powstrzymać.

– Kocham cię – powtarzała przy każdym pchnięciu, jakby chciała wprowadzić w niego te słowa, jak on wprowadzał w nią swe ciało. – Kocham cię – powiedziała, gdy zatrzęsła się ziemia, rozwarły niebiosa i przeszył go piorun ekstazy.

Nakrył jej usta swoimi, aby odciąć te dwa fatalne słowa, wlewały się jednak w jego wysuszone serce, gdy sam wlewał w nią nasienie. Nie potrafił pohamować serca, by nie chłonęło tych słów, nie wierzyło w nie. Usiłował trzymać ją na dystans, podobnie jak starał się potrzebować od niej nie więcej niż tyle, ile było bezpieczne. Próżny trud.

Nigdy nie był i nigdy nie będzie przy niej bezpieczny.

Femme fatale.

Z drugiej strony, można umrzeć na gorsze sposoby.

Carpe diem, powiedział sobie, osuwając się na nią.

* * *

Jak było do przewidzenia, wyłoniwszy się z raju, Dain wkroczył prosto w koszmar.

Do czasu gdy opuścili cmentarz i rozpoczęli polowanie na powóz, niedorzeczna walka już się zakończyła, niedorzecznie, sporem technicznym. Tłum widzów rozlewał się we wszystkich kierunkach, część zdążała do miasta, część w przeciwną stronę, ku masie pojazdów.

Prawie dotarli do celu, kiedy zawołał go Vawtry.

– Zaczekam w powozie – powiedziała Jessica, puszczając ramię Daina. – Wykluczone, żebym poprowadziła w tej chwili racjonalną rozmowę.

Chociaż wątpił, czy sam temu podoła, Dain wysilił się na porozumiewawczy chichot. Zostawiwszy ją, gdy podążyła dalej do powozu, podszedł do Vawtry’ego.

Wkrótce dołączyło do nich paru innych, w tym Ainswood, i Daina wciągnął wir oburzenia na dotkliwie rozczarowujących zapaśników.

Vawtry analizował właśnie sporny rzut, kiedy Dain spostrzegł, że Ainswood nie słucha, lecz patrzy gdzieś za niego.

Pewien, że typ znowu gapi się na Jessicę, posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

Książę tego nie zauważył.

– Zdaje się, że twój lokaj ma pełne ręce roboty – zwrócił się do Daina z szerokim uśmiechem.

Dain podążył za jego wzrokiem. Jessica znalazła się już w powozie, poza zasięgiem lubieżnych spojrzeń Jego Książęcej Wysokości.

Tymczasem jednak Joseph – który, jako pierwszy lokaj, pomagał pani wsiąść – zmagał się z obszarpanym, brudnym ulicznikiem. Zapewne kieszonkowcem. Wydarzenia sportowe przyciągają takich tabuny, podobnie jak dziwek.

Joseph chwycił oberwańca za kołnierz, ale bachor wykręcił się i go kopnął. Lokaj ryknął na niego. Ulicznik odpowiedział strumieniem wulgaryzmów, jakich nie powstydziłby się marynarz.

Otworzyły się drzwi powozu i Jessica zaczęła wysiadać.

– Josephie! Co robisz, u licha?

Choć świetnie wiedział, że Jess poradzi sobie ze scysją – o cokolwiek chodziło – Dain miał również świadomość, że to on powinien grać rolę

autorytetu… a przyjaciele patrzyli.

Ruszył przejąć od niej pałeczkę.

Za jego plecami rozległ się mrożący krew w żyłach krzyk.

Dźwięk zaskoczył Josepha, który poluzował uchwyt. Obdartus wyrwał mu się i pomknął jak strzała.

Ale w tejże chwili Dain zaatakował i złapawszy dzieciaka za plecy brudnej kurtki, zatrzymał go w miejscu.

– Słuchaj, ty mały…

Urwał, ponieważ chłopiec podniósł wzrok i Dain odkrył, że spogląda… w zwężone nad monstrualnym nochalem, posępne czarne oczy, osadzone w ciemnej, chmurnej twarzy.

Gwałtownie cofnął rękę.

Chłopiec się nie poruszył. Jego posępne oczy zaokrągliły się, rozdziawił usta.

– Tak, kochaniutki. – Gdzieś na skraju tego koszmaru na jawie rozbrzmiał piskliwy kobiecy głos. – To twój papa, tak jak mówiłam. Całkiem jak ty. Zgadza się, milordzie? I czy on nie jest do pana zupełnie podobny?

Obrzydliwie podobny. Jakby ich dwóch dzieliło nie powietrze, ale dwadzieścia pięć lat, a twarz poniżej należała do samego Daina, spoglądając z przeszłości przez diabelskie zwierciadło.

Usłyszany zaś przed chwilą głos należał do nałożnicy samego szatana, o czym Dain wiedział, jeszcze zanim napotkał złośliwe spojrzenie Charity Graves – podobnie jak, ujrzawszy tę złośliwość, odgadł, że zrobiła to celowo, jak zresztą wszystko, włącznie ze sprowadzeniem na świat tego potwornego dziecka.

Otworzył usta, by się roześmiać, ponieważ musiał, ponieważ był to jedyny sposób.

Później przypomniał sobie, że nie przebywają na koszmarnej wyspie sami pośród piekielnych otchłani, ale na forum publicznym, odgrywając tę upiorną farsę przed publicznością.

Przy czym jednym z widzów była jego żona.

Zdawało się, że minęły wieki, jednak trwało ledwie chwilę, nim Dain instynktownie poruszył się, chcąc zasłonić chłopca przed wzrokiem Jessiki. Ale bachor także otrząsnął się z oszołomienia i w tym samym momencie wypruł w tłum.

– Dominick! – wrzasnęła jego przeklęta matka. – Wracaj, kochaniutki!

Dain popatrzył prędko na żonę, która stała niespełna dwadzieścia kroków dalej, przenosząc wzrok z tej kobiety na niego – a potem na tłum, w którym zniknął chłopiec. Ruszył ku niej, posyłając spojrzenie Ainswoodowi.

Mimo że jak zwykle pijany, książę pojął przesłanie.

– Niech mnie, to ty, Charity, kwiatuszku? – wykrzyknął.

Charity spieszyła do powozu – do Jessiki – lecz Ainswood okazał się szybszy. Złapał sukę za ramię i stanowczo odciągnął.

– Na Boga, to ty! – obwieścił donośnie. – A popatrz, myślałem, że dalej siedzisz zamknięta w przytułku!

– Puszczaj! – wrzasnęła piskliwie. – Mam milady coś do powiedzenia.

Ale Dain tymczasem dotarł już do żony.

– Do powozu – polecił Jessice.

W jej szeroko otwartych oczach malowała się powaga. Zerknęła na Charity, którą Ainswood odprowadzał pospiesznie, wspierany przez kilku kompanów, gdyż ci również ogarnęli sytuację.

– Ma nie po kolei w głowie – rzekł Dain. – To nic ważnego. Do powozu, skarbie.

* * *

Jessica zasiadła w powozie sztywno wyprostowana, splatając ściśle dłonie na podołku. Trwała w tej pozycji, z zaciśniętymi ustami, kiedy pojazd ruszał, a i później nie wyrzekła choćby sylaby, nie zmieniła postawy.

Po dwudziestu minutach jazdy z marmurowym posągiem Dain nie mógł tego dłużej znieść.

– Przepraszam – rzucił drętwo. – Obiecałem, że nie zawstydzę cię publicznie, wiem. Ale nie zrobiłem tego specjalnie. Sądziłbym, że to oczywiste.

– Doskonale pojmuję, że nie spłodziłeś tego dziecka specjalnie – odparła lodowatym tonem. – Rzadko jest to pierwsze, o czym myśli mężczyzna, kiedy poczyna sobie z ladacznicą.

To tyle w kwestii nadziei, że nie widziała twarzy chłopca.

Mógł się domyślić. Jej bystrym oczom nic nie umykało. Skoro dostrzegła bezcenną ikonę pod grubą warstwą pleśni i brudu, z łatwością wypatrzyłaby także bękarta z dwudziestu kroków.

Widziała go, bez wątpienia. Jessica nie wydałaby sądu wyłącznie na podstawie słów byle kokoty. Gdyby nie widziała chłopca, dałaby Dainowi szansę obrony. A on zaprzeczyłby oskarżeniom Charity.

Teraz jednak w żaden sposób nie wyprze się ciemnej skóry i monstrualnego nochala – z daleka rzucających się w oczy i łatwo rozpoznawalnych. Nie było nadziei, by się wyprzeć, skoro Jessica odnotowała również jasną karnację, zielone oczy i kasztanowe włosy matki dzieciaka.

– I nie próbuj udawać, iż nie wiedziałeś, że to twoje dziecko – ciągnęła Jessica. – Twój przyjaciel Ainswood wiedział i bardzo się spieszył, żeby usunąć tę kobietę z drogi… jakbym nie miała dość rozumu, żeby pojąć, na co patrzę. Przytułek, doprawdy. To was wszystkich powinni zamknąć w domu wariatów. Biegają jak oparzeni… a tymczasem chłopiec ucieka. Miałeś go. – Spojrzała nań z gniewną przyganą. – Ale pozwoliłeś mu uciec. Jak mogłeś, Dain? Nie wierzyłam własnym oczom. Gdzie, u diaska, podziałeś rozum?

Zagapił się na nią.

Odwróciła się znów do okna.

– Teraz go zgubiliśmy i Bóg jeden wie, jak długo potrwa, nim znajdziemy ponownie. Chce mi się krzyczeć. Gdybym nie poszła z tobą na cmentarz, może udałoby mi się go złapać. Ale ledwie byłam w stanie chodzić, a cóż dopiero biegać… a nie mogę przeciwstawiać ci się publicznie, trudno więc, żebym krzyknęła: „Za nim, idioto!” w obecności twoich przyjaciół… na co zresztą i tak było za późno. Nie pamiętam, czy widziałam kiedyś chłopca umykającego tak szybko. W jednej chwili był, w następnej zniknął.

Jego serce przypominało zaciśniętą pięść, która bezlitośnie tłukła go w żebra.

Znaleźć go. Złapać.

Chciała, żeby ścigał odrażające stworzenie, które spłodził z tą chciwą, mściwą wywłoką. Chciała, żeby patrzył na nie, dotykał go i…

– Nie! – Słowo wystrzeliło z niego, ryk zaprzeczenia, a wraz z nim umysł Daina zalały mrok i chłód.

Widok tej drobnej, ciemnej twarzy wzburzył w nim emocje, do pohamowania których zaprzągł każdą cząstkę siły woli. Pod wpływem słów żony lawa wylała się przez szczeliny.

Ale lodowaty mrok już, jak zawsze, nadpłynął, by go ocalić, i, jak zawsze, zdusił uczucia.

– Nie – powtórzył cicho Dain, zimnym, opanowanym głosem. – Nie będzie żadnego znajdowania. Zacznijmy od tego, że nie powinna była go mieć. Charity Graves doskonale wiedziała, jak pozbyć się takiej niedogodności. Robiła to niezliczone razy, zanim się pojawiłem, i ani chybi niezliczone razy potem.

Żona patrzyła teraz na niego, z twarzą bladą i zszokowaną, zupełnie jak wówczas, gdy mówił jej o swojej matce.

– Ale zamożni arystokraci nie trafiają się Charity zbyt często – ciągnął z tą samą brutalnością, z jaką relacjonował historię matki. – Kiedy odkryła, że nosi dzieciaka, wiedziała, że jest mój albo Ainswooda. Czyjkolwiek by był, wyobraziła sobie, że schwytała dorodnego gołębia, którego może oskubać. Kiedy okazało się, że bachor jest mój, błyskawicznie ustaliła nazwisko mojego prawnika. Napisała do niego, proponując pięćset funtów rocznej renty.

– Pięćset? – Jessice wróciły kolory. – Dla profesjonalistki? I to nawet nie twojej kochanki, ale pospolitej ladacznicy, którą dzieliłeś z przyjacielem? – dorzuciła z oburzeniem. – I która urodziła to dziecko rozmyślnie… nie jakiejś przyzwoitej dziewczyny, która…

– Przyzwoitej? Czy ty sobie wyobrażałaś, choć przez chwilę, że ja… rany, zrobiłem co? Uwiodłem… zwabiłem niewinną dziewczynę… i zostawiłem ją z dzieckiem w brzuchu? – Coraz bardziej podnosił głos. Zacisnąwszy dłoń w pięść, dodał spokojniej: – Wiesz doskonale, że unikałem relacji z przyzwoitymi kobietami, dopóki nie wparowałaś do mojego życia.

– Z pewnością nie sądziłam, że kłopotałbyś się uwodzeniem niewinnej dziewczyny – odparła rzeczowo. – Po prostu nie przyszło mi do głowy, że ladacznica mogłaby mieć dziecko z czystej chciwości. Nawet teraz trudno mi wyobrazić sobie kobietę tak przewrotną. Pięćset funtów. – Pokręciła głową. – Wątpię, czy książęta krwi wspierają tak hojnie swoje bękarty. Nic dziwnego, że jesteś wściekły. I nic dziwnego, że ty i matka chłopca tak się nie znosicie. Podejrzewałam, że dołożyła starań, chcąc cię zawstydzić. Najwidoczniej usłyszała… albo zobaczyła… że przywiozłeś ze sobą żonę.

– Jeśli spróbuje tego znowu – oznajmił ponuro – dopilnuję, żeby wywieziono ją razem z tym jej ulicznikiem. Jeśli zbliży się do ciebie na

choćby dwadzieścia mil…

– Dain, ta kobieta to jedno – przerwała mu – a chłopiec to inna sprawa. Nie prosił, żeby mieć ją za matkę, podobnie jak nie prosił się na ten świat. Postąpiła wyjątkowo paskudnie, wykorzystując go dziś w ten sposób. Żadne dziecko nie powinno być świadkiem takich scen. Mocno jednak wątpię, czy ona zważa na czyjekolwiek uczucia poza własnymi. Odnotowałam, że była ubrana o wiele lepiej niż jej „kochaniutki”. Brud to jedna sprawa, mali chłopcy bywają czyści nie dłużej niż przez dwie i pół minuty, ale nie da się usprawiedliwić faktu, że dziecko chodzi w łachmanach, kiedy matka jest wystrojona jak londyńska kobieta sukcesu. – Popatrzyła na niego. – Właściwie ile jej dajesz?

– Pięćdziesiąt – odparł sztywno. – Więcej, niż potrzeba, żeby go ubrać i wyżywić… i żeby mogła wydawać na siebie wszystko, co zarobi na plecach. Przypuszczam jednak, że łachmany stanowiły element gry: miałem wyjść na łajdaka. Ma pecha, że nawykłem do tej roli i mało mnie interesuje, co myślą inni głupcy.

– Pięćdziesiąt funtów rocznie to więcej niż szczodrze. Ile on ma lat? Sześć, siedem?

– Osiem, ale to bez…

– Czyli jest dostatecznie duży, żeby zwracać uwagę na swój wygląd. Nie znajduję wytłumaczenia dla jego matki, że ubrała go tak nędznie. Ma pieniądze i powinna wiedzieć, jak poczuje się chłopiec w tym wieku. Upokorzony, bez wątpienia… dlatego rozdrażnił Josepha. Ale, jak mówiłam, ona nie zważa na dziecko, a wszystko, co mi powiedziałeś, jedynie utwierdza mnie w przekonaniu, że nie nadaje się na matkę. Muszę cię prosić, Dain, żebyś odsunął na bok uczucia wobec niej i wziął wzgląd na swojego syna. Według prawa jest twój. Możesz go od niej zabrać.

– Nie!

Choć zdusił emocje, zaczęło go łupać w głowie, a bezużyteczne ramię pulsowało. Nie potrafił zamrozić ani zdusić fizycznego bólu. Ten zaś praktycznie uniemożliwiał mu myślenie. Nawet gdyby zdołał chłodno rozumować, nie istniało wyjaśnienie jego zachowania, które by usatysfakcjonowało Jessicę.

Nie powinien był podejmować próby wyjaśnienia, powiedział sobie. Nigdy by nie zrozumiała. Przede wszystkim, nie chciał, żeby zrozumiała,

podobnie jak sam nie chciał zrozumieć – tego, co poczuł, kiedy spojrzał na tamtą twarz, w tamto diabelskie zwierciadło.

– Nie – powtórzył. – I przestań robić aferę, Jess. Nic z tego by się nie zdarzyło, gdybyś nie upierała się przy wyjeździe na tę przeklętą walkę zapaśniczą. Do diaska, najwyraźniej przy tobie nie mogę kiwnąć palcem, żeby wszystko… – ze znużeniem machnął ręką – żeby wszystko nie obróciło się przeciw mnie. Nic dziwnego, że boli mnie głowa. Jak nie jedno, to drugie. Kobiety. Wszędzie. Żony i Madonny, matki i dziwki, i… i zadręczacie mnie na śmierć, cała ta wasza banda.

* * *

Tymczasem Roland Vawtry uwolnił już Ainswooda i pozostałych od odpowiedzialności za Charity Graves, odprowadziwszy ją do zajazdu, w którym ponoć się zatrzymała.

Nie miała zatrzymywać się w zajeździe w Devonport. Miała być tam, gdzie zostawił ją dwa dni wcześniej, w Ashburton, kiedy to nie zająknęła się ani słowem na temat Daina lub jego bękarta. Weszła jedynie, kołysząc biodrami, do ogólnodostępnej sali i przy pobliskim stoliku dosiadła się do jegomościa, który zdawał się ją znać. Po pewnym czasie jegomość wyszedł, a ponieważ towarzysze Vawtry’ego również podążyli na jakieś własne schadzki, on sam odkrył nagle, że siedzi z nią przy stoliku i stawia jej kufel piwa. Następnie oddalili się, żeby spędzić kilka godzin na igraszkach, których zdaniem Beaumonta Vawtry rozpaczliwie potrzebował.

Beaumont miał rację w tej kwestii, jak najwyraźniej w wielu innych. Ale Beaumont nie był teraz niezbędny, żeby wskazać, iż Charity Graves rozpaczliwie potrzebuje, by ktoś złoił jej skórę.

Na szczęście zajazd nie był szacownym przybytkiem i nikt nie mruknął słowa, kiedy Vawtry ciężkim krokiem podążył za Charity do jej pokoju. Gdy tylko zamknął drzwi, chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Ty kłamliwa, podstępna, wichrząca mała wywłoko! – wybuchnął.

Później odstąpił od niej, obawiał się bowiem, że ją zabije, a wśród jego rozpaczliwych potrzeb z pewnością nie widniał stryczek za mord na byle ladacznicy.

– Ojej – skomentowała ze śmiechem. – Boję się, że nie cieszysz się na mój widok, Rolly, kochany.

– Nie nazywaj mnie tak… i nie jestem twoim kochanym, ty głupia krowo. Zginę przez ciebie. Jeśli Dain się dowie, że byłem z tobą w Ashburton, pomyśli, że ustawiłem tę scenę. – Rzucił się na krzesło. – Wtedy rozerwie mnie na strzępy, kawałek po kawałku. A pytania zada potem. – Przeczesał włosy palcami. – I nie ma sensu liczyć, że się nie dowie, bo w jego przypadku sprawy nigdy nie idą tak, jak powinny. Przysięgam, to jakaś klątwa. Dwadzieścia tysięcy funtów przeciekło mi przez palce… nie wiedziałem nawet, że tam są… a teraz to. Bo o tobie też nie wiedziałem, że tam… tutaj… jesteś. I ten dzieciak… jego bękart. Kto by zgadł, że ma bękarta? Ale teraz wszyscy wiedzą… dzięki tobie… z nią włącznie… i jeśli Dain mnie nie zabije, ta suka mnie postrzeli.

Charity podeszła do niego.

– Powiedziałeś dwadzieścia tysięcy, kochaniutki? – Usiadła mu na kolanach, opasała się jego ramieniem i docisnęła dłoń Vawtry’ego do swej obfitej piersi.

– Daj mi spokój – burknął. – Nie jestem w nastroju.

Nastrój Rolanda Vawtry’ego bliski był czarnej rozpaczy.

I nie bez powodu. Vawtry grzązł w długach i nie miał szans, żeby się z nich wydobyć, zależał bowiem od Pani Fortuny, ta zaś była kapryśna, przed czym jakże mądrze przestrzegał go Beaumont. Oddawała bezcenną ikonę mężczyźnie, który już miał więcej, niż zdołałby wydać przez trzy żywoty. Odbierała ją człowiekowi, który nie posiadał praktycznie nic, tak że w rezultacie pozostał z mniej niż niczym. Nie mogła nawet podarować mu ladacznicy, nie czyniąc z tej kobiety sprawczyni jego śmierci.

Roland Vawtry szczerze wierzył, że znalazł się na dnie rozpaczy. Skromne zasoby zdrowego rozsądku i pewności siebie, jakimi niegdyś dysponował, zostały w ciągu kilku dni bezlitośnie zdewastowane przez człowieka, który główną życiową przyjemność czerpał z unieszczęśliwiania innych. Vawtry stał się ofiarą i nie był zdolny rozpoznać, że jego sytuacja nie jest ani w połowie tak katastrofalna, na jaką wygląda, podobnie jak nie rozpoznał we Francisie Beaumoncie zdradzieckiego niszczyciela spokoju swego umysłu.

Mając umysł zatruty, Vawtry wierzył, że źródło wszystkich jego kłopotów stanowi znajomość z Dainem. *Musi długą mieć łyżkę, kto musi z diabłem obiadować*[27], zacytował Beaumont, a Roland Vawtry prędko pojął, że jego łyżka jest zbyt krótka na obiadowanie z osobnikami pokroju Daina i

że znalazł się w takiej samej sytuacji co Bertie Trent. Przestawanie z Belzebubem doprowadziło do ruiny ich obu.

Jakby finansowej ruiny było mało, za sprawą Charity nad Vawtrym zawisła groźba brutalnej śmierci. Musiał pomyśleć – lub, jeszcze lepiej, uciekać, gdzie pieprz rośnie. Pojmował, że żadnej z tych rzeczy nie zrobi, jak należy, z piersiastą ladacznicą usadowioną mu na kolanach.

Mimo wszystko, przy całej złości na nią, nie potrafił jej odepchnąć. Pełne piersi miała ciepłe i miękkie, i odgarniała mu do tyłu włosy, całkiem jakby przed paroma minutami nie znalazł się o krok od zabicia jej. Dotyk kobiety – nawet bezwstydnej dziwki – działał bardzo kojąco.

Pod tym kojącym dotykiem myśli Vawtry'ego stały się przychylniejsze dla Charity. Ostatecznie, jej także Dain się nie przysłużył. Przynajmniej miała odwagę stanąć z nim do konfrontacji.

Poza tym była ładna – bardzo ładna – i nadzwyczaj radosna jako towarzyszka w łóżku. Vawtry ścisnął jej pierś, a później ją pocałował.

– No widzisz, jakiś był niegrzeczny – powiedziała. – Całkiem jakbym nie zamierzała się o ciebie zatroszczyć. Głuptasek. – Zmierzwiła mu włosy. – Nie pomyśli nic z tego, co mówiłeś. Wystarczy, że opowiem ludziom, jak to pan Vawtry zapłacił mi… – Zastanowiła się. – Zapłacił mi dwadzieścia funtów, żebym trzymała się z dala i nie kłopotała jego serdecznego przyjaciela, lorda Daina. Opowiem, jak to zabroniłeś mi psuć ich miesiąc miodowy.

Co za bystra kobieta! Vawtry ukrył twarz w jej ślicznym, pulchnym biuście.

– Alem ja… ale ja i tak przyszłam, bo taka ze mnie niegodziwa, kłamliwa dziwka – ciągnęła. – A tyżeś… a ty tak się na mnie wściekłeś, żeś mnie zbił. – Ucałowała go w czubek głowy. – Tak właśnie powiem.

– Szkoda, że nie mam dwudziestu funtów – wymamrotał w stanik jej sukni. – Dałbym ci. Naprawdę. Och, Charity, co mam robić?

Jako że posiadała wrodzony talent do swojej profesji, pokazała mu, co robić, on zaś, mając tendencję do błędnego interpretowania rzeczy oczywistych, wziął zawodowe umiejętności za uczucie do niego. Nie upłynęło wiele godzin, a zwierzył się jej ze wszystkich swoich zgryzot, po czym przez kolejne godziny, gdy spał w jej ramionach, Charity Graves leżała rozbudzona, planując, jak doprowadzić do spełnienia swoich marzeń.

Rozdział 16

Pół godziny po tym, jak wparował do swojej sypialni, zatrzaskując z hukiem drzwi, Dain stanął na progu garderoby Jessiki. Spojrzał lodowato na Bridget, która wyjmowała szpilki z włosów swej pani.

– Wynocha! – rzucił bardzo cicho.

Pokojówka umknęła.

Jessica pozostała na swoim miejscu, czyli na krześle przy toaletce. Sztywno wyprostowana, uniosła ręce i kontynuowała usuwanie szpilek.

– Nie zamierzam dłużej kłócić się z tobą na ten temat – oznajmiła. – To strata czasu. Nie słuchasz ani słowa z tego, co mówię.

– Nie ma czego słuchać – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To nie twoja cholerna sprawa.

W ten właśnie sposób reagował podczas jazdy do domu na podejmowane przez nią wysiłki, by naświetlić mu problem… Jedna krótka scena z kobietą z jego przeszłości przekreśliła wszystkie postępy, jakie Jessica z nim dotąd poczyniła. Wrócili do etapu, na którym się znajdowali, kiedy postrzeliła go w ramię.

– Ty jesteś moją sprawą – odparła. – Pozwól, że ujmę rzecz prosto. – Odwróciła się na siedzeniu i śmiało popatrzyła mu w oczy. – Ty narobiłeś bałaganu, Dain. Ty go sprzątasz.

Mrugnął, raz. Później wygiął usta w paskudnym uśmiechu.

– Mówisz mi, że to mój obowiązek. Przypomnę ci zatem, szanowna pani, że nie będziesz… Nikt nie będzie mi dyktował…

– Chłopiec jest w tarapatach. Matka doprowadzi go do zguby. Tłumaczyłam ci to na wszelkie możliwe sposoby, ale nie chcesz słuchać. Nie chcesz zaufać mojej intuicji, i to akurat w takiej sprawie, kiedy wiesz, że praktycznie w pojedynkę wychowałam dziesięciu chłopców. Co oznacza, że musiałam radzić sobie także z tuzinami ich nieznośnych przyjaciół. Jeśli istnieje jakaś dziedzina, którą rozumiem, mój panie, są to chłopcy: ci dobrzy, ci wredni i wszelkie odmiany pomiędzy nimi.

– Czego natomiast zdajesz się nie rozumieć, to że ja nie jestem małym chłopcem, żeby rozstawiano mnie po kątach i mówiono mi, co jest moim przeklętym obowiązkiem!

Jak grochem o ścianę. Odwróciła się znów do lustra i wyjęła ostatnie szpilki.

– Czuję się tym zmęczona – oświadczyła. – Męczy mnie twój brak zaufania. Męczą mnie oskarżenia o manipulację, protekcjonalizm i… nękanie. Męczą mnie próby nawiązywania relacji z uparcie nierozsądnym mężczyzną tak, jakby był rozsądny. Męczy mnie, że każdy mój wysiłek, by do ciebie dotrzeć, ciskasz mi z powrotem w twarz ze zniewagą. – Wzięła szczotkę i zaczęła przeciągać nią przez włosy wolnymi, miarowymi ruchami. – Nie chcesz niczego, co mam do zaoferowania, poza fizyczną przyjemnością. Doskonale. Przestanę cię drażnić. Nie podejmę ponownie próby jakiejś śmiechu wartej racjonalnej rozmowy między dwojgiem dorosłych.

Zaśmiał się krótko i gorzko.

– Oczywiście, że nie. Zamiast tego uraczysz mnie lodowatą ciszą. Albo ciszą pełną przygany. Albo dąsami. Tymi samymi uprzejmościami, mówiąc krótko, którymi traktowałaś mnie przez ostatnie dziesięć mil jazdy do Athcourt.

– Jeśli byłam nieprzyjemna, przepraszam – odrzekła z opanowaniem. – W przyszłości nie będę się tak zachowywać.

Podszedł do toaletki i położył prawą rękę na blacie.

– Spójrz na mnie – polecił – i wyjaśnij, co to ma oznaczać.

Podniosła wzrok na jego stężałe oblicze. W głębi jego oczu kotłowały się emocje i serce Jessiki wyrywało się do niego boleśnie, bardziej niż kiedykolwiek. Pragnął jej miłości. Podarowała mu ją. Dzisiaj mu ją wyznała, w sposób niepozostawiający wątpliwości, a on jej uwierzył. Zobaczyła to wtedy w jego oczach. Wpuścił miłość do środka – a choć nie bardzo wiedział, co z nią począć, i przypuszczalnie dochodziłby do tego przez całe miesiące, wręcz lata – nie próbował jej odepchnąć.

Do czasu złośliwego wystąpienia Charity Graves.

Jessica nie zamierzała pracować nad nim przez kolejne tygodnie jedynie po to, by ciśnięto jej te wysiłki w twarz przy następnej okazji, kiedy ktoś lub coś doprowadzi go do szału. Będzie musiał przestać spoglądać na teraźniejszość – a w szczególności na nią – przez zniekształcające okulary

przeszłości. Będzie musiał się nauczyć, kim jest jego żona, i nawiązać relacje z tą konkretną kobietą, a nie całym kobiecym rodzajem, na który zapatrywał się z tak gorzką pogardą. Będzie musiał nauczyć się tego w brutalny sposób, energii Jessiki domagał się bowiem aktualnie bardziej palący problem.

Dain był dorosłym mężczyzną, na pozór zdolnym zadbać o siebie i przypuszczalnie także dojść do racjonalnych wniosków… kiedyś w końcu.

Sytuacja jego syna przedstawiała się znacznie bardziej ryzykownie, mali chłopcy pozostają bowiem całkowicie zdani na łaskę innych osób. Ktoś winien podjąć działanie w interesie Dominicka. Stało się aż nazbyt jasne, że tym kimś musi być ona. Jak zwykle.

– Oznacza to, że wygrałeś – odparła. – Od tej pory będzie po twojemu. Chcesz ślepego posłuszeństwa. Je właśnie dostaniesz.

Rzucił jej kolejny kpiący uśmiech.

– Uwierzę, kiedy zobaczę – oznajmił.

Potem sztywnym krokiem wyszedł.

* * *

Uwierzenie zajęło Dainowi tydzień, mimo że widział i słyszał to każdego dnia i każdej nocy.

Żona zgadzała się ze wszystkim, co mówił, jakkolwiek idiotyczne by to było. Nie kwestionowała niczego, nieważne, jak bardzo ją prowokował. Odnosiła się doń w sposób doskonale uprzejmy, bez względu na to, jak odpychająco się zachowywał.

Gdyby Dain był choć trochę przesądny, uwierzyłby, że piękne ciało Jessiki zamieszkała dusza innej kobiety.

Tydzień z tą uprzejmą, ślepo posłuszną nieznajomą wywołał w nim dotkliwy dyskomfort. Po dwóch tygodniach czuł się znękany.

A przecież nie znalazłoby się nic, na co mógłby narzekać. To znaczy nic, na co duma pozwoliłaby mu narzekać.

Nie mógł twierdzić, że Jessica zadręcza go na śmierć, skoro ani razu nawet nie zasygnalizowała niezgody lub niezadowolenia.

Nie mógł twierdzić, że jest zimna i obojętna w łóżku, poczynała sobie w nim bowiem równie ochoczo i lubieżnie jak na początku.

Nie mógł się skarżyć na jej nieuprzejmość, skoro dowolnych stu zewnętrznych obserwatorów orzekłoby jednogłośnie, że zachowuje się jak anioł.

Wyłącznie oni dwoje wiedzieli, że Dain jest karany, i dlaczego.

Wszystko z powodu tego okropieństwa, które zmajstrował z Charity Graves.

Dla Jessiki nie grało roli, że to coś jest równie plugawe w środku, jak obrzydliwe na zewnątrz, że nie znalazłby się choć okruch dobra, który mogłoby odziedziczyć po zdeprawowanym potworze, jego ojcu, oraz występnej dziwce, jego matce. Jessiki nic by nie obeszło, gdyby to coś miało dwie głowy i wypełzające z uszu czerwie – co, w opinii Daina, nie uczyniłoby go ani trochę bardziej odpychającym niż obecnie. Choćby czołgało się na brzuchu, pokryte zielonym śluzem, Jessica zapatrywałaby się na sprawę tak samo: Dain to zmajstrował; dlatego Dain musi się tym zająć.

W ten sam sposób podeszła wcześniej do kwestii swojego brata. Nieważne, że Bertie był kompletnym matołem. Dain wciągnął tego głupca w bagno, Dain musi go więc stamtąd wydobyć.

I tak samo odniosła się do własnej sytuacji: Dain ją zrujnował; Dain musi naprawić szkodę.

Przy czym raz jeszcze Jessica obmyśliła dlań karę z diaboliczną precyzją. W tym wypadku, ilekroć twierdził, że czegoś nie chce, nie dawała mu tego. Nie było dręczenia, narzucania się czy nieposłuszeństwa. Żadnych krępujących sentymentów, litowania się… bądź miłości – gdyż ani razu, po tym jak wtłukła mu te słowa do głowy i serca na cmentarzu w Devonport, Jessica nie powiedziała ponownie: „Kocham cię”.

Ze wstydem przyznawał przed sobą, że usiłował ją do tego nakłonić. Kiedy się kochali, próbował wszystkiego, co mu przychodziło na myśl, żeby sprowokować te słowa. Lecz bez względu na to, jak był czuły albo namiętnie twórczy, bez względu na to, jak wiele boleśnie lirycznych włoskich fraz wlewał jej do uszu, nie wypowiadała już tamtego wyznania. Wzdychała, jęczała. Wykrzykiwała jego imię, imię Najwyższego, a nawet, czasami, imię upadłego… ale nigdy tych dwóch słodkich słów, których łaknęło jego serce.

Po trzech tygodniach wpadł w rozpacz. Zadowoliłby się czymkolwiek choć mgliście zbliżonym do uczucia: jednym obraźliwym słowem,

bezcenną wazą ciśniętą w jego głowę, podartą koszulą, kłótnią, proszę, Boże, choć jedną.

Kłopot polegał na tym, że Dain nie śmiał jej za bardzo prowokować. Gdyby naprawdę wspiął się na wyżyny ohydztwa, do jakiego był zdolny, niewykluczone, że sprowokowałby upragnioną kłótnię; lecz niewykluczone także, że odepchnąłby Jessicę od siebie. Na dobre. Nie mógł podjąć takiego ryzyka.

W obecnej sytuacji Dain wiedział, że jej cierpliwość w końcu się wyczerpie. Bycie najdoskonalszą na świecie żoną dla najnieznośniejszego na świecie męża to zadanie na miarę Herkulesa. Nawet ona nie wytrwa przy nim wiecznie. A kiedy jej cierpliwość się skończy, Jessica odejdzie. Na dobre.

Po miesiącu nadciągnęła panika. Dain dostrzegł bowiem pierwsze oznaki przemęczenia na jej nieskazitelnej, anielsko cierpliwej i uprzejmej twarzy. Na zewnątrz chmurnie opanowany zasiadł do śniadania w niedzielny poranek w połowie czerwca i ukradkiem odnotował zmarszczki napięcia na jej czole i w kącikach oczu. Jej postawa także sygnalizowała napięcie, równie sztywna jak obowiązkowy uśmiech, który przybierała podczas upiornie radosnych konwersacji o niczym szczególnym, a już z pewnością o niczym, co miałoby znaczenie dla któregokolwiek z nich.

Tracę ją, pomyślał i instynktownie uniósł dłoń, żeby po nią sięgnąć i przyciągnąć z powrotem. Zamiast tego sięgnął po dzbanek z kawą. Napełnił sobie filiżankę i bezradnie wpatrzył się w ciemny płyn, widząc w nim swoją czarną przyszłość, jako że nie znajdował w sobie sił, by dać Jessice to, czego chciała.

Nie potrafił zaakceptować tego monstrum, które nazywała jego synem.

Wiedział, że Jessica uważa jego zachowanie za irracjonalne. Nie umiał wytłumaczyć go nawet samemu sobie, mimo że próbował, przez cały ostatni piekielny tydzień. Ale wszelkie myśli paraliżowała mu odraza. Nawet teraz, spanikowany i przybity, nie potrafił sięgnąć rozumem poza żółć, która wzbierała w nim momentalnie, gdy w jego wyobraźni pojawiał się ten obraz: ciemna, posępna twarz z odrażającym nochalem… zdeformowane, wynaturzone drobne ciało. Stać go było wyłącznie na tyle, by pozostać spokojnie na krześle, udając cywilizowanego dorosłego człowieka, podczas gdy w jego wnętrzu szalał i wył potwór, złakniony zniszczenia.

– Powinnam się pospieszyć – stwierdziła Jessica, wstając. – Inaczej spóźnię się do kościoła.

Również wstał, uprzejmy mąż, odprowadził ją na dół i przyglądał się, kiedy Bridget pomagała milady założyć szal i bonet.

Zażartował tak samo, jak każdej poprzedniej niedzieli, że lady Dain daje lokalnej społeczności dobry przykład, a lord Dain wykazuje się taktem, trzymając się z dala, tak by dach kościoła nie runął na bogobojne athtońskie duszyczki.

Kiedy zaś powóz lady Dain ruszył, stał u końca alei dojazdowej, jak robił to przez cztery minione niedziele, i odprowadzał pojazd wzrokiem, aż zniknął mu z oczu.

Tego dnia Dain nie skierował się jednak, jak zwykle, do gabinetu. Dzisiaj wszedł do niewielkiej kaplicy Ath-court i usiadł na twardej ławce, na której dygotał przez niezliczone niedziele dzieciństwa, rozpaczliwie usiłując skupić myśli na sprawach niebiańskich zamiast na wgryzającym mu się w brzuch głodzie.

Czuł się w tej chwili równie zagubiony i bezradny jak tamten mały chłopiec próbujący zrozumieć, dlaczego Ojciec w Niebiesiech uczynił go złym wewnątrz i na zewnątrz, i zastanawiający się, jaką modlitwę powinien zmówić, jaką pokutę odprawić, żeby został naprawiony.

Dorosły mężczyzna zapytał, z tą samą rozpaczą, z jaką dekady temu pytał chłopiec: „Dlaczego mi nie pomożesz?”.

* * *

Podczas gdy lord Dain zmagał się z demonami w swej duszy, jego żona szykowała się, by schwytać w sidła pewnego demona z krwi i kości. Z tym że, przy całej swej wierze w Opatrzność, Jessica wolała szukać pomocy z łatwiej dostępnych źródeł. Asystował jej Phelps, stangret.

Należał do tych nader nielicznych członków personelu, którzy służyli w Athcourt jeszcze za poprzedniego markiza. W tamtych czasach Phelps był podrzędnym stajennym. Fakt, że pozostał na służbie i otrzymał awans, dowodził szacunku, jaki Dain żywił dla jego umiejętności. Okoliczność, że mówiono nań „Phelps” zamiast zwyczajowego w przypadku stangretów „John”, świadczyła o znacznym szacunku dla tego człowieka osobiście.

Ów szacunek był odwzajemniony.

Nie znaczyło to, że Phelps uważał jego lordowską mość za nieomylnego. Znaczyło to, o czym Jessica przekonała się niedługo po wiadomej scysji w Devonport, że Phelps rozumiał różnicę pomiędzy wykonywaniem poleceń pana a robieniem tego, co dla pana dobre.

Przymierze między Jessicą a stangretem zawiązało się pierwszej niedzieli, kiedy udała się do kościoła w Athton. Gdy wysiadła z powozu, Phelps zwrócił się o pozwolenie, by mógł oddać się własnym „medytacyjom", jak to ujął, w gospodzie Pod Gwiżdżącym Duchem.

– Oczywiście – odparła Jessica, po czym ze smętnym uśmiechem dodała: – Gdybym tak mogła pójść z tobą.

– No, ja myślę – stwierdził, zaciągając po devońsku. – O tym bałaganie wczorej z tą głupią babą słyszała już pewno cała okolica. Ale pani nic tam, jak się trochu pogapią i pomielą językiem, prawda? Samego pana pani strzelała, a jak. – Jego chropawa twarz pomarszczyła się uśmiechu. – No, to reszcie też da pani do wiwatu.

Kilka dni później, wioząc ją na plebanię na herbatkę, Phelps jeszcze mocniej naświetlił swoje stanowisko, przekazując Jessice, co usłyszał Pod Gwiżdżącym Duchem na temat Charity Graves i chłopca, Dominicka, i uzupełniając te informacje o to, co sam wiedział o sprawie.

Tak oto, gdy nastała obecna, piąta niedziela, Jessica orientowała się już dobrze, jakiego pokroju kobietą jest Charity Graves, oraz zyskała większe, niż trzeba, potwierdzenie, że Dominicka należy ratować.

Według Phelpsa, chłopca powierzono opiece podstarzałej Annie Geach, akuszerki, podczas gdy Charity wędrowała po Dartmoor jak Cyganka. Annie umarła na jakiś miesiąc przed powrotem Daina do Anglii. Od tamtej pory Charity kręciła się w pobliżu Athton. Choć w samej wsi widywano ją rzadko, jej syn, przeważnie puszczony samopas, pojawiał się tam aż nazbyt często, sprawiając kłopoty.

Mniej więcej półtora miesiąca temu kilka osób o dobrych chęciach próbowało ulokować chłopca w szkole. Dominick jednak nie pozwolił się ulokować, siejąc spustoszenie i zamęt w trakcie wszystkich trzech wizyt w tym przybytku. Wszczynał bójki z innymi dziećmi i płatał wredne figle na równi nauczycielowi i uczniom. Nie dało się zdyscyplinować go słownie, gdyż odpowiadał śmiechem, kpinami i wulgaryzmami. Nie dało się również złoić mu skóry, żeby nauczyć posłuszeństwa, w tym celu trzeba by go bowiem najpierw złapać, a był diabolicznie szybki.

W ostatnim czasie zachowanie chłopca stawało się coraz bardziej skandaliczne, a incydenty coraz liczniejsze. W ciągu jednego tygodnia Dominick: w poniedziałek zdarł ze sznura i wdeptał w błoto pranie pani Knapp, w środę podrzucił zdechłą mysz do koszyka z zakupami panienki Lobb, a w piątek obrzucił końskim łajnem świeżo pomalowane drzwi stajni pana Pomeroya.

Całkiem ostatnio podbił oczy dwóm chłopaczkom, innemu rozkwasił nos, nasikał na schody piekarni i pokazał goły tyłek pokojówce pastora.

Na razie mieszkańcy wioski zachowywali skargi dla siebie. Nawet gdyby udało im się schwytać Dominicka, w zakłopotanie wprawiała ich kwestia, co mieliby począć z piekielnym lordowskim bękartem. Na razie nikt nie zdobył się na odwagę, by skonfrontować Daina z przestępstwami jego potomka. Nikt też nie przemógł nakazów przyzwoitości i delikatności, żeby poskarżyć się na bękarta żonie Daina. Co więcej, nikt nie mógł znaleźć Charity Graves i zmusić jej, by zrobiła coś z tym diabelskim nasieniem.

Ten ostatni element niepokoił Jessicę najbardziej. Charity nie widziano od dwóch tygodni, w trakcie których zabiegi Dominicka o uwagę – jak postrzegała jego niecne sprawki – stawały się coraz bardziej rozpaczliwe.

Jessica nie wątpiła, że to o uwagę ojca tak zabiegał. Ponieważ Dain był niedostępny, jedynym sposobem jej pozyskania zdawało się wywołanie poruszenia we wsi. Jessica podejrzewała także, że matka chłopca w jakiś sposób podjudziła go lub zachęciła do tych psot. Mimo wszystko metodę należałoby uznać za ryzykowną. Istniało znacznie większe prawdopodobieństwo, że Dain spełni groźbę i doprowadzi do zesłania Charity, niż że zapłaci jej, żeby sobie poszła, jeśli to tego chciała.

Alternatywne wyjaśnienie, jeszcze bardziej niepokojące, miało mniej sensu. Niewykluczone, że Charity po prostu porzuciła syna, chłopiec bowiem podobno sypiał w stajniach lub na wrzosowiskach, pod osłoną skał. Mimo to Jessice trudno było uwierzyć, że ta kobieta zwyczajnie odeszła, z pustymi rękami. Wykluczone, by schwytała w sidła bogatego kochanka, o tym wiedziałaby bowiem cała okolica. Dyskrecja, według Phelpsa, zupełnie nie pasowała do stylu Charity.

Tak czy owak, minionego wieczoru Jessica uznała, że nie można dłużej pozwalać chłopcu szaleć.

Cierpliwość mieszkańców Athton była na wyczerpaniu. Pewnego nieodległego dnia wściekły tłum załomoce do drzwi Athcourt. Jessice nie

uśmiechało się czekać na to zdarzenie, podobnie jak nie zamierzała ryzykować, że potencjalnie porzucone dziecko umrze z wyziębienia lub głodu, lub że wessie je któreś z tutejszych zdradliwych trzęsawisk. Nie mogła dłużej czekać, aż Dain się opamięta.

Stosownie do tego, zeszła dziś na śniadanie z taką samą wymizerowaną miną, jaką miewała ciocia Claire, gdy dręczył ją morderczy ból głowy. Wszyscy służący zauważyli, a po drodze do kościoła Bridget dwukrotnie pytała, czy pani źle się czuje.

– Głowa mnie boli, to wszystko – odparła Jessica. – Na pewno mi przejdzie.

Wysiadłszy, Jessica odczekała, aż Joseph oddalił się do piekarni, gdzie pracował jego młodszy brat, a pozostali służący znaleźli się albo w kościele, albo w drodze ku własnym niedzielnym rozrywkom. Tak oto pozostała przy niej tylko jedna niepożądana strażniczka, Bridget.

– Chyba lepiej zrobię, jeśli wymówię się od udziału w nabożeństwie – stwierdziła Jessica, pocierając prawą skroń. – Na ile mi wiadomo, trochę ruchu zawsze pomaga na ból głowy. Przyda mi się porządny, długi spacer. Jakaś godzina powinna załatwić sprawę.

Bridget była służącą wyszkoloną w Londynie. W jej pojęciu porządny, długi spacer równał się pokonaniu dystansu od frontowych drzwi do powozu. Bez większego trudu obliczyła sobie, że „jakaś godzina” zwykłym tempem jej pani oznacza trzy do pięciu mil. Dlatego też kiedy Phelps zaofiarował się, że dotrzyma milady towarzystwa w zastępstwie Bridget, pokojówka zgodziła się po zaledwie symbolicznym proteście i pospieszyła do kościoła, nim stangret miał szansę zmienić zdanie.

Kiedy Bridget zniknęła im z oczu, Jessica odwróciła się do Phelpsa.

– Czego się dowiedziałeś wczoraj wieczorem?

– W piątek po południu wypuścił króliki Toma Hamby’ego. Tom ścigał go aż do południowego muru parku jego lordowskiej mości. Wczoraj po południu chłopak porozbijał skrzynie łachmaniarza Jema Furse’a i Jem ścigał go aż w to samo miejsce. – Phelps przesunął wzrok na północ, w kierunku parku. – Chłopak idzie tam, gdzie nie poważą się za nim gonić, prosto na prywatne ziemie jego lordowskiej mości.

Innymi słowy, pomyślała Jessica, chłopiec szukał opieki ojca.

– Niedaleko od miejsca, gdzie im znika, stoi jeden z tych tam, letnich domków – ciągnął stangret. – Dziadek jego lordowskiej mości zbudował go

dla dam. Gdyby chłopak się uparł, jak nic by się tam dostał.

– Jeśli urządził sobie kryjówkę w letnim domku, lepiej się pospieszmy – stwierdziła Jessica. – To prawie dwie mile stąd.

– To jakby iść główną drogą i potem tą w majątku. Ale znam skrót, jeśli pani nie wadzi trochu wspinaczki po stromiźnie.

* * *

Kwadrans później Jessica stała na skraju polany, wpatrując się w fantazyjny letni domek, który drugi markiz wybudował dla swojej żony.

Była to ośmioboczna kamienna konstrukcja, pomalowana na biało, ze stromym czerwonym stożkowym dachem, nieomal dorównującym wysokością pozostałej części. Co drugą ścianę zdobiły okrągłe okna z wymyślnie rzeźbionymi ościeżnicami. Na ślepych ścianach widniały medaliony podobnego rozmiaru i kształtu, na których wyrzeźbiono chyba średniowiecznych rycerzy i damy. Pnące róże, posadzone naprzemiennie w narożnikach ośmioboku, pomysłowo obrębiały okna i medaliony. Wzdłuż prowadzącej do drzwi krętej żwirowej ścieżki ciągnęły się wysokie cisowe żywopłoty.

Pod względem estetycznym był to raczej miszmasz, aczkolwiek niepozbawiony uroku. Z pewnością Jessica rozumiała, że takie fantazyjne miejsce mogło przemówić do dziecka.

Poczekała, aż Phelps zakończy wolno obchodzić budynek, zaglądając ostrożnie przez okna. Gdy się z tym uporał, pokręcił głową.

Jessica przełknęła przekleństwo. Przesadą było żywić nadzieję, że faktycznie zastaną tu chłopca, nawet w niedzielny ranek, skoro zwykle ograniczał ataki na wioskę do popołudnia w dni powszednie. Już miała opuścić kryjówkę, żeby naradzić się z Phelpsem, kiedy usłyszała trzask łamanej gałązki i odległy tupot spiesznych kroków. Machnęła na Phelpsa, żeby się cofnął, a ten przykucnął prędko za żywopłotem.

W następnej chwili na polanę wpadł chłopiec. Nie zatrzymując się, nie rozglądając, pognał ścieżką do drzwi. Prawie do nich dotarł, kiedy Phelps wyskoczył z ukrycia i złapał go za rękaw.

Dzieciak wbił łokieć w krocze stangreta, a ten, złożywszy się wpół, puścił go ze zdławionym przekleństwem.

Dominick wypruł z powrotem ścieżką i pomknął przez polanę ku drzewom na tyłach letniego domku. Ale Jessica natychmiast pojęła, którędy chłopiec ucieknie, i biegła już w tamtym kierunku. Ścigała go ścieżką do konnej jazdy, przez mostek i dalej krętą, wąską dróżką wzdłuż strumienia.

Gdyby chłopiec nie przebiegł wcześniej całej drogi w górę stromego wzgórza do letniego domku, nie miałaby cienia szansy go dogonić, ale był zadyszany i poruszał się mniej więcej ludzkim tempem w miejsce zwykłego demonicznego. Na rozwidleniu ścieżki zawahał się przelotnie – najwyraźniej nie znał terenu – i w trakcie tych kilku sekund Jessica zmusiła się, by przyspieszyć. Potem skoczyła i go przytrzymała.

Przewrócił się – na szczęście na trawę – a ona na niego. Zanim w ogóle zdążył pomyśleć o wyrwaniu się, chwyciła go za włosy i szarpnęła. Zawył z wściekłości.

– Dziewczyny nie walczą uczciwie – wydyszała. – Nie ruszaj się, albo wyrwę ci włosy i zostaniesz łysy.

Uraczył ją wyrzuconym na bezdechu strumieniem wulgaryzmów.

– Słyszałam już wszystkie te słowa – stwierdziła, haustami nabierając powietrza. – Znam też gorsze.

Nastała krótka cisza, gdy przetrawiał tę nieoczekiwaną reakcję. Potem wybuchł:

– Złaź ze mnie! Złaź ze mnie, ty krowo!

– Nie tak się mówi – pouczyła go. – Uprzejmy sposób to: „Proszę ze mnie zejść, milady”.

– Pieprzę cię.

– Ojej. Obawiam się, że muszę sięgnąć po desperackie środki.

Puściwszy włosy chłopca, cmoknęła go głośno w tył głowy.

Zatchnął się, wstrząśnięty.

Złożyła kolejny głośny pocałunek na jego usmolonym karku. Zesztywniał. Pocałowała go w brudny policzek.

Wypuścił wstrzymywany dotąd oddech wraz ze strumieniem przekleństw, zarazem wykręcając się zajadle. Nim wszakże wygramolił się spod Jessiki, chwyciła za plecy jego wyświechtanej kurtki i poderwała się na nogi, pociągając go za sobą.

Sfatygowany but wystrzelił ku jej goleniom, ale zrobiła unik, nadal mocno trzymając chłopca.

– Uspokój się – poleciła swoim najlepszym tonem z rodzaju „posłuszeństwo albo śmierć”, potrząsając malcem na dokładkę. – Jeszcze raz spróbuj mnie kopnąć, a też cię kopnę, i ja nie chybię.

– Szczam na ciebie! – krzyknął.

Podjął gwałtowny wysiłek, żeby jej się wyrwać, ale Jessica potrafiła dobrze trzymać, o jej bogatej praktyce z wyrywającymi się dziećmi nie wspominając.

– Puszczaj, głupia macioro! – wrzasnął. – Puszczaj! Puszczaj!

Szarpał się i wykręcał jak szalony. Chwyciła go jednak za kościste ramię, stanowczo przyciągnęła do siebie i oplotła ramionami.

Przestał się wykręcać, ale wściekłe wycie trwało.

Jessice przyszło do głowy, że chłopiec naprawdę się boi, nie mogła jednak uwierzyć, by to jej się przestraszył.

Jego krzyki stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, gdy pojawiła się odpowiedź.

Zza zakrętu ścieżki do konnej jazdy wyłonił się Phelps, a za nim jakaś kobieta. Dziecko urwało w pół krzyku i zamarło.

Kobietą była Charity Graves.

Tym razem chłopca ścigała jego matka, która, w przeciwieństwie do nieszczęsnych mieszkańców wioski, całkiem dobrze wiedziała, co z nim począć. Na początek złoi mu skórę tak, że smarkacz się nie pozbiera, oznajmiła.

Uciekł przed dwoma tygodniami, a Charity zarzekała się, że od tamtej pory szukała go wszędzie. Wreszcie odważyła się zapuścić do Athton – mimo iż wiedziała, że ryzykuje życiem, zbliżając się do jego lordowskiej mości bardziej niż na dziesięć mil, wyjaśniła. Dotarła ledwie do Gwiżdżącego Ducha, kiedy z gospody wypadli Tom Hamby i Jem Furse, na czele tuzina innych zagniewanych mężczyzn, którzy w mig ją otoczyli.

– No i żem się… i się nasłuchałam – obwieściła Charity, spoglądając groźnie na syna.

Jessica nie trzymała już chłopca za kołnierz. Gdy pokazała się jego matka, sam chwycił Jessicę za rękę. Ściskał w tej chwili jej dłoń z całych sił. Nie licząc tego zajadłego uścisku, trwał nieruchomo, zesztywniały, wbijając ciemne oczy w matkę.

– Cała okolica wie o jego poczynaniach – stwierdziła Jessica. – Nie oczekujesz chyba, iż uwierzę, że nic nie słyszałaś. Gdzie byłaś, w

Konstantynopolu?

– Jestem kobietą pracującą – odparła Charity, zadzierając głowę. – Nie mogę poświęcać każdej sekundy, żeby go pilnować, a niani też nie mam, by się nią wyręczyć. Posłałam go do szkoły, może nie? Ale mu uczyciel nie przemówił do rozumu, może nie? A ja niby jak mam przemówić, pytam się pani, kiedy chłopak ucieka ode mnie i nie wiem, gdzie się podziewa?

Jessica wątpiła, by Charity interesowało, gdzie chłopiec się podziewa, dopóki nie usłyszała, że za schronienie obrał sobie park Athcourt. Gdyby jego lordowska mość dowiedział się, że ten „ulicznik" urządził sobie kryjówkę w zdobnym, nieskazitelnie utrzymanym letnim domku drugiego markiza, Charity przyszłoby słono za to zapłacić i kobieta o tym wiedziała.

Nawet teraz jedynie odgrywała zuchwałą buńczuczność. Jej zielone spojrzenie raz po raz odbiegało w bok, omiatając drzewa wokół, jakby oczekiwała, że lada moment wypadnie spomiędzy nich Dain.

Choć niespokojna, nie sprawiała zarazem wrażenia, żeby bardzo spieszyło jej się stąd zniknąć. Jakkolwiek Jessica nie potrafiła odgadnąć, co rozgrywa się w tej chwili w głowie kobiety, było dosyć jasne, że ocenia markizę Dain i stosownie dopasowuje podejście. Spostrzegłszy, że groźby surowej kary dla Dominicka nie spotykają się z aprobatą, niezwłocznie przystąpiła do zrzucania winy na swoją trudną sytuację.

Podczas gdy Jessica odnotowywała te kwestie, Charity dokonywała dalszych korekt.

– Wiem, co pani sobie myśli – powiedziała łagodniejszym tonem. – Że nie opiekuję się nim, jak trza, i że tylko nieszczęśliwe dziecko ucieka. Ale to nie ja żem… to nie ja go unieszczęśliwiłam, ino te nadęte bachory w szkole. Powiedzieli mu, czym zajmuje się jego mama… jakby ich ojcowie i bracia nie przyłazili pukać do moich drzwi. A te małe gnojki zrobiły ze mnie najgorszą. No i jeszcze go wyzywali. Prawda, kochaniutki? – spytała, posyłając Dominickowi współczujące spojrzenie. – No to czy dziwne, że się zgniewał i sprawiał kłopoty? – ciągnęła, kiedy chłopiec nie odpowiedział. – No i mają za swoje, że się czepiali biednego brzdąca, aż dostał przez nich koszmarów. Ale teraz własnej mamy też już nie lubi i nie chce zostać. I patrz pani, gdzie to głupie dziecko przychodzi. A czy jego papa nie zażąda za to mojej głowy? Jakbym zrobiła to celowo. Każe mnie aresztować, a jak, i wysłać do domu pracy. I przestanie dawać na utrzymanie chłopaka, a wtedy co z nami będzie, pytam się pani?

Phelps popatrywał na Charity z jawną odrazą. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, pochwycił jednak ostrzegawcze spojrzenie Jessiki. Dał upust emocjom, wznosząc oczy ku niebu.

– Sporo się nagadałaś, nie mówiąc mi nic, do czego sama bym już nie doszła – stwierdziła cierpko Jessica. – Nie wyjaśniłaś mi natomiast, co zamierzasz uzyskać, pojawiając się w Athton, skoro znasz nastawienie jego lordowskiej mości, albo, po drugie, dlaczego przedłużałaś swój pobyt w okolicy, choć wiedziałaś, że Dominick cierpi i w jaki sposób to wyraża. Najwidoczniej bardzo ci na czymś zależy, skoro podejmujesz takie ryzyko.

Zaszczuty wyraz twarzy Charity momentalnie zniknął. Z hardą miną obraźliwie zmierzyła Jessicę wzrokiem od głowy do stóp.

– No, no, Dain nie wziął se za żonę ptasiego móżdżku – skomentowała z uśmiechem. – Może i miałam plany, milady, i może chłopak je pomieszał. Ale może nie stała się krzywda i zaradzimy temu, pani i ja.

* * *

Kilka minut później, kiedy przekonano Dominicka, by uwolnił dłoń Jessiki ze śmiertelnego uścisku, grupa zmierzała wolno z powrotem, w kierunku głównej drogi. Phelps pociągnął chłopca naprzód, na dyskretną odległość od kobiet, by umożliwić im negocjacje.

– Ja też głupia nie jestem – oświadczyła Charity, rozglądając się ukradkiem. – Dobrze widzę, że chce pani tego małego diabła. Ale Dain go nie chce, inaczej sam by go se… sobie zabrał, może nie? A pani wie, że nie da rady ot, tak sobie przyjść i ukraść mojego chłopca, bo urządzę awanturę… i postaram się, żeby Dain usłyszał. A tu w okolicy nie ma nikogo, kto by ukrył Dominicka i go dla pani przypilnował, jeśli to pani chodzi po głowie. Wiem. Próbowałam. Nikt go nie weźmie, bo się boją. Boją się Daina i boją się chłopaka, bo wygląda i zachowuje się jak małe licho.

– Nie ja jedna mam problem – odparła zimno Jessica. – Kiedy Dain się dowie, że puściłaś chłopca samopas w Athton, sama będziesz marzyć, żeby twoim kolejnym miejscem zamieszkania stał się dom pracy. Jego myśli kierują się raczej ku podróży w jedną stronę do Nowej Południowej Walii.

Charity się roześmiała.

– Och, nie zostanę sprawdzić, co zamierza. Szkoda, żeś pani nie słyszała Toma i Jema… i innych. Gdzie im tam czekać na życzenia jego lordowskiej mości. Chcą, żebym się stąd zabrała, i zapowiedzieli, że będą na mnie polować po całym Dartmoor, z psami na dobitkę. A jeśli nie zapędzą mnie do jakiego trzęsawiska, przywiążą do wózka i będą batożyć stąd do Exeter, tak obiecali. Więc postanowiłam, że jutro wsiadam w pierwszy dyliżans do Londynu.

– Mądra decyzja – pochwaliła Jessica, tłumiąc dreszcz na myśl o małym Dominicku włóczącym się po najpodlejszych dzielnicach Londynu. – Jednakże spotkawszy mnie, domyśliłaś się, że nie musisz odjeżdżać z pustymi rękami.

– Boże jedyny, ależ pani bystra. – Uśmiech, którym obdarzyła Jessicę, okazał się jak najbardziej przyjazny. Charity, co oczywiste, była kobietą interesu i czerpała przyjemność z wyzwania w postaci twardego klienta. – A skoro taka pani bystra, na pewno wynajdzie pani, co począć z moim małym kochaniutkim, jeśli go oddam bez zamieszania. Tak jak ja wynajdę, co z nim począć w Londynie, jeśli pani uzna, że nie jest wart trudu.

– Nie chcę cię popędzać, ale powinnam znaleźć się pod kościołem, kiedy zakończy się nabożeństwo. Może byłabyś tak dobra i po prostu opisała mój trud w funtach, szylingach i pensach?

– Och, to o wiele prostsze – zapewniła Charity. – Wystarczy, że da mi pani ten obrazek.

Rozdział 17

O drugiej po południu tego samego dnia Dain stał z żoną na szczycie wzniesienia, skąd rozpościerał się widok na wrzosowiska.

Poprosiła go, żeby po lunchu zabrał ją do Haytor Rocks. Jej bladość i bruzdy zmęczenia wokół oczu i ust mówiły mu, że Jess nie podoła wspinaczce ani klimatowi, ponieważ nawet w połowie czerwca na wrzosowiskach panowały niekiedy przenikające do szpiku kości ziąb i wilgoć. Wzdłuż południowego wybrzeża hrabstwa Devon, niczym w cieplarni, kwitły subtropikalne kwiaty i drzewa. Dartmoor rządziło się zupełnie innymi prawami. Tworzyło własną pogodę, przy czym to, co działo się na wyżynach, miało niewiele wspólnego nawet z warunkami w dolinie dwie mile dalej.

Dain zatrzymał jednak obawy dla siebie. Skoro Jessica chciała wspiąć się na wierzchołek jednego ze wzgórz pasma wyznaczającego granicę wrzosowisk, miała dobry powód. Jeżeli Dain liczył na naprawienie szkód, które wyrządził ich związkowi, musiał w jakiś sposób okazać, że ufa jej osądowi.

Powiedziała wszak, że zmęczył ją brak zaufania z jego strony… oraz mnóstwo innych rzeczy.

Toteż trzymał język za zębami również w tej chwili, zamiast powiedzieć, że byłoby jej cieplej pod osłoną gigantycznej skały niż na skraju wzniesienia, gdzie smagały ją arktyczne podmuchy.

Brutalny wiatr zerwał się, kiedy dotarli do wieńczącej wzgórze masywnej granitowej wychodni. Chmury zbijały się w złowróżbną szarą masę, obiecując typową dla Dartmoor burzę – podczas gdy kilka mil na zachód, w Athcourt, bez wątpienia świeciło właśnie jasno słońce.

– Myślałam, że będą podobne do wrzosowisk w Yorkshire – odezwała się. Omiatała wzrokiem usiany skałami krajobraz poniżej. – Wydają się jednak całkowicie inne. Bardziej skaliste. Bardziej… wulkaniczne.

– Dartmoor to w zasadzie sterta granitu. Fragment przerwanego łańcucha sięgającego wysp Scilly, według mojego guwernera. Spora część tego

obszaru zupełnie nie nadaje się pod uprawę, o czym, jak mi powiedziano, dobitnie zaświadcza tutejsza flora. Niewiele więcej poza janowcami i wrzosami ma dosyć uporu, żeby zapuścić tu korzenie. Jedyne płaty bujnej zieleni… – Wskazał soczyście zielony punkt w oddali. – Na przykład tam. Wygląda jak oaza na skalistej pustyni, prawda? Ale w najlepszym razie to podmokły teren. W najgorszym, grzęzawisko. Ten to tylko spłachetek. Kilka mil na północny zachód stąd leżą bagna Grimspound, jedne z wielu, które połknęły mnóstwo owiec, krów i ludzi.

– Powiedz mi, co byś poczuł, Dain – zagaiła, nie odrywając wzroku od poszarpanej panoramy pod nimi – gdybyś się dowiedział, że jakieś dziecko porzucono, żeby wałęsało się po tych wrzosowiskach, bez opieki, całymi dniami, tygodniami wręcz.

Oczyma wyobraźni ujrzał ciemną, posępną dziecięcą twarz.

Dziecięcy pot wystąpił mu na skórę. Poczuł w środku potężny ciężar, jakby połknął ołów.

– Chryste, Jess…

Odwróciła się i spojrzała na niego. Pod szerokim rondem bonetu jej oczy były równie ciemne, jak złowrogie chmury nad ich głowami.

– Wiesz, o jakim dziecku mówię, prawda?

Nie potrafił ustać prosto, przytłoczony ciężarem w swym wnętrzu. Kończyny mu drżały. Zmusił się, żeby cofnąć się do zwalistej skały. Przyłożył zaciśniętą pięść do cudownie nieustępliwego granitu i docisnął do niej pulsujące czoło.

Podeszła do niego.

– Źle zrozumiałam sytuację – powiedziała. – Myślałam, że twoja wrogość jest ukierunkowana na matkę chłopca. Co za tym idzie, byłam pewna, że wkrótce pojmiesz, iż dziecko jest ważniejsze od zadawnionej urazy. Inni mężczyźni radzą sobie ze swoimi bękartami całkiem sprawnie, wręcz się nimi chwalą. Sądziłam, że po prostu się zawziąłeś. Najwyraźniej jednak nie o to chodzi. Problem wydaje się kosmicznych rozmiarów.

– Tak. – Przełknął palący haust powietrza. – Wiem, ale nie potrafię myśleć na ten temat. Mój mózg… się zacina. Jak sparaliżowany. – Zmusił się do krótkiego śmiechu. – Niedorzeczne.

– Nie miałam pojęcia. Ale przynajmniej mówisz mi teraz. To postęp. Niestety, niewiele to pomoże. Znalazłam się w nieco trudnym położeniu,

Dain. Oczywiście, jestem gotowa działać, ale nie mogłabym tego zrobić, nie informując cię o sytuacji.

Chmury wypluwały lodowate krople deszczu, którymi porywisty wiatr chłostał mu kark. Dain uniósł głowę i odwrócił się ku niej.

– Wracajmy do powozu, nim złapiesz śmiertelną gorączkę.

– Jestem bardzo ciepło ubrana. Wiem, czego się spodziewać po pogodzie.

– Możemy przedyskutować tę sprawę w domu – nalegał. – Przy ogniu. Chciałbym tam dotrzeć, zanim niebo się otworzy i przemoczy nas do suchej nitki.

– Nie! – wybuchła, tupiąc nogą. – O niczym nie będziemy dyskutować! Powiem ci, a ty mnie wysłuchasz! I guzik mnie obchodzi, czy przy okazji nabawisz się zapalenia płuc. Jeśli ten chłopczyk może przetrwać na wrzosowiskach… zdany sam na siebie… w łachmanach i dziurawych butach, za całe pożywienie mając to, co uda mu się ukraść, to ty, do cholery, także wytrwasz!

Ponownie mignęła mu w myślach ta twarz.

Wzbierała w nim odraza, kwaśna i gęsta. Zmusił się, żeby znów nabrać powietrza. Długie, mozolne oddechy, jeden po drugim.

Tak, do cholery, wytrwa. Kilka tygodni temu powiedział jej, żeby nie traktowała go jak dziecko. Chciał, żeby przestała zachowywać się jak uprzejmy automat. Jego życzenia się spełniły i wiedział, że zdoła znieść i zniesie wszystko, byleby go nie opuściła.

– Słucham cię – rzekł. Oparł się o skałę.

Z troską zmierzyła go wzrokiem.

– Nie próbuję cię torturować, Dain, i gdybym wcześniej choć podejrzewała, na czym polega problem, postarałabym się ci pomóc. Ale coś takiego, oczywiście, wymaga sporo czasu, a tego nie ma. Obecnie twój syn potrzebuje pomocy znacznie bardziej rozpaczliwie niż ty.

Zmusił się do koncentracji na jej słowach, do zepchnięcia przyprawiającego o mdłości obrazu na tył głowy.

– Rozumiem. Na wrzosowiskach, powiedziałaś. Zdany sam na siebie. Niedopuszczalne. Zgoda.

– Wobec tego na pewno zrozumiesz, że kiedy o tym usłyszałam, poczułam się w obowiązku działać. Ponieważ jasno zasygnalizowałeś, że nie chcesz o nim słyszeć, musiałam działać za twoimi plecami.

– Rozumiem. Nie miałaś wyboru.

– I nie dręczyłabym cię teraz, gdybym nie musiała zrobić czegoś, czego mógłbyś mi nigdy nie wybaczyć.

Za jednym zamachem przełknął mdłości i dumę.

– Jess, jedyną niewybaczalną rzeczą, jaką możesz zrobić, jest porzucenie mnie – wyznał. – *Se mi lasci mi uccido.* Jeśli mnie zostawisz, zabiję się.

– Nie bądź niedorzeczny. Nigdy bym cię nie zostawiła. Doprawdy, Dain, nie mam pojęcia, skąd bierzesz takie głupkowate pomysły.

Po czym, jakby to tłumaczyło i załatwiało wszystko, wróciła do głównego tematu i zrelacjonowała mu wydarzenia tego dnia: jak wytropiła zwierzynę w kryjówce – ni mniej, ni więcej, tylko w parku Daina, gdzie ten mały diabeł włamał się do domku letniego i praktycznie mieszkał tam przez co najmniej ostatni tydzień.

Mdłości Daina prędko ustały, a wraz z nimi nieznośny ciężar, zmieciony przez falę zszokowanego niedowierzania. To diabelskie nasienie, które zasadził w Charity Graves, terroryzowało jego własną wieś, zakradało się do jego własnego parku – a do niego nie dotarł choćby szept na ten temat.

Oniemiały, potrafił tylko gapić się na żonę, kiedy z werwą relacjonowała, jak pochwyciła chłopca, i opisywała spotkanie z matką obdartusa.

Tymczasem otoczenie złowróżbnie pociemniało. Drobny deszczyk przeszedł w miarową mżawkę. Pod jej wpływem pęk piór i wstążek zdobiących bonet Jessiki oklapł i załamał się, lgnąc, rozmiękły, do ronda. Nie zauważała wszakże stanu swego kapelusza, podobnie jak wściekłych podmuchów wiatru, tłukącego coraz mocniej deszczu i czarnych mas, które kotłowały się nad ich głowami.

Dotarła do krytycznego punktu opowieści i jedynie tym się obecnie troskała. Między wdzięcznymi łukami jej brwi pojawiła się zmarszczka, opuściła wzrok na splecione mocno dłonie.

– W zamian za chłopca Charity chce dostać ikonę – powiedziała. – Zagroziła, że w przeciwnym razie, jeśli spróbuję go zabrać, narobi rabanu… ponieważ dzięki temu wciągnęłaby w sprawę ciebie, a wie, że ty byś go… ich oboje… stąd odesłał. Na to jednak nie mogę pozwolić i przyprowadziłam cię tutaj, żeby ci to powiedzieć. Znajdę sposób, żebyś nie musiał go oglądać, jeśli na to nalegasz. Nie pozwolę jednak, żeby chłopiec wyjechał ze swoją nieodpowiedzialną matką do Londynu, gdzie wpadnie w łapy złodziei, dewiantów i morderców.

– Ikonę? – powtórzył, ledwie zwracając uwagę na resztę. – Ta suka chce moją Madonnę… Stroganowa… za tego ohydnego małego…

– Dominick nie jest ohydny – przerwała mu ostro Jessica. – To prawda, zachowywał się potwornie, ale, po pierwsze, nikt nie nauczył go dyscypliny, a po drugie, ostatnio mocno go sprowokowano. Żył w błogiej nieświadomości, że jest bękartem i co to oznacza, podobnie jak nie rozumiał, czym zajmuje się jego matka… dopóki nie poszedł do szkoły, gdzie dzieci ze wsi oświeciły go w najbardziej prymitywnym stylu. Dlatego jest przestraszony i zagubiony, boleśnie świadom, że nie przypomina innych dzieci… i że nikt go nie chce. – Umilkła na chwilę. – Z wyjątkiem mnie. Gdybym udawała, że go nie chcę, może jego matka nie zażądałaby tak wiele. Ale nie mogłam udawać i powiększać udręki tego malca.

– Niech diabli porwą tego przeklętego bękarta! – krzyknął, odrywając się od skały. – Suka nie dostanie mojej ikony!

– Wobec tego będziesz musiał osobiście zabrać od niej dziecko – oświadczyła Jessica. – Nie wiem, gdzie się ukrywa, wątpię jednak, by udało się ją znaleźć w mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Co oznacza, że ktoś musi zjawić się jutro wczesnym rankiem na stacji dyliżansów w Postbridge. Jeśli tym kimś nie będę ja, z ikoną, musisz to być ty.

Otworzył usta, żeby ryknąć z wściekłości, po czym zamknął je i w zamian policzył do dziesięciu.

– Proponujesz – podsumował tonem wyzutym z emocji – żebym o świcie podreptał do Postbridge… zaczekał cierpliwie na Charity Graves… i tam, na oczach tłumu miejscowych, negocjował z nią?

– Oczywiście, że nie. Nie masz potrzeby negocjować. Jest twoim synem. Wystarczy, że go weźmiesz, a nic na to nie poradzi. Nie będzie mogła twierdzić, że została oszukana… jak pewnie opowiadałaby, gdyby spróbował zrobić to ktokolwiek poza tobą.

– Zabrać go, tak po prostu? Na oczach wszystkich?

Przyjrzała mu się badawczo spod rozmokłego bonetu.

– Nie rozumiem, co cię tak szokuje. Sugeruję jedynie, żebyś zachował się w swoim zwykłym stylu. Wkraczasz, przejmujesz dowodzenie i każesz Charity się wynosić. I do diabła z tym, co ktokolwiek sobie pomyśli.

Zawzięcie uczepił się postrzępionych nici samokontroli.

– Jessico, nie jestem idiotą. Widzę, do czego zmierzasz. Sterujesz mną. Pomysł rozgromienia Charity powinien mi się objawić jako nieodparcie

pociągający. Jak również doskonale logiczny, skoro nie zamierzam oddawać mojej ikony. A nie zamierzam.

– Wiem o tym. Dlatego właśnie nie mogłam jej wykraść. Nie mogę uwierzyć, że ta kobieta rzeczywiście sądziła, iż to zrobię. Ale jest kompletnie amoralna i zapewne słowo „zdrada” nic dla niej nie znaczy.

– Mimo to zamierzasz wziąć ikonę, jeśli nie postąpię tak, jak chcesz.

– Muszę. Ale nie mogłabym tego zrobić, nie powiedziawszy ci.

Uniósł brodę, nachylił się i popatrzył twardo.

– Czy nie przyszło ci do głowy, pani Logicznie Myśląca, że nie pozwolę ci jej zabrać?

– Przyszło mi do głowy, że możesz spróbować mnie powstrzymać.

Z westchnieniem puścił jej brodę i przeniósł wzrok na zwalistą masę granitu.

– I przypuszczalnie powiodłoby mi się mniej więcej tak samo, jak gdybym usiłował przekonać tę skałę, żeby potruchtała do Dorset.

Z oddali dobiegł niski pomruk, jakby same niebiosa zgadzały się, że sytuacja jest beznadziejna.

Czuł się równie zdezorientowany, zły i bezradny jak swego czasu w Paryżu, kiedy nadciągała ku niemu inna burza.

Nie potrafił nawet myśleć o tym paskudztwie, które spłodził z Charity Graves, żeby nie poczuć się fizycznie chory. Jak, na Lucyfera, miał do tego czegoś podejść, patrzeć na to, mówić do tego, dotykać to coś i zabrać do siebie?

* * *

Burza podążyła za nimi z Haytor do Athcourt. Łomotała o dach, tłukła w okna i demonicznie błyskała piorunami, napełniając dom ostrym białym światłem.

Ci, którzy słyszeli jego lordowską mość, jak szalał po całym domu, z łatwością mogli uwierzyć, że zaiste jest Belzebubem, a jego gniew wzburzył nawet żywioły.

Z drugiej strony, pomyślała Jessica, Dain nie za dobrze radził sobie z emocjonalnymi problemami. Postępował w ten sposób, że zmiatał je z drogi, a kiedy to nie podziałało, nie wiedział, co robić. Toteż wpadł w szał.

Wrzeszczał na służbę, bo nie dość szybko uwolniła jego żonę od mokrych okryć wierzchnich, a woda z nich skapywała na marmurową posadzkę westybulu – jakby to nie było normalne, że z przemoczonych ubrań kapie, a zabłocone buty zostawiają brudne ślady.

Miotał się, ponieważ gorące kąpiele nie czekały na nich, gdy dotarli do swoich pokoi – jakby ktokolwiek znał dokładny moment powrotu państwa. Ryczał, gdyż jego buty uległy zniszczeniu – jakby nie miał co najmniej dwudziestu par.

Pomruk jego wściekłego głosu dobiegał do Jessiki przez kilka ścian, kiedy brała kąpiel i się przebierała. Zastanawiała się, czy nieszczęsny, maltretowany Andrews złoży w końcu wypowiedzenie.

Najwidoczniej jednak kąpiel uspokoiła Daina o stopień lub dwa, kiedy bowiem wreszcie wkroczył sztywno na jej pokoje, ogłuszające ryki wściekłego słonia przycichły do warkotu, a morderczy wyraz twarzy ustąpił miejsca gburowatemu marsowi.

Wszedł z niesprawną ręką na temblaku.

– Dostosowania – rzekł, kiedy Bridget mądrze umknęła, zanim ją wygnano. – Małżeństwo wymaga cholernych dostosowań. Chcesz temblak, Jess, oto temblak.

– Nie psuje ci linii surduta – stwierdziła, mierząc go krytycznym spojrzeniem. – Prawdę mówiąc, wygląda całkiem buńczucznie.

Nie dodała, że wygląda także na to, iż Dain zamierza wyjść, był bowiem ubrany do konnej jazdy.

– Nie ugłaskuj mnie – warknął.

Wszedł do jej bawialni, zdjął ze sztalug portret matki i nie zatrzymując się, wyniósł go z jej pokoi.

Podążyła za nim korytarzem, południowymi schodami w dół i do jadalni.

– Chcesz mieć mamę w jadalni – rzekł. – Mama wisi w jadalni.

Oparł obraz o krzesło i pociągnął za sznur dzwonka. Momentalnie zjawił się lokaj.

– Powiedz Rodstockowi, że życzę sobie, aby ten cholerny krajobraz został zdjęty, a na jego miejscu zawisł portret. I powiedz mu, że życzę sobie, by zajęto się tym natychmiast.

Lokaj błyskawicznie zniknął.

Dain wyszedł z jadalni i przeciął krótki korytarz, wchodząc do gabinetu.

Jessica pospieszyła za nim.

– Portret będzie bardzo ładnie wyglądać nad kominkiem – powiedziała. – Znalazłam w północnej wieży uroczy komplet zasłon. Każę je odczyścić i powiesić w jadalni. Będą lepszym dopełnieniem portretu niż te obecne.

Przeszedł do biurka, ale przy nim nie usiadł. Stał, zwrócony bokiem do Jessiki. Mięśnie na jego twarzy pracowały, przymknął powieki.

– Miałem osiem lat – odezwał się napiętym głosem. – Siedziałem tam. – Skinieniem głowy wskazał krzesło przed biurkiem. – Mój ojciec siedział tam. – Wskazał swoje zwykłe miejsce. – Powiedział mi, że moja matka to Izebel i zeżrą ją psy. Powiedział mi, że jest w drodze do piekła. To było całe wyjaśnienie, jakiego mi udzielił na temat jej wyjazdu.

Jessica poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Również musiała się odwrócić, starając się opanować. Niełatwe zadanie.

Odgadła już, że jego ojciec był surowy, nieprzejednany. Nigdy nie wyobrażała sobie, że mógłby – że jakikolwiek ojciec mógłby – potraktować z tak brutalnym okrucieństwem… małego chłopca… zdezorientowanego, przestraszonego, zrozpaczonego utratą matki.

– Bez wątpienia twój ojciec czuł się wściekły i upokorzony – stwierdziła, siląc się na spokojny ton. – Gdyby jednak naprawdę mu na niej zależało, pospieszyłby za nią, zamiast wyładowywać gorycz na tobie.

– Jeśli ty uciekniesz – oświadczył zajadle Dain – będę cię ścigał. Podążę za tobą na kraniec świata.

Powiedziała sobie, że skoro udało jej się nie paść z szoku, gdy wcześniej zagroził, że się zabije z jej powodu, teraz także ustoi na nogach.

– Tak, wiem o tym – rzekła. – Ale twój ojciec był ponurym, zgorzkniałym starcem, który poślubił niewłaściwą kobietę, co ciebie nie dotyczy. Oczywiste, że była niezwykle wrażliwa… Odziedziczyłeś to po niej… a on ją unieszczęśliwił. Ale ja jestem inna i nigdy nie pozwolę się unieszczęśliwić.

– Tak samo, jak nie pozwolisz tej przeklętej kobiecie zabrać jej szatańskiego pomiotu do zdeprawowanego Londynu.

Przytaknęła.

Oparł się tyłem o biurko i wbił gniewne spojrzenie w dywan.

– Nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że dziecko może nie życzyć sobie zostawiać matki? Że takie zdarzenie… – Zamilkł, uderzając dłonią o krawędź biurka, jakby w poszukiwaniu właściwych słów.

Nie musiał kończyć. Wiedziała, że nawiązywał do własnego przypadku: odejście matki go zdruzgotało… i nadal w pełni się po tym nie pozbierał.

– Wiem, że będzie to traumatyczne przeżycie – przyznała. – Poprosiłam jego matkę, żeby spróbowała go przygotować. Zasugerowałam, by wytłumaczyła mu, że tam, dokąd się udaje, na małego chłopca czyha zbyt wiele zagrożeń i dlatego zrobi lepiej, jeśli zostawi go w miejscu, gdzie na pewno będzie bezpieczny i otoczony opieką.

Posłał jej szybkie spojrzenie. Później znów wbił wzrok w dywan.

– Chciałabym, żeby to była prawda – ciągnęła Jessica. – Gdyby faktycznie go kochała, nigdy nie naraziłaby go na takie ryzyko. Stawiałaby jego dobro na pierwszym miejscu… jak postąpiła twoja matka – ośmieliła się dodać. – Nie powlokła małego chłopca ze sobą w morską podróż, nie mając żadnej pewności, czy zdoła zapewnić mu byt… przy założeniu, że w ogóle by tę podróż przeżył. Ale jej przypadek był tragiczny i trzeba nad nią boleć. Charity Graves… Ach, no cóż, pod pewnymi względami sama jest dzieckiem.

– Moja matka jest tragiczną heroiną, a Charity Graves dzieckiem – mruknął Dain.

Odepchnął się od krawędzi biurka i przeszedł za nie, lecz nie do fotela, tylko do okna. Wyjrzał na zewnątrz.

Jessica odnotowała, że burza przycichła.

– Charity pragnie ładnych ubrań, świecidełek i uwagi wszystkich mężczyzn w okolicy – stwierdziła. – Z jej wyglądem i rozumem… i urokiem, bo przyznaję, że ma to wszystko… mogłaby do tej pory zostać słynną londyńską kurtyzaną, ale jest zbyt leniwa, za bardzo żyje chwilą.

– A jednak ta żyjąca chwilą istota, jak poinformowałaś mnie w drodze do domu, z wielką determinacją zabiega o moją ikonę. Której nigdy nie widziała. I o której istnieniu wie od wiejskiego głupka, a ten usłyszał o niej od kogoś innego, kto usłyszał o niej od kogoś ze służby. Mimo to żywi przekonanie, że ikona jest warta dwadzieścia tysięcy funtów. Która to suma, jak ci powiedziała, stanowi jedyną kontrofertę, jaką możesz jej złożyć… i to najlepiej w suwerenach, bo nie darzy zaufaniem papieru. Chętnie bym się dowiedział, kto wbił jej do głowy te dwadzieścia tysięcy funtów.

Jessica dołączyła do niego przy oknie.

– Ja również, ale nie mamy czasu, żeby to ustalić, prawda?

Zaśmiawszy się krótko, odwrócił się ku niej.

– My? Doskonale wiesz, że nie żadne „my”, tylko Dain, pożałowania godny pantoflarz, który musi zrobić dokładnie to, co każe mu żona, jeśli wie, co dla niego dobre.

– Gdybyś był pantoflarzem, słuchałbyś się mnie ślepo. A tak nie jest. Szukałeś wyjaśnienia moich motywów, a teraz próbujesz wydedukować, co kieruje Charity. Przygotowujesz się także, by poradzić sobie z synem. Usiłujesz postawić się na jego miejscu, tak by szybko rozszyfrować ewentualne kłopotliwe reakcje i odpowiedzieć na nie inteligentnie i skutecznie. – Przysunęła się bliżej i poklepała jego halsztuk. – No, dalej. Powiedz, że próbuję cię udobruchać albo tobą pokierować, czy też jakimś innym odpychającym żoninym sztuczkom się oddaję.

– Jessico, istny z ciebie wrzód na tyłku, wiesz o tym? – Spojrzał na nią spode łba. – Gdybym tak ogromnie cię nie lubił, wyrzuciłbym cię przez okno.

Opasała go ramionami i złożyła głowę na jego piersi.

– Nie zwyczajnie lubił, ale „ogromnie lubił”. Och, Dain, chyba zemdleję.

– Nie w tej chwili – rzucił z rozdrażnieniem. – Nie mam czasu cię podnosić. Puszczaj, Jess. Muszę jechać do diabelnego Postbridge.

Cofnęła się gwałtownie.

– Teraz?

– Oczywiście, że teraz. – Odsunął się od niej. – Założę się, o co chcesz, że ta suka już tam jest… a im prędzej zakończę ten cholerny nonsens, tym lepiej. Burza odpuszcza, co oznacza, że jeszcze przez kilka godzin mogę liczyć na jako takie światło. Co zmniejsza prawdopodobieństwo, że wjadę do rowu i skręcę kark.

Szybko obszedł biurko i ruszył do drzwi.

– Dain, spróbuj przy nich nie wybuchnąć! – zawołała za nim.

Zatrzymał się i spojrzał na nią z irytacją.

– Wydawało mi się, że mam ją zmiażdżyć.

– Tak, ale postaraj się nie przerazić dziecka. Jeśli ucieknie, piekielnie trudno będzie ci go złapać. – Pospieszyła do niego. – Może powinnam jechać z tobą.

– Jessico, poradzę sobie. Nie jestem absolutnie nieudolny.

– Ale nie nawykłeś do przestawania z dziećmi – argumentowała. – Ich zachowanie bywa zagadkowe.

– Jessico, jadę, żeby zabrać tę małą bestię – oświadczył ponuro. – Nie planuję rozwikływać zagadek. Wezmę go i przywiozę tobie, a ty możesz łamać sobie nad nim głowę do woli. – Podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem. – Zacznij od wymyślenia, co z nim zrobić, ponieważ niech mnie diabli, jeśli mam choć cień pojęcia.

Dain postanowił wziąć ze sobą stangreta, ale nie powóz. Phelps znał w okolicy każdą drogę, ścieżkę i bydlęcy szlak. Nawet gdyby burza rozpętała się na nowo i podążyła z nimi na zachód, Phelps szybko doprowadzi ich do Postbridge.

Poza tym, skoro pomógł pani narobić kłopotów, niech teraz pomoże panu się z nich wykaraskać.

Dain nie wiedział, jak Jessice udało się namówić lojalnego stangreta, by w ostatnich tygodniach zdradził jego zaufanie, przekonał się jednak wkrótce, że nie owinęła go sobie całkowicie wokół palca. Kiedy Jessica przybiegła do stajni, żeby po raz ostatni prosić o możliwość towarzyszenia im, Phelps wynegocjował kompromis.

– Może gdyby milady przygotowała dla chłopaka paczkę, ulżyłoby jej trochu na duszy – zasugerował stangret. – Bydzie się zamartwiać, że dzieciak głodny albo mu zimno, a pan w pośpiechu nie zwróci uwagi. Może milady znajdzie jaką zabawkę albo co, by dać chłopakowi zajęcie.

Dain popatrzył na Jessicę.

– Chyba tyle będzie musiało wystarczyć – stwierdziła. – Chociaż lepiej, żebym tam była.

– Nie będziesz, więc po prostu zapomnij o tym pomyśle – poradził Dain. – Masz kwadrans na skompletowanie tej przeklętej paczki, to wszystko.

Piętnaście minut później Dain siedział na koniu, piorunując wzrokiem główne drzwi Athcourt. Poczekał jeszcze pięć minut, po czym ruszył długą aleją, pozostawiając Phelpsa, żeby zajął się paczkami i lady Dain.

Stangret dogonił go tuż za główną bramą Athcourt.

– Zabawka tak paniom opóźniła – wyjaśnił, gdy jechali. – Poszła do północnej wieży, a jak, i znalazła jedne z tych tam, ruchomych obrazków. Bitwa morska, mówiła.

– Na pewno Nelson i Parker pod Kopenhagą – stwierdził Dain. – To znaczy, jeśli to któreś z moich – dodał ze śmiechem. – Zdaje się, że tylko tych nie zdążyłem zniszczyć, nim odesłano mnie do szkoły. Dostałem je na ósme urodziny. Nie ma sensu zastanawiać się, jak je znalazła. Moja pani

znajdzie przysłowiową igłę w stogu siana. Jeden z jej szczególnych talentów, Phelps.

– Tak se myślę, że to nie tak źle, skoro wasza lordowska mość stale coś gubi. – Phelps zmierzył wzrokiem lewe ramię pana, które Dain uwolnił z temblaka, gdy tylko przestało go być widać z domu. – Zgubił pan trzymadło na ramię, milordzie?

Dain spojrzał w dół.

– Wielkie nieba, rzeczywiście. No cóż, nie ma sensu go szukać, prawda?

Przez kilka minut jechali w ciszy.

– Możem nie powinien był pomagać pani szukać chłopaka – odezwał się wreszcie Phelps. – Alem się martwił, od kiedy żem usłyszał, że Annie Geach w końcu wykitowała.

Stangret wyjaśnił, że podstarzała akuszerka była jedyną matką, jaką znał Dominick.

– Kiedy Annie się przekręciła, żadne ze wsi nie chciało się zająć urwisem – ciągnął. – Tak se myślę, że jego mama narobiła kłopotu przed pana młodą żoną, bo se ubrdała, że bydzie pan musiał co zrobić… da jej piniądze, żeby se poszła, albo załatwi opiekunkę dla chłopaka. Ale pan nikogo za nią nie posłał, nawet kiedy chłopak zrobił we wsi istne piekło…

– Nie wiedziałem, że zrobił piekło – przerwał mu z irytacją Dain. – Ponieważ nikt mi, do cholery, nie powiedział. Nawet ty.

– Nie mnie tam gadać – odparł Phelps. – Poza tym skąd bym wiedział, że pan nie zrobi wszystkiego całkiem źle? Zesłanie, mówiła milady. To pan miał w głowie. Obydwoje, matkę i chłopca. No, to se myślę, że mnie się to nie widziało, milordzie. Raz żem już stał z boku i patrzył, jak pana ojciec robi wszystko źle. Młodym był, kiedy pana odesłał, bał żem się stracić posadę. No i sem myślał, że państwo to wiedzą lepiej niźli taki głupi wiejski chłopak. Ale tera stuknął mi już piąty krzyżyk i trochu inaczej patrzę na sprawy jak kiedyś.

– Nie wspominając o tym, że moja żona przekonałaby cię, że konie mają rogi, gdyby to odpowiadało jej planom – mruknął Dain. – Powinienem uważać się za szczęściarza, że cię nie namówiła, żebyś przemycił ją w sakwie przy siodle.

– Próbowała – przyznał z szerokim uśmiechem Phelps. – Alem jej rzekł, że zdziała więcej dobrego, jak się uszykuje na chłopaka. Na przykład

znajdzie resztę tych pana drewnianych żołnierzyków. I wybierze piastunkę, i ogarnie pokój dziecięcy.

– Powiedziałem, że go przywiozę – chłodno poinformował stangreta Dain. – Nie mówiłem jej, że ten zarośnięty brudem żebrak może zamieszkać w moim domu, spać w moim pokoju dziecięcym… – Urwał, gdyż żołądek podszedł mu do gardła.

Phelps nie odpowiedział. Wbijał wzrok w drogę przed nimi.

Dain czekał, aż wnętrzności mu się uspokoją. Pokonali kolejną milę, zanim ucisk zmalał do znośnego poziomu.

– Problem kosmicznych rozmiarów – sarknął Dain. – A mimo to najwyraźniej muszę go rozwikłać, zanim dotrzemy do Postbridge. Zbliżamy się do rzeki West Webburn, zgadza się?

– Jeszcze ćwierć mili, milordzie.

– A stamtąd do Postbridge są jakieś… mniej niż cztery mile?

Phelps przytaknął.

– Cztery mile – stwierdził Dain. – Cztery cholerne mile, żeby rozwiązać problem kosmicznych rozmiarów. Niech mi Bóg dopomoże.

Rozdział 18

Charity Graves bez wątpienia była utalentowaną jawnogrzesznicą, pomyślał Roland Vawtry. Jak również bystrą, że tak z biegu opracowała nowy plan, kiedy wiejskie prostaki naciskały na nią z jednej strony, a z drugiej lady Dain.

Na matkę wszakże nie nadawała się w najmniejszym stopniu.

Vawtry stał przy oknie z widokiem na dziedziniec zajazdu, starając się ignorować dobiegające zza jego pleców obrzydliwe dźwięki i jeszcze obrzydliwszy smród.

Natychmiast po spotkaniu z lady Dain, Charity pospieszyła do swojej chatynki w Grimspound, zebrała dobytek i wrzuciła do przetrąconej dwukółki, którą zakupiła przed tygodniem wraz z równie przetrąconym kucem.

Smarkacz jednak zaparł się, że nie wsiądzie do dwukółki z powodu grzmotów wiele mil dalej.

Nie chcąc ryzykować, że czmychnie jej po drodze i zniknie na wrzosowiskach, Charity udała zrozumienie. Obiecawszy, że zaczekają, aż grzmoty umilkną, spokojnie postawiła przed chłopakiem trochę chleba i kubek imbirowego piwa. Do piwa dodała „najmaleńszą odrobinkę, ani nie pół kropli, laudanum”, jak się zarzekała.

To „pół kropli” wyciszyło Dominicka niemal do nieprzytomności. Charity upchnęła chłopca do dwukółki, gdzie przespał całą jazdę do Postbridge i spał także później, kiedy tłumaczyła Vawtry’emu, co takiego się zdarzyło, że pokrzyżowało jej pierwotne plany, oraz co obmyśliła w zamian.

Vawtry jej ufał. Jeżeli twierdziła, że lady Dain chce to odrażające dziecko, naprawdę tak było.

Jeżeli Charity utrzymywała, że lady Dain nie powie nic mężowi, również i to musiało odpowiadać prawdzie, jakkolwiek tę prawdę Vawtry akceptował z nieco większymi oporami. Raz po raz podchodził do okna, by

lustrować dziedziniec gospody, wypatrując oznak, że nadciąga Belzebub lub jego pomocnicy.

– Najgorsze, co może się stać, to że on zjawi się jutro zamiast niej – powiedziała mu Charity. – Ale wystarczy, że zachowasz czujność. Przecież wypatrzysz go co najmniej na milę, może nie? Wtedy po prostu się zwiniemy, raz-dwa. A jeśli utrzymamy tego uprzykrzonego chłopaka w spokoju jeszcze przez tydzień, możemy wrócić do pierwszego planu.

Pierwszy plan obejmował czyny przestępcze.

Drugi wymagał jedynie zachowania czujności – i słuchania głosu rozsądku. Nawet jeśli lady Dain wszystko wypaplała, nawet jeśli Dain postanowi dopaść Charity, na razie zła pogoda zatrzyma go w domu. Za kolejne dwie godziny zajdzie słońce, a mało prawdopodobne, żeby wyruszył do Postbridge po ciemku, przez błoto, zwłaszcza że nie mógł wiedzieć, iż Charity już jest na miejscu. Każdy by się zgodził, że Dain uznałby coś takiego za zbyt wielkie zawracanie głowy.

Mimo to Vawtry żałował, że zdrowy rozsądek Charity nie rozciągał się na opiekę nad dziećmi. Zacznijmy od tego, że gdyby należycie pilnowała chłopaka, nie doszłoby do kryzysowej sytuacji z mieszkańcami Athton. Po drugie, gdyby stłukła smarkacza, zamiast poić go laudanum, nie zwracałby teraz obiadu, który dopiero co łapczywie połknął, i nie pracowałby ciężko nad wyrzyganiem również tego, co zjadł na śniadanie.

Vawtry odwrócił się od okna.

Dominick leżał na wąskiej pryczy, ściskając kurczowo skraj cienkiego materaca, z głową zwieszoną nad nocnikiem, który trzymała jego matka. Odruchy wymiotne ustały, przynajmniej na razie, ale brudna twarz mu poszarzała, wargi miał sine, a oczy zaczerwienione.

Charity napotkała spojrzenie kochanka.

– To nie przez laudanum – powiedziała obronnym tonem. – To ta baranina, co ją zjadł na obiad. Zepsuta, na pewno… albo mleko. Mówił, że wszystko źle smakowało.

– Wszystkiego się pozbył, a nie wygląda ani trochę lepiej – ocenił Vawtry. – Wygląda gorzej. Powinienem chyba sprowadzić medyka. Jeśli chłopak U-M-R-Z-E – dodał, mając nadzieję, że z literowaniem Charity radzi sobie lepiej niż z matkowaniem – lady Dain nie będzie zadowolona. A pewna znana mi osoba może znaleźć się o wiele za blisko stryczka jak na jej gust.

Wzmianka o szubienicy zmyła kolory z różanych policzków Charity.

– Można na ciebie liczyć. We wszystkim doszukasz się najczarniejszych stron – skomentowała, odwracając się na powrót do chorego dziecka.

Nie protestowała jednak, kiedy Vawtry wziął kapelusz i opuścił pokój.

Dotarł ledwie do szczytu schodów, gdy usłyszał złowieszczo znajome dudnienie… które równie dobrze mogłoby dobiegać z czeluści piekieł, jako że było głosem samego Belzebuba.

Nawet bez zapachu siarki czy obłoczku dymu Vawtry zrozumiał, że w trakcie tej chwili, gdy odwrócił wzrok od okna, zajazd Pod Złotym Jeleniem zmienił się w czarną piekielną otchłań, oraz że za kilka kolejnych chwil on sam zmieni się w wysuszoną kupkę popiołu.

Popędził z powrotem do pokoju.

– On tu jest! – krzyknął. – Na dole. Terroryzuje właściciela.

Chłopiec usiadł gwałtownie i szeroko rozwartymi oczami spoglądał na Vawtry’ego, który biegał jak szalony po pomieszczeniu, zbierając dobytek.

Charity wstała od boku dzieciaka.

– Mniejsza o rzeczy – stwierdziła spokojnie. – Nie panikuj, Rolly. Rusz głową.

– Za minutę tu będzie! Co robimy?

– Zwijamy się naprawdę raz-dwa – odparła, przechodząc do okna, żeby zlustrować dziedziniec zajazdu. – Weź Dominicka przez to okno, pobiegnij po gzymsie aż tam, do tego wozu z sianem i skocz.

Vawtry pomknął do okna. Wóz z sianem stał całe mile w dole – przy czym siana nie było w nim za wiele.

– Nie dam rady – oznajmił. – Nie z nim.

Jednakże podczas gdy oceniał ryzyko, Charity odeszła już od okna i otworzyła drzwi.

– Bez szans, żebyśmy się dziś spiknęli. Ale zabierz mojego chłopaka… ja go nie poniosę, a pamiętaj, że jest wart pieniądze… i znajdź mnie jutro w Moretonhampstead.

– Charity!

Drzwi się za nią zatrzasnęły. Vawtry gapił się na nie, w niemym przerażeniu słuchając jej kroków, kiedy biegła ku schodom na tyłach.

Odwróciwszy się, odkrył, że chłopiec także wpatruje się w drzwi.

– Mamo! – zawołał.

Zgramolił się z pryczy, zrobił trzy chwiejne kroki w stronę wyjścia, po czym zachwiał się i zwalił na podłogę. Wydał dźwięk, który Vawtry słyszał w ostatnich godzinach zdecydowanie zbyt często, zwiastujący kolejne wymioty.

Vawtry zawahał się w pół drogi między chorym dzieckiem a oknem. Wtedy usłyszał głos Daina, dobiegający z korytarza przed drzwiami.

Pognał do okna, otworzył je i wspiął się na parapet. Przesuwał się ostrożnie po gzymsie przez niespełna dziesięć sekund, gdy drzwi do pokoju otwarły się z hukiem. Rozległ się ryk przekleństwa. Zapominając o ostrożności, Vawtry pomknął do miejsca nad wozem z sianem i skoczył.

* * *

Wpadłszy z rykiem do pokoju, jak niszczycielska siła, która miała zmieść Charity Graves z powierzchni ziemi, lord Dain prawie by zmiażdżył syna butami. Na szczęście na jeden gniewny krok wcześniej odnotował przeszkodę na swej drodze i się zatrzymał. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, rejestrując rozrzucone wszędzie rozmaite elementy kobiecej garderoby, pozostałości posiłku na tacy, pustą butelkę po winie, przewróconą pryczę i jakieś niezidentyfikowane drobiazgi, w tym odrażający stos brudnych szmat u swych stóp.

Stos najwyraźniej ożywiony, gdyż się poruszał.

Dain spiesznie odwrócił wzrok i wziął trzy szybkie oddechy, aby zdławić podchodzącą mu do gardła żółć. Okazało się to błędem, gdyż powietrze w pokoju było nieświeże.

Usłyszał dobiegające z ożywionej sterty plugastwa skomlenie.

Zmusił się, by spojrzeć w dół.

– Mamo – wydyszało to coś. – Mamo.

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus.

Dain przypomniał sobie zagubione dziecko, samotne i zrozpaczone, które szukało pocieszenia u Matki Bożej, kiedy jego własna odeszła.

Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae.

Tamten chłopiec modlił się, nie wiedząc, o co się modli. Nie pojmował, jaki grzech popełnił, ani jaki popełniła jego matka. Wiedział natomiast, że

jest sam.

Dain rozumiał, co znaczy być samotnym, niechcianym, przestraszonym i zagubionym, jak Jessica opisała jego syna.

Rozumiał, co czuje to obrzydliwe dziecko. Sam również był niegdyś obrzydliwy i niechciany.

– Mamy nie ma – oznajmił z napięciem. – Jest papa.

To coś uniosło głowę. Czarne oczy miało opuchnięte i zaczerwienione, z nochala zwisały mu smarki.

– Niech cię szlag, brudny jesteś – stwierdził Dain. – Kiedy ostatnio się kąpałeś?

Wąska twarz smarkacza wykrzywiła się w chmurnym grymasie, na widok którego sam Lucyfer czmychnąłby w poszukiwaniu kryjówki.

– Spieprzaj – wychrypiał.

Dain złapał go za kołnierz i podciągnął do pionu.

– Jestem twoim ojcem, ty mały łobuzie, i kiedy mówię, że jesteś brudny i trzeba cię wykąpać, odpowiadasz: „Tak, sir”. Nie będziesz mi mówił…

– Pieprz się. – Chłopiec wydał dźwięk na granicy łkania i śmiechu. – Pieprzę cię. Pieprzę, pieprzę, pieprzę. Gówno, gówno, gówno.

– To nie jest zagadkowe zachowanie – orzekł Dain. – Nie czuję się ani trochę skonfundowany. Wiem dokładnie, co zrobić. Zamówię kąpiel… i polecę któremuś ze stajennych, żeby cię wyszorował. A jeśli w trakcie nałykasz się mydła, wyjdzie ci to tylko na zdrowie.

Na te słowa pętak wyrzucił z siebie chrapliwy strumień inwektyw i zaczął się wić jak świeżo złowiona ryba na haczyku.

Uchwyt Daina pozostał mocny, w przeciwieństwie do podniszczonej koszuli chłopca. Sfatygowany kołnierz oderwał się, dając właścicielowi wolność – na dokładnie dwie sekundy, zanim Dain zgarnął go z podłogi pod pachę.

Nieomal w tym samym momencie usłyszał złowieszczy charkot.

Potem chłopiec zwymiotował… prosto na buty jego lordowskiej mości.

Następnie wijący się tobołek pod pachą Daina zmienił się w martwy ciężar.

Przez ciało Daina przemknął niepokój, wzbierając w ślepą panikę.

Zabił to dziecko. Nie powinien był tak go ściskać. Złamał mu coś, zmiażdżył… zamordował własnego syna.

Usłyszał zbliżające się kroki. Zwrócił spanikowane spojrzenie na drzwi.

Stanął w nich Phelps.

– Phelps, patrz, co zrobiłem – odezwał się głuchym głosem Dain.

– Uświnił pan te fikuśne buty, widzę – stwierdził Phelps, podchodząc. Spojrzał na pozbawione życia ciało, wsparte nadal o biodro Daina. – Wycisnął pan z niego obiad?

– Phelps, chyba go zabiłem. – Dain ledwie był w stanie poruszać wargami. Jakby go sparaliżowało. Nie potrafił się zmusić do spojrzenia w dół na… zwłoki.

– No to czemu dycha? – Phelps podniósł wzrok z twarzy chłopca na twarz pana. – Nie wykitował. Chory ino pewnie. Może się przeziębił, jak to tutej przy złej pogodzie. Położy go pan o tam, na łóżku, to rzucim okiem?

Nierówno pod sufitem, pomyślał Dain. Jessica powiedziałaby, że ma nierówno pod sufitem. Albo że jest nadwrażliwy. Z płonącą twarzą, ostrożnie odwrócił chłopca w górę, zaniósł do łóżka i umieścił na nim delikatnie.

– Wygląda, jakby troszku gorączkował – stwierdził Phelps.

Dain powściągliwie położył dłoń na pokrytym skorupą brudu czole chłopca.

– Wydaje się… chyba trochę za ciepły – ocenił.

Tymczasem uwagę Phelpsa przykuło co innego.

– Może stąd cały kłopot – rzekł, podchodząc do niewielkiego kominka. Wziął z obudowy buteleczkę i przyniósł Dainowi. – Pamiętam, że i panu laudanum nie służyło. Piastunka panu zadała, kiedy pana mama uciekła, i wściekle się pan od tego pochorował.

Tyle że Dain nie przymierał wtedy głodem i nie ciągano go przez zalane deszczem wrzosowiska Dartmoor. Leżał bezpiecznie w łóżku, skakali przy nim służący, a niania poiła go herbatą i obmywała mu zlane potem ciało.

…lepiej zrobi, jeśli zostawi go w miejscu, gdzie na pewno będzie bezpieczny i otoczony opieką.

Daina nie kochano, ale matka pozostawiła go we w miarę bezpiecznym otoczeniu. Opiekowano się nim, zaspokajano życiowe potrzeby.

Matka nie zabrała go ze sobą… tam, gdzie ani chybi umarłby wraz z nią, wskutek febry, na wyspie na drugim krańcu świata.

Matka tego chłopca porzuciła go na pewną śmierć.

– Zejdź i powiedz, żeby natychmiast przynieśli dzbanek z herbatą – polecił Phelpsowi. – Dopilnuj, żeby dali do niej bardzo dużo cukru. I

jeszcze niech przyślą miedzianą balię. I wszystkie ręczniki, jakie znajdą.

Stangret ruszył do drzwi.

– I paczka – dodał Dain. – Przynieś paczkę od milady.

Phelps wyszedł spiesznie.

Nim dostarczono herbatę, Dain zdjął z syna przesiąknięte potem ubrania i zawinął go w prześcieradło.

Phelps otrzymał polecenie, by rozpalić w kominku, i ustawił balię blisko ognia. Kiedy pracował, jego pan łyżeczką wlewał mocno osłodzoną herbatę w chłopca, który spoczywał wsparty bezwładnie o jego ramię, znów przytomny – dzięki niebiosom – acz ledwo, ledwo.

Pół dzbanka herbaty później wyglądało na to, że dzieciak odzyskuje świadomość. Spojrzenie zapuchniętych oczu stało się minimalnie bardziej czujne, głowa przestała mu zwisać jak u szmacianej lalki. Na tej głowie, w niechlujnej masie gęstych czarnych loków, takich jak u Daina, roiło się od robactwa, co jego lordowska mość odnotował bez większego zaskoczenia.

Ale wszystko po kolei, pouczył się.

– Lepiej się czujesz? – burknął.

Otumanione czarne spojrzenie podniosło się do jego oczu. Lepkie dziecięce usta zadrżały.

– Jesteś zmęczony? – dopytywał się Dain. – Chcesz się trochę przespać? No wiesz, nie ma pośpiechu.

Chłopiec pokręcił głową.

– Racja. Spałeś o wiele więcej, niżbyś sobie życzył, jak przypuszczam. Ale nic ci nie będzie. Mama podała ci lekarstwo, które źle na ciebie podziałało, to wszystko. To samo przydarzyło się kiedyś mnie. Wyrzygiwałem wnętrzności. Potem jednak, bardzo szybko, całkowicie mi się polepszyło.

Chłopiec opuścił wzrok i nachylił się ku skrajowi łóżka. Moment trwało, nim Dain pojął, że próbuje zobaczyć jego buty.

– Nie ma potrzeby patrzeć – rzekł. – Zniszczone. Druga para dzisiaj.

– Ścisnąłeś mnie – odparł obronnym tonem dzieciak.

– I odwróciłem do góry nogami – przyznał Dain. – Rozstroiłoby każdy nadwrażliwy żołądek. Ale nie wiedziałem, że jesteś chory. – *Ponieważ nie było tu Jessiki, żeby mi powiedziała*, dodał w duchu. – Tak czy owak, skoro wreszcie odzyskałeś mowę, może odnajdziesz też w sobie apetyt.

Kolejne puste, niepewne spojrzenie.

– Jesteś głodny? – drążył cierpliwie Dain. – Masz wrażenie pustki w brzuchu?

Na to otrzymał wolne przytaknięcie.

Posłał Phelpsa znowu na dół, tym razem po chleb i miskę rosołu z jelenia. Pod nieobecność stangreta Dain podjął się umycia synowi twarzy. Zajęło to dłuższą chwilę, gdyż jego lordowska mość nie był pewien, jak znaczny nacisk może wywrzeć. Udało mu się jednak usunąć większość brudu, nie zdzierając przy tej okazji połowy skóry, a chłopak przetrwał eksperyment, choć przez cały czas dygotał jak świeżo narodzony źrebak.

Później, kiedy Dominick zjadł kilka kawałków przypieczonego chleba i wypił kubek rosołu, dzięki czemu przestał wyglądać jak niedawno wykopane z ziemi zwłoki, Dain skierował uwagę na niewielką miedzianą balię przy ogniu.

– Lady Dain przysłała dla ciebie czyste ubrania – powiedział, wskazując krzesło, na którym Phelps ułożył stosik odzieży. – Ale najpierw musisz się umyć.

Spojrzenie Dominicka kilkakrotnie przemknęło od ubrań do balii i z powrotem. Na jego twarzy pojawił się wyraz udręki.

– Najpierw musisz się umyć – powtórzył stanowczo Dain.

Chłopiec zawył tak nieziemsko, że mógłby iść w zawody ze zjawą. Spróbował się wywinąć. Dain przytrzymał go i podniósł z łóżka, obojętny na młócące pięści, kopiące stopy i ogłuszające wrzaski.

– Skończ z tym rabanem! – rzucił ostro. – Chcesz się znowu pochorować? To tylko kąpiel. Nie umrzesz od tego. Sam kąpię się codziennie i nadal żyję.

– Nieeee! – Z tym żałosnym zawodzeniem pełna wszy głowa syna opadła na ramię Daina. – Nie, papo. Proszę. Nie, papo.

Papo. Dain poczuł ucisk w gardle. Przeciągnął wielką dłonią po żałośnie chudych plecach chłopca i poklepał go delikatnie.

– Dominicku, roi się na tobie od robactwa – powiedział. – Istnieją tylko dwa sposoby, żeby się go pozbyć. Albo weźmiesz kąpiel w tej ładnej miedzianej balii…

Jego syn uniósł głowę.

– Albo musisz zjeść miskę rzepy.

Dominick odsunął się i spojrzał na ojca z czystym przerażeniem.

– Przykro mi – rzekł Dain, tłumiąc uśmiech. – To jedyny inny sposób.

Szarpanina i łkania raptownie ustały.

Wszystko – nawet pewna śmierć – było lepsze od rzepy.

Takie odczucia żywił Dain jako dziecko. Skoro chłopiec odziedziczył po nim reakcję na laudanum, można było rozsądnie wydedukować, że przeszła na niego również młodzieńcza awersja Daina do rzepy. Nawet obecnie Dain nie zanadto przepadał za rzepą.

– Niech przyślą teraz gorącą wodę, Phelps – polecił. – Mój syn życzy sobie wziąć kąpiel.

Pierwsze mycie Dain był zmuszony przeprowadzić sam, podczas gdy Dominick siedział sztywny z oburzenia, z cierpiętniczo zaciśniętymi ustami. Kiedy jednak rzecz się dokonała, chłopcu pokazano w nagrodę na moment ruchome obrazki, obiecując zabawę nimi, gdy tylko będzie czysty.

Dominick zdecydował, że po raz drugi umyje się sam.

Podczas gdy chłopiec, pod czujnym okiem Phelpsa, robił kałuże wokół balii, Dain zamówił kolację.

Zanim ją przyniesiono, Dominick wynurzył się z balii, a Dain wytarł go do sucha, ubrał w staroświecki zestaw złożony ze spinanych razem marynarki i spodni, który znalazła Jessica, i rozczesał niesforne włosy chłopca.

Następnie w ręce Dominicka przekazano upragnione ruchome obrazki, a kiedy się nimi bawił, Dain zasiadł do posiłku ze swoim stangretem.

Wziął sztućce i miał właśnie ukroić swój stek barani, gdy dotarło do niego, że podniósł zarówno nóż, jak i widelec.

Przez długą chwilę wpatrywał się w widelec w lewej dłoni.

Spojrzał na Phelpsa, który smarował grubo masłem gigantyczną pajdę chleba.

– Phelps, mam sprawne ramię – powiedział Dain.

– No, prawda – odparł bez emocji stangret.

Wtedy Dain uzmysłowił sobie, że ramię musiało odzyskać sprawność jakiś czas temu, a on nie zauważył. Jak inaczej podtrzymywałby synowi głowę, zarazem wlewając mu łyżeczką herbatę do ust? Jak inaczej niósłby go i jednocześnie klepał po plecach? Jak inaczej przemieszczałby zesztywniałe ciało chłopca w różne strony, kiedy go kąpał i mył mu włosy? Jak inaczej ubrałby go w nieznośnie niepraktyczny komplecik z niezliczonymi rzędami guzików?

– Utraciło sprawność bez żadnego medycznego powodu, a teraz odzyskało ją bez powodu. – Dain popatrzył na lewą rękę, marszcząc brwi. – Całkiem jakby w ogóle nic nie było z nim nie w porządku.

– Milady mówiła, że nic z nim nie jest. Mówiła, pan wybaczy, milordzie, że wszystko siedzi w pana głowie.

Dain zwęził oczy.

– I tak właśnie sądzisz? Że wszystko tkwiło w mojej głowie? Innymi słowy, że mam nierówno pod sufitem?

– Ja żem tylko powtórzył, co milady mówiła. Bo mnie to się zdaje, że tam został jaki okruch albo co, i te konowały go nie znalazły. A tera się może wyrobił.

Dain skupił się znów na swoim talerzu i zaczął kroić baraninę.

– Właśnie. Istnieje medyczne wyjaśnienie, ale ten francuski szarlatan nie przyznałby, że popełnił błąd, a kumple trzymali z nim. Coś tam tkwiło i po prostu się wyrobiło.

Przełykał pierwszy kęs, kiedy jego wzrok przyciągnął Dominick, który leżał na brzuchu na dywaniku przy kominku, z uwagą oglądając bitwę pod Kopenhagą.

Problem kosmicznych rozmiarów skurczył się do jednego chorego, przestraszonego chłopca. I jakimś sposobem, w trakcie tego kurczenia, coś samo się wyrobiło.

Spoglądając na syna, Dain zrozumiał, że tym czymś nie był okruch metalu czy kości. To tkwiło w jego głowie, lub może w sercu. Jessica wymierzyła na lewo od jego serca, nieprawdaż? Być może część tego organu sparaliżował… strach? *Se mi lasci mi uccido*, powiedział jej. Był przerażony… Tak, że Jessica go porzuci. Uświadomił sobie teraz, że to uczucie towarzyszyło mu od dnia, kiedy go postrzeliła. Przestraszył się wtedy, że zrobił coś niewybaczalnego, że utracił ją na zawsze. I nie przestał się tego bać. Ponieważ wcześniej jedyna kobieta, jakiej kiedykolwiek na nim zależało, porzuciła go… bo był potworem, którego nie dało się kochać.

Ale Jessica twierdziła, że to nieprawda. Dain wstał od stołu i podszedł do ognia. Gdy się zbliżał, Dominick podniósł wzrok. W ciemnej, zwróconej czujnie w górę twarzy syna Dain ujrzał własną: czarne, pełne niepokoju oczy… znienawidzony nochal… nadąsane usta. Nie, tego dziecka nikt nie nazwałby ładnym, nawet przy największym wysiłku wyobraźni.

Nieurodziwa twarz i dziwacznie zbudowane ciało – wątłe kończyny, zbyt wielkie stopy i dłonie, szerokie, kościste ramiona.

Chłopiec nie miał również pogodnego usposobienia. A paskudne słownictwo bynajmniej nie przydawało mu uroku. Z pewnością nie był dzieckiem czarującym.

Był dokładnie taki jak jego ojciec.

I tak samo jak jego ojciec potrzebował czyjejś – czyjejkolwiek – akceptacji. Kogoś, kto spoglądałby na niego i dotykałby go z uczuciem.

Nie były to wygórowane żądania.

– Kiedy tylko zjemy, wyruszamy do Athcourt – poinformował Dominicka. – Czujesz się na tyle silny, żeby jechać konno?

Chłopiec wolno skinął głową, ani na moment nie zdejmując oczu z twarzy ojca.

– Dobrze. Wezmę cię na mojego konia, a jeśli obiecasz, że będziesz ostrożny, może dam ci potrzymać wodze. Będziesz ostrożny?

Szybsze przytaknięcie. A później:

– Tak, papo.

Tak, papo.

Wtedy na ciemne, mroczne pustkowia serca lorda Belzebuba spadł słodki deszcz i na niegdyś jałowej ziemi wykiełkowała siewka miłości.

* * *

Do czasu gdy lord Dain dokończył zaniedbaną kolację, Charity Graves powinna była już dotrzeć do Moretonhampstead. Tymczasem znajdowała się w Tavistock, mniej więcej dwadzieścia mil w przeciwnym kierunku.

Stało się tak dlatego, że przy tylnym wyjściu, którym planowała uciec, zderzyła się z Phelpsem. Ten powiedział jej, że lord Dain przyjechał zabrać chłopca, a jeśli Charity ma trochę oleju w głowie, zniknie cicho i szybko. Nim Charity przywołała niezbędne matczyne łzy i żałosne zawodzenia z powodu konieczności oddania ukochanego syna, Phelps wyjął niewielki pakunek.

Paczuszka zawierała sto suwerenów, dalsze tysiąc czterysta funtów w banknotach oraz liścik od lady Dain. W liściku milady zauważała, że tysiąc pięćset funtów jest lepsze niż nic i zdecydowanie przyjemniejsze niż pobyt w Nowej Południowej Walii. Zasugerowała, by panna Graves

zarezerwowała sobie przejazd do Paryża, gdzie jej profesja spotyka się z większym pobłażaniem, a zaawansowany wiek – Charity niebezpiecznie zbliżała się do budzącej grozę trzydziestki – nie będzie uważany za tak wielką przeszkodę.

Charity uznała, że jednak nie jest zrozpaczoną matką. Trzymała język na wodzy i ulotniła się, stosownie do zaleceń Phelpsa.

Nim odszukała swoją dwukółkę, zdążyła dokonać prostych obliczeń. Dzielenie się z kochankiem dwudziestoma tysiącami funtów różni się zasadniczo od dzielenia się z nim tysiącem pięćset. Lubiła Rolly'ego, owszem, ale nie aż tak bardzo. Dlatego też, zamiast podążyć na północny wschód do Moretonhampstead, drogą, która zawiodłaby ją do Londynu, Charity ruszyła na południowy zachód. Postanowiła, że po Tavistock jej kolejnym przystankiem będzie Plymouth. Tam znajdzie statek, który zabierze ją do Francji.

* * *

Pięć tygodni temu Roland Vawtry wpadł w dół, czego nawet sobie nie uzmysłowił. Obecnie miał już świadomość, że tkwi na dnie bardzo głębokiej dziury. Nie dostrzegał natomiast, że rzeczone dno tworzą ruchome piaski.

Dostrzegał, że zawiódł zaufanie Charity.

Tak, pognała do Postbridge, prosto do zajazdu, w którym, jak wiedziała, Vawtry się zatrzymał. Tak, posłała po niego, zamiast dyskretnie wynająć dla siebie osobny pokój. I tak, to znaczyło, że goście Złotego Jelenia wiedzieli o jego powiązaniach z ladacznicą. Nadal jednak, jako że Vawtry posłużył się fałszywym nazwiskiem, istniała szansa, że Dain nie odkryje prawdy.

Ta szansa, co Vawtry odkrył poniewczasie, umarła śmiercią naturalną, gdy spanikował i porzucił smarkacza. Chłopak na pewno słyszał, jak Charity zwracała się do niego per Rolly i, co gorsza, będzie w stanie go opisać.

Sprytna Charity dostrzegła problem. Kazała Vawtry'emu zabrać chłopaka, było to bowiem najbezpieczniejsze i najmądrzejsze posunięcie. Powiedziała również, że jest „wart pieniądze". Vawtry dumał nad tym wszystkim, skulony pod wilgotną stertą siana, niezdecydowany, w którą

stronę pobiec, powątpiewając, czy ma choć cień nadziei na to, by wymknąć się dyskretnie z dziedzińca zajazdu, kiedy wreszcie podejmie decyzję.

Ale wokół nie zaroiło się od mężczyzn, którym kazano by polować na Rolanda Vawtry'ego – czy w ogóle kogokolwiek. Z opuszczonego niedawno przez Vawtry'ego pokoju nie dobiegały kolejne szatańskie ryki.

W końcu zdobył się na odwagę i wyczołgał z wozu z sianem.

Nikt go nie nagabywał. Najspokojniej, jak potrafił, poszedł do stajni i poprosił o swojego konia.

To tam dowiedział się, czemu zawdzięcza odroczenie egzekucji.

Na polecenie markiza Daina, jak go poinformowano, wszyscy służący z zajazdu – a także więcej niż kilku klientów – uwijali się jak w ukropie, bo jego chłopak był chory.

Wówczas Roland Vawtry pojął, że Fortuna podarowała mu szansę, by zrehabilitował się w oczach ukochanej.

Nie trwało długo, nim wykoncypował, jak osiągnąć ten cel.

Ostatecznie, nie miał teraz nic do stracenia.

Nie dość, że grzązł w długach na pięć tysięcy funtów, to jeszcze groziło mu prędkie rozczłonkowanie przez markiza Daina. W tej chwili Dain miał inne sprawy na głowie, lecz przecież to nie potrwa wiecznie.

Vawtry miał tylko jedną szansę i musiał ją wykorzystać.

Przeprowadzi do końca plan Charity… i zrobi wszystko całkiem sam.

Rozdział 19

Jessica wiedziała od pani Ingleby, że kiedy w szesnastym wieku powiększano i przebudowywano Athcourt, układ wnętrz był podobny do tego w Hardwick Hall w Derbyshire. Parter stanowił zasadniczo przestrzeń dla służby. Apartamenty rodziny zajmowały pierwsze piętro. Piętro drugie, najjaśniejsze i najbardziej przestronne za sprawą wysokich sufitów i okien, służyło celom reprezentacyjnym.

W czasach dziadka Daina funkcje pierwszego i drugiego piętra zamieniono, z wyjątkiem długiej galerii, gdzie nadal wisiała kolekcja portretów.

Jednak pokój dziecięcy, a także sala lekcyjna i kwatery piastunek oraz guwernantki, pozostały tam, gdzie mieściły się od końca szesnastego wieku, czyli na parterze, w północno-wschodnim narożniku – najzimniejszym i najciemniejszym zakątku głównego budynku.

Takie rozwiązanie, oznajmiła Jessica pani Ingleby, było nie do zaakceptowania.

– Chłopiec będzie dostatecznie nieszczęśliwy po rozdzieleniu z jedyną rodziną, jaką znał, gdy przyjedzie do przepastnego budynku pełnego nieznajomych – stwierdziła. – Nie wygnam go do ciemnego kąta dwa piętra niżej, gdzie z pewnością dręczyłyby go koszmary.

Po naradzie obie kobiety zgodziły się, że najbardziej odpowiednia będzie południowa wieża, zaraz nad pokojami Jessiki. Cokolwiek należało usunąć z tamtejszych pomieszczeń, z łatwością przetransportuje się dachem do jednej z pięciu pozostałych wież. W taki sam sposób przeniesie się wyposażenie pokoju dziecięcego, które przed dwudziestu pięciu laty pochowano w składzikach.

Dzięki tutejszej wielkiej armii służących realizacja projektu postępowała szybko.

Do zachodu słońca w nowym pokoju dziecięcym znalazły się: łóżko, dywanik, czysta pościel i ładne żółte zasłony. Nie były najświeższe, niemniej do zaakceptowania po dobrym przetrzepaniu w rześkim powietrzu

zmierzchu. Jessica wyszperała także bujany fotel dziecięcych rozmiarów, sfatygowany, ale nie połamany, drewnianego konia na kółkach, któremu brakowało połowy ogona, oraz większą część wspomnianego przez Phelpsa kompletu drewnianych żołnierzyków.

Mary Murdock, wybrana do roli piastunki, przeglądała zawartość kufra z rzeczami jego lordowskiej mości z czasów chłopięctwa, starając się uzbierać dostatecznie dużo ubrań, by aktywne dziecko dotrwało z nimi do czasu, aż skompletuje się dla niego garderobę. Bridget usuwała koronkowy kołnierzyk z koszulki nocnej, gdyż pani powiedziała jej, że chłopiec z obecnego pokolenia prędzej umrze, niż założy takie frymuśne cudo.

Pracowały w składziku w północnej wieży, który stał się kwaterą główną, gdyż to tutaj poprzedni markiz odesłał większość artefaktów z krótkiego okresu panowania swej drugiej żony. Jessica odgruzowała właśnie ładną kolekcję książek z obrazkami. Układała je w stos na parapecie, gdy kątem oka pochwyciła błysk światła w ciemności na zewnątrz.

Nachyliła się do grubej szyby.

– Pani Ingleby – rzuciła ostro. – Proszę tu podejść i powiedzieć mi, co to jest.

Gospodyni pospieszyła przez pokój do okna z widokiem na zachód. Wyjrzała. Potem odruchowo uniosła rękę do gardła.

– Zmiłuj się, Panie, nad nami. To ani chybi stróżówka, milady. Wygląda… jakby się paliła.

Natychmiast ogłoszono alarm i dom opustoszał, gdy kto żyw popędził do stróżówki.

Niewielka budowla w kształcie pieprzniczki strzegła jednej z rzadziej używanych bram Athcourt. Tutejszy stróż zwykł spędzać niedzielne wieczory na spotkaniu modlitewnym. Gdyby spłonęła doszczętnie – co wydawało się prawdopodobne, ponieważ ogień musiał wznieść się wysoko, nim ktokolwiek go zauważył – strata nie byłaby żadną katastrofą.

Jednakże niedaleko bramy mieścił się skład drewna jego lordowskiej mości. Gdyby ogień tam dotarł, przepadłyby sągi drewna, wraz z szopami pełnymi narzędzi traczy. Jako że drewno z tego składu wykorzystywano do budowy i napraw domów większości związanych z majątkiem osób, pożar stwarzał problem dla całej społeczności, przyciągając wszystkich sprawnych mężczyzn, kobiety i dzieci również z wioski.

* * *

Innymi słowy, sprawy potoczyły się dokładnie tak, jak zapewniała Vawtry’ego Charity Graves.

Cały światek Athton dopadł do płonącej stróżówki. W panującym zamieszaniu Vawtry bez trudu wślizgnął się niezauważony do domu lorda Daina.

Zadanie nie okazało się jednak tak proste, jak byłoby za tydzień od teraz, zgodnie z pierwotnym planem. Po pierwsze, Vawtry nie mógł dowolnie wybrać momentu, lecz przyszło mu podkładać ogień niedługo po ulewie. Drewno i kamienna wieżyczka zajmowały się uparcie powoli, a jeszcze więcej czasu upłynęło, zanim ogień rozgorzał na taką wysokość, że stał się widoczny z daleka. Za sprawą wilgoci będzie się również wolno rozprzestrzeniał, czyli znajdzie się pod kontrolą o wiele szybciej, niżby to odpowiadało panu Vawtry’emu.

Co więcej, pierwotny plan wymagał od niego jedynie wzniecenia pożaru. Za dostanie się do Athcourt i zwinięcie ikony odpowiadała Charity. Tymczasem obecnie to Vawtry musiał wypełnić oba zadania, co wymagało szaleńczego biegu z jednego krańca posiadłości na drugi – przy czym cały czas się modlił, by zapewniająca mu osłonę ciemność nie zamaskowała także przeszkody, na której skręci kark.

Po trzecie, Charity gościła w tym domu kilka razy i znała ogólny układ wnętrz. Vawtry odwiedził go raz, przy okazji pogrzebu poprzedniego markiza, a jeden nocleg to za mało, by zapamiętać liczne schody i korytarzyki jednej z największych rezydencji w Anglii.

Dobre wieści były takie, że – jak obiecywała Charity – nikt nie zawracał sobie głowy zamykaniem wszystkich okien i drzwi, kiedy ruszano do heroicznej walki z ogniem, i Vawtry bez trudu dostał się do właściwego końca budynku.

Złe wieści brzmiały, że wędrował z pokoju do pokoju, nim odkrył, iż północne tylne schody, opisane przez Charity, kryją się za drzwiami, które udawały część ściany z dobrze zachowaną wzorzystą boazerią z okresu Tudorów.

Dopiero po tym, jak je znalazł, przypomniał sobie prześmiewczy komentarz Charity, że wszystkie przejścia dla służby „udają co innego, jakby wcale nie było tam służących, a wielki dom sam o siebie dbał”.

No, ale odnalazł je, wtedy zaś już prędko dotarł na drugie piętro.

Drzwi do pokoi Daina mieściły się od razu po lewej. Tak jak zapewniała go Charity, wystarczył moment, żeby wślizgnąć się do środka, i kolejny, by przeciąć ogromne pomieszczenie i zabrać ikonę. Co ważniejsze, ikona znajdowała się dokładnie tam, gdzie Charity mówiła, że będzie.

Lord Dain trzymał podarowany mu przez żonę pogański obrazek na stoliku nocnym przy łóżku, o czym lokaj Joseph opowiedział swojemu młodszemu bratu… który powtórzył narzeczonej… która powtórzyła bratu… a ten, tak się złożyło, należał do stałych klientów Charity.

Ale nigdy więcej, przysiągł sobie Vawtry, opuszczając sypialnię. Po dzisiejszej nocy Charity będzie dzielić łoże i swoje kapitalne umiejętności z jednym tylko mężczyzną, mianowicie śmiałym, heroicznym panem Rolandem Vawtrym, który zabierze ją za granicę, z dala od Dartmoor i tutejszej niemytej hołoty. Pokaże jej wyrafinowany świat Paryża. Stolica Francji wyda jej się krainą z bajki, myślał, spiesząc schodami w dół, a on będzie jej rycerzem w lśniącej zbroi.

Zatracony w fantazjach, pchnął jakieś drzwi, zbiegł ze schodów… i znalazł się w korytarzu, którego nie pamiętał. Pospieszył na jego koniec, gdzie odkrył pokój muzyczny.

Zajrzawszy za kolejne sześcioro albo i więcej drzwi, wylądował w sali balowej, gdzie z wejścia było widać ogromne główne schody. Ruszył ku nim, po czym zatrzymał się, niezdecydowany, czy nie lepiej spróbować jednak odnaleźć schody na tyłach.

Tyle że szukałby ich godzinami, a dom był pusty, powiedział sobie. Dopadł schodów, pospieszył w dół, przeciął szeroki podest, skręcił… i przystanął gwałtownie.

Na schodach stała kobieta, patrząc na niego… a potem na ikonę, którą przyciskał do piersi.

W tej krótkiej chwili, gdy spojrzenie lady Dain przeniosło się z jego twarzy na trzymany przezeń cenny przedmiot, Vawtry odzyskał przytomność umysłu – i władzę nad członkami.

Pobiegł schodami w dół, lecz skoczyła na niego, a on zrobił unik zbyt późno. Chwyciła go za rękaw surduta i się potknął. Ikona wypadła mu z rąk. W następnej chwili odzyskał równowagę i odepchnął lady Dain z drogi.

Usłyszał jakiś huk, ale nie zważał na to. Ze wzrokiem wbitym w obrazek u stóp wyłożonych dywanem schodów, popędził na dół i porwał go z

podłogi.

* * *

Jessica uderzyła głową o ścianę i macając na oślep, żeby czegoś się złapać, strąciła z cokołu chińską wazę. Ta roztrzaskała się o poręcz.

Chociaż świat chwiał się i pogrążał niebezpiecznie w ciemności, podciągnęła się do pionu. Uchwyciła się mocno poręczy i pospieszyła w dół, ignorując tańczące jej wokół głowy kolorowe światła.

Kiedy dotarła do wielkiej sali, usłyszała trzask zamykanych drzwi i męskie przekleństwa, a następnie pospieszny stukot butów na kamieniu. Ponieważ umysł już jej się rozjaśniał, uświadomiła sobie, że jej zwierzyna najwidoczniej próbowała umknąć tylnym wyjściem, a zamiast tego trafiła do pokoju kredensowego.

Pomknęła przez salę do osłoniętego przejścia i dotarła do drzwi pokoju kredensowego, akurat kiedy łajdak z niego wybiegał.

Tym razem uchylił się przed nią skutecznie. Gdy wszakże gnał do westybulu, chwyciła pierwszy przedmiot, jaki znajdował się pod ręką – chińskiego psa z porcelany – i cisnęła w ślad za nim.

Pocisk trafił go w bok głowy i uciekinier zachwiał się, po czym opadł na kolana, nadal ściskając ikonę. Biegnąc ku niemu, Jessica zobaczyła ściekający mu po twarzy strumyczek krwi. Mimo to nikczemnik ani myślał się poddać. Czołgał się już do drzwi i sięgał do gałki. Kiedy złapała go za kołnierz, okręcił się i wyrzucił w górę ramię, odtrącając ją tak brutalnie, że straciła równowagę i przewróciła się na kafle.

Zobaczyła, jak jego palce owijają się wokół gałki, zobaczyła, jak ta się porusza… i skoczyła na niego. Chwyciwszy w garść włosy łotra, grzmotnęła jego głową o drzwi.

Odpychał ją, wywrzaskiwał przekleństwa i starał się jej wywinąć, wpadła jednak w zbyt wielką wściekłość, żeby na to zważać. Bydlak próbował ukraść cenną Madonnę jej męża i nie ujdzie mu to na sucho.

– Nie! – wydyszała, znów tłukąc jego głową o drzwi. – Nigdy! – Łup. – Nigdy! – Łup.

Vawtry puścił drzwi i ikonę, po czym przetoczył się na bok, chcąc zrzucić Jessicę.

Nie dała się strząsnąć. Zatopiła paznokcie jego w skórze, wbijała je w głowę, twarz, szyję. Spróbował przemieścić się tak, by znaleźć się na niej. Wepchnęła mu kolano w genitalia. Szarpnął się w tył i zwinął na boku, ściskając intymne części.

Właśnie po raz kolejny chwyciła go za włosy, by roztrzaskać mu czaszkę o marmurowy kafel, kiedy poczuła, jak silne ramiona opasują ją w talii i ciągną w górę, odrywając od Vawtry'ego, unosząc nad podłogę.

– Wystarczy, Jess. – Ostry głos męża przeniknął przez zaślepiającą ją furię i porzuciła zmagania, by zarejestrować rzeczywistość wokół.

Zobaczyła, że główne drzwi stoją otworem, a w nich zamarł tłum służących. Na przedzie tej grupy posągów stali Phelps… i Dominick, który trzymał stangreta za rękę, z rozdziawioną buzią gapiąc się na Jessicę.

Tyle tylko dostrzegła, ponieważ Dain od razu zarzucił ją sobie na ramię i ruszył przez osłonięte przejście do wielkiej sali.

– Rodstock – rzekł, nie zatrzymując się ani nie oglądając – w westybulu panuje skandaliczny bałagan. Niech ktoś się tym zajmie. W tej chwili.

* * *

Kiedy jego żona znalazła się bezpiecznie w kąpieli, doglądana przez Bridget, a dwaj postawni lokaje stanęli na straży przy wejściu do jej pokoi, Dain wrócił na parter.

Vawtry, czy raczej to, co z niego zostało, leżał na drewnianym stole w dawnej sali lekcyjnej, pilnowany przez Phelpsa. Miał złamany nos, stracił ząb i zwichnął nadgarstek. Twarz pokrywała mu zaskorupiała krew, jedno oko zapuchło tak, że nie mógł go otworzyć.

– Ogólnie rzecz biorąc, upiekło ci się – ocenił Dain, gdy obejrzał szkody. – Szczęściarz z ciebie, że nie miała przy sobie pistoletu, prawda?

Zanim jeszcze odstawił Jessicę do jej pokoju, Dain doszedł, co się wydarzyło. Widział leżącą na podłodze w westybulu ikonę. Zajechawszy przed dom, usłyszał o pożarze. Potrafił dodać dwa do dwóch.

Nie musiał przesłuchiwać syna, żeby pojąć, iż Vawtry i Charity Graves działali wspólnie.

Dain nie zawracał sobie również głowy przesłuchiwaniem Vawtry'ego, lecz tylko wyłożył mu, co zaszło.

– Pozwoliłeś, żeby ta chciwa ladacznica zrobiła z ciebie skończonego idiotę – podsumował wzgardliwie. – To dość oczywiste. Chętnie dowiedziałbym się natomiast, skąd pomysł, że rzecz jest warta dwadzieścia tysięcy funtów. Niech to diabli, Vawtry, czy nie wystarczyło ci na nią spojrzeć, żeby stwierdzić, że jest warta co najwyżej pięć… przy czym w żadnym lombardzie nie dano by ci nawet połowy tego.

– Nie miałem czasu… spojrzeć. – Vawtry z trudem produkował sylaby przez spuchnięte dziąsła i zmiażdżone wargi.

– Innymi słowy, zobaczyłeś ikonę po raz pierwszy dopiero dzisiaj – stwierdził. – Co znaczy, że ktoś ci o niej powiedział… Bertie, najprawdopodobniej. A ty mu uwierzyłeś… co samo w sobie jest dostatecznie idiotyczne, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie słucha Bertiego Trenta… ale potem musiałeś jeszcze pójść i zwierzyć się tej szatańskiej dziwce. A ona, jak odkryłeś, za dwadzieścia tysięcy sprzedałaby jedynego syna.

– Głupiś pan był, bez dwóch zdań – wyrecytował Phelps, żałobnie niczym grecki chór. – Sprzedała chłopaka za tysiąc pińćset. No, i czy nie czuje się pan tera trochu jak cymbał? Bez obrazy, ale…

– Phelps. – Dain spojrzał groźnie na stangreta.

– Słucham, milordzie. – Phelps popatrzył nań z niewinnością, w którą Dain nie wierzył ani przez moment.

– Nie dawałem Charity Graves tysiąca pięciuset funtów – rzekł bardzo cicho jego lordowska mość. – Jak sobie przypominam, wielce rozsądnie zasugerowałeś, że udasz się na tył zajazdu, by zapobiec jej ucieczce, na wypadek gdyby mi się wymknęła. Założyłem, że się spóźniłeś i już uciekła. Nie poinformowałeś mnie, że było inaczej.

– Milady martwiła się, żeby dziewucha nie zrobiła jakiej draki przy brzdącu – wyjaśnił Phelps. – Milady nie chciała go bardziej denerwować. No to mi kazała dać piniądze na uciszenie. Milady mówiła, że to jej piniądze na własne wydatki i może z nimi robić, co się jej uwidzi. To wydała je na uciszenie matki, no i napisała liścik, żeby dziewucha to wzięła i pojechała się zabawić do Paryża.

– Do Paryża? – Vawtry znienacka usiadł.

– Co niby jegomościom tam bardziej się spodoba i obejdą się z nią milej niźli ci tutej. No i zgaduję, że dziewusze pomysł przypasował, bo cała się wyszczerzyła i powiedziała, że milady nie taka zła. I kazała mi powtórzyć

milady, że zrobiła tak, jak jej milady mówiła: powiedziała chłopcu to czy tamto, jak ją prosiła milady.

…lepiej zrobi, jeśli zostawi go w miejscu, gdzie na pewno będzie bezpieczny… i otoczony opieką. Jessica podyktowała dziwce, co powiedzieć, a dziwka się z tego wywiązała.

Wówczas Dain pojął, jak wielką ufność pokładała w nim żona. Gdyby mu nie ufała, pojechałaby z nim, bez względu na to, co by mówił bądź robił. Ale ufała mu… że zadba, by chłopiec poczuł się bezpieczny i uwierzył, że to, co usłyszał od matki, jest prawdą.

Być może, pomyślał Dain, żona znała go znacznie lepiej niż on sam siebie. Dostrzegała w nim cechy, których sam nie widział, patrząc w lustro.

Jeśli tak było, Dain musiał wierzyć, że również w Charity ujrzała cechy, których istnienia on nigdy by nie podejrzewał. Charity najwyraźniej posiadała coś w rodzaju serca, skoro zadała sobie trud, by przygotować Dominicka na swoje odejście.

Jessica twierdziła ponadto, że Charity sama jest dzieckiem.

To także wydawało się całkiem prawdziwe. Podsuń jej atrakcyjny pomysł, a zaraz rzuci się do jego realizacji.

Odkrył, że szczerzy zęby do Vawtry’ego.

– Powinieneś był zadyndać jej przed nosem innym świecidełkiem, żeby odwrócić jej uwagę – stwierdził. – Jakimś bezpieczniejszym obiektem planów i marzeń. Ona jest jak dziecko, wiesz? Amoralne, pozbawione zasad. Dostała tysiąc pięćset funtów i całkowicie zapomniała o ikonie… i o tobie. Nigdy się nie dowie… a jeśli o tym usłyszy, nic jej to nie obejdzie… że ryzykowałeś życie i honor dla… – Dain zaśmiał się krótko. – Czego takiego, Vawtry? Miłości?

Pod siniakami, obrzękami i zaschniętą krwią oblicze Vawtry’ego przybrało odcień bardzo ciemnej czerwieni.

– Nie zrobiłaby tego. Nie mogłaby.

– Stawiam pięćdziesiąt funtów, że jest w tej chwili w drodze na wybrzeże.

– Zabiję ją – wychrypiał Vawtry. – Nie może mnie opuścić. Nie może.

– Ponieważ będziesz ją ścigał – zakpił Dain. – Podążysz za nią na krańce ziemi. Oczywiście jeśli najpierw nie dopilnuję, żebyś zawisnął.

Kolory raptownie odpłynęły z posiniaczonej twarzy Vawtry’ego, pozostawiając cętkowany krajobraz na chorobliwie szarym tle.

Dain przez długą chwilę lustrował dawnego kompana.

– Kłopot w tym, że nie przychodzą mi do głowy męki bardziej piekielne niż te, które sam sobie zafundowałeś. Nie wyobrażam sobie bardziej szatańskiej tortury, niż być beznadziejnie zadurzonym w Charity Graves. – Umilkł na moment. – Poza jedną. – Wygiął usta w kpiącym uśmiechu. – A mianowicie być jej mężem.

Dain uznał, że to najskuteczniejsze rozwiązanie. Z pewnością wymagało znacznie mniej wysiłku niż stawianie tego zadurzonego głupca przed sądem.

Vawtry popełnił jedno przestępstwo, podpalenie, i usiłował popełnić kolejne, kradzież.

Zarazem podłożył ogień pod najmniej cenny budynek na terenie posiadłości, a dzięki wilgoci i szybkiej akcji podjętej przez personel szkody były minimalne.

Co do kradzieży: Jessica ukarała nieudolnego przestępcę brutalniej, niż zrobiłby to Dain. Fakt, że karę wymierzyła kobieta, wzbogacał niedolę Vawtry’ego o uroczą nutę upokorzenia.

Każdy dżentelmen z choć krztyną męskiej dumy wolałby raczej, żeby oderwano mu jaja rozgrzanymi do czerwoności obcęgami, niż żeby świat miał usłyszeć o tym, jak rozgromiła go drobna kobietka.

Toteż z mądrością Salomona – i mając żywo w pamięci metodę szantażu zastosowaną przez Jessicę w Paryżu – jego lordowska mość ogłosił wyrok.

– Odnajdziesz Charity Graves, gdziekolwiek jest – poinformował więźnia. – I ożenisz się z nią. W ten sposób staniesz się za nią prawnie odpowiedzialny. Ja zaś przypiszę ci prawną i osobistą odpowiedzialność, jeśli ona kiedykolwiek zbliży się bardziej niż na dziesięć mil do mojej żony, syna lub dowolnego innego domownika. Jeśli kiedykolwiek znowu będzie nas… którekolwiek z nas… nachodzić, wydam proszoną kolację.

Vawtry zamrugał.

– Kolację?

– Na tej kolacji ugoszczę wszystkich naszych wesołych kompanów – wyjaśnił mu Dain.– A kiedy zacznie krążyć porto, wstanę i uraczę towarzystwo opowieścią o twoich fascynujących przygodach. W szczególności zdam rozkosznie drobiazgową relację z tego, co zaobserwowałem dziś wieczorem, stanąwszy w progach mego domu.

Po chwili, którą zajęło mu zrozumienie, Vawtry kompletnie się rozsypał.

– Znaleźć ją?! – zawołał, tocząc dziko wzrokiem wokół. – Poślubić? Jak? Rany, nie rozumiesz? Nie wpakowałbym się w to, gdyby komornicy nie deptali mi po piętach. Nie mam nic, Dain. Gorzej nawet. – Jęknął. – Gorzej o minus pięć tysięcy, mówiąc ściśle. Jestem zrujnowany. Nie rozumiesz? Nie przyjechałbym wcale do Devon, gdyby Beaumont mi nie powiedział, że mogę wygrać fortunę na tej walce zapaśniczej.

– Beaumont? – powtórzył Dain.

Vawtry nie zwrócił na niego uwagi.

– Fortunę, dobre sobie. Przy tych durnych amatorach. Uwierzysz? – Przeczesał włosy palcami. – Zadrwił sobie ze mnie, świnia. Najwspanialsza walka od czasu Canna i Polkinghorne’a, mówił.

– Beaumont – powtórzył znów Dain.

– Dwadzieścia tysięcy, tyle mi powiedział, że ta rzecz jest warta – ciągnął żałośnie Vawtry. – Ale tutaj też sobie ze mnie zadrwił, prawda? Twierdził, że zna Rosjanina, który sprzedałby za nią pierworodnego. A ja mu uwierzyłem.

– Czyli to jednak nie Bertie Trent wbił ci ten pomysł do głowy, ale Beaumont – podsumował Dain. – Powinienem był wiedzieć. Żywi do mnie urazę – wyjaśnił zdezorientowanemu Vawtry’emu.

– Urazę? Ale dlaczego czepia się mnie?

– Żebyś nabrał do mnie żalu, w nadziei na to, że napsuje krwi między nami – wytłumaczył Dain. – Fakt, że przy okazji pogłębił twoje zmartwienia, tylko uprzyjemnił mu zadanie. – Dain zmarszczył brwi. – To zaledwie podstępny intrygant. Nie stać go, żeby zemścić się jak mężczyzna. Tym bardziej więc irytujące, że odniósł w tej swojej złośliwej grze sukces, który dalece przerasta jego najśmielsze marzenia. – Mars na jego czole się pogłębił. – Niewiele brakowało, a doprowadziłbym do tego, że byś zawisnął. On zaś śmiałby się do rozpuku.

Podczas gdy Vawtry usiłował przetrawić te rewelacje, Dain spacerował po niewielkim pomieszczeniu, zastanawiając się.

– Sądzę, że spłacę twoje długi, Vawtry – odezwał się w końcu.

– Proszę?

– Ustanowię dla ciebie także skromną roczną rentę – ciągnął Dain. – Za wyświadczone usługi. – Przystanął i splótł ręce za plecami. – Widzisz, mój drogi, wielce lojalny przyjacielu, nie miałem pojęcia, jak cenna jest moja ikona… dopóki mi nie powiedziałeś. W rzeczy samej, planowałem

podarować ją pani Beaumont w zamian za portret mojej żony. Jessica wspomniała mi, jak bardzo pani Beaumont się nią zachwycała. Pomyślałem, że artystce takie wynagrodzenie sprawi przyjemność większą niż byle monety. – Dain uśmiechnął się nieznacznie. – Jednakże żaden portret, nawet pędzla znakomitej Leili Beaumont, nie jest wart dwudziestu tysięcy funtów, nieprawdaż?

Vawtry wreszcie załapał. Na jego posiniaczonej twarzy zamajaczył uśmiech.

– Naturalnie, napiszesz do Beaumonta, dziękując mu, że podzielił się z tobą tą informacją – dodał Dain. – Tego wymaga uprzejmość. I, naturalnie, jako twój serdeczny przyjaciel, poczuje się bezinteresownie uszczęśliwiony, że skorzystałeś na jego mądrości.

– Będzie rwał sobie włosy z głowy, kiedy to przeczyta – orzekł Vawtry. Potem się zarumienił. – Niech mnie diabli, Dain, nie wiem, co powiedzieć, co myśleć. Sprawy… potoczyły się tak źle… a jednak znalazłeś sposób, żeby obrócić wszystko na dobre, pomimo tego, co zrobiłem. Gdybyś wrzucił mnie do najbliższego trzęsawiska, nie znalazłby się w Anglii nikt, kto by cię winił.

– Jeśli nie utrzymasz tej piekielnej kobiety z dala ode mnie, wrzucę cię do trzęsawiska – obiecał Dain. – Ruszył do drzwi. – Phelps znajdzie kogoś, żeby cię połatał. Przyślę do ciebie służącego ze środkami na podróż. Oczekuję, Vawtry, że przed wschodem słońca już cię tu nie będzie.

– Tak, tak, oczywiście. Dzięku…

Za Dainem zatrzasnęły się drzwi.

Rozdział 20

O drugiej nad ranem lord Dain wynurzył się z kąpieli. Następnie zmuszony był założyć szlafrok i pantofle i poszukać żony, ponieważ – co za niespodzianka – nie zastał jej w łóżku, gdzie należałoby się jej spodziewać.

Sprawdził najpierw w południowej wieży, ale nie czuwała przy boku Dominicka. Zastał tam Mary, drzemiącą w fotelu. Chłopiec spał mocno, wyciągnięty na brzuchu, skopawszy pościel w stertę w nogach łóżka.

Utyskując pod nosem, Dain rozplątał prześcieradła i koce, po czym prędko otulił nimi syna. Następnie pogładził nieświadomego dzieciaka po głowie i wyszedł.

Kwadrans później odnalazł Jessicę w jadalni.

W czarno-złotym jedwabnym szlafroczku, z niedbale upiętymi włosami, stała przed kominkiem. Obejmowała palcami kieliszek brandy i wpatrywała się w portret matki Daina.

– Mogłaś mnie zaprosić, żebym upił się z tobą – odezwał się od drzwi.

– To była sprawa między Lucią a mną – odparła, wpatrzona w obraz. – Przyszłam wznieść toast na jej cześć. – Uniosła kieliszek. – Za ciebie, droga Lucio: za to, że sprowadziłaś na ten świat mojego niecnego męża oraz podarowałaś mu tak wiele z tego, co było w tobie najlepsze… i że z niego zrezygnowałaś, tak by mógł żyć i wyrosnąć na mężczyznę… którego ja znalazłam.

Zakręciła bursztynowym płynem w kieliszku i powąchała go z uznaniem. Następnie, z cichym westchnieniem przyjemności, przysunęła go do ust.

Dain wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara, że mnie znalazłaś – poinformował ją. – Należę do bardzo nielicznego grona mężczyzn z zachodniej Europy, których na ciebie stać. To bez wątpienia jest moja najlepsza brandy.

– Istotnie brałam pod uwagę piwnicę z winami, ważąc twoje aktywa i pasywa. Niewykluczone, że właśnie ona przeważyła szalę na twoją korzyść. – Kieliszkiem wskazała obraz. – Czy nie wygląda tu wspaniale?

Dain podszedł do szczytu stołu, usiadł na swoim krześle i przyjrzał się portretowi. Następnie wstał, przeszedł do kredensu i popatrzył na obraz pod takim kątem. Oglądał go, stanąwszy przy drzwiach prowadzących na galerię dla muzyków, przy oknach i u stóp długiego stołu. W końcu dołączył do żony przed kominkiem, splótł ramiona na piersi i z tego miejsca chmurnie zmierzył wzrokiem matkę.

Jednakże bez względu na to, pod jakim kątem patrzył oraz jak długo i intensywnie się w nią wpatrywał, nie odczuwał dłużej bólu. Widział jedynie piękną kobietę, która kochała go na swój kapryśny sposób. Choć nigdy nie pozna całej prawdy o zdarzeniach sprzed dwudziestu pięciu lat, wiedział dostatecznie dużo, wierzył w dostatecznie dużo, żeby jej wybaczyć.

– Była z niej całkiem ładna sztuka, czyż nie? – odezwał się.

– Nadzwyczaj ładna.

– Zapewne trudno winić tego hultaja z Dartmouth, że z nią uciekł. Przynajmniej z nią został. Umarli razem. Jak to musiało wkurzyć mojego ojca. – Zaśmiał się. – Nie wątpię jednak, że syn doprowadzał go do jeszcze większej furii. Nie mógł mnie wydziedziczyć, był bowiem zbyt wielkim snobem, żeby pozostawić cenną spuściznę w wulgarnych rękach jakiejś latorośli z gałęzi młodszego brata. Wielki hipokryta nie zdobył się nawet na zniszczenie jej portretu… ponieważ była częścią historii rodu Ballisterów, on zaś, wzorem swych szlachetnych przodków, musiał zachować wszystko dla potomności, choćby mu się to nie podobało.

– Nie wyrzucił nawet twoich zabawek.

– Za to wyrzucił mnie. Za moją matką nie opadł jeszcze kurz, kiedy odesłał mnie do Eton. Rany, co za zawzięty stary idiota. Mógł o mnie zabiegać, pozyskałby mnie przy minimalnym wysiłku. Miałem osiem lat. Byłem całkowicie zdany na jego łaskę. Glina w jego dłoniach. Ulepiłby mnie, jak tylko by mu się podobało. Skoro chciał się na niej zemścić, to byłby sposób… a przy okazji dostałby syna, jakiego pragnął.

– Cieszę się, że cię nie ulepił – stwierdziła Jessica. – Nie wyszedłbyś mu ani w połowie tak interesujący.

Popatrzył na jej uśmiechniętą twarz.

– Interesujący, a jakże. Zakała rodu Ballisterów, król łotrów we własnej osobie. Pierwszy dziwkarz w chrześcijańskim świecie. Pyszałkowaty, tępy niewdzięcznik.

– Największy grzesznik w historii.

– Wielki, fajtłapowaty tuman. Zepsuty, samolubny, mściwy brutal.

Pokiwała głową.

– Nie zapomnij o zarozumiałym tłuku.

– Twoja opinia nie gra roli – oznajmił wyniośle. – Mój syn wierzy, że jestem królem Arturem i wszystkimi rycerzami Okrągłego Stołu w jednym.

– Jesteś zbyt skromny, mój drogi. Dominick ma cię za Jowisza i cały panteon rzymskich bogów stopiony w jedno. Aż przyprawia człowieka o mdłości.

– Nie masz pojęcia, Jess, co to znaczy przyprawiać o mdłości – odparł ze śmiechem. – Szkoda, że nie widziałaś tej ożywionej sterty brudu, którą zastałem Pod Złotym Jeleniem. Gdyby to coś nie przemówiło, wziąłbym to za butwiejący stos odpadków i wrzucił do ognia.

– Phelps mi mówił. Zeszłam na dół, kiedy brałeś kąpiel, i dopadłam go, gdy wychodził. Opisał stan, w jakim znajdował się Dominick, i jak stawiłeś temu czoło i poradziłeś sobie ze wszystkim własnoręcznie… oburącz.

Ujęła go pod ramię, to, które jego własne lęki i potrzeby sparaliżowały, a jeszcze większe lęki i potrzeby małego chłopca uleczyły.

– Nie wiedziałam, śmiać się czy płakać – wyznała. – Więc zrobiłam jedno i drugie. – W jej oczach zamigotała srebrna mgła. – Jestem z ciebie taka dumna, Dain. I dumna z siebie – dodała, odwracając wzrok i mrugając gwałtownie – że miałam na tyle rozsądku, by za ciebie wyjść.

– Nie bądź niedorzeczna – zbeształ ją. – Rozsądek nie odegrał tu żadnej roli. Ale trzeba ci przyznać, że zrobiłaś najlepszy możliwy użytek z sytuacji, w następstwie której każda normalna kobieta skoczyłaby z wrzaskiem ze szczytu najbliższej wieży.

– To stanowiłoby niewybaczalny nietakt.

– Chcesz powiedzieć: przyznanie się do porażki. A do tego nie jesteś zdolna. Przegrywanie nie leży w twojej naturze. O czym Vawtry się przekonał, ku swemu wiecznemu upokorzeniu.

Zmarszczyła brwi.

– Wiem, brzydko go wykorzystałam. Pomimo wszystko okazał się zbyt wielkim dżentelmenem, żeby należycie odpierać ciosy. Ograniczył się do prób strząśnięcia mnie. Ale nie wykorzystałabym tego, gdyby ten przeklęty głupiec zostawił ikonę. Później, kiedy wreszcie ją porzucił, byłam już zanadto wściekła, żeby przestać go tłuc. Gdybyś w porę się nie zjawił,

obawiam się, że mogłabym go zabić. – Oparła głowę o jego muskularne ramię. – Nie wydaje mi się, by ktokolwiek inny zdołał mnie powstrzymać.

– Tak, my, wielkie, wredne pacany niekiedy do czegoś się przydajemy – podsumował. Zagarnął ją w ramiona i poniósł w stronę stołu. – Na szczęście miałem już sprawne obie ręce, inaczej wątpię, czy nawet ja bym sobie poradził. – Opuścił ją na lśniący drewniany blat. – Chciałbym natomiast wiedzieć, dlaczego moja zrównoważona żona nie wykazała na tyle zdrowego rozsądku, żeby zatrzymać przy sobie chociaż paru służących, bez względu na pożar.

– Zatrzymałam. Tyle że Joseph i Mary byli w południowej wieży, za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Sama nie zauważyłabym Vawtry'ego, gdyby nie schodził głównymi schodami. Ale zeszłam na parter, żeby cię wypatrywać. Ktoś musiał tam być w momencie waszego przybycia, żeby powitać serdecznie Dominicka. Chciałam zrobić to osobiście. Chciałam dowieść, że niecierpliwie czekam na jego przyjazd. – Głos jej zadrżał. – Chciałam go uspokoić i… i uściskać.

Uniósł jej brodę i zajrzał w zasnute mgłą oczy.

– Uściskałem go, skarbie – zapewnił miękko. – Wziąłem go przed siebie na konia i tuliłem, ponieważ jest dzieckiem i potrzebuje wsparcia. Zapewniłem, że się nim zaopiekuję… gdyż jest moim synem. I powiedziałem mu, że ty także go chcesz. Opowiedziałem mu o tobie: że potrafisz być miła i zadziwiająco wyrozumiała, ale nie tolerujesz żadnych głupot. – Uśmiechnął się. – Kiedy zaś przybyliśmy do domu, pierwszym, co Dominick zobaczył, był czynny, bezsporny dowód na to drugie. Dowiodłaś, że papa mówił prawdę i że papa wie wszystko o wszystkich.

– Wobec tego uściskam papę. – Oplotła go ramionami w pasie i złożyła mu głowę na piersi. – Kocham cię, Sebastianie Leslie Guyu de Ath Ballisterze. Kocham cię, lordzie Dainie i Belzebubie, lordzie Blackmoor, lordzie Launcells, lordzie Ballisterze…

– Za dużo tych nazwisk – przerwał jej. – Jesteśmy małżeństwem od ponad miesiąca. Ponieważ wygląda na to, że planujesz zostać, mogę równie dobrze przyzwolić, żebyś zwracała się do mnie po imieniu. W każdym razie wolałbym tak, niż „tłuku".

– Kocham cię, Sebastianie.

– Też darzę cię afektem.

– Ogromnym afektem – skorygowała.

Szlafroczek ześlizgiwał jej się z ramion. Dain spiesznie podciągnął go w górę.

– Słowo „ogromny” całkiem dobrze ujmuje sprawę. – Zerknął w dół, gdzie jego członek napierał na materiał szlafroka. – Powinniśmy iść na górę i niezwłocznie położyć się spać. Zanim mój afekt urośnie do nierozsądnych rozmiarów.

– Pójście od razu spać byłoby nierozsądne – oceniła.

Powiodła dłońmi w górę po jego szlafroku i wsunęła je w rozchylenie, by pogładzić jego klatkę piersiową. Zastała tam napięte, pulsujące mięśnie, a to pulsowanie mknęło w dół.

– Jesteś wyczerpana po dzisiejszych ciężkich przeżyciach – argumentował, przełykając jęk. – I na pewno poobijana w stu miejscach. Nie chcesz, żeby przygniatał cię ciężki brutal.

Przeciągnęła kciukiem po jego sutku.

Wessał powietrze.

– Ja mogłabym przygniatać ciebie – zauważyła cicho.

Nakazał sobie zignorować to, co właśnie powiedziała, lecz obraz powstawał już w jego wyobraźni, a wraz z nim, ochoczo, jego członek.

Upłynął miesiąc, odkąd wyznała mu miłość. Upłynął miesiąc, odkąd po raz ostatni faktycznie go zaprosiła, zamiast tylko współpracować. Jakkolwiek entuzjastyczna była ta współpraca, brakowało mu jej bezwstydnych aluzji niemal równie mocno, jak tych dwóch cennych słów.

Poza tym był zwierzęciem.

Już zrobił się napalony jak słoń przy samicy w rui.

Dźwignął ją ze stołu, żeby postawić na podłodze, gdyż niesienie jej uznał za zbyt niebezpiecznie intymne. Ale nie dała się postawić. Uczepiła się jego ramion, oplotła go nogami w talii.

Próbował nie patrzeć w dół, lecz przekraczało to jego siły.

Ujrzał otaczające go miękkie białe uda, mignięcie ciemnych loków tuż poniżej paska, który nie przytrzymywał już szlafroczka obyczajnie na miejscu.

Zmieniła nieco pozycję i szlafroczek znów zsunął się z jej ramion. Wyjęła najpierw jedną, potem drugą rękę z luźnych rękawów. Elegancki strój zmienił się w bezużyteczny skrawek materiału, zwisający jej w talii.

Z uśmiechem oplotła ramionami jego szyję. Jędrnymi, białymi piersiami potarła o rozwarcie jego szlafroka i ten się otworzył. Ciepłe kobiece

wzgórki przywarły do jego skóry.

Okręcił się, wrócił do stołu i opadł na blat.

– Jess, jak, u diabła, mam w tym stanie wspiąć się po schodach? – zapytał ochryple. – Jak mężczyzna ma myśleć logicznie, kiedy robisz mu takie rzeczy?

Polizała zagłębienie poniżej jego gardła.

– Lubię twój smak – wymruczała. Rozchylonymi wargami przeciągnęła mu po obojczyku. – I doznanie twojej skóry przy moich ustach. I to, jak pachniesz… mydłem, wodą kolońską i mężczyzną. Kocham twoje wielkie, ciepłe dłonie… i twoje wielkie, ciepłe ciało… i twojego ogromnego, pulsującego…

Pociągnął do góry jej głowę i docisnął usta do jej warg. Rozchyliły się natychmiast, zapraszając go.

Była grzeszną *femme fatale*, lecz smakowała świeżo i czysto. Smakowała jak deszcz, a on ją spijał. Wdychał woń rumianku zmieszaną z zapachami typowymi wyłącznie dla niej. Powiódł po jej apetycznej sylwetce wielkimi, ciemnymi dłońmi… po wdzięcznej kolumnie szyi, łagodnej pochyłości barków, jedwabiście krągłych piersiach z twardymi, smagłymi pączkami.

Przesunął się dalej na stole i położył, pociągając ją na siebie, i ponownie obrysował te kobiece kształty ustami, językiem.

Głaskał jej gładkie, giętkie plecy, dopasował dłonie do wcięcia szczupłej talii i łagodnie rozkloszowanych bioder.

– Jestem gliną w twoich rękach – wyszeptała mu do ucha. – Kocham cię do szaleństwa. Tak bardzo się pragnę.

Cichy głos, chrapliwy z pożądania, wirował mu w głowie i śpiewał w żyłach, wprowadzając tę szaleńczą muzykę do jego serca.

– *Sono tutta tua, tesoro mio* – odparł. – Jestem cały twój, mój skarbie.

Chwycił ją za rozkoszną pupę i uniósł nad swoją męskością… i jęknął, kiedy naprowadziła go w siebie.

– Och, Jess.

– Cały mój. – Opadła wolno na jego członek.

– Słodki Jezu. – Rozkosz wbiła się w niego, poszarpana, rozgrzana do białości. – Och, *Dio*. Zaraz umrę.

– Cały mój.

– Tak. Zabij mnie, Jess. Zrób to ponownie.

Uniosła się i znowu opadła, z tą samą dręczącą powolnością. Przeszyła go kolejna błyskawica. Piekąca. Ekstatyczna.

Błagał o więcej. Dała mu więcej, ujeżdżając go, kontrolując. I chciał, by tak było, ponieważ to miłość sprawowała nad nim władzę, to szczęście go pętało. Jessica stała się namiętną władczynią jego ciała, kochającą panią serca.

Kiedy burza wreszcie ucichła, a drżąca Jessica padła mu w ramiona, trzymał ją mocno przy łomocącym sercu, którym władała… gdzie w piersi dudnił mu skrywany przez długi czas sekret.

Nie chciał więcej takich sekretów. Teraz mógł wypowiedzieć te słowa. Stało się to takie proste, kiedy wszystko, co było wcześniej zamarznięte i zagrzebane w jego wnętrzu, stopniało i wybiło się na powierzchnię, świeże jak dartmoorskie strumienie na wiosnę.

Zaśmiawszy się niepewnie, uniósł głowę Jessiki i delikatnie ją pocałował.

– *Ti amo* – powiedział. I było to tak niedorzecznie proste, że powtórzył te słowa, tym razem po angielsku: – Kocham cię, Jess.

* * *

Gdyby miłość nie wdarła się przemocą do jego życia, poinformował Jessicę niedługi czas później jej mąż, mógłby popełnić błąd, którego nigdy by sobie nie wybaczył.

Słońce wychylało się już zza horyzontu, kiedy wrócili do sypialni, ale Dain nie był gotów na sen, dopóki wydarzenia minionego wieczoru nie doczekają się wyjaśnienia i uporządkowania.

Leżał na plecach, wpatrując się w złote smoki na baldachimie.

– Sam zadurzony – mówił – siłą rzeczy pojąłem, jak mężczyzna… zwłaszcza mężczyzna o ograniczonych zasobach inteligencji jak Vawtry… może wpakować się w bagno.

W paru wzgardliwych zdaniach podzielił się z nią podejrzeniami co do roli Beaumonta w tamtej farsie w Paryżu i opisał dalsze przejawy jego mściwości. Jessica nie poczuła się szczególnie zaskoczona. Zawsze uważała Beaumonta za wyjątkowo nieprzyjemnego człowieka i zastanawiała się, dlaczego żona dawno go nie zostawiła.

Zaskoczyło ją natomiast i zarazem ubawiło podejście jej męża do problemu. Nim Dain skończył opowiadać, w jaki to intrygujący sposób uporał się zarówno z Vawtrym, jak i z odpychającym Beaumontem, Jessica nie potrafiła pohamować śmiechu.

– Och, Sebastianie – wysapała. – Jesteś zbyt niegodziwy. Ileż bym dała, żeby zobaczyć wyraz twarzy Beaumonta, kiedy przeczyta l-liścik d-dziękczynny Vawtry'ego – parsknęła. Po czym znów dostała ataku śmiechu.

– Nikt poza tobą nie doceniłby humorystycznego aspektu sytuacji – podsumował, kiedy się uspokoiła.

– I artyzmu tego rozwiązania – dodała. – Vawtry, Charity… nawet ten mściwy sukinsyn Beaumont… rozprawiłeś się z nimi w kilka minut. I nie musisz choćby kiwnąć palcem.

– Chyba że przy liczeniu banknotów – skorygował Dain. – Trochę mnie to kosztuje, pamiętasz?

– Vawtry będzie ci wdzięczny do końca życia. Na twoje skinienie pogna na koniec świata. A Charity będzie zadowolona, ponieważ urządzi się wygodnie z mężczyzną, który ją uwielbia. No wiesz, to spełnienie wszystkich jej pragnień. Życie w próżniaczym luksusie. Dlatego miała Dominicka.

– Wiem. Myślała, że będę jej płacił pięćset rocznie.

– Zapytałam, jak doszła do tego pomylonego wniosku – powiedziała Jessica. – Wyjawiła mi, że stało się to wtedy, gdy tylu wysoko urodzonych zjechało na pogrzeb twojego ojca. Niektórzy z tych dżentelmenów przywieźli sobie panie do towarzystwa, rozlokowując je po okolicznych gospodach. Pośród innych londyńskich plotek Charity nasłuchała się opowieści… bez wątpienia przesadzonych… o rekompensatach i rentach dla potomstwa z nieprawego łoża pewnych arystokratów. Właśnie dlatego, jak mi wyznała, nie zastosowała zwykłych środków ostrożności, będąc z tobą i Ainswoodem, i dlatego także, kiedy odkryła, że jest brzemienna, nie podjęła kroków, by temu zaradzić.

– Innymi słowy, pomysł podsunęła jej kolejna bezrozumna ladacznica.

– Charity sądziła, że wystarczy jej urodzić jedno dziecko, a już nigdy nie będzie musiała pracować. Pięćset funtów wydawało jej się niesłychanym bogactwem.

– Co tłumaczy, czemu tak łatwo przystała na twoje tysiąc pięćset. – Dain nadal wbijał wzrok w smoki. – Wiedziałaś o tym, lecz mimo to zagroziłaś,

że dasz jej moją ikonę.

– Gdybym musiała poradzić sobie z nią sama, nie mogłabym ryzykować, że urządzi paskudną scenę przy Dominicku – wyjaśniła Jessica. – Podobnie jak ty, chłopiec jest ogromnie wrażliwy i uczuciowy. Kto wie, czy naprawienie szkód, jakich narobiłaby w kilka minut paroma słowami, nie trwałoby całe lata. Twoja obecność znacząco ograniczała to ryzyko. Mimo to wolałam, żeby odeszła po cichu. Dlatego uzbroiłam Phelpsa w łapówkę.

Dain odwrócił się na bok i pociągnął ją w ramiona.

– Postąpiłaś słusznie, Jess. Wątpię, żebym poradził sobie jednocześnie z chorym dzieckiem i jego wrzeszczącą matką. Miałem z nim pełne ręce… obie ręce… roboty i skoncentrowałem się na nim całkowicie.

– Byłeś przy nim – stwierdziła, gładząc jego twardą, ciepłą pierś. – Jego wielki, silny papa był tam przy nim i teraz wyłącznie to się liczy. Chłopiec jest w domu, bezpieczny. Zaopiekujemy się nim.

– Dom. – Spojrzał na nią. – Czyli to na stałe.

– Lady Granville wychowała dwójkę bękartów swego męża… spłodzonych z jej ciotką, ni mniej, ni więcej… wraz z własnymi dziećmi z prawego łoża. Bękarty księcia Devonshire’a dorastały w jego domu.

– A markiza Dain może robić, co jej się żywnie podoba, i do diabła z tym, co myślą inni – uzupełnił jej mąż.

– Nie mam nic przeciw temu, by zakładanie rodziny zacząć od ośmioletniego chłopca. Z dziećmi w tym wieku da się porozumieć. Są nieomal dorosłymi ludźmi.

W tejże chwili, jakby na zawołanie, ciszę wczesnego poranka rozdarło nieludzkie wycie.

Dain odsunął się od niej i usiadł.

– Przyśnił mu się koszmar, to wszystko – uspokajała Jessica, starając się pociągnąć męża z powrotem w dół. Mary jest przy nim.

– Zawodzenie dobiega z galerii. – Wygramolił się z łóżka.

Kiedy zakładał szlafrok, Jessica usłyszała kolejny rozdzierający uszy wrzask… dobiegający z galerii, jak twierdził Dain. Usłyszała też inne dźwięki. Inne głosy. Jakieś głuche uderzenia. Cichy tupot pospiesznych kroków.

Dain już wyszedł, boso, podczas gdy Jessica wyplątywała się z pościeli. Prędko narzuciła szlafroczek, wsunęła stopy w pantofle bez pięty i pospieszyła za nim.

Znalazła męża stojącego tuż za drzwiami, z ramionami splecionymi na piersi i nieodgadnionym wyrazem twarzy, kiedy obserwował nagiego ośmiolatka, który gnał ku południowym schodom, ścigany zajadle przez troje służących.

Dominicka dzieliło od drzwi ledwie parę kroków, kiedy raptem ukazał się w nich Joseph. Chłopiec momentalnie zawrócił i popędził po własnych śladach, uchylając się przed dorosłymi, którzy starali się go pochwycić, i wrzeszcząc piskliwie, ilekroć chybili.

– Najwyraźniej z mojego syna jest ranny ptaszek – skomentował łagodnie Dain. – Ciekawe, czym Mary nakarmiła go na śniadanie. Prochem?

– Mówiłam ci, że jest diabelnie szybki – przypomniała mu Jessica.

– Dopiero co obok mnie przebiegł. Widział mnie. Popatrzył prosto na mnie i się zaśmiał… te wrzaski to śmiech, zwracam twoją uwagę… i nawet nie zmylił kroku. Popędził na łeb na szyję do północnych drzwi, zatrzymał się na pół sekundy przed tym, jak roztrzaskałby sobie o nie głowę, zawrócił i pobiegł tamtędy. Wnioskuję, że usiłuje przyciągnąć moją uwagę.

Przytaknęła.

Dain wyszedł na galerię.

– Dominicku – odezwał się, nie podnosząc głosu.

Dominick wpadł do wnęki. Dain podążył za nim, zdjął go z draperii, na które chłopiec próbował się wspiąć, i zarzucił sobie na ramię.

Poniósł syna do swojej sypialni, a stamtąd do garderoby.

Jessica pospieszyła za nimi jedynie do sypialni. Słyszała niski pomruk głosu męża i wyższe tony jego syna, ale nie rozróżniała słów.

Kiedy parę minut później wyłonili się obaj z garderoby, Dominick miał na sobie koszulę ojca. Niemal ją przydeptywał.

– Zjadł śniadanie i się umył, odmawia jednak założenia tamtego kompletu, ponieważ twierdzi, że go dławi – wyjaśnił Dain, podczas gdy Jessica sama nieomal się zadławiła, usiłując zachować powagę na twarzy.

– To koszula papy – poinformował ją z dumą Dominick. – Jest za duża. Ale nie mogę biegać z gołym tyłkiem…

– Nagi – poprawił Dain. – W obecności dam nie nawiązuje się do tylnych części ciała. Podobnie jak nie galopuje się po całym domu z rączką od pompki powiewającą na wietrze… nawet jeśli słuchanie krzyków

zszokowanych kobiet sprawia tak ogromną frajdę. A także nie urządza się awantury bladym świtem, kiedy moja pani i ja usiłujemy spać.

Uwaga Dominicka momentalnie skoncentrowała się na ogromnym łożu. Jego czarne oczy się zaokrągliły.

– Czy to największe łóżko na świecie, papo?

Podciągnął rękawy koszuli, zebrał w piąstkach materiał, który wzdymał mu się wokół kościstych nóg, potruchtał do łóżka i zagapił się na nie.

– Jest największe w tym domu – odparł Dain. – Król Karol II spał raz w tym łóżku. Kiedy król składa wizytę, trzeba mu dać największe łóżko.

– Czy włożyłeś w nią dzidziusia w tym łóżku? – spytał Dominick, kierując spojrzenie na brzuch Jessiki. – Mama mówiła, że włożyłeś mnie do jej brzucha w największym łóżku na świecie. Czy tam teraz jest dzidziuś? – dociekał, wskazując palcem.

– Tak – odparł jego lordowska mość. Odwróciwszy się od swej zaskoczonej żony, podszedł do łóżka i poderwał syna z podłogi. – Ale to tajemnica. Musisz mnie zapewnić, że nikomu nie powiesz, dopóki ci nie pozwolę. Obiecasz?

Dominick skinął głową.

– Obiecuję.

– Wiem, że trudno będzie zachować taki interesujący sekret dla siebie – ciągnął Dain. – Ale wynagrodzę ci to. W zamian za tę wyjątkową przysługę, pozwolę, żebyś to ty zrobił wszystkim niespodziankę tą wieścią. To uczciwa wymiana, nie sądzisz?

Po krótkim rozważeniu kwestii Dominick znów przytaknął.

Do tej pory stało się już jasne, że dwaj panowie nie mają problemu z komunikacją. Stało się także jasne, że Dominick jest, praktycznie rzecz biorąc, gliną w wielkich dłoniach swego papy. A papa o tym wiedział.

Dain z pełną samozadowolenia wyższością uśmiechnął się do rozbawionej żony, po czym wyniósł syna z pokoju.

Wrócił chwilę później, nadal uśmiechnięty.

– Jesteś bardzo pewny swego – skomentowała, gdy do niej podszedł.

– Umiem liczyć. Jesteśmy pięć tygodni po ślubie, a ty ani razu nie zgłosiłaś niedyspozycji.

– O wiele za wcześnie, żeby to stwierdzić.

– Nie, nie jest za wcześnie. – Zagarnął Jessicę w ramiona z równą łatwością, jak przedtem syna, i poniósł do łóżka. – Nietrudno

przeprowadzić obliczenia. Jedna płodna markiza plus jeden jurny markiz równa się dzieciak, gdzieś między Ofiarowaniem a Zwiastowaniem Pańskim.

Nie położył jej, lecz usiadł na skraju materaca, kołysząc Jessicę w muskularnych ramionach.

– To tyle, jeśli chodzi o nadzieję, że mogłabym cię zaskoczyć – podsumowała.

Roześmiał się.

– Zaskakujesz mnie, Jess, od dnia, kiedy cię poznałem. Ilekroć się odwrócę, coś wybucha mi prosto w twarz. Jeśli nie obsceniczny zegarek lub rzadka ikona, to pistolet… albo moja tragicznie niezrozumiana matka… albo syn z piekła rodem. Momentami nabierałem przekonania, że nie poślubiłem kobiety, tylko urządzenie zapłonowe. To tu przynajmniej ma sens. – Zatknął jej za ucho zbłąkany kosmyk. – Nie ma absolutnie nic zdumiewającego w fakcie, że dwoje ludzi o niezaspokojonych cielesnych apetytach zmajstrowało dziecko. Jest to całkowicie naturalne i rozsądne. W najmniejszym stopniu nie podrażnia moich delikatnych uczuć.

– Mówisz tak teraz. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale kiedy zacznę puchnąć i zrobię się humorzasta i wybuchowa, znajdziesz się na skraju rozstroju nerwowego. Gdy zaś rozpocznie się poród i usłyszysz, jak wrzeszczę, przeklinam i posyłam cię do diabła…

– Będę się śmiał – zapewnił ją. – Jak na pozbawionego sumienia brutala przystało.

Pogłaskała jego arogancką szczękę.

– Ach, no cóż, przynajmniej jesteś przystojnym brutalem. I bogatym. I silnym. I jurnym.

– Czas najwyższy, żebyś zrozumiała, jakie szczęście cię spotkało. Wyszłaś za najjurniejszego mężczyznę na świecie.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, a w jego oczach, czarnych jak grzech, zobaczyła śmiejącego się diabła. Ale był jej diabłem i kochała go do szaleństwa.

– Najpróżniejszego, chciałeś powiedzieć – skorygowała.

Nachylił głowę, aż jego wielki nos Usignuolów znalazł się tuż przy jej własnym.

– Najjurniejszego – powtórzył stanowczo. – Jesteś żałośnie tępa, jeśli do tej pory tego nie przyswoiłaś. Pomyślnie dla ciebie, trudno o cierpliwszego

guwernera niż ja. Dowiodę ci tego.

– Twojej cierpliwości?

– I jurności. Jednego i drugiego. Wielokrotnie. – Jego czarne oczy zamigotały. – Dam ci lekcję, której nigdy nie zapomnisz.

Wplątała palce w jego włosy i przyciągnęła jego usta do swoich.

– Moje niecne kochanie – szepnęła. – Z chęcią to zobaczę.

[1] Black moor (ang.) – czarne/ponure/straszne wrzosowisko.
[2] Biblia Tysiąclecia, 1 Księga Królewska 21:23.
[3] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 5:3-5.
[4] Blackamoor (ang.) – ciemnoskóry.
[5] (wł.) dupek
[6] Dante Alighieri *Boska komedi*a, tłum. Edward Porębowicz, Ks. I 3/9.
[7] (fr.) Co to jest?
[8] (fr.) Nic, nic (…) Nic interesującego.
[9] (fr.) Czterdzieści sou (…) Trzydzieści pięć.
[10] (fr.) Trzydzieści, panienko.
[11] (fr.) Ale o gustach się nie dyskutuje.
[12] Hazardowa gra w karty.
[13] (fr.) bardzo zabawny
[14] Francuskie określenie prostytutki.
[15] „Ackermann's Repository of Arts" – brytyjski magazyn wydawany w latach 1809-1829, zajmujący się oprócz sztuki także literaturą, handlem, produkcją, modą i polityką.
[16] (fr.) Idźcie sobie.
[17] (wł.) Madonno w niebie.
[18] (wł.) Chodźmy.
[19] (wł.) Tak. Jeszcze. Pocałuj mnie. Obejmij mnie.
[20] Arystofanes *Gromiwoja* (*Lizystrata*), scena dwudziesta trzecia, tł. Edward Cięglewicz.
[21] Death (ang.) – śmierć.
[22] George Byron, *Don Juan*, Pieśń Pierwsza, LXII, tł. Edward Porębowicz.
[23] Tamże, Pieśń Pierwsza, CXVII.
[24] Tamże, Pieśń Druga, XIX, XX.
[25] Tamże, Pieśń Druga, XXI; emetyk – środek powodujący wymioty.
[26] (wł.) Jesteś piękna.
[27] William Shakespeare, *Komedia omyłek*, tł. Leon Ulrich.

Czwarty markiz Dain miał traumatyczne dzieciństwo i wyrósł na trudnego człowieka, który sprowadza innych na złą drogę. Wśród tych innych znalazł się brat panny Jessiki Trent. Jessica zamierza uratować brata, mimo że jako osoba rozsądna dobrze wie, iż powinna trzymać się z dala od mężczyzn takich jak lord Dain. Ten zaś żywi awersję do przyzwoitych kobiet, panna Trent nie powinna go więc w ogóle interesować. A jednak od pierwszego spotkania jakaś siła pcha tych dwoje ku sobie, co przy takich osobowościach grozi nawet rozlewem krwi.

Najsłynniejsza książka Loretty Chase, laureatka nagrody RITA w kategorii romansów historycznych.

www.wydawnictwobis.com.pl